

Kazimierz
Pużak

WSPOM
NIENIA

1939

1945

PRZEDWOJENNY DZIAŁACZ PPS
sądzony w Moskwie w procesie
gen. Okulickiego

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



142095

Gdańsk-Wrzeszcz
Al.Gen.J.Hallera 14

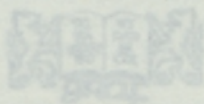
Kazimierz Pużak

WSPOMNIENIA

1939 — 1945

WSPOMNIENIA

1939 — 1945



GDANSK — 1989

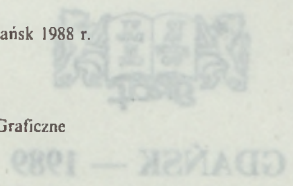
Kazimierz Pużak

Projekt okładki

WOJCIECH LABENZ



Towarzystwo Wydawnicze „Graf” Gdańsk 1988 r.
Wydanie 1, nakład 33 000 egz.
Objętość: ark. wyd. 7,5 ark. druk. 6,25
Druk na papierze 111/80 g/70 cm
Skład, druk i oprawa: RSW Zakłady Graficzne
Piła, ul. Okrzei 5
Zam. 830/89 W-7



Od wydawcy

Kazimierz Pużak. Przewodniczący Centralnego Wydziału Organizacyjnego PPS — od 1907 r.; sekretarz generalny PPS — od 1921 r.; przewodniczący Rady Jedności Narodowej — od 1944 r.

„W jego życiu nie było husarskich skrzydeł ani pawich piór. Było poczucie obowiązku, skondensowane, stężone, wypowiadające się nie słowami, bo to był człowiek w słowa oszczędny, ale postawą, która w najtrudniejszych okresach jego życia sprowadzała się trwania i wytrwania do końca. Jeśli bowiem wolność w ostatecznej analizie zawsze sprowadza się do możliwości dokonania wyboru spośród ograniczonej liczby ewentualności jakie życie przynosi, to są momenty, kiedy możliwość dokonania wyboru znika, pozostaje tylko jedna możliwość, gorzka jak piołun — i trzeba ją przyjąć i wziąć na swoje ramiona bez żadnej dla siebie samego nadziei, po to tylko, aby w bliższej czy dalszej przyszłości otworzyć dla pokoleń następnych na nowo źródło wiary”. Trudno o celniejszą charakterystykę Kazimierza Pużaka niż tę, przytoczoną z pracy Adama Ciołkosza, zatytułowanej „Ludzie PPS”. Jeśli przyjrzymy się jej pod światło, bez trudu, niczym znaki wodne na papierze, dostrzeżemy niezłomną siłę, która pozwalała mu kroczyć przez życie z wiarą i głębokim przekonaniem, że wolni możemy być tylko pod warunkiem zachowania polskości i człowieczeństwa. Polskości rozumianej jako czas przeszły i człowieczeństwa rozumianego jako czas przyszły. Być Polakiem — znaczyło w młodzieżowej organizacji „Promień”, w której wyrastał — być człowiekiem na sposób polski. A sposób ów określała historia i literatura, religia i świadomość społeczna, poezja i sztuka. Być człowiekiem oznaczało solidarność z ideałami ludzkości w ramach przynależności do narodu, udział w kształtowaniu polskości, przeobrażeniu kraju zgodnie z wolą jego obywateli. Tylko ludzie zdolni do spinania czasu przeszłego z przyszłym stanowią o wartości narodu. Zdolni są tworzyć fundamenty pod przyszłe cele, uczestniczyć w dziele odbudowy państwowości. Być Polakiem w perspektywie czasu oznaczało dla Kazimierza Pużaka także uczestnictwo w Ludzkości.

Będąc studentem Wydziału Prawa Uniwersytetu Lwowskiego, w 1903 r. wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, której w niepodległej Polsce był jednym z przywódców. Po rozłamie partii w 1905 r. opowiedział się za Frakcją Rewolucyjną, dzieląc poglądy Józefa Piłsudskiego w sprawach przygotowania na odpowiedni moment walki narodowo-wyzwoleńczej.

Niełatwo było dźwigać brzemiona polskości i człowieczeństwa w owych czasach. W 1911 r. aresztowany przez żandarmerię carską zostaje skazany na 8 lat więzienia, a potem na dożywotnie zesłanie w tajgi Syberii. Sześć lat, skuty w kajdany, spędza samotnie w mrocznym lochu szlisselburskiej twierdzy. Uwolniony podczas rewolucji 1917 r., wzywa swoich rodaków w Rosji do walki o Polskę w Polsce.

Tak jak z pasją i temperamentem angażuje się w umocnienie zrębów niepodległości, tak z pasją i temperamentem odczuwa naród polski. Czterokrotnie wybierany posłem na Sejm, będzie wierny temu narodowi w każdej sytuacji. Nawet w ostatecznej, kiedy przepadały nadzieje.

We wrześniu 1939 r. staje w szeregach obrońców Warszawy, a po jej upadku, organizuje do walki z niemieckim najeźdźcą Gwardię Ludową, której jest komendantem. I znowu w pepeesowskim konspiracyjnym organie prasowym

„Do czynu!” przypomina o obowiązku bycia Polakiem i bycia człowiekiem. Przypomina o potrzebie solidarności i jednoczenia się we wspólnym froncie przeciwko zbrodniczemu okupantowi. Staje się współtwórcą kontynuatorki pepeesowskich ideałów — organizacji WRN i przewodniczącym podziemnego parlamentu - Rady Jedności Narodowej. Z powstańcami Warszawy dzieli los do końca, do ostatniego wystrzału.

Łzy radości po upadku III Rzeszy, wszechwładne NKWD i UB szybko zamieniają w łzy rozpacz. Dla milionów Polaków nadal trwa czas niewoli, czas prześladowań i zbrodni popełnianych na patriotach, czas fałszerstw, kłamstw, oszczerstw i potwarzy.

W czerwcu 1945 r. Kazimierz Pużak zasiada w Moskwie na ławie oskarżonych przywódców Polski podziemnej. Wobec trudności udowodnienia kolaboracji z hitlerowcami, prowadzenia pracy dywersyjnej i szpiegowskiej na tyłach Armii Czerwonej, a także wobec presji światowej opinii publicznej, zostaje skazany przez Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR na półtora roku więzienia.

Po powrocie do kraju Kazimierz Pużak pisze wspomnienia, a w zasadzie tworzy notatnik, często z przerywanymi i niedokończonymi przemyśleniami, z pozostawionymi pustymi miejscami na uzupełnienia. Rękopis wspomnień przez długie lata poszukiwanych przez funkcjonariuszy UB, niestety nie zachował się. Krążący w odpisach nie został autoryzowany zanim doczekał się publikacji w „Zeszytach Historycznych” wydawanych w Paryżu (nr 41 z 1977 r.).

Kazimierz Pużak zmarł w więzieniu w Rawiczu, po wcześniejszym aresztowaniu w 1947 r. Jego rodzinę poinformowano, że przyczyną śmierci było pęknięcie aorty. Zalutowanej trumny nie pozwolono otworzyć. Zabroniono też umieszczania nekrologów w gazetach, rozklejania klepsydr, powiadamiania kogokolwiek o pogrzebie. Tabliczka pod krzyżem na jego grobie głosiła: Kazimierz Pużak, ur. 26.VIII.1883 r., zm. 30.IV.1950 r. Między tymi datami zawarty jest fragment historii walki o Polskę. Historii jednego człowieka, który w tej walce ostatecznie poniósł klęskę — bolesną klęskę, bo za sprawą Polaków. Czy nie był to jednak jeden z warunków, żebyśmy mogli myśleć o powszechnym zwycięstwie?

WSPOMNIENIA 1939 - 1945

Wieczór, 31 sierpnia 1939 roku poprzedził zapowiadany na 1 września próbny alarm lotniczy. Był więc sprawdzianem stopnia przygotowania. Wracalem właśnie z posiedzenia Zarządu Głównego Stowarzyszenia b. Więźniów Politycznych (Senatorska 36) w półświecie ulic i pl. Teatralnego.

Zgodnie z regulaminem alarmów miasto zaciemniono było dobrze, co należy przypisać nerwowym oczekiwaniom *rozwikłania* gry Hitlera. Oczekiwania te potęgowały różne wiadomości, a wśród nich afisz o powszechnej mobilizacji (z czarną smugą u góry zamiast tekstu) nerwowe oczekiwanie jeszcze silniej podkreślał. Ruch na mieście mało ożywiony, to samo można było zauważyć z ruchem tramwajowym.

Przed 10-tą wieczór byłem już w domu, gdzie przysłuchiwałem się ostatniemu komunikatowi. Właściwie nic nowego nie nadawano poza *aktualnymi*, powtarzano tekst odezwy PPS w sprawie nadciągającej burzy wojennej.

Nazajutrz: 1 września po godz. 8-mej wyjechałem autobusem K do Warszawy, do biura CKW. O wojnie nikt nie mówił. Gdyśmy dochodzili do rogu ul. Nowy Świat i Aleji Jerozolimskich, syrena umieszczona na gmachu BGK dała sygnał alarmowy przeciwlotniczy. Nie było w tym nic dziwnego wobec zapowiedzianej uprzednio próby. Według regulaminu wszedłem do pierwszej bramy domu (mieściła się w nim restauracja Gastronomia) by przeczekać. Dzień był z lekka pochmurny. Niespodziewanie, czego nie było podczas prób alarmów, zaczęły grzmieć działa, a nawet dolatywać odległe detonacje.

Wśród zebranej w bramie publiczności odzywały się różne zdania. Przeważały jednak, że to już wojna, bo w nocy Niemcy już ruszyli na Polskę. Alarm po jakimś kwadransie zakończył się, więc udałem się na ul. Warecką do CKW. Zarówno w biurze jak i w redakcji *Robotnika* omawiano już wybuch wojny i dzielono się wiadomościami nadsyłanymi przez PAT. Zgodnie z uchwałą, powziętą na ostatnim plenarnym posiedzeniu CKW z 28 sierpnia, CKW miało się zebrać automatycznie w dniu wybuchu wojny. Z natury rzeczy zamiejscowych członków nie było, a mianowicie: Kwapińskiego z Łodzi, Szczerkowskiego z Pabianic, Bienia z Zagłębia, Stańczyka z Katowic i Ciołkosza z Krakowa. Nadto z Warszawy nie było Kłuszyńskiej, która nerwowo nie znosiła obsługi

Kazimierz Pużak urodzony w r. 1883; w 1907 r. był przewodniczącym Centralnego Wydziału Organizacyjnego PPS; aresztowany w Łodzi w 1911 r. i skazany na 8 lat Schlüsselburga i dożywotnie zesłanie na Syberię; po odzyskaniu niepodległości był w 1921 r. sekretarzem generalnym PPS; w 1944 r. przewodniczącym Rady Jedności Narodowej (Podziemie). W 1945 r. zaaresztowany przez władze sowieckie i na procesie w Moskwie skazany na 10 lat więzienia — zwolniony wcześniej wrócił do PRL, został ponownie aresztowany w 1948 r. w związku z procesem WRN. Zmarł w więzieniu w Rawiczu 3 kwietnia 1950 r.

W czasie swego krótkiego przebywania na wolności napisał pamiętniki. Były one poszukiwane przez UB, rękopis musiano spalić, ale przedtem szereg osób dobrej woli przepisywało go. W związku z tym maszynopis zawiera pewne zniekształcenia. Po dramatycznych przygodach rękopis ten znalazł się szereg lat temu na Zachodzie i obecnie mamy możliwość go opublikować. (Red.)

karabinu maszynowego, asystującej na dachu domu nr 2 przy ul. 3-go Maja, gdzie mieszkała i od kilku dni przenosiła się gdzieś na Mokotów a później do Sejmu. Stawili się: Arciszewski, Zaremba, Niedziałkowski, Czapiński i Topinek. Tematem obrad — sytuacja wytworzona przez rozpoczynającą się wojnę.

Stanowisko wobec wojny było jasne. Partia bowiem w całej rozciągłości wszystkimi swymi siłami popierała ją, a u czynników rządowych usiłowała wydobyć zarządzenie rozszerzające pogotowie bojowe mas. W tym kierunku jeszcze w lipcu zwracałem się z Arciszewskim do rządu (Składkowskiego) z propozycją ogłoszenia ustawy o robotniczym przysposobieniu wojskowym, które by przejęło na siebie obronę bierną i czynną obiektów pracy oraz instytucji użyteczności publicznej. Przystosowanie to byłoby w razie potrzeby także częścią załogi pierwszej linii bojowej.

W ogóle w naszym projekcie wyznaczaliśmy miastu i osadom fabrycznym, hutniczym i kopalnianym rolę kluczowych punktów oporu lub natarcia. Nasze memoriały przeszedł alembik biurokratyczny i zatoneły w papierzyskach odnośnych ministerstw. Powtórzony zgubił się ponownie w kancelarii Ministerstwa Spraw Wojskowych. Obecnie w tych dniach wszczęliśmy pewne starania ograniczając nasze projekty do służby pomocniczej. Niestety, chaos mobilizacyjny uniemożliwił wszelką inicjatywę.

Licząc się ze wszystkimi możliwościami, a więc i ewentualną ewakuacją, staraliśmy się — jako CKW — ustalić naszą postawę wobec takich ewentualności. Na razie stało na tym, że nikt z nas nie ewakuuje się, a tow. Niedziałkowski, który zakomunikował decyzję rządu i związku dziennikarzy o ewakuacji drukarni i papieru, poleciliśmy pozostać na miejscu. Wobec paniki ewakuacyjnej, która rozpoczęła się po pierwszych lotniczych nalotach 2 i 3 września, postanowiono przeprowadzić jeszcze selekcję wśród personelu CKW, administracji *Robotnika* i drukarni, w kierunku utrzymania na miejscu najbardziej ideowej i wiernej ekipy. Resztę już zarażonych paniką ucieczki postanowiono zwolnić i zaopatrzyć w zaliczkę ewakuacyjną.

W tym celu polecono mi, jako przewodniczącemu spółki *Robotnik* przeprowadzić dyskonto na 15.000 złotych pożyczki. W związku z tym rozpocząłem starania w Banku Polskim. Ale tu wynikły trudności również ewakuacyjnie zarządzone, jak się okazało, przez Rząd. O ile 3 września, dzień wypowiedzenia wojny Niemcom przez Anglię i Francję wpłynął kojąco, o tyle w dniu 4-ego wieści hiobowe z frontu i ciągle powtarzane naloty na przedmieścia Warszawy, zwłaszcza na Pragę, znów rozpetwały panikę. Spotkałem się z tym, właśnie w Banku, gdzie miałem rozmowę z prezesem Byrką, nastawionym na ewakuację Banku no i przekonany, że lada dzień Niemcy wejdą do Warszawy. Był złamany i nie swoim głosem wydał dyspozycję w sprawie dyskonta 15.000 złotych dla *Robotnika*. Podjęcie tej kwoty zostało odroczone do wtorku 5 września.

Po załatwieniu spraw bieżących Partii i wysłaniu okazją dyrektyw na prowincję (poczta nie wszędzie już dochodziła) wpadłem do domu na Grochów aby wieczorem wziąć udział w Sądzie Partyjnym nad Drobnerem i Duboisem. Sprawa Drobnera tyczyła się jego dywersyjnej roboty w Partii i w Związkach Zawodowych, a sprawa Duboisa była natury dyscyplinarnej, dotycząca jego zachowania co najmniej nieodpowiedniego w Redakcji *Robotnika*.

Niestety nie mogłem na czas zdążyć na Sąd Centralny, na którym z ramienia CKW oskarżałem i na którym miałem w imieniu Prezydium CKW złożyć oświadczenie, że wobec wybuchu wojny i wyjątkowych obowiązków spadających na PPS i jej członków, cofa się oskarżenie i amnestiuje obu towarzyszy. Przyczyną był ciężki nalot na moją dzielnicę i na moje bezpośrednie sąsiedztwo. Wskutek tego wszelka komunikacja z miastem została przerwana. Ludność

dzielnicy w bezprzykładnym strachu po prostu rzeką ruszyła do Warszawy, pozostawiając mieszkania na łaskę losu.

Zatelefonowałem więc do CKW i na ręce przewodniczącego Sądu Centralnego tow. Tadeusza Tomaszewskiego, który odebrał telefon, złożyłem oświadczenie Prezydium.

Wczesnym rankiem 5-go zamierzałem wybrać się do Warszawy, choćby piechotą, po pierwsze, żeby załatwić sprawę dyskonta i rachunki ewakuacyjne, 2) załatwić sprawy z pozostałymi w dyspozycji CKW i 3) skomunikować się z moją żoną, która uczestniczyła w robocie Robotniczego Komitetu Samopomocy Społecznej. Zanim jednak wyruszyłem przybyła żona oznajmiając, że panika ewakuacyjna jest powszechna i że lada godzina spodziewają się wkroczenia Niemców, a w związku z tym prace przygotowawczo-instrukcyjne Komitetu Samopomocy zawieszają się.

Udałem się do Warszawy, by z tow. Cesarskim, pracownikiem administracji *Robotnika* o godz. 10-tej dokonać dyskonta. Wszystko szło jak z kamienia. W drodze do Banku zatrzymał nas nalot, a później trudno było trafić gdzie należy, gdyż Bank wypłacał w niesłychanym runie klientów, różne należności. Wtedy to ujawniło się, że ewakuacja stolicy postanowiona, gdyż wypłaca się wszędzie w instytucjach rządowych, 3-miesięczne odszkodowanie.

Z otrzymanych 15-stu tysięcy zaczęto wypłacać należność personelowi naszych agend. Około południa odbyliśmy ostatnie posiedzenie CKW w komplecie takim samym jak 1 września. Na nim postanowiono pozostać w stolicy, a na wszelki wypadek udzielono pełnomocnictwa całkowitego Prezydium. W ciągu dnia prowadziliśmy rozmowy *via gen.* Czuma na temat obrony stolicy, którą miał ewakuować i nie bronić. Na razie rozmowy — wobec braku rozkazu Dowództwa Naczelnego — utknęły. Jednocześnie zaczęły napływać dalsze wiadomości o odwołaniu naszych wojsk, a również przynosili je przelotni uciekinierzy z terenu.

Zjawił się między innymi Kempczyński z Płocka, który jako członek Rady Miejskiej przyjechał na wozach straży pożarnej — do jakiego barbarzyństwa dopuszczano się wobec pozostałych na łasce wroga miast.

Zjawił się nieprzytomny ze strachu Stańczyk, bełkocący ciągle o benzynie do wozu Faltera — tuza przemysłowego z Katowic, przyjaciela machlojek Stańczyka z dziedziny zatargów robotników z kapitalistycznymi rekinami. W czasie szamotania się z jakimś tłumokiem podróżnym Stańczyk omal się nie postrzelił, powodując szarpaniną wyładowanie się umieszczonego w tłumoku rewolweru. Zresztą ten rewolwer mu zabrałem i tyle w życiu z tym ananaseм się widziałem.

Nadszedł wieczór, a z nim mnożyły się plotki *in plus* i *in minus*. Między innymi przyszedł mnie pożegnać kpt. Karczewski, który ze łzami w oczach oznajmił, że wychodzi z Warszawy i że są wiadomości, że 6-go Warszawę zajmą już Niemcy. Nie chcąc w tym stanie spraw wydać się z centrum miasta na Grochów, miałem nocować u Piotrowskiego na ul. Zagórnej (Powiśle). Gdyśmy po wypiciu herbaty z ciastkami (przedwojennymi) przechodzili obok Gastronomii spotkaliśmy dużą gromadę ludzi otaczających jakichś wojskowych, z powodu ciemności nie dających się rozpoznać. Otóż z tej gromady otrzymaliśmy wiadomość, że 500 samolotów angielskich przyleciało do Warszawy. Jakież to było pocieszające w naszej katastrofie, a zarazem jakie zawodne i drwiące ze strony aliantów w ciągu całej wojny. Była już bardzo późna godzina, gdyśmy dobrnęli do mieszkania Piotrowskiego. Całą noc prawie przegadaliśmy (widocznie w przeżuciu, że rozmawiamy ostatni raz w życiu, Piotrowski zginął z rąk Rosjan).

Nasze rozmowy przerywał jeszcze funkcjonujący telefon, między innymi z redakcji *Robotnika*, a także od Czapińskiego: namawiano Piotrowskiego żeby niezwłocznie stawił się na dworcu, gdzie pociąg ewakuacyjny dziennikarzy czeka

na odjazd. Telefonował także tow. Boski. Tow. Piotrowski odmówił. Pojechał zdaje się podczas owej straszliwej paniki, która zapanowała w nocy z 6 na 7 września. Z rana po nalocie udałem się do CKW. W tym dniu tj. 6-go rozgrywały się dzikie sceny ewakuacyjne. Między innymi w biurze u nas palono bez ładu i składu dokumenty: zresztą demoralizację pogłębiały niestworzone wieści i plotki o rządzie, Śmigłym, wojsku i aliantach. Nie zważając na to i na ciągle powtarzające się naloty bombardujące, prowadziliśmy z Zarembą rozmowy z wojskiem na temat obrony Warszawy. Osobiście wściekłem się że 6 września Warszawa może ponownie, jak ongiś w 1831 roku Moskałom, tak również 6 września 1939 roku ulec Niemcom. I dlatego tylko opór mógł tej synchronizacji przeszkodzić. Niestety, rozmowy nie dawały nic pożytecznego, nie dały też nic konkretnego... [jeśli idzie o] zamiary udania się do kwatery Śmigłego, by wymóc na nim decyzję o obronie Warszawy i powołaniu robotników pod broń. Po radzie we trzech z Zarembą i Niedziałkowskim zdecydowaliśmy podjąć rozmowę z obecnym jeszcze z rządu jego wicepremierem Kwiatkowskim. Rozmowę miał przeprowadzić Zaremba. Tymczasem nadeszło nowe bombardowanie, które opóźniło spotkanie Zaremby z Kwiatkowskim.

Dopiero o zmroku otrzymałem zawiadomienie, że odbył rozmowę, ale także bez rezultatu. Szczegóły nie mające znaczenia dla naszych zamiarów poda jutro. Ruszyłem więc na Grochów, przebijając się przez zakorkowaną autostradę przez masy ludzi i auta oraz pojazdy rwące na wschód, do Lublina. W drodze palono odezwy zrzucone z samolotów. Treść w przybliżeniu — „jesteście otoczeni i zdradzeni przez rząd” — sens końcowy — poddanie się.

W domu zastałem kilkanaście osób z sąsiedztwa najbliższego z bagażami na wędrowkę. Oczywiście i moją rodzinę urobiono i ona też ładowała się. Wniosłem trochę odprężenia — pociechę, że tak źle nie jest i przestrożę, że wędrowka to właściwie coś najgorszego. Usłuchano mnie i rozeszliśmy się na spoczynek. Zdaje się o godz. 3-iej w nocy obudził mnie dzwonek. Dobijał się do nas tow. Jagodziński, najbliższy sąsiad, który mnie zawiadomił, że w tej chwili wraca z ul. Grochowskiej, którą kroczą oddziały policji, czyli że jest to znak, że Warszawa łada moment będzie poddana. Nadto w nocy słyszał wezwanie płk. Umiaszowskiego, by mężczyźni wychodzili z Warszawy. A wreszcie stanął przed mikrofonem Składkowski oświadczając, że rząd opuszcza Warszawę i powróci po zwycięstwie.

Wyszliśmy razem na szosę. Policji nie widziałem, natomiast obserwowałem nieprzeliczone tłumy uciekinierów, niesamowitą płataninę pieszych i jezdnych na samochodach, często nawet żołnierzy bez ordynku, slaniających się wśród cywilów. Gdy wróciliśmy do domów przerażyły nas nowe decyzje wyjścia na Lublin. W tym stanie rzeczy, żeby się zorientować zadzwoniłem do redakcji. Odpowiedział mi zdaje się Stefanowski, który oznajmił, że OKR w obecności Arciszewskiego uchwalił wycofanie się towarzyszy z Warszawy. Był to cios w całą koncepcję obrony Warszawy, zarazem była to kapitulacja Partii przed Hitlerem. To było straszne. Jednocześnie z tym dzwoniłem do OKR'u. Odezwał się Rożniewicz, że towarzysze zbierają się na pętli w Gocławku, a także w Aninie w RTPD. Bliższe wiadomości w budce tramwajowej przy Ekspedycji róg Zamoyskiego i Zielenieckiej (Podniesiński). Wreszcie około godz. 9-tej odezwał się tow. Arciszewski tłumacząc konieczność wyjścia z Warszawy. Oczywiście odmówiłem i przestrzegąłem przed decyzją na linii której — emigracja.

Kto zna emigrację i mentalność towarzyszy Zachodu ten sobie dośpiewa czym pachnie taki emigrant u nich. Nadto jakby proroczco na jego oświadczenie, że obrona będzie zorganizowana na przedpolach Lublina powiedziałem, że w takiej sytuacji Sowiety wystąpią do spółki z Hitlerem, bo taki już jest bieg historii naszych zmagania o wolność, kiedy przy abstynencji świata Niemcy

i Moskale mogą bez ceremonii „zarządzać Polską”. Ale wtedy argumenty nie oddziaływały. Nie mając już wspólnego języka przerwałem tę tragiczną rozmowę telefoniczną. W wyniku postanowienia OKR zaczęli już przechodzić w stronę Anina, zawadzając o mój domek, różni wybitni działacze OKR’u. Więc i Próchnik, Dratwa, Dubois, Zdanowski, Dziegielewski, Brzeziński, Gruszka. Przed samym wieczorem 7-go zaszedł Zaremba. Przyszedł z Gocławka, gdzie nie zastał nikogo. W środę był u min. Kwiatkowskiego, który mu oświadczył, że jest tylko cieniem rządu. Nie udzielił żadnych informacji odnośnie planów na przyszłość, poinformowany przez Zarembę, że Partia będzie jednak organizować obronę stolicy polecił Kaczorowskiemu, jako swemu następcy w min. Skarbu wypłacić na ręce Zaremby 100.000 zł. na pomoc PPS w tej akcji. Odnośnie planu obrony wyjaśnił, że ze strony wojska (gen. Czuma) oraz komisarza Rządu Starzyńskiego Stefana, są deklaracje niepoddawania stolicy i zgody na tworzenie oddziałów samoobrony.

Tych kilka dni wojny z zakłamaniami czynników kierowniczych rządu i wojska z chaosem ciągle rosnącym, a zwłaszcza z niesłyszana paniką i paralizem woli zbiorowej, nauczyły mnie i ostrożności i sceptycyzmu w przyjmowaniu obietnic czy deklaracji.

Zaremba jak zwykle pełen wiary i pewności przedstawiał plan akcji. Wprawdzie zdawał sobie sprawę z trudności, choćby z uwagi na brak ludzi. Wszak najaktywniejsi działacze wyszli z Warszawy, a pozostałych nie tak łatwo było zaprawić do nowych funkcji z których werbunek do oddziałów obrony, ich uzbrojenie, wyćwiczenie i dowodzenie należy do rozstrzygających. W wyniku przeglądu materiału ludzkiego i planu działania ułożyliśmy się, że Zaremba przenocuje u mnie, a nazajutrz wyjdzie do Warszawy. Ja zaś przez parę dni pozostaję na Grochowie udzielając instrukcji towarzyszom na Pradze oraz towarzyszom wychodzącym z Warszawy, a tym bardziej wracającym z wędrowki, po czym po otrzymaniu od Zaremby wiadomości o przebiegu akcji przybędę do Warszawy.

Trzeba będzie dać komunikat radiowy na prowincję. O świcie 8-go Zaremba wychodząc pozostawił do mego rozporządzenia 10.000 zł. Około 10-ej rano zjawił się niespodzianie Barlicki w towarzystwie Brzezińskiego. Po rozmowie o zglubnych skutkach wędrowki Brzeziński powrócił do siebie na ul. Żymierskiego, nie zważając na ciągłe w tym dniu naloty, właśnie na naszą dzielnicę. Pozostał Barlicki z którym niewiele rozmawiałem, gdyż co jakiś czas prowadziłem rozmowy telefoniczne, do których musiałem co chwila wychodzić do sąsiada Kakietka. Nadto przyjeżdżali motocykliści z listami, na które musiałem udzielać odpowiedzi. Tymczasem Barlicki łąził po sąsiadach, prowadząc rozmówki w stylu flirtu salonowego.

Dopiero popołudniowy nalot i straszliwe spustoszenie dokonane przez bomby w okolicy kościoła (bomba półtonowa) wywarło na niego zdecydowany wpływ w kierunku wyjścia z Warszawy, która „skazana jest na zagładę, bo wskutek nalotów będzie wszystko starte na miazgę”. I odtąd aż do późnego wieczora w tym duchu prowadził rozmowy wszędzie u sąsiadów. I tak dosłownie skołował całe otoczenie, że nagle około godz. 11-tej w nocy, kiedy wróciłem od telefonu, zastałem już fakt dokonany, a mianowicie gotowych do wyjścia z tłumokami. Osobiście byłem tym dotknięty, gdyż i moi najbliżsi — żona i córka przygotowały się również do wyjścia. Wściekałem się na Barlickiego i wymyślałem mu, ale on na to nie zważał i naglił do wychodzenia. Sytuacja potworna. Ciemna noc z lunami na widnokręgu, ciągłe detonacje i strzały dywersantów niemieckich z karabinów maszynowych w okolicy ul. Grochowskiej. Ponaglani tą dywersją przemykają się sąsiedzi i moja rodzina w kierunku przejazdu kolejowego, a dalej na Kawęczyńską. Tak komenderuje Barlicki. Co chwila się

rozbiegają, poszukując się co chwila w ciemności. Wreszcie korzystając z zamieszania, ostatkiem sił zawracam moją rodzinę z powrotem do domu. To mi się udaje, widocznie koszmar paniki niknie i znowu jesteśmy u siebie, tym razem zaufanie do mnie powraca, a z nim przeświadczenie, że cała eskapada na wschód jest czystym absurdem. Jest już sobota 9-ty dzień wojny. Naloty częste, ale na razie nie tak bolesne. Dopiero niedziela 10-go jest piekłem. Przez 13 godzin trwają fale, po kilkanaście aparatów, naloty bombowe. Znikąd interwencji lotniczej. Niemcy już się nie liczą z obroną przeciwlotniczą. Jeszcze broń przeciwlotnicza działa, ale coraz słabiej i chaotyczniej. Pali się Targówek, Bródno, częściowo Grochów. Wstrząsy są ogromne, domek na kształt łodzi przesuwają się tam i sam. Lecą szyby, ale to drobiazgi. Jesteśmy bez schronu, a uderzenie choćby nie w dom ale w najbliższe sąsiedztwo grozi katastrofą. Wreszcie nadchodzi wieczór. Teraz ciągną tłumy zziębnięte, głodne i spragnione: są to ludzie z różnych miejscowości zachodniej Polski. Jedzenia brak więc poimy ich wodą. Mimo katastrofy i absurdu ratunku, jeszcze utrzymujemy dyżury nocne na ulicach oraz usiłujemy zaprowadzić stałą straż bezpieczeństwa, gdyż mnożą się kradzieże. Wreszcie nie tylko te ekscesy mamy na względzie. Mnożą się oznaki dezercji żołnierzy, przeważnie bez broni w panice potwornej. Oczekując wiadomości od Zaremby zajmuję się tymi sprawami. Niestety naloty i panika ciągle krzyżują plany bezpieczeństwa. Na Pradze jest już o wiele lepiej. W tej sprawie jesteśmy w kontakcie z tow. Bielickim, który dalej kontaktuje [się] z Warszawą i ma na razie łączność. Od niego otrzymuję wreszcie opaskę Rob. Kom. Op. Społ. i legitymację. Będzie mi ułatwiać poruszanie się. Istotnie po załatwieniu spraw związanych z likwidacją moich czynności w mojej dzielnicy, począwszy od 13 września wojażowałem z Grochowa do miasta i z powrotem. Trzeba było tak kluczyć z czasem i trasą, żeby wymigać się od nalotów, które stały się niemal że ciągłym chlebem powszednim mieszkańców. Najbezpieczniej było od samego rana (o świcie) i wieczorami. Urzędowałem w Sekretariacie Generalnym. Tutaj też prowadzono werbunek do brygad robotniczych. Zaciągano się ochotnie. Kadra była tow. z AS. Akcję werbunkową paraliżował brak broni. Toteż spora ilość żołnierzy brygady zgłaszała się na funkcje pomocnicze w obronie, mając do dyspozycji głównie łopaty. Ale już samo pojawienie się 1-szej brygady i następnych wniosło do obrony wielki rozmach i entuzjazm. Zarówno udział brygad w porządkowaniu stolicy po nalotach i pożarach, ruinach i masakrze oraz w zagrożonych punktach obrony — miał swoje znaczenie często rozstrzygające. Zwłaszcza oddziały wojskowe przybyłe z frontów od Warszawy, mocno roztrzępane i zdekompletowane. Na widok robotniczy stojących w szeregu, odzyskiwały swoją postawę wojskową. Te fakty znajdowały niemal codziennie swoje miejsce i wyszczególnianie w rozkazach Dowództwa Obrony (gen. Rómmel) a specjalnie w przemówieniach radiowych Starzyńskiego. W ogóle w tych dniach walki na śmierć i życie PPS była na ustach wszystkich, tak cywilów, jak też żołnierzy.

Ten rozgłos pogłębiało stanowisko *Robotnika*, który był niezastąpionym organem prawdziwej propagandy. Różnił się bowiem od innych organów prasowych prawdą, a nie jakimiś halucynacjami, że wymienię wiadomość, że Francuzi przerwali w 13-tu miejscach linię Zygryda. Nie można odmówić dużej usługi w dniach obrony — Radiu. Prócz komunikatów trochę dętych ppłk. Lipińskiego, Radio informowało o zaginionych, pośredniczyło między mieszkańcami Warszawy a ewakuowanymi w różnych miejscowościach i chwilowo kwaterującymi w różnych znajomych, a później — przy coraz gwałtowniejszym zagrożeniu — zgła gdzie się dało i to bez pytania. Z Radia dowiadaliśmy się o dużych nieporządkach i niedociągnięciach w intendencji i sanitariacie wojska. Na przykład w szpitalu Ujazdowskim obok braków pościeli dłuższy czas

personel lekarski błagał obywateli np. o strzykawki (!). Operowano na stołach i biurkach, chociaż były stoły operacyjne najnowszych modeli (amerykańskie) w cenie 4.000 dolarów, ale niestety Centrala Czerwonego Krzyża jakoś tak je rozparcelowała, że aż do kapitulacji nie można było do nich się dostać. To samo było z medykamentami, których olbrzymie ilości zabierali (potem) Niemcy. Apteki prywatne również jakoś nie miały lekarstw i środków opatrunkowych. W ogóle obok chaosu i bałaganu dobierał się do wojska i ludności głód, zwłaszcza brak chleba i ziemniaków. Sprzedawano wówczas chleb czarny po 4 zł. za kg (przed wojną 23 grosze) a za kartofle liczone zł. 2,50 (przed wojną 7 gr.). W miarę bombardowania, które systematycznie przeprowadzali Niemcy bezkarnie latający po dachach, a od 15-go bombardowania artyleryjskiego, rozpadały się resztki aprowizacji miejskiej (brak piekarni, transportu oraz obstrzał kolejek przy sklepach) i wzrastał pesymizm tym większy, gdy 17-go września Sowiety uderzyły na Polskę. W dalszym ciągu gaśla elektryczność, a wreszcie w ostatniej dekadzie września zabrakło wody.

Według sprawozdania Dowództwa Obrony ze studni tu i ówdzie funkcjonujących i z rzeki — gdziekolwiek dostępnej — Warszawa otrzymywała zaledwie 8% przynależnej jej wody. Brak wody właściwie paraliżował nadzieje i wolę. Począwszy od 17 września chorowałem obłożnie na czerwonkę. Leczyły mnie pocziwa p. dr Jadwiga Benklowa, żona mojego przyjaciela Stanisława, rozstrzelanego w listopadzie przez Niemców. Sama dr B. później przeszła do getta, gdzie zakończyła życie. (Cześć ich pamięci). Leżałem u kuzyna przy ul. Żórawiej (Wróblewski) gdzie odwiedzali mnie zaangażowani w akcję obrony. Niemal codziennie obradowaliśmy, a nasi przedstawiciele w Komitecie Obrony: Niedziałkowski i Zaremba uzgadniali każdorazowo stanowisko. Zachodził przede wszystkim komendant Brygad Robotniczych kapitan rezerwy Marian Kenig, Szturm de Sztrem Tadeusz, Łazowski z opieki nad ludnością, Topinek z działu wytwórczości, Dratwa Bolesław z zarządu miejskiego, Dziegielewski z organizacji Brygad, Siudyła (łąчноść młodzieżowa), Stępień Ludwik (łąчноść), Benkiel Stanisław.

Zasadą naszego udziału w obronie było: a) jak najmniej naszych ludzi ujawniać z nazwiska, żeby mogli się przechować dla dalszych robót pod okupacją. Stąd tylko Niedziałkowski i Zaremba, jako siłą rzeczy ujawnieni, reprezentowali głośno PPS. Ja osobiście z samego początku zazerwowałem sobie *incognito*. Niestety pomimo zapалу i ofiarności dalsze dni przyniosły rozwój ofensywy oblężniczej Niemców. Wobec wyżej wskazanych niedomagań nic nie pomogły nowe spóźnione akcesy różnych organizacji i grup. Te spóźnienia mówiły wiele. Stwierdzały bowiem wycofanie się z Warszawy kierowników tych organizacji, a przede wszystkim i to jest charakterystyczne, pozostawienie ludzi skądinąd ofiarnych i ideowych bez żadnych dyrektyw. Temu właśnie trzeba przypisać fakty takie. Oto 17-go dnia wojny Radio nadaje apel Harcerstwa do członków o uczestnictwo aktywne w obronie. Dopiero 19-go zgłasza się (!) Strzelec — organizacja paramilitarna i właściwie najbardziej wojskowo wśród cywilów zaawansowana. Apele do zagranicy i do Laburzystów pisane w *Robotniku* i transmitowane do Londynu i Paryża, pozostały tak samo bez skutku wówczas, jak i później podczas Powstania Warszawskiego. Bombardowanie coraz okropniejsze oraz pożary wyrzucają tysiące bezdomnych na bruk — bez dachu nad głową.

Sceny dantejskie, wzajemne poszukiwania i zguba dzieci są zjawiskiem nagminnym. Szczególnie została doświadczona Warszawa 25 września w czasie 12-godzinnej nalołu. Bardzo ciężkiego i strasznego w skutkach. Wieczorem tego dnia na zebraniu u mnie, kiedy podniesiono zagadnienie kapitulacji, o której się mówiło szeroko w Komitecie u Rómmla, niełatwo się było pogodzić z tą myślą. Brano na szalę decyzji oczywiste losy wojska i ludności. Rozumie się, że

nikomu nie przyszło do głowy z jakim naprawdę potworem hitlerowskim Warszawa ma się układać. Udzielono naszym delegatom instrukcji, że mogą głosować za kapitulacją jedynie po zreferowaniu sprawy przez gen. Rómmla. W zależności od przedstawienia szans obrony nasi delegaci mają głosować. Na razie oczywista za zawieszeniem broni pertraktacjami wstępnymi.

26 września był dniem pertraktacji. Strona niemiecka zachowała się dość kurtuazyjnie, oddając należny hołd polskiej obronie stolicy. Zażądali 12 zakładników, oczyszczenie barykad na ulicach przelotowych, oficerowie mieli być przy białej broni, a szeregowi mieli być zwolnieni do domów. Kapitulacja wskazywała na to, że Niemcy o szczegółach nie chcą mówić i że zasłaniają się jedynie i wyłącznie swymi zadaniami wojskowymi. Zadania administracyjno-okupacyjne miały uskutecznić władze cywilne, które w dalszych terminach miały do Warszawy ściągnąć. Godzinę policyjną ustalono na 18-tą. Komendantem Warszawy został gen. von Bock.

Warszawa oglądana po kapitulacji była obrazem strasliwego spustoszenia. Nadchodziła jesień z chłodami, a tu był kompletny niedostatek np. szkła okiennego. Tymczasem ustalał się Komitet Zakładników w którym z naszego ramienia zasiadał tow. Antoni Baryka (w 1944 roku rozstrzelany przez Niemców) i Władysław Baranow — zmarł w 1942 roku. Wobec pewności, że Gestapo znacznie swe urzędowanie i to od partii politycznych, zgodzono się, że zostanie dokonane na zlecenie Rómmla zawieszenie wszystkich partii, ażeby utrudnić robotę Gestapo i umożliwić przejście do roboty podziemnej. Wydaliśmy odpowiednią odezwę deklarującą zawieszenie działalności, a zarazem zapowiadającą, że jednak nadejdzie chwila zaktywizowania działalności Partii i że tą nadzieją żyjemy.

W konsekwencji kapitulacji Starzyński postanowił pozostać na stanowisku Prezydenta miasta, aż do chwili dalszych zarządzeń okupacyjnych. Wkrótce wywieziono go i zdaje się, że już w styczniu 1940 roku wykończono, a dla roboty wojskowej w konspiracji został wyznaczony gen. Tokarzewski. Generałów Rómmel, Kutrzeba i reszta szli do obozu jenieckiego. Pożegnanie z wojskiem odbyło się uroczyście. Armia kapitulująca przedefilowała przed swoim dowództwem idącym do niewoli. Tow. tow. Niedziałkowski i Zaremba zostali odznaczeni krzyżami walecznych. Tak zakończyła się epopeja obrony Warszawy, która była końcem także samej wojny niemiecko-polskiej. Broniły się równoległe z Warszawą: Modlin, Gdynia i Hel. Z wyjątkiem Modlina, który kapitulował razem z Warszawą i którego broniło tylko wojsko, Gdyni i Helu bronili robotnicy w formacjach Czerwonych Kosynierów z inicjatywy i pod kierownictwem PPS z Gdyni.

Cisnie się pod pióro skarga pod adresem dowództwa przedwojennego. Dłaczego nie uwzględniono projektu Partii o robotniczym przysposobieniu wojskowym, dlaczego nie doceniono roli miast i osiedli robotniczych w ogólnym planie wojny obronnej. Boć przecież w tym osamotnieniu Polski (co trzeba było przewidzieć) wobec przewagi Trzeciej Rzeszy i spodziewanego uderzenia do spółki z Hitlerem Rosji Stalinowskiej — oraz wobec własnego nie przygotowania w broni i fortyfikacjach — nie można było liczyć na jakąś ofensywę. Zdaje sobie sprawę, że wojsko walczące musi żyć duchem ofensywnym, ale sama obrona jest też wielkim czynnikiem zwycięstwa, jeżeli tylko owiana jest duchem ofensywnym. Rozwój wypadków to potwierdził. Wszak 6 września liczono się z upadkiem Warszawy (nawet nasz Sztab Generalny), a w ten wieczór Niemcy już atakowali Aleje Niepodległości. A jednak zdecydowana wola obrony i niepoddawania się odrzuciła Niemców na przeciąg trzech tygodni. A przecież Warszawa nie była przygotowana do obrony i tak ciężkiego zadania. Jeje wysiłek był amatorski. Gdyby więc przygotowano Warszawę i inne miasta do takich zadań,

ofensywa Niemców wyglądałaby inaczej. Dzięki Warszawie utrzymały się poszczególne ośrodki do obrony i oporu zbrojnego. Wykorzystywano je chowając sprzęt i amunicję w tym przekonaniu, że w najbliższym czasie rozpocznie się zbrojna walka o Niepodległość. Ostatnim akordem walki była bitwa pod Kockiem pod dowództwem gen. Kleberga. W tej bitwie obok Niemców brało udział lotnictwo sowieckie. Tak to manifestowano tradycyjne braterstwo słowiańskiej Rosji z hitlerowskimi Niemcami, tak jak ongiś prawosławno-luterańskie braterstwo broni zawsze przeciw Polsce.

Dnia 1 października omówiliśmy nasze najbliższe zadania pod okupacją. Rozstawaliśmy się na dwa tygodnie, podczas których mieliśmy się rozejrzeć w sytuacji i w zamiarach Niemców. Spokaliśmy się 16 października w mieszkaniu Dratwy w składzie, oprócz mnie i Dratwy: Zaremba, Dziegielewski, Szturm de Sztrem. Z wymiany zdań wynikało, że Zaremba z miejsca się delegalizuje, reszta z nas pozostaje przy swoich nazwiskach i mieszkaniach, tym więcej, że z polecenia Starzyńskiego z ewidencji ludności miano wyrzucić całą ewidencję tyczącą się mojej osoby i rodziny. Więc nie tak łatwo Niemcy będą mogli trafić na mój ślad. Rozumie się, że zachowywałem ostrożność i z punktu odmówiłem spotkań w restauracjach i kawiarniach. Tymczasem cała konspiracja tworząca się podówczas w Warszawie po prostu nie wychodziła z lokalów i to dawało początek dekonspiracji, co było wodą na młyn Niemców. Zapewne już wtedy Niemcy mieli swoich zwolenników i wywiadowców, na szczęście nielicznych, ale ich działalność uzupełniały bardzo dobrze pogwarki kawiarniano-restauracyjne. Na razie represji politycznych nie było, z wyjątkiem nielicznych wypadków, w skutkach nieszkodliwych. Jeszcze rządziło wojsko, ale to już były ostatnie chwile. Jaka była dysproporcja między reżymem wojska, a administracji cywilnej niech posłużą następujące dwa przykłady: Rozklejone afisze donosiły, że oto taka, a taka urzędniczka polska nazwała żołnierza niemieckiego „Ty krwawy psie”. Za to sąd skazał ją na 6 miesięcy więzienia. W końcu października rozklejono inne afisze już administracji cywilnej — donoszące, że „b. studentka Zahorska została skazana przez sąd” za atak na żołnierza niemieckiego, względnie za sabotaż względnie za zdzieranie afiszy niemieckich” — (i ten tylko wypadek miał miejsce) — na karę śmierci. Wyrok wykonano. Tak się reprezentowały śledztwo i sprawiedliwość narodowo-socjalistyczna Trzeciej Rzeszy. I tego można się było domyśleć, jakie sankcje będą stosowali okupanci do podziemnych organizacji. Okazało się, że 27 grudnia 1939 roku w bezprzykładnej masakrze — zbiorowego mordu niewinnych mieszkańców (mężczyzn) w Wawrze. Padli ofiarą odpowiedzialności zbiorowej za śmierć żołdaka z ręki cywila w powstałej między nimi zwadzie, mimo, że zabójstwo i zabójca byli ujawnieni — władze okupacyjne zarządziły odwet, mocą którego padło rozstrzelanych 110 niewinnych. Mord ten wstrząsnął wszystkimi: zdaje się, że i na Niemcach wywarło to pewne wrażenie. W ogóle iluzje były i wszystko jeszcze mierzono miarą przedwojenną, a jeżeli wojenną, to w każdym razie miarą wojny i Niemców z lat 1914-1918. I dlatego każda wiadomość przychylniejsza dla Polski była podawana jak objawienie pełne istotnej prawdy. Wiąże się to ze zebraniem Komisji Ogólnej czasów oblężenia, było to zdaje się już ostatnie posiedzenie — gdzieś około 15 stycznia 1940 roku w Magistracie. Na to posiedzenie, na które stawili się członkowie i ich zastępcy, zjawiłem się z referatem Niedziałkowskiego, który podówczas siedział aresztowany. Przewodniczył Artur Śliwiński, z ramienia Stronnictwa Narodowego był Staniszkis i Rybarski, z ramienia Stronnictwa Ludowego Osiecki, od przemysłu Klarner, od Zarządu miasta Kulski, był Lubomirski i J. Radziwiłł. Otóż Radziwiłł, który świeżo wrócił z Rosji, dokąd był wywieziony, a następnie przy protekcji króla włoskiego zwolniony — zawiadomił zebranych, że z jego inicjatywy zostali zaproszeni, albowiem pragnie

zakomunikować wiadomość otrzymaną od Göringa (!?). Göring oświadczył, że w najbliższym czasie będą zaproszeni do Berlina reprezentanci Polski i że istnieje zamiar udzielenia Polakom *Selbstverwaltung* — można to słowo tłumaczyć rozszerzająco — autonomia i zwężająco — zarząd samorządu. Chodzi więc o to jak się zachować na wypadek zaproszenia do Berlina. Potoczyła się dłuższa dyskusja, w której zgodnie wysuwano opinie: jeżeli zaproszą bezimiennie, to wtedy zniknie zakaz zebrań obywatelskich (wszak już partie rozwiązane, a prasy niezależnej nie ma), na których można by dokonać wyboru delegatów. Oczywiście, że musi to być połączone ze zwolnieniem więźniów politycznych i zadośćuczynieniem za Wawer. Jeżeli natomiast nastąpią zaproszenia imienne, to należało jechać z tym jednak, że delegaci oświadczą, że nie mają pełnomocnictwa, i że muszą być dokonane zebrania wyborcze poprzedzone nieodłącznym prawem zebrań i amnestii politycznych więźniów. Pewnym dysonansem było wystąpienie Klarnera, który zwrócił uwagę na bezpieczeństwo publiczne i na potrzebę zwrócenia uwagi Niemców na organizację policji polskiej, która może kiedyś odegrać rolę pewnego hamulca gdy dojdzie do zbrojnych ruchów. To odezwanie się — ni przypiął ni przyłatał — zupełnie zostało pominięte milczeniem, a p. Klarner więcej się z tą sprawą policji nie przypominał.

Zakładając konspiracyjną PPS i dobierając do niej ludzi (nie wszyscy się wszak nadawali) zwracaliśmy baczną uwagę na formę organizacyjną. Przez pewien czas wysuwałem projekt tworzenia łóż masonskich, wychodząc z tego założenia, że w Wehrmachcie, pomimo zakazów hitlerowskich, są loże i że przyłapanie loży polskiej nie będzie nieodpartym argumentem, że organizacja jest polityczna. W tej sprawie pertraktowałem z Z. Dworzańczykiem (sekretarz loży — K.P.), który początkowo skłaniał się do pewnych usług, ale gdy doszło do konkretnych danych — tłumaczył się, że myślał o moim wstąpieniu do loży. Zatem nieporozumienie. I tutaj jeszcze raz przekonałem się, jak daleko odbiega loża współczesna od ideowości swojej w niedalekiej przeszłości i [od] jej usług w konspiracji powstańczo-rewolucyjnej. Współczesna masoniera już się zbłądziła jako pretorianie w służbie sanacji i to nie przypadkowo, gdyż decydującym motywem w akcji masonskiej była kariera w służbie cywilnej, wojskowej i w każdej robocie społeczno-publicznej. Ta przewaga kariery doprowadziła do tego, że gdy w 1938 roku rząd Składkowskiego (pewnie by się przypodobać klerowi) rozpoczął coś w rodzaju represji, na nasze koła masonskie padł po prostu błąd strach. Czegóż więc można się spodziewać obecnie po świeżo przebytej katastrofie. Może w jednym wypadku masoni udzieliliby owej pomocy, gdyśmy naprawdę stali się ich filią i naturalnie systemem stopni i urzędów, poddali się ich kierownictwu a co większa absolutnemu posłuszeństwu.

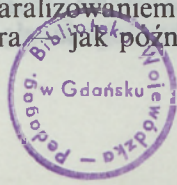
Znając już praktykę współczesnych masonów, która wykazała ich cyniczną postawę i pełną amoralność w służbie reżymu sanacyjnego, można było być pewnym takich samych, a może jeszcze gorszych koziółków etycznych i politycznych. Szczególnie podejrzanie wyglądała ich penetracja w różnych grupach konspiracji wówczas się tworzącej. Kończyło się to nieraz szeregiem nieporozumień, a często obrzydliwym wścibstwem. Nie tyczyło się to Dworzańczyka, który starał się być lojalnym, ale widziało się z jakim trudem wyzwała się z nawyków lożowych. Mimo np. kompromitacji w służbie sanacji i Ozonu utrzymywali masoniopozycjonści ściśle stosunki z p. Kaweckim b. dyrektorem i wiceministrem spraw wewnętrznych, oraz z p. Bartlem — z nim już całkiem otwarcie. W tym stanie rzeczy zrozumiałą była powściągliwość niektórych masonów na temat stosunku do Rosji. Zwracano uwagę na to, że był to okres współpracy wojennej, politycznej z Hitlerem. Otóż ich zdaniem nie ma żadnych obaw, choć komuniści to nie są ci komuniści, których znaleźmy, a zresztą Sowiety nie potrafią podburzyć całej Europy, lub też krajów w cywilizacji i postępie gospodarczym

przodujących. Jak to przypominało wiek XVIII-ty, kiedy mówiono, że Polska się ostoi, gdyż sąsiedzi nigdy nie uzgodnią się w podziale łupów. Jak to jednocześnie już *a priori* rozbrajało Polaków wobec jednego z rozbiorów kraju w październiku 1939 roku. Co do Kaweckiego to ciągle molestowałem Dworzańczyka, aby od niego wydobył całą prawdę o aresztach brzeskich, szczególnie zależało mi na tym ustaleniu, kto był autorem listy więźniów brzeskich.

Ekipa aresztowanych była zbyt skromna wobec zapowiedzi Piłsudskiego dalszych transz. Istniała legenda, że listę przygotowano w Min. Spraw Wewn., a że ktoś (pewnie Piłsudski) poprawił ją zielonym atramentem. Niestety — jak już zaznaczyłem — nie dobiło się efektu przez jedyne go człowieka Dworzańczyka, któremu mógł Kawecki zwierzyć coś w rodzaju prawdy. Na dobitkę pech chciał, że Kawecki nagle zmarł. Przypuszczam, że jakieś akta zostawił. W czyich rękach są dziś? Ileż może istnieć przypuszczeń?

Tak więc z koncepcji łożowych nic nie wyszło. Pozostała stara droga konspiracji modernizowanej wymogami sytuacji i zarządzeniami okupanta. Postanowiono — na moją propozycję — nazwać się: WOLNOŚCIĄ, RÓWNOŚCIĄ, NIEPODLEGŁOŚCIĄ (WRN) — a organem naszym miał być skromny informator. Pierwszą broszurą było sprawozdanie Warszawskiego Rodzicielskiego Nadzoru (WRN) poświęcone krótkiej analizie tragedii wrześniowej, w której części mającej moje autorstwo. Broszura była drukowana i mogła być szeroko kolportowana. Miała duże powodzenie. „Informator” był powielany dość niewyraźnie i to wpływało na jego układ i możliwości rozchodzenia się. Z chwilą otrzymania dostępu do drukarni zmieniliśmy jego nazwę na „WRN”. Pod tą firmą przetrwaliśmy aż do czerwca 1943 roku, kiedy powróciliśmy do nazwy PPS. Najściślej zakonspirowana organizacja opierała się na grupach trójkowych, lub piątkowych, dobieranych kierownictwami wyznaczanymi, a tu gdzie to było możliwe — wybieranymi. Powiązania terenowe doprowadzały do kierownictwa trójkowego, lub piątkowego danego terenu — a więc: miejscowego, powiatowego, okręgowego. Przy większych skupiskach powstawały kierownictwa grup działających samodzielnie w oparciu o większe zakłady pracy np.: elektrownia, magistrat, kolej, tramwaje, telefony, poczta, kopalnie itp., a następnie kierownictwa grupy wyłaniały kierownictwo całości również pięcioosobowe, lub trzyosobowe. Tym kierownictwom podlegały działy pracy już zespolone z danymi 5-kami, jak np.: kolportaż, gospodarka lokalami, wydawanie dokumentów, technika wydawnictwa. Wśród tych działów trzeba było zmieścić dział bodaj najważniejszy tj. wojskowy.

W naszej sytuacji coraz dzikszej okupacji — najoszczędniejsze byłoby zamknąć organizację w regulaminach także wojskowych — a więc bez dzielenia na cywilną i wojskową. Wobec nastawienia bardzo krytycznego do całej przeszłości wojskowej, raczej niechętnie traktowano pomysł tworzenia organizacji polityczno-wojskowej. Przystąpiono jednak do roboty wojskowej, na razie powołując kierownictwo w mojej osobie, jako komendanta oraz członków Komendy Głównej: tow. tow. Miszewski [Włodzimierz], Skulimowski Franciszek, Pajdak Antoni, Wertheim [Bronisław], Ładkowski Władysław, Raabe Leszek (w 1942 roku zerwano z nim stosunki), Woliniewska Lucyna, Uthe Cezary, Motyka Roman, Szturm de Sztrem, Szczypierski, Białas. Dopiero z momentem zadzierzgnięcia współpracy z wojskiem i ten problem się wyjaśnił o tyle, że organizacja wojskowa PPS była odrębna od organizacji politycznej. Ale nawet i wówczas wynikały różne trudności, a nawet przeciwdziałania. Jak się później okazało, obok urazu przedwojennego istniała akcja maskowana, płynąca z sugestii komunistycznych. Nie mogąc się dostać do wnętrza dla dywersji, kontentowali się paraliżowaniem samej działalności wojskowej. To udało się np. na Pradze, która — jak później się okazało — nie była w ogóle



przygotowana do wystąpienia (1944). Zawsze na tym zyskiwała Rosja. Organizacja cywilna (polityczna) powstawała w dwojaki sposób tzn.: albo z inicjatywy Centrali, bądź z inicjatywy miejscowej. W tym drugim wypadku przeważnie zgłaszali się łącznicy. W pierwszych miesiącach po kapitulacji ustaliły się następujące punkty organizacyjne, na które zainteresowani zgłaszali się. Takimi były przez kilka miesięcy: moje mieszkanie na Grochowie, dalej mieszkanie Karpińskiego [Stefana], ul. Piusa XI 62 III p. — poprzeczna oficyna, mieszkanie Dratwy Bolesława (Szczęsny), Szymkiewicz ul. Nowogrodzka 25 m. 2, mieszkanie Szturm de Sztrema, ul. Mokotowska 12 m. 29 i p. Wandy Korczakowej m. 25, Lokal Stowarzyszenia b. Więźniów Politycznych, ul. Senatorska 36, użytkowany przez tow. Jagodzińskiego Piotra i Śledzińskiego Ludwika, ul. Grottgera 9 Peretiakowicz Janina.

Naturalnie, że robota warszawska miała swe oddzielne lokale spotkaniowe. Jakiś czas utrzymywaliśmy w działaniu tzw. *biura*, coś w rodzaju odpraw (naśladownictwo z praktyki organizacyjnej PPS z okresu 1905 - 07). Wobec trudności lokalowych i dodatkowego zaabsorbowania spotkaniami, których i tak było mnóstwo z czasem chyba biura zostały zarzucone. Gdy mowa o zgłoszeniach organizacyjnych z terenu, to należy ustalić m-c marzec, jako ten okres, kiedy prawie z całego terenu naszego zasięgu organizacyjnego, obejmującego przedwojenne stosunki — mieliśmy łączników i stojące za nimi organizacje piątkowe z kierownictwami. Zatem pół roku upłynęło zanim mogliśmy zaplanować na 20 maja 1940 roku (Zielone Świątki) pierwszą konferencję organizacyjną w Warszawie. Konferencja obradowała w dwóch zespołach: jeden obradował w mieszkaniu tow. Stopnickiego, Al. Jerozolimska 20, drugi zaś ul. Czerwonego Krzyża 25 w kierunku mieszkania tow. Kaczkowskiego razem około 26 delegatów.

Reprezentacja [w oryginale wielokropek]. Na konferencji złożone zostało od kierownictwa tymczasowego sprawozdanie z rezolucją formułującą nasz stosunek do sytuacji, dalej wnioski organizacyjno-wydawnicze i wybory nowego Kierownictwa. W sprawach organizacyjnych, obok zagadnień organizacji polityczno-partyjnej poruszono sprawę organizacji partyjno-wojskowej, która miała współpracować z ZWZ (Związek Walki Zbrojnej). Te sprawy organizacji politycznej i organizacji wojskowej w ramach ZWZ wymagają wyjaśnienia.

Jak już w pewnym miejscu zaznaczyłem, nie wszyscy towarzysze z przedwojennej organizacji zostali przyjęci do organizacji konspiracyjnej WRN. Na tym tle rozpoczęły się nieporozumienia i pretensje. Tymczasem nasze kryterium o członkach było następujące:

- a) stałość przekonań PPS-owskich,
- b) nadawanie się do konspiracji i do bezwzględnej jej zachowania i stosowania.

Jak już zaznaczyłem ten rygor nie podobał się niektórym towarzyszom, a to dało im okazję do frondy organizacyjnej, a co za tym idzie do osobnych poglądów i taktyki. W pierwszym rządzie tow. Żuławski, wpatrzony w specjalne prerogatywy (które sobie błędnie wykoncypował ze statutu) Przewodniczącego Rady Naczelnej, który to posterunek zajmował przed wojną, zaprotestował w imieniu własnym, Kuryłowicza, Barlickiego, Duboisa, Czaplńskiego i Zdanowskiego przeciwko nowej formie organizacji wygłaszając na spotkaniu 6 maja 1940 roku w Al. 3-go Maja (zdaje się w obecności Cyrankiewicza, Zdanowskiego i mojej) następującą opinię — Kto pozwolił „rozwiązać” Partię (w odezwie wrześnieowej było słowo *zawiesza się działalność*) i kto pozwolił na nową organizację i na wydawnictwa, które w razie przyłapania grożą ludziom ciężkimi karami. Argumentując w tym duchu dogadał się dwóch rzeczy:

- 1) że ośrodkiem opinii może być tylko Kraków, bo tam siedzieli ludzie z Morges, do których przymknął przed wojną Żuławski, Liberman i Barlicki;
- 2) po co teraz nadstawiać karku — wszyscy są jednakowych poglądów na sytuację, więc lepiej siedzieć „cicho”.

Zaznaczę mimochodem, że byłem bardzo niemile dotknięty zachowaniem się Cyrankiewicza i Zdanowskiego. Otóż obaj milczeli zwarzeni i nie protestowali Żuławskiemu, a mianowicie tow.: Zdanowski z własnej woli zajął posterunek w SKS pod przewodnictwem Artura Śliwińskiego (późniejsze RGO) zdaje się wydział pracy, ogródki działkowe — z czasem zastępca w tej sekcji Jankowskiego, późniejszego Delegata rządu na kraj. To stanowisko zajął z ramienia Partii wraz z prof. Łazowskim. Z nimi raz na tydzień, a czasem częściej odbywałem rozmowy o wszystkich pociągnięciach Partii — i, otrzymując od nich obok sprawozdań z sytuacji SKS, odnośne wnioski i dezyderaty na tematy ogólnopartyjne. Cyrankiewicz był już w kierownictwie WRN z ramienia Krakowa. Wobec monologu Żuławskiego nie pozostawało nic innego jak mu zakomunikować, że jest w błędzie i że jest tak samo odosobniony jak w Partii, o czym mógł się przekonać na Radzie Naczelnej z 18. VI. 1939 roku. Na to oświadczył, że jest przewodniczącym Rady Naczelnej i że on mnie wyklucza z Partii. Zironizowałem to powiedzenie, że papieżów w Partii nie było i nie będzie i wyszedłem — nie widząc się więcej z Żuławskim, aż dopiero 18 marca 1945 roku. Nie robiłem wyrzutów Zdanowskiemu, choć byłem w prawie, a Cyrankiewicz na moją uwagę, [że] nie rozumiem jego milczenia — oświadczył, żeby nie dziwić się Żuławskiemu, my go tolerować musimy i w Krakowie z nim nie chcemy walczyć — szkoda po prostu czasu. Ten incydent nie miał najmniejszego wpływu na naszą postawę ideologiczno-organizacyjną i nie wywołał jakichś widoczniejszych zmian w naszym obozie. Po prostu nie wyszedł poza ramy mafii z jednej strony „morzowej”, a z drugiej strony różnych „siuch” komunistycznych, usiłujących uwić sobie gniazdko intrygancko-wywiadowcze. Tworzący się plan przyszłych PPS-owców był wspaniałą komórką dla przetrwania komuny zdyskredytowanej przez flirt sowiecko-hitlerowski. Za jednym zachodem zyskiwali obstrzał pewnej grupy PPS-owców przed wojną zwekslowany na tor jednolitofrontowy, oraz wygodną pozycję dla swoich planów, których w danej chwili nie znali, oczekując na dyrektywy Kominternu. Zatem tylko w ten sposób nie wychodzili z gry. W okresie czasu, o którym mowa, to co projektował Żuławski i jego satelici — dążenia komunizujących oraz grupy intelektualistów znalazły dość szybką drogę do rządu Sikorskiego, urzędującego we Francji i stali się jego ekspozyturą pod nazwą Komitetu Politycznego z szefem Świętochowskim Ryszardem. On też otrzymał na owe czasy ogromne sumy pieniężne (mówiono o 30 milionach) i z ich pomocą „nastawił” robotę polityczną kraju, oczywiście z wyłączeniem partii antymorzowych. Na takim też gruncie mogli spotkać się — jak się wyjaśniło — następujący ludzie: PPS — Barlicki i Kuryłowicz, następnie Dubois i Hartleb. Według instrukcji rządu Sikorskiego przeprowadzonej z komentarzami p. Kota, który był szefem Komitetu Krajowego na Emigracji — to była prawdziwa PPS. Do tej PPS dołączono PPS-frakcję rewol. — zastępował ją Tadeusz Szpotański — PPS CKW (?) tej nomenklatury w gwarze sanacyjnej używano w rządzie Sikorskiego przy udziale Libermana i Stańczyka (minister?). Ale cymesem była spółka Ajaksów: Barlicki-Szpoński. Kto zna genezę jaworowszczyzny, ten musi podziwiać politykę Barlickiego i jego popleczników nie mówiąc już o Żuławskim.

W Komitecie zasiadał również ludowiec, którego nazwiska, jako nieustalonego nie podaję w 100%. Zasiadała p. Bańkowska (Trzcńska), jako reprezentant KMD-y. Zasiadał ktoś z ND, ale Dębski temu zaprzeczył twierdząc, że raczej był

któs z ONR. Czym się tłumaczy taka mozaika i taki ostracyzm partii? Zaczęło się to od klecenia rządu. Inicjatorzy zachorowali z punktu na legitymistów, bo to było *conditio* Anglików i Francuzów (słuchajcie! słuchajcie!) chyba, że z racji zadłużeń finansowych Polski przedwojennej, a kto wie, czy nie z racji szantażu, by na wypadek pokoju z Hitlerem mieć gotowych zakładników Polski usymbolizowanych nazwą rządu uznanego w świecie dyplomatycznym. Taką też partyturę ułożyły później Sowiety dla Chełmskiej ekipy zakładników symbolizujących rząd, zgadzającej się na odstąpienie połowy Polski Sowiecom. Widać z tego przykładu, że taka kombinacja w moralności wielkich demokracji była daleko wcześniej, niż w Jalcie przygotowana. Otóż z tego legitymizmu wyłonił się Prezydent Raczkiewicz oraz jego rząd Sikorski-Mikołajczyk, a w tym rządzie ministrowie, o których mówiono w kraju, że ich zaletą były długie nogi. Nic więc dziwnego, że zasiadali i p. min. Koc — matka Ozonu (podobnie na życzenie Anglików). Zresztą rząd ten personalnie biorąc był *quantite negligeeable* w oczach rządu angielskiego, który miał i uznawał ze znaną albiońską brutalnością tylko „generała”. Z całą wyrazistością ujawniło się to po klęsce Francji. Nic też dziwnego, że dla takiego rządu było wygodniejsze twierdzić, że partii politycznych z okresu przedwojennego w kraju nie ma, że się zapadły niejako w nicość, że w kraju zbankrutowało w ogóle partyjnictwo i że rząd jest zmuszony niejako do podstaw budować organizację polityczną narodu. Słowem jest naród, ale bez partii. Taki komentarz urzędowy przywozili różni pierwsi emisariusze. Stąd też p. Świętochowski otrzymał monopol organizatora narodu i przy pomocy wyżej już wymienionych pomocników w Komitecie Politycznym wypełnienia misji zleconej przez zdaje się dobrze skompromitowanego, wśród istotnie poważnych i ideowych działaczy p. Kota Stanisława. W dalszym ciągu opowiadania uwidocznili się droga zaczętej w Piotrkowie w roku 1915 kariery tego dzentelmana. Mimo zdaje się murowanej budowy koncepcji trzymania kraju na wodzy różnymi chytymi intryganckimi chwytami omnipotenta i doradcy Sikorskiego, krok za krokiem rozbijał „koci mur”. Zaczęł od emisariuszy. Biorąc chronologicznie — pierwszym emisariuszem z naszego ramienia, tj. PPS była p. Sosnkowska — z którą spotkałem się w listopadzie 1939 roku. Oświadczyła mi, że wybiera się do męża i że zdaje się bez żadnych sensacji, powinna znaleźć się za granicą. Rozmawialiśmy rzecz prosta o katastrofie wojennej. Sosnkowska dzieliła się wielu szczegółami, charakteryzującymi bałagan. Szczególnie ilustrowała gospodarkę Czerwonego Krzyża. O ile mogłem później sprawdzić, jej informacje były ścisłe. Rozmowę zakończyliśmy szeregiem wiadomości do użytku naszych towarzyszy za granicą, których p. Sosnkowska podjęła się im udzielić. Emisariusze zjawili się w Polsce, żeby się nie pomylić — w ciągu grudnia, zameldowali się w Krakowie (stacja „przeładunkowa” profesorsko-masońska), a następnie dostali się do Warszawy do „Komitetu”. Nie wiem czemu przypisać okoliczność, że odnieśli się i do wojska. Przypuszczam, że było to wynikiem instrukcji Sosnkowskiego, który w tym czasie miał duży autorytet, jako najprzód dowódca bitwy o Lwów we wrześniu 1939 roku, dalej jako zastępca Prezydenta i wreszcie głównego Komendanta Sił Krajowych. Później ten jego wpływ na wojsko zredukowano, ale wtedy niepodobieństwem było ominąć wojsko, którym dowodził w konspiracji z rozkazu gen. Rómmla i z zaufaniem partii biorących udział w obronie Warszawy gen. Tokarzewski.

Więc emisariusze zachodząc do niego natrafili na rzecz zakonspirowaną i przed rządem i przed aliantami (sprawa Kota i mafii sanacyjnej) — że oto istnieje Rada Stronnictw Politycznych = Rada Obrony Narodowej (RON) = stronnictw znanych na zachodzie, przy wojsku rozporządzającym w konspiracji dużymi możliwościami. Poważne rozmowy zaczęły się w ciągu listopada i grudnia w składzie: ze strony wojska gen. Tokarzewski (pseud. Michał

Stolarek), płk Rowecki (Rakoń), Stefan i w końcu Grot (Stefan Strzelecki); ze strony PPS Niedziałkowski i Zaremba; ze strony ludowców Rataj. Rozmowy te wlokły się, aż do aresztowania Niedziałkowskiego i Rataja, a potem w rozmowach uczestniczyłem ja, Zaremba i Arciszewski, a od Ludowców Korboński. Tematem było:

- 1) stosunek do rządu Sikorskiego,
- 2) stosunek do tworzącego się w konspiracji wojska,
- 3) stosunek do koncepcji utworzenia porozumienia międzypartyjnego.

W związku z tym lansowano myśl powołania ewentualnego delegata rządu na kraj z kandydatów działaczy krajowych. W trakcie tych rozmów otrzymaliśmy oświetlenie sytuacji emisariuszy, którzy w owym czasie, co było dość dziwne, przynajmniej dla nas nie mieli żadnych wiadomości od towarzyszy w Paryżu, ani też od ministra Stańczyka. Nie otrzymaliśmy rzecz prosta żadnych środków pieniężnych, które jak to już podawałem szły dla PPS-owców, morzowców i jednolitifrontowców przez p. Świętochowskiego.

Dopiero w pierwszych dniach lutego 1940 roku odwiedził mnie w moim mieszkaniu na Grochowie mec. Świętkowski z listem pisanym przez Stańczyka do niego „prywatnie”. Uderzyło mnie to, że Stańczyk znalazł się w tak zażyłych stosunkach z Świętkowskim, z którym o ile mogłem zaobserwować w ciągu blisko 10 lat przestawał jedynie w stosunkach raczej formalnych (członek ZPPS). Ten szczegół wyjaśnia się tym, że Świętkowski, jako mason, ze słynnym kameleonem Zubowiczem (z Zamościa) przystosowywał się do różnych wydarzeń, nie angażując się w sposób zbyt wyraźny w akcjach opozycyjnych Partii. W kronikach Sejmu nie znajdzie nikt jego wystąpień agresywnych, a także jego wyborcy nie byli drażnieni jego agitacją. Tacy „letni” ludzie robią niespodzianki w chwilach, gdy partia liczy na ich stałość. Z tego widać, że obaj „zniuchali” się wcześniej i dlatego Stańczyk do niego skierował list. List był pełen duserów familijno-prywatnych, a to tylko w dwóch zdaniach (dosłownie) sięgał do kontaktów. Otóż oznajmił p. Stańczyk, że przekazał przez poselstwo Chilijskie milion złotych dla zawodowców z Zagłębia Dąbrowskiego, Zagłębia Śląskiego i Krakowskiego (o partyjnych działaczach ani słowa) no i milion sto tysięcy złotych dla Partii w ogóle. Wobec tego, że Świętkowski już i tak wszedł w kontakt z owym chilijskim konsulem, przeto ustaliliśmy że Świętkowski] podejmie te sumy zaraz, a to dlatego, że podówczas wymienione złote przedwojenne ma Młynarski. Młynarski tłumaczył się, że podjął z Banku Emisyjnego za wyraźną zgodą rządu Sikorskiego. To samo twierdził hr. Roniker, że miał placet rządu Sikorskiego na RGO (Rada Główna Opiekuńcza)? Wreszcie gdy zarządono plebiscyt na ziemiach wschodnich, na rzecz Rosji, pojawiła się wiadomość, że rząd Sikorskiego zaleca pozytywne (?) głosowanie Polaków. To zarządzenie (w sprawie „młynarek”) było synchronizowane z Sowietami, z tą tylko różnicą, że przeprowadzono wymianę w terminie bardzo krótkim, jednak *al pari* (złoty za złoty) — natomiast Sowiety jednego dnia wydały zakaz obrotu złotymi — *bez żadnej wymiany*. Była to zwyczajna rabunkowa kontrybucja, a właściwie kradzież miliardowa — powtórzona ponownie w roku 1944 i 1945, gdy to uznano prawo Polaków do 500 zł. wymiany na tzw. „Lubelki”, drukowane w Moskwie, a dla tzw. Reichu nawet 250 zł. Były nowe miliardy... Niestety, zanim Świętkowski wydobył od konsula wymienioną wyżej kwotę — terminy wymiany się skończyły, a później w okresie „szabru” złotymi przedwojennymi — nadesłane przez Stańczyka pieniądze otrzymały wartość obrazka do wyklejania ścian. W tym wyczerpał się jedyny kontakt Stańczyka z Partią.

Następny powtórzył się w grudniu 1943 roku, ale o tym powiem później. (Prof. Różycki). Nawiązując do rozmów z wojskiem, nadmienię, że odnośnie rządu Sikorskiego otrzymaliśmy bardzo skąpe wiadomości, w których np. fakt

udziału Stron. Nar. zaskoczył nas i wyczuwaliśmy dużą trudność wewnątrz organizacji zorientowanej wyraźnie przeciwko porozumieniu ze Stron. Nar., oskrzydłonym ONR'em i komuną. Zarówno Stron. Nar. winiliśmy w katastrofie wrześniowej (faszyzm), winiliśmy komunę (flirt hitlerowsko-sowiecki) i sanację — lecz ich teraz wprowadzono do rządu — chyba dla jakiejś premii za pogrążenie kraju w impasie i to w obliczu nadciągającej burzy wojennej. Wprawdzie Sikorski 19 października 1939 roku — przemawiając radiowo do kraju — zadeklarował w imieniu rządu, że jest za demokracją, wolnością i sprawiedliwością mas pracujących — to jednak garnitur osób w gabinecie dawał dużo do myślenia. Zdaje się, że my jedni oponowaliśmy bardzo długo przeciwko koncepcji personalnej rządu. Gen. Tokarzewski ciągle nakłaniał do kompromisu, że o ile chodzi o organizację wojska w konspiracji — to on będzie ją opierał o porozumienie z PPS i ludowcami. Taką deklarację złożył następnie płk Rowecki, kiedy po nagłej translokacji Tokarzewskiego z komendanta ZWZ na stanowisko komendanta okręgu lwowskiego, został mianowany na jego miejsce. Rozkaz translokacji przyszedł jednocześnie ze zmianą nazwy organizacji wojskowej w kraju na ZWZ. Pamiętam, że byliśmy zaskoczeni tym rozkazem, bo przecież Tokarzewski — poza swoją pracą podczas oblężenia Warszawy i poza nominacją Rómmla — położył pewne zasługi około jednoczenia wojskowych. A następnie ten przydział do Lwowa, a więc do miasta, w którym Tokarzewski był dowódcą OK przed wojną, właściwie od razu dekonspirował go w terenie i tak bardzo trudnym, bo administrowanym przez Sowiety, które nie żartowały i specjalnie miały zagięty parol na polskich oficerów. I rzeczywiście gen. Tokarzewski zaledwie przekroczył granicę okupantów — dostał się w ręce NKWD. W ogóle stosunek władz rosyjskich do ludności — zwłaszcza Polaków — na zabranych ziemiach Rzplitej tylko pozornie różnił się od stosunku okupantów niemieckich. Przypuszczam, że gdzieś zachowały się dane z okresu spółki hitlerowsko-komunistycznej w województwach wschodnich i jeśli ich nie uprzętnęli „Sowieczycy” to będą stanowiły ciekawą ilustrację wrogów Polski bez względu na ich barwę i szalberstwa ideowe. Charakterystyczne było i jest zachowanie się tzw. „świata cywilizowanego” — do tragedii katyńskiej. Głupcy nie wiedzą, że żadna jeszcze zbrodnia się nie ukryła i nic nie stanie na przeszkodzie, choćby ją kładli najwięksi geniusze, ucharakteryzowani na etyków i świętoszków, by *nil inultum remanebit*. Nie jest to tylko pobożne życzenie — nad jego zniszczeniem się czuwa cały polski naród i jego potężna wola trwania w oporze przeciwko krzywdzie. Tej woli nie złamie nikt. Jej to zawdzięczamy, że w omawianym okresie i w okupacji sowieckiej — pomimo „diabelskich” metod NKWD, wspieranych przez Żydów, Ukraińców i Litwinów — robota podziemna trwała na całej okupacji niemieckiej i sowieckiej, bo trwać musiała, jako nasz żywioł życiowy. I dlatego zabiegi rządu we Francji, żeby pod pretekstem niedrażnienia Wilnem Litwinów (wyższa polityka ówczesnych aliantów) zaprzestać działalności na terenie Wileńszczyzny, a nawet się zupełnie z czynności ideowo-wojskowej wycofać — trafiły u nas na kategorię i dość niegrzeczną odpowiedź.

Żeby skończyć z rozważaniami dodam, że i próby „czechizowania” nie dały wyników, zwłaszcza, że w obliczu z jednej strony zaniku jakiejkolwiek czeskiej akcji antyniemieckiej na terenie Śląska Zaolziańskiego, a z drugiej dalszego oporu odnośnie przynależności Śląska Zaolziańskiego do Polski. Oczywiście, że nie rozpaczaliśmy i na tym terenie prowadzili robotę podziemną, nie licząc wcale na Czechów. Trzeba to podkreślić, że mimo różnic w organizacji partii politycznych i wojska stosunki wzajemne układały się zadawalająco. Pamiętać należy, że w początku ZWZ, zgodnie ze swoją deklaracją o współpracy z nimi i Stron. Lud., miał ogromne trudności, zwłaszcza w terenie. Składała się na to

mnożość organizacji politycznych i militarnych o różnych nazwach i mniej lub więcej chwytających czytelnika nazw organów prasowych. Np. w roku 1942 liczone w samej Warszawie blisko 120 pism. W ogóle każda ambitna czy spekulacyjna jednostka, o ile tylko miała dostęp bodaj do maszyny do pisania — nie mówiąc już o powielaczach — „uprawiała” robotę konspiracyjną z własnym programem i pseudo-organizacją. Wprowadzenie tych grup i indywidualności do ZWZ było istną kwadraturą koła i wymagało niekończonych się konferencji z reguły doprowadzało do dekonspiracji. Zważyć bowiem trzeba, że pojęcie o konspiracji było bardzo swoiste — to znaczy bardzo prymitywne. A gdy się uwzględni, że terenem spotkań porozumiewawczych były z reguły lokale kawiarniane i restauracyjne, pełne wywiadowców hitlerowskich, to zrozumiała się stanie penetracja hitlerowska w podziemiu polskim. A przecież Niemcy, mimo skrupulatnych rozpracowań jeszcze sprzed wojny, społeczeństwa polskiego, obecnie w praktycznym działaniu — byli raczej nowicjuszami. Twierdzę, że dzięki temu ilość naszych ofiar została znakomicie ograniczona. Nie mniej jednak niedbalstwo konspiracyjne dało się we znaki wszędzie, a zwłaszcza w organizacjach dzikich, z natury rzeczy najbardziej nastawionych na inwigilację Gestapo. Ale i z partiami, jak to już zaznaczyłem, nie od razu doszło do właściwego stanu rzeczy. Wobec nacisków rządu, który nagle wiosną 1940 roku uznał, że jednak partie żyją i działają, a w związku z tym powziął myśl powołania delegata swego na kraj z kandydatów — a jeszcze lepiej — z kandydata przedstawionego przez główne partie krajowe — będące zaangażowane w rządzie emigracyjnym, czyli: PPS, PSL, Str. Nar. i Str. Pracy.

Powstała zatem konieczność, czy się to komu podobało czy nie — utworzenia ściślejszego porozumienia tychże partii jako odpowiednika i podstawy rządu emigracyjnego. Najwcześniej — bo zdaje się, że w końcu stycznia 1940 roku — Str. Nar. delegowało Dębskiego, a dopiero w maju Str. Pracy delegowało Kwiecińskiego (pseud. Karwat). Po długiej dyskusji jeszcze we trójkę: ja, Grudziński (Józef Deczyński) po Korbońskim (Str. Lud.) i Dębski (Str. Nar.) ustaliliśmy, że nasze porozumienie będzie nosić nazwę — *Polski Komitet Polityczny (PKP)*. Przewodniczyć będzie kolejno przedstawiciel każdej partii, co miesiąc. Nasz PKP przyjął do swego składu niejako z urzędu komendanta ZWZ Roweckiego i ppłk. Strzeleckiego jako sekretarza. Roweckie złożył przysięgę formułującą cel i zobowiązanie członkowskie, a następnie tę samą rotę powtórzyliśmy my trzej. Z kolei należało ustalić skrót programu działania PKP, ale temu oparł się Dębski, formalizując tym, że to należy do rządu: wynikła stąd, że mamy być jakimś tylko automatem posłusznym w rękę rządu. Na to zgodzić się nie mogłem i w imieniu Partii oświadczyłem, że tę sprawę uważam za bardzo pilną i za otwartą i że do niej w krótkim czasie powrócę. Drugą sprawą była sprawa kandydata Pełnomocnika rządu na kraj. Jak było do przewidzenia uzgodnienie kandydata napotkało na duże trudności. Chwilowo taka możliwość wydawała się realną wobec kandydatury Rataja — który w owym czasie wyszedł na krótko z więzienia i leczył się w Otwocku. W tej kwestii konferował z nim członek Str. Ludowego Korboński. Rataj udzielił odpowiedzi odmownej. Wtedy każda partia stawiała swego kandydata. W odpowiedzi na te propozycje rząd przysłał nowych emisariuszy, którzy natarczywie wysuwali ponowne żądanie wysunięcia kandydatury jednej — co w danym wypadku — wobec nieudanych prób — było niemożliwe. Tak samo na sprzeciw natrafił projekt dekretu o Delegacie i o Radzie Przybocznej. Rada ta miała być analogią Rady Narodowej na emigracji (Przewodniczący — Paderewski), (po śmierci Paderewskiego — z niewiadomych powodów bankrut ideowy i polityczny Stanisław Grabski — przypuszczam, że z poręki Sikorskiego — i którego zastępcą był Liberman, — z tą jednak kapitalną różnicą, że była pozbawiona prawa kontroli.

Tak samo uprawnienia Delegata zmierzały do jego całkowitego uniezależnienia — coś jak na emigracji — uniezależnienia rządu i jego nienaruszalności — chyba, na własne żądanie i za własną zgodą. Był to w odniesieniu do kraju, zwłaszcza w jego niezmiernie cięższej niż rząd sytuacji, prawdziwy dziwoląg. W każdym razie opinia nas wszystkich streszczała się w jednym określeniu — braku zaufania rządu do kraju. Dopiero gdzieś w połowie maja przybył emisariusz Witold (zdaje się Koziński) który w sprawie delegata i stosunków rządowych i emigracyjnych — jak się później okazało — najdokładniej i najobiektywniej nas poinformował. Miał w swoim położeniu emisariusza najważniejszy atrybut — doskonałą fotogeniczną pamięć. Przekonał się na jego sprawozdaniu, napisanym po złożeniu go nam przed tym ustnie. Był to rzeczywiście majstersztyk dokładnej pamiętliwości. Ze szczególną zaś wyrazistością wyszła jego pisemna relacja najeżona paragrafami regulaminu p. Kota w naszej Radzie. Bo po katastrofie Francji w lipcu przybyły do kraju płk Jakubowski, obok swej delegacji sporządzonej na jedwabiu i wszytej w ubranie, a napisanej i podpisanej przez Sikorskiego (własnoręcznie) przedstawił nam fotografię regulaminu Rady, dosłownie pokrywającą się z pisemnym sprawozdaniem o tym regulaminie.

Trzecią sprawą była organizacja ZWZ. Zgodnie z tezą Roweckiego organizowanie ZWZ miało iść w trzech rzutach: 1-szy rzut oddziału pierwszej linii, mającego prawo do broni organizacyjnej. 2-gi rzut oddziały rezerwy, działającej jako bezpośrednio następcze pierwszego rzutu i 3-ci rzut — to pospolite ruszenie charakteru przygotowawczego (przeważnie bez przeszkolenia wojskowego) na szerszych podstawach rekrutacyjnych. Powszechną byłaby kolejność w tworzeniu rzutów, jednak w zależności od terenu i możliwości organizacyjnych — mogą być prowadzone roboty organizacyjne w trzech rzutach. Do kierowania tym zadaniem powołana jest Komenda (łącznie ze Sztabem) oraz komendy obszarowe i powiatowe. W rozmowach wstępnych z Tokarzewskim, a później z Rowec-kim moi towarzysze (Zaremba i Arciszewski) domagali się kooptowania mojej osoby do Komendy. Później jednak za moją namową zgodzono się żeby ten problem rozbić na dwa okresy: 1-szy okres przygotowawczo-organizacyjny i 2-gi okres — wystąpienia zbrojnego. Otóż w tym drugim okresie działania udział naszego przedstawiciela w Komendzie był nieodzowny. W pierwszym zaś okresie wystarczająca dla nas miała być całkowita autonomia organizacyjna z naszymi komendami (analogicznie do ZWZ) i komendantami jednostek ZWZ. ZWZ miał natomiast kontrolę ewidencyjną szkoleniową i uzbrojeniową oraz dyspozycyjność w działaniu. To zostało przez ZWZ przyjęte. Osobną kwestię stanowiło tzw. wcielenie i podporządkowanie, które na mój wniosek zostało załatwione w ten sposób: nasza organizacja wojskowa, stanowiąc coś w rodzaju PKU, obejmującej cały kraj — miała mieścić się w ramach ZWZ utrzymując łączność na szczeblach ZWZ i własnych jedynie za pośrednictwem komendantów. Ta łączność z zachowaniem zasad autonomii, nie mogła zejść niżej niż do formacji kompanijnej. W momencie działania zbrojnego ZWZ czyli w okresie wcielenia automatycznie do poszczególnych komend ZWZ na wszystkich szczeblach wejść przedstawiciele odnośnych naszych jednostek.

Osobną sprawę stanowiły: sabotaż, dywersja, terror indywidualny i odwet. Te działania były prowadzone przez osobne zespoły. Wobec tego, że ta dziedzina dopiero później — bo w roku 1943 — mogła być uwzględniona także w środowiskach wiejskich, a w danej chwili wyłącznie przez środowiska miejskie, czyli siłą rzeczy przez element robotniczy, przeto ułożyliśmy się, że w miarę możliwości także na zamówienie ZWZ. Tę decyzję powzięliśmy wychodząc z dwóch zasad: 1) praktyki bojowej PPS w okresie rewolucji 1905 - 07 i okupacji 1916 - 18, 2) ekonomiki sił biologicznych robotników już i tak narażonych w pierwszej linii podczas masowych represji niemieckich, już z samego faktu

pracy w zbiorowiskach masowych zakładów pracy. Wyżej wyluszczonej zasad przestrzegaliśmy i unikaliśmy wielu niespodzianek i nieporozumień zarówno w ZWZ jako też i wewnątrz naszej organizacji partyjnej. Poza tym uniknęliśmy dwuznacznej sytuacji w jakiej znajdowali się Ludowcy, którzy w ciągu okupacji przechodzili od jednej ostateczności do drugiej, a więc najpierw weszli do ZWZ bez reszty, potem się wycofali przechodząc na pozycje samodzielności (a nie autonomii) tzw. Batalionów Chłopskich, w dużej mierze poddanych zasięgowi dywersji politycznej komunistów, a w końcu — wskutek scysji z ZWZ w związku ze rzzutami broni — prowadzili daleko posunięte rozmowy o pełnym wcieleniu i podporządkowaniu całej formacji ZWZ'owi. W tej sprawie wyszedł specjalny rozkaz — statuujący ten fakt wcielenia — podpisany przez komendy ZWZ i Batalionów. Używając nazwy ZWZ — nie wyczerpuję samego zagadnienia zmian nazwy wojska w konspiracji — jak PZP — aż do nazwy AK — tak, jak nie wyczerpuję różnych prób udanych lub nie udanych z powoływaniem nowych formacji, o których jeszcze będę mówić.

Z przybyciem Jakubowskiego rozpoczęły się nowe, długie próby ustalenia kandydata na delagata. To było zadaniem Fogła. Gdy wysiłki te nie dały rezultatu, próbowałem przeprowadzić zasadę delegatury zbiorowej, co miałyby dobre strony działania zespołowego partii i większej odpowiedzialności. Bałem się jak ognia kreowania urzędnika i biurokratyzacji całej roboty konspiracyjnej. Pomimo, że p. Kot i jego pomagierzy w Krakowie nazwali moją propozycję partyjnictwem, czy też upartyjnianiem — ale w samej rzeczy czymże był rząd emigracyjny jak nie koalicją? Zdaje mi się, że zbiorowa delegatura byłaby raczej kontynuacją logiczną koalicji rządowej, o ile między krajem i stronnictwami popierającymi rząd a samym rządem istniało zaufanie. Jakubowski po dłuższej rozwadze zgodził się lansować przed rządem myśl zbiorowej delegatury.

O ile pamiętam, działo się to po katastrofie francuskiej i po puczu w rządzie, w którym brali udział: Graliński, Stańczyk, Zaleski... Pucz skończył się blamażem, za który zapłacili Graliński i Zaleski. Natomiast Stańczyk, minister pracy skompromitowany bezczynnością w czasie odwrotu z Francji i odpowiedzialny za karygodną ucieczkę z Francji — utrzymał się na posterunku, dzięki protekcji Laburzystów, właściwie dzięki usługom oddawanym w charakterze agenta Intelligence Service. Zresztą jego dalsza „działalność” i jego wypowiedzi zaskakujące rząd (np. w sprawie żądań Stalina itp. wyczyny jak „usługi” oddawane Beneszowi) świadczą wymownie o właściwej roli tego intruza, zresztą brudas a etycznego, o czym wspominam gdzie indziej.

Otóż sprawozdanie Jakubowskiego zostało pokwitowane nie przez rząd, a przez Sosnkowskiego (chyba z tytułu jego komendy nad ZWZ i udziału w Komitecie Krajowym) depeszą adresowaną do Grota — że członkowie PKP nie są bliżej znani. Czyli zdyskwalifikowano ich. Nie wiem jak inne nazwiska, ale moje chyba było znane Sosnkowskiemu z roboty PPS-owskiej i ZWZ oraz p. Kotowi z roboty PPS i „Promienistych”. Przypuszczam, że dzięki intrygom, które zostały później wyznane przez Dębskiego, taka depesza mogła mieć miejsce. Zresztą prawie każda reakcja PKP świadczyła nazbyt dobitnie, że zgodzono się dla oka na Delegaturę zbiorową, w rzeczywistości komuś zależało na kręceniu. Ale intryga wyszła zbyt szybko i trzeba było szukać wyjścia — pustki nie mogło być. Więc zgodzono się na prowizorium, że do czasu ustalenia kandydata na delagata, Jakubowski będzie sprawował jego funkcję. Odtąd Jakubowski przewodniczył na PKP. Zresztą zupełnie lojalnie się zachowywał, a ponieważ nie dał się wodzić za nos, zwłaszcza p. Kwiecińskiemu, więc już rychło przestał się cieszyć zaufaniem jego i Dębskiego, którzy ciągle stawiali zagadnienie, co się dzieje właściwie w wojsku. Z takim oto pytaniem wyrwał się

z reguły Kwiecieński, który stale konferował — a właściwie konwetyklował jako *bomo sequens* znanego intryganta Popiela.

Obaj pochodzili z NPR, obaj wieszali się Sikorskiego i obaj uważali się za jedynych komentatorów jego polityki. W rzeczywistości wytwarzali zamęt ideowy, w którym mogły rozwinąć się takie kreacje „ni pies ni wydra” — jak Partia Pracy i jej twór „Front Morges”. Wprawdzie Str. Nar. do Morzu nie należało — jednak w sytuacji, gdy rząd jest emanacją Morzu, PPS-owcy z rządu z małymi wyjątkami byli morzowcy, a cóż dopiero mówić o Ludowcach. Stron. Nar. dążyło do opanowania rządu nad krajem. Trzeba przyznać, że to dążenie było tezą realniejszą niż różne dusery Sikorskiego i jego rządu w odniesieniu do aliantów, a w owym czasie do Anglików, którzy doprowadzili rolę rządu Sikorskiego do maklerstwa.

Zresztą p. Dabski nie ukrywał swojego stanowiska i z całą świadomością dążył do rozbicia porozumienia PPS-Ludowcy. Toteż w literaturze ówczesnej Str. Nar. w kraju i na emigracji (np. *Walka, Szaniec*) pisano wyraźnie, że wojsko w kraju to wojsko Centrolewu. A Dębski kilka razy na zebraniu PKP oświadczał, że jeżeli w Polsce będzie rząd to oczywiście koalicyjny, a stworzy go Str. Nar. z Ludowcami, ale bez PPS. Przysłuchujący się tej rozmowie Grudziński (Str. Lud.) uśmiechnąwszy się rzekł: Najgorzej w polityce prorokować. Nic też dziwnego, że omówiony wyżej incydent ze zbiorową delegaturą został storpedowany zgodnie z oświadczeniem Dębskiego przez zabieg Str. Nar. przy poparciu Kota, do którego wówczas trafiono. Jak bezceremonialne były chwytły Str. Nar. w tym czasie świadczy o tym bardzo wyraźny artykuł w „Walce” (na krótko przed rozstrzelaniem Niedziałkowskiego) dekonspirujący jego i Czapińskiego (jeszcze wtedy był na wolności) jako wyraźnych wrógów ideologii narodowej. W ogóle już z tych przykładów widać szczęśliwą rękę Mikołajczyka w klecieniu porozumienia bez żadnego programu i w ogóle idei. To co lansowali po powrocie z Czech p. Witos, Bągiński i Kiernik — wspólnoty ze Str. Nar. — nie udało się w atmosferze trzeźwości sądów — udało się w okresie paniki ucieczkowo-emigracyjnej podczas wojny. I to musiało mieć swoje konsekwencje. Ta bezideowość i bezprogramowość emigracji była następstwem także przystosowania z wielkimi demokracjami, które w tej niebywalej zawierusze dziejowej nie zdobyły się na wyraźny i obowiązujący program działania. Wielkie demokracje nadużywające dla swych egoistycznych celów najszczytniejszych hasel tylko na eksport mogły wydać na świat listek figowy Kartę Atlantycką — autorstwa największego oszusta i cynika, jakiego znają dzieje, Roosevelta, który zresztą, jak przystoi ordynarnemu adwokacinie-oszustowi, najbezczelniej na oczach całego świata ten dokument splawił. Ale za to płodzono trwale pomioty kazirodztwa fałszywej demokracji z totalizmem w zakamarkach Teheranu i Krymu pod wysoką ręką Sowietów, zdolnych do każdej wolty ideowej. Takie oto zabawy i rozgrywki nurtowały naszą konspirację i to w okresie najkrytyczniejszym — bo po załamaniu się Francji... nad wyraz demoralizującym. Pomijam rolę destrukcyjną Komitetu Politycznego Świętochowskiego, którego likwidację miał Jakubowski przeprowadzić głównie na odcinku finansowym. Był to jak się później okazało wąż morski. Przy tym wyłaniały się także „nieścistości” finansowe. Takim obrazkiem był brak dokumentów z wydatków prawej ręki Świętochowskiego, Szpotańskiego (400.000 zł.), który wszak był oficjalnym dziennikarzem Sanacji a później Ozonu, a w swoim czasie dywersantem w wielu stronnictwach, między innymi w PPS. Prawdziwy polityczny *szurfmacher*. Aresztowany przez Gestapo załamał się i będzie pisać elaboraty na temat organizacji polskiego podziemia, nie szczędząc ludzi — między innymi wymienił wielu działaczy, także nazwisko Stanisława Kauzika. Wśród dalszych zabiegów Fogla w sprawie kandydata na delegata wyłoniła się dodatkowa kwestia zastępcy

Fogla na wypadek z nim katastrofy. Zdaje się, że on sam wysunął kandydaturę na swego czasowego zastępcę Ratajskiego Cyryla b. prezydenta Poznania (członka Str. Pracy). Wśród wypowiadających się nie było zbytniego zapału dla osoby Ratajskiego. Gdy doszła do mnie kolej wypowiedziałem się pozytywnie, ani na chwilę nie podejrzewając, że moja opinia będzie kiedyś przytaczana jako moje poparcie jego kandydatury na delegata rządu. Oczywiście, że to ani mi się śniło, a zresztą tak sprawa na posiedzeniu nie stała. Gdy wreszcie zdaje się w listopadzie 1940 r. otrzymaliśmy depeszę rządową o nominacji Ratajskiego (Wartski) na delegata rządu jako „jednomyslnego kandydata PKP” — wyglądało to na daleko idącą nielojalność ze strony rządu. Szczególnie mnie ubodła wiadomość, która nadeszła przez koła wojskowe, że to na skutek mojego poparcia Ratajskiego mianowano delegatem rządu na kraj. Jakiś czas myślałem, że zaszło tu raczej nieporozumienie wskutek splątania kryptonimów partyjnych. Otóż jeszcze wiosną 1940 Partie przyjęły następujące kryptonimy: PPS — Koło, Str. Lud. — Trójkąt, Str. Nar. — Kwadrat i Str. Pracy — Romb. Przy dalszym wyjaśnieniu i to przypuszczenie upadło. Muszę nadmienić, że Ludowcy zaskoczeni również takim obrotem sprawy demonstrowali u Mikołajczyka i porozumiewali się z nami odnośnie rewizji tego niefortunnego mianowania. Tym niemniej Ratajski popędzany przez Str. Pracy w osobie Kwiecińskiego, który był jego nieledwie ministramentem, wstąpił w swoje urzędowanie w końcu grudnia 1940 roku. Złożyliśmy w dwójkę z Grudzińskim swoje zastrzeżenia wobec jego osoby. Ten protest był uzgodniony zresztą na wspólnym posiedzeniu: ze strony PPS Zaremba, Dratwa i ja, ze strony Str. Lud. Osiecki, Grudziński i Korboński. Ale już na tych posiedzeniach, ostatnim zdaje się w styczniu 1941 roku, gdy wyłonila się kwestia następcy Ratajskiego — który w swoim czasie był zastrzeżony dla PPS (a miało ich być zgodnie z instrukcją rządu dwóch) Osiecki z nonszalancją oświadczył, że ludowcy pretendują do pierwszego zastępcy, a nam pozostawiają drugiego — wszystko ze względów prestiżowych — jako rzekomo najwikszysze stronnictwo. Ta megalomania zawsze była złym doradcą ludowców i w przyszłości chyba zaprowadziła ich na manowce. Nie ze względów na prestige, ale jedynie ze względu na zobowiązania wzajemne, nie uważaliśmy za wskazane ustępować, zwłaszcza wobec wygodnej tezy zawsze głoszonej przez Witosa w kłopotliwych okazjach a obecnie również przytaczanej, że „sytuacja się zmieniła”, a więc układy nie obowiązują.

Nasze posiedzenia odbywały się obecnie w rozszerzonym składzie, albowiem wobec oświadczenia Komendy ZWZ Fogel miał odtąd być delegatem wojska na posiedzeniach PKP. Nawiązując do naszego zastrzeżenia w sprawie nominacji Ratajskiego dodaje, że wówczas wysunęliśmy także pod adresem rządu ubolewanie, że dotychczas nie ustalili swego credo polityczno-społecznego, na które kraj i cała robota podziemna na próżno czekają. Wobec tego, że członkowie PKP unikają w tej sprawie ujawnienia swego stanowiska programowego i odwołują się tylko do opinii rządu jako jedyne go wyraziciela Polski, przeto pośpiech w tej sprawie jest konieczny i PPS oczekuje rychłego jej załatwienia i od tego uzależnia dalsze pozostanie w PKP.

W kwietniu 1941 roku powyższe zastrzeżenie złożyłem na PKP — w składzie: Str. Lud. — Grudziński, Str. Nar. — Trajdos (Grudzień), Str. Pracy — Kwieciński, PPS — ja, ZWZ — Fogel i Ratajski, protokolant — Piotrowski (zdaje się Geysztor). W związku z ukazaniem się w wydawnictwie ZWZ „Insurekcja” i „Wiadomości” artykułów poświęconych rocznicy śmierci Piłsudskiego — Kwieciński przy poparciu PSL i SN zaatakował ZWZ, żądając wyjaśnień i w związku z tym zwołania nadzwyczajnego zebrania PKP. Zebranie to odbyło się jakoś w końcu czy też na początku maja z udziałem Grota i Rzepeckiego (Prezesa).

Zaczął Kwiecieński dodając do swej interpelacji żądanie, żeby przygotowane w dalszych pismach ZWZ np. „Żołnierz Polski” artykuły o Piłsudskim bezwzględnie i pod rygorem wycofać. Reagowali najprzód Grot, który wychodził z tego założenia, że ZWZ nawiązując do tradycji wojskowej musi operować żywymi i bliskimi żołnierzowi wydarzeniami i ludźmi. O Piłsudskim pisze się nie jako o polityku lecz o żołnierzu i wodzu. Zresztą w jednym artykule jest zdanie odgradzające się od niego jako polityka. Rzepecki zaczął od tego, że w dniach majowych dowodził jednostką wojskową przeciwko oddziałom Piłsudskiego i że za to był prześladowany. Jednak mimo to nie widzi w piśmiennictwie wojskowym nic zdrożnego, nawet gdy się pisze o Piłsudskim. Jako szef BIP-u oświadcza, że choćby ze względów technicznych, wycofanie artykułów w naszych warunkach wydawniczych jest niemożliwe. Grudziński wygłosił panegiryk ku czci Witosa i zapowiedział, że pierwszym czynem Polski wyzwolonej powinno być wyrzucenie trumny Piłsudskiego z Wawelu. Wawel należy się Witosowi, największemu chłopu Polski. Oczywiście przyłącza się do stanowiska Kwiecieńskiego Trajdos, był oszczędniejszy w słowach i raczej ubolewał niż oskarżał sprawców artykułów. Przy sposobności wskazał na Piłsudskiego jako podżegacza bojówek PPS przeciw narodowcom. Zabrałem głos przestrzegając wnioskodawców, by nie powtarzali błędów przeszłości i nie budowali z lekkiej ręki przegrody między narodem a armią. Nie tylko przegrody, ale co gorsza nie stwarzali monopolu wojska w rękę jednego człowieka, czy też jednej mafii. Armia jest w naszym położeniu — *ultima ratio* — nie przystoi wszczynać, nie tyle dyskusji, co doprowadzać do skandalu politycznego, który w rękę spryciarzy może doprowadzić nas bardzo daleko. Proponuję, żeby sprawę raz na zawsze rozstrzygnąć, głosować wniosek Kwiecieńskiego, że zakazuje się umieszczenia wzmianek o Piłsudskim i że artykuły o nim mają być bezwzględnie wycofane w ten sposób. Pierwszą część należy rozumieć, że osobę Piłsudskiego poddajemy ostracyzmowi raz na zawsze, drugą zaś część jako zalecenie, że na przyszłość powinno się uzgadniać z delegatem, artykuły budzące wątpliwości, nie tylko w prasie wojskowej, ale też i w cywilnej (tu przytoczyłem wypadek z napaścią na Niedziałkowskiego i Czapińskiego w „Szańcu”, w „Walce”). Rzecz prosta, że moje wnioski przepadły, a tym samym przeszły głosami Str. Lud., Str. Nar. i Str. Pracy wnioski Kwiecieńskiego. Było to pierwsze głosowanie w PKP, w którym się przegłosowywano: dotychczas zawsze dążono do zgodnego ujawnienia stanowisk. To głosowanie momentalnie rozeszło się po Warszawie, a moją osobę jako zdecydowanego „piłsudczyka” wzięto na języki nie zważając na tego „trzeciego” tj. na Gestapo. W ten sposób ten temat stał się tematem także na szczęście jedynie warszawskiej organizacji, która musiała parać się z dywersją tzw. RPPS prowadzoną i wspomaganą przez różnych opiekunów nie tylko „jednolitofrontowych” — wywalonych w swoim czasie z Partii, ale również przez koła b. *Dziennika Popularnego* no i kół masonskich. Do tych sukursów przybyła także zagranica w osobie pewnej pani legitymującej się protekcją laburzystów i kierowaniem do młodej PPS (!). Chodziła po kawiarniach, rozrzucając pieniądze na lewo i prawo. Co czujniejsi i ostrożniejsi przeciwnicy nasi unikali jej, nie wiedząc kto zacz. W każdym razie przywiozła „instrukcję” — rzekomo od towarzyszy w rządzie — że oficjalną reprezentacją jest nie WRN, ale właśnie t a młoda PPS, może biedaczka nie zdołała zapamiętać symbolu RPPS. Otóż właśnie w owym okresie zagadnienia Piłsudskiego w literaturze wojskowej — Ludowcy, acz bardzo ostrożnie, nawiązali z nimi łączność. W ten sposób trafiano w bardzo czułe nasze miejsce — porozumienie z Ludowcami. Przypomnę tu, że niemal od zarania Niepodległości, nieraz aż do przesady, aż do utracenia swojej jednak wyższości politycznej i ideowej nad rozwarcholonym terenem działalności Ludowców — wszystkich nazw i kierunków — PPS dążyła

do porozumienia za wszelką cenę z Ludowcami. W tym dążeniu nie ustawano, chociaż partner, uchodząc za „posażną pannę” uważał za szczyt taktyki politycznej, tańczenie z coraz innym partnerem „bo sytuacja się zmieniła”. Nie zważano na to i na powszechną nielojalność — trwano przy swoim — także w okresie okupacji. Dzięki wysiłkowi tow. Zaremby zgodzili się Ludowcy wyłonić najprzód komisję, na której „prywatnie” omówiono by Program Polski Ludowej. Tezy tego programu omawialiśmy na zebraniach Kierownictwa Centralnego, a także na konferencji ogólnokrajowej, która odbyła się 5 grudnia 1940 roku tym razem w trzech kompletach: 1-szy ul. Złota 45 w Spółdzielni Urzędników, 2-ga na ul. 6-go Sierpnia 2 w lokalu Dra Baci i 3-cia na ul. Ksawerów 5 u tow. Śledzińskiego. Cała impreza przeszła gładko. Przyjęto tezy programowe Polski Ludowej, tezy organizacyjno-polityczne i organizacyjno-wojskowe i deklarację w sprawie polityki bieżącej. Gdy zatem w najbliższych dniach po konferencji przeprowadziliśmy rozmowy z Ludowcami na temat przeprowadzonego wspólnego programu, Ludowcy z punktu oświadczyli, że nie chcą dawać nawet pozorów porozumienia w dołach, choćby nawet w województwach. Na razie musi wystarczyć porozumienie Centralne, również od wypadku do wypadku. Odnośnie programu Polski Ludowej to ich Centrala akceptuje go. Na zapytanie tow. Zaremby czy należy zatem pokwitować to stanowisko i nasze i ich wobec Programu Polski Ludowej, jako stanowisko wspólne i występować w tym duchu w prasie partyjnej — na to padła odpowiedź, że rozumie się że tak. Nie wiem czy to był przypadek, ale właśnie w tym okresie walki z „nieboszczykiem” pojawiło się oświadczenie w organie ludowym, że wzmianka podana w piśmie „WRN” o rzekomo oficjalnym, także Ludowców, Programie Polski Ludowej, nie odpowiada prawdzie. Tak samo nie odpowiadają prawdzie pogłoski o porozumieniu ludowcowo-socjalistycznym. Działo się to nawet wtedy gdy towarzysze — zresztą za moją zgodą (w myśl przysłowia ukraińskiego „czesz diabła żeby był gładki”) — by nie być przyczyną rozbratu — zdezwuowali moje stanowisko na PKP w sprawie „nieboszczyka”. Wszystko było daremne — otóż nie dlatego że pogniwiali się na program, ani też że mieli żal do Piłsudskiego — lecz tylko dlatego, że już byli w zмовie z RPS-em. Czy szczerze? — nie! Bo tak trzeba było do gry, by mieć wszędzie większość. Ale ta większość była nieodzowna, bo oto szykowali się do rozmów na PKP, na temat obsady wojewódzkich i oczywiście ze względów prestiżowych mieli zgłosić swoje dezyderaty i w tej dziedzinie — podobnie jak w całej magistraturze budowanej na gwałt przez Ratajskiego.

Gdy jestem przy tej sprawie to muszę zaznaczyć, że źródłem tego pośpiechu i wynalazczości była działalność ZWZ, który tworzył tzw. administrację zastępczą. O ile sama myśl i tendencja tworzenia służby etapowej i związanej z nią administracji terenu, pozostającej w zasięgu bojowym jest słuszna i stanowi ograniczoną całość operacji wojskowej — o tyle narzucanie tej zastępczej sieci na wszystkie województwa, okręgi i powiaty musiało wywołać wiele nieporozumień niepotrzebnych domysłów i wręcz podejrzeń. Zrozumiałe byłoby tworzenie takiego działu w służbie ZWZ, żeby zaznajomić dowództwo z tym problemem administrowania przez wojskowość — oczywiście czasowego i przejściowego. Tymczasem to co się działo i co w pośpiechu tworzone było petryfikowane jako fakty dokonane i musiało doprowadzić do jednego wniosku — oto ZWZ dąży do dyktatury w czasie przyszłych działań wojennych i nie tylko przynagla — ale już dzisiaj podporządkowuje sobie całe życie wewnętrzne państwa i narodu.

Na tym przykładzie widzimy do czego prowadzi zachłanność — każda zachłanność — obojętnie jak przystraja się: czy w piórka „zdrowej ambicji”, czy też w harap arbitralny. Ten tak bardzo zawiły problem i do pewnego stopnia przez wojsko zaniedbany dział służby wewnętrznej podczas walki — Ratajski

postanowił rozstrzygnąć podobnym wybiegiem tzn. powołać własną administrację zastępczą — na co miał bezprzecznie formalne prawo — ale tylko formalne. Albowiem w naszym położeniu kreowanie skomplikowanej maszyny nawet w oparciu o zgodę Delegata i Komitetu Głównego ZWZ groziło — czym dawałem wyraz w dyskusji za urzędowaniem całej roboty konspiracyjnej. Gdybyż można było marzyć o powołaniu do tej pracy urzędników nie z b. urzędów, a społeczników, nie zżarzonych trądem biurokracji, to jeszcze można by się kusić o realizację ale i tak nie w tej liczbie i o takich prerogatywach.

Tymczasem było to niewykonalne, a Ratajski rozporządzał urzędnikami w swojej większości złymi i zdemoralizowanymi przeszłą służbą. do tego doszła protekcja partii w nieodownym kluczem podziału. Mam tedy odwagę twierdzić że ten dział naszej konspiracji zawiódł położone w nim nadzieje, a kosztował przecież kolosalne sumy. Może to co piszę będzie poczytywane z krzywdą. nie przeczę, że aparat urzędniczy Delegatury miał swoich bohaterów i swoje ofiary — ale nawet gdyby wszyscy bez wyjątku dali gardło, to i tak nie można rozgrzeszać „praktyki” postępowania. Bezkrytyczność byłaby nie mniejszą krzywdą. Krzywdą natomiast byłoby dowodzenie, że zło poczęła biurokracja, potem były tylko następstwa złego czynu. Tymczasem prawdą jest fakt, że sprawcami tego złego czynu byli ci wszyscy, którzy stanowili otoczenie Delegata i robili politykę włącznie danej partii. Więc w okresie Str. Pracy (Ryjański) wszyscy biurokraci karierowicze byli stronnikami Str. Pracy, przy Ludowcach — Ludowcami, a gdy nadszedł czas próby szli ławą za Lublinem. To też skąpo przedstawiał się ich dorobek w Warszawie podczas Powstania.

Otóż powracając do realizacji planów administracyjno-organizacyjnych Ratajskiego należy — jak to już rzekłem — wziąć pod uwagę współpracę w tej materii stronnictw. W imieniu PPS oświadczyłem, że dopóki nie będzie załatwiony problem ideowo-programowy PKP, dopóty odmawiam mu prawa powoływania urzędników i tej sprawie odmawiamy naszego współdziałania. Na to odpowiedziano nam układem zakulisowym, zawartym między Ludowcami a Str. Nar. i Str. Pracy. W ten sposób na zebraniach PKP była zgrana większość — to jawnie, a tajnie porozumieni tylko z Delegatem w departamencie. W tych warunkach wszczął się ruch kandydacki i run na delegaturę, co obfitowało w pożałowania godne incydenty, jak rabunki pieniędzy Delegatury — chronione lub przewożone z lokalu do lokalu. Podstępne rewizje np. nawet osobiste u sekretarza Delegata p. Piotrowskiego (Geysztor). Nachodzenie mieszkań tka, że nie można było wyjaśnić — czy to było dzieło Gestapo, czy jakiejś szajki w rodzaju „muszkietarów”.

W trakcie tych gier nastąpił wybuch wojny niemiecko-sowieckiej. Niestety! Mimo doświadczeń choćby z ostatniej doby zapanował ciełący zachwyt w prasie podziemnej, oczywista pod przewodem prasy delegata. Jakoś nie przychodziła na myśl entuzjastom choćby małe ostrożność i trochę wyczekania na dalszy rozwój wypadków. Wkrótce, tj. począwszy od lipca, toczyły się rozmowy raczej angielsko-sowieckie. sikorski tylko kibicował, ale już całomiesięczne układy, zakończone układem o zakończeniu wojny rosyjsko-polskiej, zmierzały jedynie do wcielenia jeńców polskich w Rosji i wygnanych Polaków z województw wschodnich do mającej powstać na terenie ZSRR armii polskiej. Sama jednak klauzula dotycząca warunków tworzenia armii, jej ekwipunku, wyżywienia i dowodzenia, dawały dużo do myślenia i musiały spowodować nieporozumienia. Temu też dawaliśmy wyrazy w naszej prasie, między innymi artykułach moich w „Gwardii Ludowej”. Również niedomówienie, a właściwie niezadowolone kwestii zaboru przez Sowiety naszych województw wschodnich, zaciążyło nad szczerością całego układu. A gdy się zważy, że na tym tle powstał kryzys gabinetowy, to nie będzie dziwne, że i nasza dyskusja w PKP nad układem

z 31 lipca 1941 ciągnęła się dość długo i zakończyła się przecież jednomyślną uchwałą, która brzmiała: że PKP akceptuje tę część układu który przywraca pokój między Polską i Rosją, natomiast uważa część układu drugą o województwach wschodnich za otwartą, a w każdym razie nadającą się do załatwienia w przyszłej konferencji pokojowej. To nasze stanowisko zakomunikowaliśmy rządowi, którego poszczególni członkowie wpadli w trans „słowiańskości” zwłaszcza w dziedzinie propagandy (Seyda, Stroński). To jeszcze bardziej wymagało ugruntowania pozycji programowej rządu, a tym samym i stanowiska obowiązującego stronnictwa w PKP. Toteż znów ponowiłem moje żądania w PKP i wreszcie wobec milczenia rządu i braku odzewu PKP, złożyłem oświadczenie o zawieszeniu naszego udziału w PKP, aż do czasu gdy rząd lub PKP określi oblicze ideowe całej akcji, którą kieruje rząd w ramach stosunków międzynarodowych a PKP w stosunkach krajowych i za wyniki ponoszą całą odpowiedzialność.

CK Partii zawiadomiło oficjalnie delegata, że solidaryzując się ze stanowiskiem moim czasowo zawiesza swoje prawo reprezentacji w PKP. Charakterystyczne, że delegat Ratajski na nasz list uznał za wskazane odpowiedzieć swoim listem, który zakończył zdaniem, że PPS jest odpowiedzialna między innymi za zamach majowy. Tego rodzaju list urzędnika będącego organem rządu, w którym PPS zasiadała, jest ilustracją do czego może poniżyć się typ. o przeszłości biurokraty.

1 września 1941 roku odbyła się konferencja ogólnokrajowa, która zgodziła się ze stanowiskiem w odniesieniu do PKP. Dalej — przyjęła nowe zasady regulaminowe organizacji politycznej i wojskowej. Konferencja obradowała w dwóch kompletach. Na tej konferencji przyjęto do wiadomości decyzję CK o wykluczeniu z naszej organizacji b. członków organizacji łódzkiej, grupujących się koło Wachowicza, Stawiskiego, Skąleckiego, Juraszka... za to, że pomimo nalegania CK i perswazji specjalnego delegata CK tow. Kuszewskiego (Tymka) żeby utworzyli z innymi komitetami Łodzi, kierowanymi przez Chodyńskiego, Krawczyka i Zwolińskiego, jednolitą organizację partyjną w Łodzi — nie wykonali polecenia. Przyczyną rozdzwieku była różnica ideologiczna. Grupa Wachowicza — jak się później okazało — była wyraźnie dywersją komunistyczną, prowadzoną przez Wachowicza, który widocznie podczas swej ucieczki we Lwowie otrzymał odpowiednie instrukcje w Kompartii. Z tym panem spotkamy się jeszcze w ciągu mego opowiadania.

Obecnie postaram się z okazji wymiany nazwisk wspomnieć działaczy terenowych uczestniczących w konferencjach ogólnokrajowych.

Warszawę reprezentowali członkowie CK z Warszawy, Warszawę podmiejską łącznie z Siedlcami: najprzód tow. Purlal (arsztowany w 1942 roku i w następstwie rozstrzelany), później Kuczewski — zmarł, Gustowski, Krawczyk, Dreksler. Łódź — już wymieniałem. Łódź podmiejską tow. Szczerkowski i Piotrków — Szmid (Szewc), Pałac (zabity w Gestapo) Czerwiński, Kumacz (zmarł), Gronostaj, Bardon. Tomaszów-Mazowiecki — Wojdan (rozstrzelany). Radomsko — Lenk (kierownik odpowiedzialny za Piotrków i Tomaszów). Częstochowa — Dziuba (zmarł) Herman Rokita (aresztowany i zamordowany) Brzozowski, Krawczyk (Karol), Dewor (Jerzy). Kielce — Rutkiewicz Władysław (rozstrzelany), Mierzejewski (aresztowany i zamordowany), Nowakowski (Sowiński). Starachowice-Ostrowiec — Szymański. Radom — Radomski (aresztowany zmarł w Majdanku), Piecz (zginął w powstaniu w Warszawie), Jaworski Kazimierz, Płoszaj Stanisław (Kuna), Waśki. Lublin — Biń (Mirek), Kunicki Wł. (zmarł). Kraków — Cyrankiewicz (aresztowany), Rzeźnik (Stefan), Bobrowski Mieczysław, Rysiewicz Adam, zasłużony w dziele oswobodzenia z Oświęcimia, podczas takiej akcji został zabity. Zagłębie Dąbrowskie

— Kura, Tajchman, Cezary Uthke (zamordowany). Śląsk Cieszyński — Motyka, Stachoń, Nosal (zamordowany przez Niemców w Oświęcimiu w związku z jego działalnością polityczną, a zwłaszcza z pomocą więźniom w najszerszym tego słowa znaczeniu — łącznie z ucieczką), Kramarz (zginął bez wieści), Janta junior (ojciec rozstrzelany w Krakowie), dr Ziółkiewicz (rozstrzelany w Krakowie), Mazur (skończył samobójstwem), Badura (zaginął bez wieści, możliwe że zamordowany), Berger (zginął śmiercią samobójczą), Kacper Ciołkosz (zmarł w więzieniu), Pilch Karol (zginął w obozie), Bator, Buczek (zginęli obydwaj w obozie), Angier (zginął w więzieniu). Lublin — Kunicki Władysław (zmarł), Józefa Kunicka... Pol, Polowa, Bieluch, Ager (zginął w obozie). Turtoń — Poznań (zmarł w Dachau). Bydgoszcz — Matuszewski Tadeusz (zmarł wskutek choroby). Kalisz — Kowalski, Stradomski (zginął w więzieniu). W robocie wojskowej Orzeł zginął w Oświęcimiu, Skulinowski Franciszek (Hucuł) zamordowany w Gestapo na Szucha. Dąbrowski (Faja), Ładkowski Władysław (więziony w obozach ocalał), Ludkowski-Lewiński, Miszewski Włodzimierz (Władysław) (zginął w powstaniu), Werner Kazimierz (zginął w powstaniu), Woliniewska Lucyna (organizacja wojskowa kobiet — tak zwana służba zastępcza), Jagodziński Piotr (Piotruś — zginął w Majdanku). Dr Pajdak (Dział Milicyjny) skazany przez sąd wojskowy ZSRR na 5 lat więzienia w Moskwie, Kaczanowski (później przeszedł do RPS, zginął w powstaniu), Raabe (później przeszedł do SOP, zamordowany przez Gestapo na Szucha, Werheim (Rozłucki — zginął z wyspy Mitznera), Szturm de Sztrem — specjalne poruczenia. Szczypiorski Adam Cezary Uthke, już wyżej wymieniony, komendant całego Okręgu Zagłębiowskiego, Rysiewicz Adam — pracował w dywersji i sabotażu a ostanio przed śmiercią w terrorze indywidualnym. Tom. Hardy komendant leśnych oddziałów PPS (los niezany), Judex (Zagłębie) aresztowany przez okupacyjne władze sowieckie i skazany, potem zwolniony (ułaskawiony), Tajchman zastępca Uthkego (po wyzwoleniu aresztowany, zwolniony, schorowany), na skutek interwencji Osóbki [w niedługim czasie zmarł w Sosnowsku — przypis K.S.]. Technika partyjna: Purlalowie, P. Stawenówna, Prusztowa, Korczak, Dziegielewski (Długi), Stępień Ludwik.

Zawieszenie naszego udziału w PKP posłużyło Kwiecińskiemu i Ludowcom za pretekst do negligowania potrzeby PPS w PKP. Wobec tego jednak, że ten wypadek — usunięcie się PPS i to po wyczerpaniu wszystkich sposobów, żeby ujawnić prawdziwe oblicze PKP — musiał wywołać swoje wrażenie i komentarze przeto sięgnięto do RPS-u i wprowadzono do PKP, najprzód Próchnika — a gdy ten zmarł — inż. Markowskiego Wincentego ze Lwowa. Oczywiście, że posłużono się również osobą Żuławskiego, którego oprócz tytułu Prezesa Rady Naczelnej Partii przed wojną, uhonorowano tytułem protektora RPS, a równoległe z tym tytułem zainscenizowano w prasie (teraz już wyraźnie morżowej) pogląd, że PPS jest rozbita na dwie grupy — jedna „sanacyjna” (!) tj. WRN, a druga ultra-socjalistyczna RPS. Tę drugą grupę uznał Londyn urzędowy i Londyn PPS-owy — emigracyjny. W samej rzeczy urzędowy Londyn Mikołajczyka i Kota umywali ręce w związku z wprowadzeniem do PKP RPS-owców i w tym względzie wysyłali depeche domagające się rewizji faktu w PKP spowodowanego jednogłośnie przez Kwiecińskiego, Grudzińskiego i Trajdosa z przychylnym głosem oczywiście Ratajskiego. Z drugiej strony po prostu nie do wytłumaczenia jest okoliczność, że Ratajski — motywując swoje stanowisko, że WRN/PPS zniknęła odtąd w korespondencji oficjalnej rządu i wojska na emigracji, ustępując miejsca dziwolągowi RPS i WRN. Jakże zaś dyrektywy wysyłał Mikołajczyk swoim — ujawniło się dopiero w następnym roku — latem 1942, ale o tym potem.

Zapewne czytelnik zapyta, no i jakże reagowali Stańczyk min. Pracy i Herman Liberman min. Sprawiedliwości — obaj z ramienia PPS, a nie RPS. Rzecz znamienna — milczeli. Emisariusz zaś z tego okresu, przybył w styczniu 1942 roku do Polski — Strzelecki (zrzucony), pseudonim zdaje się Michał, odegrał rolę dość zagadkową. Oto wystąpił u nas z oświadczeniem, że towarzysze z Sekcji PPS jednogłośnie uznali WRN jako całość PPS-ową, a jednocześnie na konferencji RPS-u, na której odczytano list powitalny Żuławskiego (czemu on zaprzeczał) solidaryzujący się właśnie z RPS-em, Strzelecki przywiózł ze sobą legat testamentalny Libermana 500 dolarów dla nas i 500 dolarów dla Ludowców. W związku z tym zapisem wynikł bardzo drażliwy incydent. Oto p. Szczawińska członkini kierownictwa Ludowców zwróciła się do mnie oficjalnie z żądaniem zwrotu 500 dolarów, które nam się nie należą, a RPS-owi. Niestety — rozmawialiśmy w takich okolicznościach, że nie było czasu na dyskusję lub wyjaśnienia. Zrozumiałem, że mam do czynienia z dalszym ciągiem intrygi i oświadczyłem, że jeśli mi przyniesie zawiadomienie od Strzeleckiego domagające się zwrotu — to oczywiście bez żadnej zwłoki dam polecenie zwrotu. Takiego zawiadomienia nie otrzymałem — zatem ta suma z dużą dozą niesmaku i goryczy została u nas. Oczywiście, że później tę kwestię wyjaśniono, a pretensja Ludowców okazała się bezpodstawną. Stało się to dopiero po przyjeździe tow. Kwapińskiego z Syberii do Londynu. I dopiero od jego powrotu, a zwłaszcza od momentu wejścia do rządu rozpoczęło się uporczywe, konsekwentne rozplątywanie całokształtu kwestii WRN czy RPS w PKP. Ale o tym piszę dalej.

Ten fakt dokonany z RPS wywołał następujące skutki: 1) zakończył budowę biurokracji Delegata w Centrali i w województwach, 2) zapoczątkował subsydia dla partii uczestniczących w PKP, czego podczas naszej pracy w PKP nie było. P. Ratajski kiedyś przed naszym exodusem z PKP luźnie zawiadomił, że wobec nie zmienionych banknotów z czym zwracają się do niego przedstawiciele partii — on z finansów rządowych gotów jest w pewnym procencie te banknoty zmieniać. Gdy później podczas rozmowy, po zakończeniu posiedzenia, zaczął mnie, że jestem tak nieprzystępny, że o nic do niego się nie zgłaszam — wyprowadziłem go z błędu. Gdy jednak jego zaczepka okazała się aluzją pieniężną — wtedy zaznaczyłem, że nie rozumiem całej kombinacji wymiany w ramach „usługi”. Jeżeli to ma być pomoc dla partii to chętnie wezmę udział w dyskusji nad tym zagadnieniem. Otóż niestety, inne partie nie miały w tej sprawie zastrzeżeń i z gotowością „wymieniały”. Obecnie po naszym odejściu z PKP uchwalono subsydia miesięczne dla Partii, zdaje się około 20 tys. złotych miesięcznie, a był to schyłek roku 1941, czyli, że sumy te były na owe czasy dość wysokie. Ale wracając do biurokracji wojewódzkiej to godzi się przytoczyć klucz międzypartyjny, którym się kierowano przy obsadach wojewodów (okręgowych delegatów). Otóż Ludowcy mieli obsadzić 6 województw. Str. Nar. 5 woj., Partii Pracy 4 woj., a RPS aż 1 województwo, w dodatku Stanisławowskie. Nic też dziwnego, że RPS ekspozytura PPR-u tak łatwo zrezygnowała ze wschodniego województwa, skoro z jeszcze większą łatwością pogodziła się z wypędzeniem jej ze wszystkich województw bezspornie polskich. Do jakiej to aberracji doszło, że świadczą takie fakty: Więc np. Partia Pracy otrzymała województwa na całe Zagłębie Węglowe. Ludowcy chyba prawem kaduka rozsiedli się w tak „chłopskich” województwach jak: łódzkie, kieleckie, krakowskie. Wobec takiego podziału łupów godnych określenia Piłsudskiego — burdel i serdel partyjny — późniejszy delegat rządowy Jankowski mógł z największą dozą słuszności powiedzieć publicznie na posiedzeniu PKP — że taki podział jest nie tylko krzywdzący socjalistów, ale po prostu niemoralny. W tym układzie, mimo zewnętrznej zgody, kiełkowały zarazki rozkładu. Uplaszowani w Centralnych Departamentach i delegaturach okręgowych Ludowcy poczuli, że jest to za mało

i postanowili zadowolić się dopiero przez osiągnięcie posterunku delegackiego. Panu Ratajskiemu — zdaje się, że dopiero po aresztowaniu Kwocińskiego — poradzono, by z powodu przepracowania podał się do dymisji. Istotnie Ratajski, nie wiem czy pod naciskiem Mikołajczyka i Kota, czy pod naciskiem samego PKP, podał się w końcu do dymisji.

Zanim to nastąpiło Gestapo zadało ciężki cios naszej organizacji w Łodzi. Według danych, oczywiście prowizorycznych, bezpośrednim bodźcem katastrofy była prowokacja tow. Andrzeja (Niedzińskiego) uczestnika jednej z konferencji ogólnokrajowych. Posypały się masowe areszty zarówno wśród naszej organizacji, jak również wśród organizacji RPS, w której znaleźli się sypiacy. Areszty te uderzyły częściowo w Piotrków, jak również i w Warszawę. Tow. Kuczewski, nasz przedstawiciel na konferencję konfliktu organizacyjnego w Łodzi musiał się zakonspirować w 100%. Tak samo tow. Chodźński został doszczętnie zasypany na terenie Okręgu łódzkiego i też musiał na jakiś czas się ukryć. Aresztowano towarzyszy Wojewodę i Sobolewskiego, Peretiatkowiczównę Janinę (u niej odbywały się narady centralne i odprawy), Śledzińskiego (później zamordowanego przez Niemców). Aresztowano bratanicę Woliniewskiej, jako represję za Lucynę, która się ukryła. Prawie cudem uniknął aresztowania tow. Karpiński. Oczywiście, że Gestapo łódzkie stanęło na głowie, by bez reszty zlikwidować PPS. Więc oczywiście zwiększono chyba tropienie tow. Zaremby i mnie... W tym stanie rzeczy, przynaglany w dodatku grypsanką z Pawiaka, pisaną przez Dąbskiego (Str. Nar.), w której przestrzegał, że Gestapo jest jak najdokładniej zorientowane odnośnie mojej osoby i natarczywie doradzał natychmiastowe wyłączenie się ze stosunków politycznych Warszawy. Doceniałem te przestrogi, a zarazem doceniałem możliwości, którymi rozporządzało Gestapo, ale jednocześnie daleki byłem nawet od myśli, żeby usunąć się z terenu. Toteż ograniczyłem się do całkowitego wyjścia z domu mojego i odtąd mieszkalem stale osobno pod innym nazwiskiem. I tak już postępowałem, aż do momentu ustąpienia okupacji niemieckiej. Ten okres należał do najtrudniejszych w naszej rodzinie.

Szczególnie doskwierał nam brak pieniędzy. Składki i inkaso należności za wydawnictwa nie mogły pokryć naszych wydatków organizacyjnych, a cóż dopiero mówić o pomocy dla masowo aresztowanych i wywożonych działaczy naszego ruchu oraz ich rodzin. Na razie trzeba było się zapożyczać, żeby wiązać koniec z końcem, a zwłaszcza nie dopuścić do ograniczenia w naszych wydawnictwach. W tym czasie i ze względu na coraz szersze zapotrzebowanie naszej organizacji oraz konieczność przeciwdziałania propagandzie naszych przeciwników, do których przyłączali się RPS-owcy — a co ciekawsze pismacy jendolitofrontowej inteligencji ludowcowej z „Orki” — musieliśmy utrzymać się na poziomie wymagań i samej sprawy i czasu. Wydawaliśmy bardzo regularnie „WRN” — który przechodził kolejną fazę: dwutygodnika, dekadowca a nawet tygodnika. Dla stosunków wiejskich wydawaliśmy „Wieś i Miasto”, dla organizacji wojskowej „Gwardia Ludowa” i „Wolność” organ raczej teoretyczno-popularny. Wobec zdezauwomienia Programu Polski Ludowej przez Ludowców, którzy jakoś dziwnie przemilczeli reklamę sojuszu Ludowcy - RPS, wydaliśmy w dwóch nakładach Program Polski Ludowej — a na jej marginesie komentarz w formie oddzielnych broszur. Z chwilą gdy otrzymaliśmy nowy program Angielskiej Partii Pracy — wydaliśmy go w tłumaczeniu polskim. Wydawnictwo to rozeszło się — jak to mówią — piorunem. Z okazji zaś przypadającego w tym roku, tj. 1942, 50-lecia PPS, wydana została broszura „Pięćdziesięciolecie PPS”, w objętości przekraczającej dwa i pół razy wydania „WRN” — autorem byłem ja. Niestety strona drukarska obniżyła wydawnictwo, które roilo się od potwornych błędów, nie tylko ortograficznych — ale wprost od „diablików” zecerskich. Jednak i z tymi błędami broszura miała

powodzenie. Niewątpliwie fakt trwania PPS przez pół wieku, miał swoją wymowę. Rozgoryczeni działacze zmuszeni do ukrywania się, ciągle przynosili wiadomości o pełni wywiązania się pieniężnego RPS. To było prawdą. I trudno było wielu towarzyszom — rozumującym kategoriami rozsądku — zrozumieć jak się to dzieje, że PPS mająca aż dwóch ministrów w rządzie, popiera pieniężne dywersje, usiłującą rozbić jedność i ideowość naszych szeregów w kraju. Dłuższe podtrzymywanie tej potworności groziło demoralizacją ostateczną. Szczęściem, dzięki inicjatywie tow. Kwapińskiego, doprowadzono Sikorskiego do ogłoszenia deklaracji ideowej rządu (podobno jak w 19 października 1939 roku) jako obowiązującej kraj i jego organizacje polityczne, w pierwszym zaś rządzie Delegaturę i PKP.

Równoległe z tym ogłoszono zasadę jednolitej organizacji wojskowej, pod jednolitym kierownictwem rozkazodawczym i organizacyjnym ZWZ z klauzulą że te organizacje, czy grupy wojskowe, które nie podporządkują się rozkazowi podporządkowania się ZWZ-owi do dnia 30 maja 1942 roku automatycznie stają poza wojskiem w konspiracji i będą traktowane jako dywersja. Z chwilą ogłoszenia tych tez zwróciliśmy się do Delegata (mia być podówczas, tj. latem 1942, kandydat Ludowców prof. Julian Piekalkiewicz (pseudonim Juliński) z oznajmieniem, że wobec deklaracji rządu w naszym duchu jako obowiązującej również PKP, zgłaszamy podjęcie naszych czynności w PKP. Dodam jeszcze, że około tego czasu otrzymaliśmy, za pośrednictwem tow. Kwapińskiego, 1.000 dolarów — przekazanych dla nas w okresie przebywania Sikorskiego w Stanach Zjednoczonych przez Związek Socjalistów Polskich Ameryki Północnej (ZSP). Niestety! — jak się okazało — Ludowcy w osobie p. Domańskiego (pseud. Wilczyński) wszczęli cały protokół dyplomatyczny z naszym powrotem do PKP. Czynili coraz większe trudności, w miarę nacisków idących z rządu via Sikorski i Kwapiński, który podówczas wszedł do rządu, w kierunku wprowadzenia nas do PKP. Rozmowa moja i Zaremby z Piekalkiewiczem nie dała żadnych wyników. Ja osobiście wyczuwałem, że Piekalkiewicz nie uczyni ani jednego kroku bez akceptacji Ludowców. Z p. Domańskim prowadziliśmy rozmowy albo we dwójkę, Zaremba i ja, albo — co zdarzało się częściej, ja i Domański. Głównym problemem dla Domańskiego i dla Ludowców (gdyż potem konferowałem także z Bagińskim, który wówczas wrócił ze wschodu) był temat, jak się rozstać z RPS-em w PKP. Otóż Ludowcy wykoncypowali teoryjkę, żeby na razie w PKP nie robić zmian, natomiast przystąpić do sformowania w zastępstwie PKP — Rady Jedności Narodowej (zgodnie z dekretem rządu), a w tej Radzie stronnictwo będzie mieć trzech delegatów. Dopiero przy rozwijaniu praktycznym tej organizacji Przedstawicielstwa Polski Podziemnej wynikło, że Ludowcy łaskawie w tej trójce przypadającej dla socjalistów — umieszczą jednego z RPS. Wobec takiego rozwiązania — po wyczerpaniu przywoitych argumentów wykazujących głupotę i amoralność takiego stawiania sprawy — zakończyliśmy rozmowę krótkim sformułowaniem: Zanim powstanie Rada Jedności my wejdziemy niezwłocznie teraz do PKP, a oni niech płód bękarci sami usuną. Rzecz jasna, że nie tylko Ludowcy, ale też i ich wspólnicy w PKP nie byli skorzy płuć sobie samym w twarze za wprowadzenie RPS do PKP. I dlatego sprawa lekła się nieprzyzwoicie, przybierając często oznaki wisielczej szczerości. Bo oto publicznie na posiedzeniu PKP Grudziński oświadcza, że RPS pomogliśmy finansowo, żeby stanął na nogi, wynikało to z potrzeby uniemożliwienia — po wyjściu WRN — rozpadu PKP. W ślad za tymi słowami kształtowały się fakty bezprzecznego rządzenia PKP przez klikę ludowców, wspólnie z p. Felczakiem — zdezaubowanym przez Partię Pracy — przy „neutralności” Stronnictwa Narodowego.

Był to zatem groźny impas rozwijający się w atmosferze pełnej amoralności i politycznej bezideowości. Stworzono bagno, w którym doskonale się czuli

Stambolińscy — bo tylko to określenie charakteryzuje klimat i typy polityczne ze szkoły „Witosowej”. Najlepiej charakteryzują to środowiko dłużące się w nieskończoność rozmowy z p. Domańskim, a potem z Bagińskim, które miały przybliżyć nas do finiszu. Domański np. wysuwał tezę: zanim PPS powróci do PKP on — najwidoczniej z inicjatywy Delegata Piekalkiewicza — proponuje udział w komisjach: narodowościowej, spraw zagranicznych, pomocy Żydom. Godzę się, by zorientować się w tej skomplikowanej mechanice kłamstw i wykrętów. A więc z dalszych wyjaśnień wynika, że np. w komisji narodowościowej siedzą ONR-owcy. Jak dla urągowiska okazuje się, że w pomocy żydowskiej zasiadają — czy też mają zasiadać również ONR-owcy. Do takiej „orientacji” doszli radykalni polityczni spod znaku Ludowców, no i RPS-u. Bezideowość i bezprogramowość PKP musiała doprowadzić do takich absurdów. Wielką odpowiedzialność wzięli na siebie ci wszyscy, którzy w kraju i w Londynie woleli ekwilibrystykę polityczną zamiast sumiennego omówienia postulatów i dania [...] obowiązujących. Szczytem głupoty czy bezczelności była propozycja Domańskiego — jakoby w imieniu Delegata — że tymczasem, aż do rozstrzygnięcia naszego wejścia do PKP, delegat proponuje nam połowę poborów subwencyjnych, otrzymywanych przez RPS, a tym samym i resztę członków PKP. Jasne, że w tym stanie rzeczy zrezygnowałem z dalszych rozmów z reprezentantem Delegatury i wysłałem depeszę przez wojsko tej mniej więcej treści: „*Delegat sabotuje Wasze polecenia, a nadto używa pieniędzy państwowych na korupcję międzypartyjną. Oczekuję natychmiastowej interwencji*”.

Depeszę tę pokwitował Kwapiński. A później, już jesienią, emisariusze potwierdzili również odbiór depeszy i naszych listów dotyczących tej sprawy. Z rozmów z delegatami widoczne było, że między Ludowcami a nami zagranicą była *entente cordiale*, potrzebna widocznie jako zasłona dymna dla dywersji w PPS w kraju.

Z rozmów z emisariuszami wynikało jeszcze, że Mikołajczyk głównie i wyłącznie prowadzi walkę z Sikorskim o wyłączność Ludowców wszędzie, choćby do spółki z endekami, nie wyłączając zwłaszcza wojska. Nie przebierał zdaje się w środkach — co stwierdzają deklaracje emisariuszy, składane podczas rozmów z członkami PKP, deklaracje od imienia Sikorskiego, że „on jest demokratą, że ceni akcję polityczną stronnictw i że nie zamyśla, jak go wrogowie sanacyjni i ludowcowi oskarżają, że chce być dyktatorem”.

Z tego przykładu można łatwo się domysleć, jaka atmosfera panowała w gabinecie rządowym i dlatego jakąż przesadą odznaczają się późniejsze deklaracje Mikołajczyka, już w kraju i w *Gazecie Ludowej* pełne uwielbienia dla Sikorskiego i dla jego dążeń politycznych, które urosły w ustach Mikołajczyka do rozmiarów testamentu politycznego dla narodu.

Pozostawałoby jeszcze zatrzymać się na rozmowach z p. Bagińskim. Straciłem moc czasu i to nadaremno, bo ani na jeden milimetr te rozmowy nie zbliżyły nas do siebie, ani też do załatwienia samej sprawy.

Żał mi było tego stanu rzeczy, boć przecież żyliśmy kiedyś bardzo blisko i nic nas nie różniło, chociaż byliśmy w dwóch różnych partiach. Język jego, którego używał i argumenty musiały doprowadzić do „krótkiego spięcia” w wyniku którego rozeszliśmy się, by odtąd spotykać się jedynie oficjalnie jako prawie obcy.

Tow. Szturm de Sztrem był świadkiem ostatniej rozmowy. Dopiero katastrofa delegata — to jest jego ujęcie w sytuacji wyraźnie prowokatorskiej — zakończyła tę grę niegodną PKP.

Regulaminowy tylko, a więc czasowy Delegat — pierwszy zastępca Piekalkiewicza — Jankowski po prostu zaprosił 21 marca 1943 roku PPS na posiedzenie PKP i tym wyczerpał cały incydent RPS — ciągnący się dzięki

intrydze półtora roku. Wprawdzie w ostatniej chwili usiłowano ze strony Ludowców znokautować nas swymi obawami, że moja osoba w PKP nie przyczyni się do stabilizacji i z taką sugestią zwrócono się do Jankowskiego — jednak i ten chwyt został sparaliżowany. CK wybierając mnie na delegata do PKP jednocześnie akceptował deklarację przeze mnie napisaną, a która między innymi poruszyła sprawę aktywizacji PKP w samym PKP, a także i poza PKP.

Dla historii — do której odniosą się kiedyś wspomnienia o pewnej robocie międzypartyjnej, w której brałem udział — zaznaczę w tym miejscu, że kontrakcja Ludowców została udaremniiona dzięki poparciu tego środowiska międzypartyjnego tak jak temu poparciu zawdzięczała później moja inicjatywa opracowanie wspólnego programu PKP. Wracając do mojego udziału w PKP przy delegacie Jankowskim zaznaczę, że już na pierwszym posiedzeniu zgłosiłem wyżej wspomnianą deklarację. Przed PKP stanęła sprawa przedstawienia rządowi do nominacji kandydata na stałego Delegata. Dzięki wstawiennictwu moich kolegów z roboty międzypartyjnej, przeszła moja inicjatywa wysunięcia jednogłośnie Jankowskiego na Delegata. Tak samo przeszedł mój wniosek, żeby zgłosić trzech zastępców Delegata zamiast dwóch. I tu osiągnięto jednomyślność dzięki wstawiennictwu roboty międzypartyjnej i poparciu samego Jankowskiego i wy tłumaczeniu Str. Pracy, że dzięki wyborowi Jankowskiego, pozostającego z tą Partią w stosunkach bardzo bliskich, choć nie partyjnych, jest należycie reprezentowana w PKP. Ustalono wobec tego kolejność zastępców: 1) PPS, 2) Ludowcy, 3) Str. Narodowe.

Ten niebывały sukces jednomyślności w zakresie Delegata i jego zastępców wytworzył silny odruch w PKP ku twórczości zmierzającej do wyrobienia w społeczeństwie, uginającym się pod straszliwymi represjami okupanta, poczucia autorytetu i stronnictw i rządu emigracyjnego, pracującego i działającego wśród powszechnego szacunku i zaufania narodu polskiego. Tak rozumowaliśmy, zdaje się wszyscy w PKP, podejmując nasze uchwały. Do tego poziomu nie dostosował się jedynie Mikołajczyk. Bo oto zażądał od PPS (rozumie się na emigracji) żeby 1-szym zastępcą nie był PPS-owiec, ale Ludowiec. O tym dowiedzieliśmy się z partyjnej korespondencji wyjaśniającej bodaj pisma tow. Kwapińskiego, że ustąpiono miejsca — dla świętego spokoju. Niewtajemniczeni członkowie PKP wyrażali swoje zdziwienie z takiej cenzury. Na pierwszych posiedzeniach PKP omówiliśmy między innymi nasz stosunek do kwestii czeskiej według mego referatu, bazującego na układzie federacyjnym czesko-polskim z roku 1941 — a sabotowanym po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej przez Benesa i jego przyjaciół. Odbijało się to oczywiście na robocie na Zaolziu. Następnie PKP przystąpiła do wysłuchania referatu-*exposé* Grota o całości kształcie robót ZWZ. Grot z całą świadomością, mimo wezwań PKP, nie zjawiał się na posiedzenia ze sprawozdaniem gdyż, jak mówił, musiałby ze względu na RPS (których uważał za wtyczkę komunistyczną) liczyć się ze słowami. Teraz po oczyszczeniu atmosfery, przygotowany na krytykę niezależną od wrogich Polsce agentur — zgłosił się sam z referatem.

Na to posiedzenie przyszedł Grot z Rzepeckim, który do referatu Grota odczytywał odnośne dokumenty. W swoim przemówieniu Grot sprecyzował czym jest ZWZ, podkreślił jego monopolistyczny charakter w tworzeniu siły zbrojnej w Polsce, a zarazem omówił stosunek służbowy, który zamyka się w podporządkowaniu ZWZ rządowi, którego premierem jest Sikorski, będący jednocześnie naczelnym wodzem. Zaznaczył z naciskiem, że ZWZ powitał deklarację programową rządu z prawdziwym zadowoleniem, gdyż w ten sposób sprecyzował zasady propagandy ZWZ w duchu wolnościowym — antyfascystowskim i antytotalistycznym. Dzisiaj, gdy od drugiej połowy 1942 roku ZWZ stoi w walce dywersyjno-partyzanckiej, wzmocnionej synchronistycznymi akcjami

dywersyjnymi przede wszystkim na drogi i środki komunikacyjne Niemców (koleje, stacje, mosty) ZWZ tym bardziej odczuwa konieczność propagandy nie tylko we własnych szeregach, ale też własnej propagandy rozkładowej w armii niemieckiej. Tutaj, na wezwanie Grota, Rzepecki odczytuje odezwy i publikacje podpisane przez organizację antyhitlerowską „Hammer” (młot) i jednocześnie przytacza wewnętrzne rozkazy władz i dowództwa niemieckiego, starającego się paraliżować wpływy tej propagandy.

Nie da się zaprzeczyć, że zjednoczony ostatecznie ZWZ zwiększył swój wysiłek w dziedzinie ideowej i w propagandzie. I dlatego Grot konsekwentnie będzie kontynuował nacisk na podporządkowanie grup wojskowych, dotychczas chodzących luzem, oraz będzie dążył do wyjaśnienia wkładu, jaki partie zasiadające w PKP zamierzają ulokować w konkretnych pracach ZWZ. Zaznacza, że np. dotychczas nie ma decyzji w tym względzie ze strony Ludowców, gmatwa się sprawa ze Str. Narodowym mającym kłopoty w grupie Stypułkowskiego, kontakty Str. Pracy są nadal słabe. Jedynie współpraca z PPS wytrzymuje próbę. Skarży się, że nawet organizowanie tak ważnej służby pomocniczej, jak Straż Ochrony Powstania (SOP) mająca znaczenie zabezpieczenia ruchu zbrojnego przed wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym — natrafia na duże opory i zwlekanie, a rozpoczęte w tej sprawie rozmowy z Ludowcami utknęły. Wspomina dalej o tarcjach w rządzie na tle stosunków między wojskiem, a niektórymi ministrami i że na nowo problem struktury władz naczelnych wojskowych staje się aktualny. W tej sprawie sygnalizowany jest projekt dekretu przygotowany przez Sikorskiego i przez Mikołajczyka: oba te dekry (tak sądzi) przyjdą pod obrady PKP. Rozstrzygnięcie ich przyczyni się do wyrównania istniejących różnic i do uspokojenia. Tak samo będzie dążył do wyrównania różnic w PKP na temat tzw. administracji zastępczej, która jest sprawą bardzo pilną. Wreszcie na zakończenie przytoczył wiele danych polskiego wywiadu wojskowego, który stanowił i stanowi najpoważniejsze źródło informacyjne o zamiarach wojskowych Hitlera. Wiadomości polskie zyskały ogromne uznanie w sztabach alianckich, o czym świadczą specjalne listy dziękczynne nadsyłane na ręce Dowództwa polskiego. Referat wyczerpujący całokształt prac ZWZ wywołał ogromne zainteresowanie i mnóstwo pytań, na które Grot odpowiadał. W wyniku dyskusji przyjęto sprawozdanie do wiadomości i wyrażono opinię, żeby tego rodzaju referaty przynajmniej raz na miesiąc znajdowały się na porządku dziennym PKP. Przyjęto też mój wniosek, żeby najbliższe posiedzenie poświęcone było sprawie przyszłego powstania przeciwko okupantowi. Na marginesie dyskusji ZWZ-owej podnoszono sprawę dekretu o naczelnych władzach wojskowych, który wynikał z niebywale napastliwego stosunku Mikołajczyka do Sikorskiego. Opierając się na dużej opozycji wynikłej z podpisania układu polsko-sowieckiego przez Sikorskiego bez opinii rządu, a nawet bez zdania ministra spraw zagranicznych, Mikołajczyk rozszerzył konflikt na zagadnienia: 1) Premier nie może być jednocześnie wodzem naczelnym. 2) Premier nie prowadzi wojny i nie zawiera układów, tylko czynić to ma rząd. 3) Przykładem winna służyć Anglia. Ale poza tymi zagadnieniami kryły się takie sprawy jak podejrzenie Sikorskiego o zachcianki dyktatorskie, a także „fakty” popierania sanacji w osobach wyższych oficerów wysuwanych przez Sikorskiego na odpowiedzialne stanowiska w armii. O Sosnkowskim wówczas jeszcze nie mówiono, nie budził widocznie obaw. Groźniejszym dla przyszłych Stambolijskich był Sikorski. On bowiem między innymi odmawiał odmłodzenia armii przez wprowadzenie młodych oficerów do armii. Oczywiście, że usuwając starszych wiekiem i rangą oficerów nie myślał p. Mikołajczyk kim politycznie i fachowo będą młodszy oficerowie. Przecież nie było to tajemnicą, że siłą faktów (wyższe studia dostępne były tylko dla bogatych — burżuazja, wolne zawody,

handel, przemysł, przedsiębiorstwa, obszarnictwo itp.) młody korpus oficerski orientował się na nacjonalizm i ONR. Ale to widocznie niewiele ważyło u Mikołajczyka skłonnego zawsze do flirtu z prawicą — ważniejsze było „schrupanie” Sikorskiego. Dochodziło między innymi do takich scysji na radzie ministrów, że walono sobie pod nosem pięściami (Sikorski - Mikołajczyk). Oczywiście nie chcę bronić Sikorskiego, którego zalety i wady doceniam, patrząc dwojgiem oczu bez zęza... Ale skoro go postawiono na czele rządu i wojska, nie wchodząc w talmudyczne dzielenie go na dwie indywidualności od siebie niezależne, to należy być już konsekwentnym. Bo czyż jest konsekwencją np. odbieranie (według propozycji dekretalnej Mikołajczyka) naczelnemu wodzowi nominacji oficerów albo np. odbieranie dowodzenia ZWZ w kraju, czyli doprowadzenie do absurdu samej koncepcji naczelnego wodza w doborze sobie współpracowników i decyzji odnośnego awansu. Czyż może to robić rada ministrów lub też ta sama rada może z ręką na sercu narzucać się ze swoim kierownictwem nad ZWZ w kraju? Słowem wkraczano na bardzo niebezpieczną drogę, którą już kiedyś odbyliśmy, podejmując podobny konflikt z Piłsudskim. Na tym posiedzeniu załatwiono odmownie list PPR-u dotyczący jego współpracy z Delegaturą, jako czynnik równorzędny z ZWZ, na zasadach parytetu we władzach ZWZ od góry do dołu. List ten był wynikiem zwrócenia się PKP z inicjatywą Ludowców, popartą przez PKP do PPR-u w odpowiedzi na oświadczenie tegoż PPR złożone na konferencji porozumiewawczej, w której uczestniczyła Delegatura i ZWZ. Po skonfrontowaniu tego oświadczenia z treścią późniejszego listu wyłodziło sztywność z worka, a mianowicie tradycyjne z kręcenie komunistyczne byle dostać się do centrum danej roboty. Szkoda, że przedtem nie zastanowiono się i doprowadzono do wciągnięcia przez komunę w niepotrzebną dyskusję, dającą podstawę — zwłaszcza w konspiracji — do niekończących się zarzutów i wyjaśnień. Odrzucając treść listu zakończono tę wołokitę, tracąc dużo czasu i stwarzając iluzję, że partner stał się innym, godniejszym zaufania dżentelmeńskim.

Podjęcie prac w PKP przez nas, a tym samym wyjście delegata RPS z gry, musiało spowodować kryzys wewnętrzny w tymże RPS. To tylko spotęgowało rozkład wewnętrzny biorący swój początek z afery Wachowicza w Gestapo. Aresztowany, pod naciskiem faktów które mu Gestapo przytoczyło, a z których wynikało, że wszystko wiedzą, zgodził się za cenę uwolnienia służyć swoją współpracą. Przedtem jednak wydał archiwum RPS i swoją drugą żonę. W ten sposób kariera „prezesa” RPS Wachowicza „Aleksandra” została u uczciwych ludzi przypieczętowana. Trudno było uwierzyć w jego deklarację, że nikomu nie grozi skoro na zebraniu, na którym złożył sprawozdanie ze swej bytności w Gestapo, przyznał się, że ma się widzieć z kimś z Gestapo i ma w tym celu podany telefon. Szczegóły tej ohydnej sceny opowiadano, a nawet sam Wachowicz w tej sprawie — jakiegoś sądu międzypartyjnego nad sobą — zwracał się do naszego tow. Stopnickiego. Otóż na tym tle zaczęły się wyłaniać ze strony niektórych RPS-owców propozycje likwidacji RPS i wstąpienie do nas. Z podobną ofertą porozumienia zwrócił się do nas Zdanowski ciągnąc Żuławskiego. Zaczęły się konwetykle, które wobec zaszciplowania RPS i jego ludzi mogły przyczynić się do inwigilacji naszych stosunków. Potrzebna więc była duża ostrożność zwłaszcza wobec zapowiedzianych, a nam bliżej nieznanych, powracających z dywersji RPS-owskiej do Partii. Na tym tle między mną a resztą towarzyszy w CK była duża rozbieżność. Rozbieżność ta powstała na temat formy likwidacyjnej. A więc, czy to ma być zebranie „jednych i drugich” — przeciwko czemu protestowałem — czy też ma ten cały bagaż rozładować i przegrupować instytucja partyjna, statutem przewidziana. Taką instytucją mogła być jedynie Rada Naczelna. Tego znów nie chciał Żuławski, tak jak

zresztą nie zgadzał się na to, aby Rada Naczelna miała kooptować do obcego CK WRN dalszych członków CKW wybranego na Kongresie w Radomiu. Wymiana opinii doprowadziła do zwołania Rady Naczelnej, która zaakceptowała linię polityczną dotychczasowego kierownictwa WRN i dokooptowała do składu CK dalszych członków CKW tj. Bienia, Szerkowskiego i Kłuszyńską, a dodatkowo tow. Zdanowskiego (kandydata Żuławskiego). Na tym też zebraniu Rady Naczelnej uchwalono powrócić do nazwy PPS na wszystkich szczeblach roboty konspiracyjnej. Tak samo ustalono zmianę nazwy naszej organizacji wojskowej Gwardii Ludowej na OWPPS (Oddziały Wojskowe PPS — tj. Pogotowia Powstańczego Socjalistów). Zmiana nazwy była między innymi konieczna także ze względu na oszustwo komunistów, którzy naszą firmę przyjęli do swoich oddziałów, robiąc tym samym zamęt w całej konspiracji wojskowej. To łajdactwo bezprzykładne, wzorowane tylko na faszystach i nazistach, kradnących symbole socjalizmu, jak czerwone sztandary, 1 maja itp., wymagało środków zaradczych. Ujawniając się uczyniliśmy to w momencie, gdy: 1) PPS została całkowicie przez Gestapo rozpoznana i WRN nie stanowił już osłony. 2) Ujawniła nas praktyka propagandowa przeciwników politycznych (RPS i PPR). 3) Represje szalejące, ekspedycje karne, zbiorowe egzekucje, obozy karne, łapanki i porywanie na roboty — a ostatnio 17 stycznia 1939 r. kiedy to dokonano monstrualpanki zwłaszcza w stolicy i symbol tego Majdanek — wszystko to wymagało wyraźnej pozycji i sztandaru walki, zwłaszcza dla naszych szeregów.

W tej ostatniej próbie, kiedy PPS-owiec chciał i miał prawo ryzykować, cierpieć i ginąć jako PPS-owiec, także w oczach oprawców hitlerowskich. To były nasze Nazwiska i liczby straceni — to praca i ocena przyszłych dziejopisarzy PPS. Pierwszymi z naszych najbliższych działaczy w obozie Majdanek byli zamordowani: Jagodziński Piotr, Portal Antoni, Dworzańczyk Zygmunt, Radomski Jerzy... Godzi się wspomnieć powstanie w Getcie w dniu 18 kwietnia. Była to akcja wyłączenie żydowska, partyjnie luźna, w pewnym stopniu Bundowska Poalej Syjonistyczna. Zdarzały się też objawy wpływów komuny. Było też trochę Polaków — łączników z ZWZ i z Delegaturą. Na PKP mieliśmy w owym czasie sprawozdania ZWZ i Komitetu Opieki nad Żydami. W tych dwóch kierunkach szła akcja wspomagania, a więc pomoc materiałowa ZWZ (choć pod względem uzbrojenia Żydowska Organizacja Bojowa była według relacji ZWZ bardzo dobrze wyposażona w broń i sprzęt bojowy) była w granicach możliwości ZWZ dostarczana. Walną pomocą mogłaby być broń ciężka, nie mówiąc już o artylerii no i awiacji — ale tych sprzętów ZWZ nigdy nie posiadał. Jakie były zasoby i możliwości własne o tym świadczy chyba najbardziej autoratycznie powstanie sierpniowe. I dlatego zarzuty na bezczynność polskich czynników wojskowych są zarzutami oszczerczymi, zdarzającymi się zawsze, gdy Polak przegrywa. Wtedy każdy zarzut utrzymuje się jako prawda obiektywna. Ze z istotną prawdą mijają się koła żydowskie — cóż na to poradzić? Zresztą nie grzeszą uczciwą prawdą nawet tam, gdzie istnieją efekty w postaci miliardów złotych udzielanych na pomoc Żydom i w punktach opieki nad nieszczęśliwymi uciekinierami z Getta. Pewnie, że dzisiaj lepiej się z tym udziałem „faszystowskiego” ruchu w Londynie nie afiszować. Ale po cóż złorzeczyć? Czy dużo wpłynęło pomocy od sąsiada? Zapewne, że telegraf radiowy Delegata stale przeciążony i zawsze działający niejako pod okiem Gestapo nie mógł całego zamówienia z okresu powstania z Getcie wyładować za granicę, w pierwszym rzędzie do Londynu. Jednak godzi się zapytać, a kto jeszcze z narodów okupowanych spełniał funkcję telegrafisty w sprawie żydowskiej? Warto dodać, że niemal do końca 1942 roku prasa zagraniczna unikała jak zakłeta tematu eksterminacyjnego Niemców wobec Żydów. Po prostu temu co podawano oficjalnie z Polski nie wierzono. Jaka była psychoza „demokracji” dowodzi tego

fakt legendy, stworzonej przez Goebelsa i rozprawdzonej przez usłużną prasę wielkich demokracji — że walka w Getcie Warszawskim została podjęta przez Żydów jako samoobrona przed Polakami, którzy rzucili się na Żydów, by ich wymordować. Niemcy zaś po prostu z dobroci serca — interweniowali. W te legendy uwierzono. Ale nie o to mi idzie. Idzie mi o to, że milczenie prasy zagranicznej — będącej przecież domeną finansjery żydowskiej — do wiosny 1943 roku w sprawie bezprzykładnej mordowni Żydów — zasługuje na uwagę i najgłębsze studium. Pisząc o represjach niemieckich nie można pominąć milczeniem nalotów bombowych Rosjan na Warszawę. Od pierwszego dnia wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Rosjanie bombardowali Warszawę. Najprzód we dnie dwa naloty w pobliżu mostu Kierbedzia od strony Pragi, a potem w okolicy Krakowskiego Przedmieścia — odcinek Zamek, Kozia-Trębacka. Były ofiary w Polakach. Potem jesienią głównie Grochów — ofiary w ludziach. Naloty szły przeważnie w nocy. Obecnie podczas walk w Getcie dokonano nalotu również na Warszawę, 12/13 maja nocą, pustosząc śródmieście w obrębie Kruczej, Alei Jerozolimskich i pl. Zbawiciela. Ruiny i trupy Polaków. Jakoś nigdy nie zdarzały się naloty na dzielnice niemieckie. A przecież podówczas te dzielnice już się ustaliły. Można zrozumieć jeszcze bombardowanie cmentarza Powązkowskiego i okolicznych domów, przyjmując tłumaczenie płk. Roweckiego, że na cmentarzu stały tabuny koni. Gdybym był złośliwy, to raczej mógłbym uwierzyć w tezę, że na Powązkach było więcej ukrywających się w grobowcach Żydów niż niemieckich koni. Z tych względów choćbym chciał, nie mogę uwierzyć, że te naloty miały związek z pomocą walczącym w getcie. Raczej odwrotnie, gdyż bezkarność Niemców była pokwitowana właśnie nalotem bombardującym Polaków. A może w ten sposób mszczono się za antysemityzm — kto wie? Słowo jeszcze o nalotach odwetowych. Byliśmy tacy naiwni, że w obliczu straszliwych przejęć represyjnych ludności polskiej zwróciliśmy się do rządu w Londynie z wnioskiem, by alianckie lotnictwo bombardujące zastosowało odwet na bezbronnych miasteczkach niemieckich oczywiście *titulo exemplo*.

Przypuszczaliśmy, a nawet byliśmy wszyscy w Polsce pewni, że odwetowe bombardowanie nawet małej miściny niemieckiej, oczywiście z zapowiedzią, że jest to odwet za to i za to w Polsce — że tego rodzaju akcja będzie najbardziej przekonywująca Niemców. Ale na te propozycje na razie Alianci nie dawali w ogóle odpowiedzi. Później jakoś odpowiedzieli, że względy „humanitarne” ich wstrzymują. Nie powstrzymały względy humanitarne od bombardowań np. miast szwajcarskich (Szafuzu).

Jak już wspominałem z okazji mojej deklaracji na pierwszym posiedzeniu PKP zapowiadałem próbę sformułowania programowego naszej 4-ki w PKP w oparciu o deklarację rządu. W myśl tego rozpoczęliśmy rozmowy najpierw nieoficjalne, a później już oficjalne na ten temat. Na mocy uchwały 4-ch zostałem referentem i przygotowałem pierwsze sformułowanie programu porozumienia 4-ki. Mieliśmy trochę formalistyki ze strony Str. Nar. Pan Sacha (Marek) ciągle powoływał się na fakt, że Str. Nar. nie jest reprezentowane w rządzie (Stroński i Kumaniecki nie reprezentują Stronnictwa), a wobec tego Str. Nar. ma trudności w angażowaniu się po stronie rządu. Wprawdzie w tej trudności p. Sachy było nieco dwuznaczności, chociażby ze 100% udziałem w Delegaturze, ale opór z jego strony był niestety hamującym lub odrzucającym ze strony Str. Nar. Narady szły jednak dalej i dopiero gdy zmienił się reprezentant Str. Nar. w miejsce Sachy (który został aresztowany) a mianowicie p. Jankowski (pseud. Olza) praca poszła szybciej. W rezultacie mogliśmy w dniu 15 sierpnia 1943 roku ogłosić dokument naszego porozumienia, jako podstawy ideowej i programowej PKP, Delegatury i Wojska. To szalenie odprężyło sytuację w konspiracji i rozładowało wszelkie oddziaływanie *outsiderów* na prawicy i lewicy, a nawet

gdy chodzi o pewne sfery sanacyjne. Szczególnie Delegat, który najbardziej obawiał się różnic w PKP, był bardzo zadowolony z osiągnięcia porozumienia. Wspomniany program stał się programem także późniejszej Rady Jedności Narodowej i wyszedł w oddzielnej broszurze wydawnictwa D.I. Delegatury. Zatem nie mam potrzeby cytowania tego programu. Fakt porozumienia 4-ch w kraju wpłynął także na Londyn, który ze swej strony przesłał ten program rządowi alianckim, które pokwitowały go między innymi w drodze audycji radiowych. W ogóle wówczas nikomu nie przychodziło do głowy podejrzewać lub twierdzić, że podziemie polskie jest faszystowskie.

Na razie tylko Sowiety przygotowywały całą marszrutę dla swej dyplomacji w kierunku pozbawienia Polski jej symboliki wolności w obozie alianckim, a później dopiero jej przestępczej ideologii — faszystowskiemu państwu istniejącemu w granicach dla Sowieców i „demokracji” nie do przyjęcia (linia Curzona). Na razie Sowiety były w pierwszej fazie podważania Polski w rodzinie Aliantów. Tą pierwszą fazą było zerwanie stosunków dyplomatycznych z Polską. Pretekstem posłużyła sprawa masakry oficerów polskich — jeńców wziętych przez Sowiety w 1939 r., pogrzebanych w Katyniu. Groby tych męczenników odkryli Niemcy i zrobili z tego wielką propagandę. Ponieważ po układzie z Sowietami w ciągu kilku miesięcy rząd polski na próżno dobijał się wieści o tysiącach zaginionych w Sowietach wojskowych Polaków, przeto wobec rewelacji niemieckich nie mógł milczeć i zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o interwencję. To prawo zakwestionowały Sowiety, uważając widocznie Polaków już wtedy za swój paszalyk i z tego powodu zerwały stosunki dyplomatyczne. Nic nie pomogło wycofanie się rządu na całej linii z tego wypadku, naturalnie pod presją Aliantów, którzy stanęli oczywiście po stronie Rosji. Charakterystyczne, że na procesie Norymberskim gdzie sądzono zbrodnie hitlerowskie, sprawę Katynia zgodnie zeskamotowano. W czym interesie? Niewątpliwie była to bomba rozpryskowo-cuchnąca i od niej zaczęło się konsekwentne izolowanie, pogńębienie i oczernianie Polski, w końcu dalsze szarpanie jej organizmu. Zasada, że Polska przed zakończeniem wojny z Hitlerem winna jako pierwsza, jako wróg Hitlera, przed nim płacić kosztą wojny przez uznanie paktu Hitler-Mołotow, przez gehennę wysiedlania i przesiedlania ludności, nie mówiąc już o rabunku dokonany na terenie ziem wschodnich przez Sowiety, nie mówiąc też o milionach mieszkańców pomordowanych, wysiedlonych i rozrzuconych w stepach jako niewolnicy, zaszczutych w różnych przymusowych robotach, bez uwagi na wiek, na rodzinę i zdrowie, ta zasada została przyjęta za wytyczną wspólnej polityki Aliantów, wobec Polski, najprzód tajnie w Teheranie, potem jawnie w Jałcie. W podpisach pod tym ohydny dokumentem figurują nazwiska twórców Karty Atlantyckiej i jej autora Roosevelta, który znalazł słowa pocieszenia. Tak jak niegdyś Fryderyk Wielki rozszarpując Polskę oświadczył, że Polska jest tą komunią wspólnoty trzech skłóconych wierzeń: katolickiego (Austria), protestanckiego (Prusy) i prawosławnego (Rosja), w 173 lata później w okresie radia i bomby atomowej i walki ideowej o Wolność od 4-ch strachów, nie trzeba powoływać się było na argumenty — imponderabilia ducha — wystarczył brutalny kruczek adwokacji Roosevelta, że Karta Atlantycka jest dokumentem nieformalnie sporządzonym i w ten sposób rozgrzeszył nową zbrodnię dziejową.

Tedy jasne się stało, że ani w ustroju faszystowskim, ani totalistyczno-komunistycznym, ani tym bardziej w tzw. demokratyczno-ludowym — miejsca dla Polski naprawdę scalonej i niepodległej nie masz. I tak jak zbrodnia rozbiorów z wieku XVII-go zemściła się na Europie, tak ta nowa zbrodnia XX-go

wieku znajdzie swe zadośćuczynienie. Jakże spłówał i zozydniał frazes o wojnie w obronie Polski podjętej. Przypomina nam się podobny frazes z roku 1812 o wojnie o Polskę, głośzony przez Napoleona. Jakże niedaleko odskoczyła oficjalna Europa.

Tak zarysował się wewnątrz koalicji antyhitlerowskiej podział na przyszłych małych (ubogich krewnych) i Wielkich Brytanów. Powstało też największe niebezpieczeństwo dla naszej sprawy. Na dobitkę zabrakło kręgosłupa w sprawie Katynia, a wkrótce zabrakło Sikorskiego, jedyne go człowieka, który posiadał w ręku wszystkie intymne sugestie i obietnice Churchilla (nigdy nie zdradzę Polski) Roosevelta (my pierwsi przed Sowiecami znajdziemy się w Berlinie i w Warszawie). Sikorski zginął w Gibraltarze w początku lipca. Około tego czasu, bo 30 czerwca, wpadł w ręce Gestapo komendant ZWZ Grot. Te straszliwe dwa ciosy jednocześnie, przypieczoneowały nasz los. Odtąd też pustka wyraźnie zaciężyła na naszych sprawach, może nie tak mocno w kraju, ale na pewno rozstrzygająco za granicą, gdyż dała pole do precedensów. Okoliczności tych dwóch spraw giną w tajemnicy dotychczas całkowicie niewyjaśnionej. Ale nie ma zbrodni, która by się ukryła. Przyjdzie jej czas na pewno. Dwaj koronni świadkowie mówią: Retinger — szara eminencja Sikorskiego — w kwietniu 1944 roku wyjaśnił mi podczas bytności w Warszawie (przybył jako skoczek), że katastrofę spowodowała aberracja światła powstała z racji zachodzącego zmiernu nad wodą. W zetknięciu horyzontu z oceanem powstały jakoby dwa poziomy pułapu i dlatego pilot, straciwszy orientację rzeczywistego horyzontu — wpadł do morza. Taką tezę wykoncypowała komisja specjalna. Od siebie Retinger nic nie dodawał, chociaż po katastrofie niezwłocznie przyleciał na miejsce wypadku; toteż ze zdziwieniem przeczytałem kilkakrotnie w „Gazecie Ludowej” cytowane słowa Mikołajczyka — szkoda, że tak późno odkrył tę tajemnicę, która mu tak ciążyła, — że sprawcami śmierci Sikorskiego są sanatorzy zagraniczni, a drugi raz, że w związku z rebelią Andersa Sikorski poleciał na Bliski Wschód, no i w drodze powrotnej zginął w katastrofie. Ta druga relacja odbiega jaskrawo od pierwszej. Czyli że Mikołajczyk jeszcze mniej może powiedzieć o samej katastrofie aniżeli p. Retinger, który ani słowem nie wspomniał o rzekomych aferach rebelianckich gen. Andersa i jego kompanii. Swoją relację Retinger składał wobec mnie (powtórnie), Olzy, Urbańskiego i Grudzińskiego. O Andersie wówczas nie było mowy ani słowa. W związku ze śmiercią Sikorskiego — premiera, powstało zagadnienie wodza naczelne go i premiera rządu. Na PKP powzięliśmy uchwałę że tym razem chcemy być wysłuchani w sprawie tworzącego się rządu. Niestety i tym razem, bez naszej rady i zapytania, najprzód powołano na Naczelne go Wodza gen. Sosnkowskiego, będącego już zastępcą Prezydenta. Ta spieszna nominacja dała początek nagonki Ludowców i Chadeków w kraju na tę kandydaturę i na rząd, a to synchronizowało się z analogiczną akcją — oczywista z innej beczki — Sowie tów. I ta kwestia odtąd rośnie i urasta do tej potwornosci, której byliśmy świadkami w momencie likwidacji Sosnkowskiego na rozkaz Sowie tów (polece nie Churchilla), „wspomagających” w ten sposób, razem z Mikołajczykiem, powstańczę Warszawę. Ale wtedy Mikołajczyk budował sobie odskocznię do opuszczenia Londynu.

Dziś przy katastrofie Sikorskiego „oddziaływał” jedynie na swoich w kraju. Oczywiście, że odnośnie Premiera nie było innego wyjścia, jak kandydatura Mikołajczyka. Raz jako b. wicepremiera, a drugi z uwagi na możliwą awanturę Ludowców, rwących się do władzy *per fas i nefas*. Zaczęły się seryjne wystąpienia nowego Premiera przed mikrofonem BBC. Jego informacje wewnętrzne szyfrowane dla kraju były nadal skąpe i ubogie. Pod tym względem nic się nie miało na lepsze. Natomiast zewnętrzne enuncjacje były raczej szkodliwe. A więc uważam, że były szkodliwe i niepotrzebne przechwałki o naszej konspiracji politycznej,

wojskowej i odwetowej. To dawało świetną orientację Gestapo, które przecież w 4-tym roku wojny rozszyfrowało wiele, mając i materiał rzeczowy, no i materiał zdobyty na ofiarach więzień i obozów. W sytuacji międzynarodowej Mikołajczyk był bez znaczenia. Można go chyba porównać ze znaczeniem takim jak Osóbki, tj. marionetki, zawsze posłusznej. Pierwszą jaskółką zmierzchu u Aliantów... rządu Londyńskiego była dywersja czeska. Czesi bez pokwitowania miesiąca miodowego Federacji Polsko-Czeskiej po prostu *via facti*, nie bez błogosławieństwa Anglii i Ameryki, zawarli układ z Rosją, zaskakując Polskę w okresie najcięższym, bo konfliktu z tymiż Sowietami. Ale czy to po raz pierwszy Czesi płacą Polsce obłudą? Błogosławieni ci, co wierzą oficjalnym słowom Czechów. Nie podejrzany o czechofobię, tow. Diamand *à propos* z racji Czechów (1918 i 1919 r.) wyrzekł znamienne słowa „Czesi — to nie naród — tylko proceder”. Miarodajny dla oceny tego nowego faktu jest list Stańczyka (jedyny zresztą „bez wiedzy towarzyszy w rządzie”), skierowany w czasie jego urzędowania jako ministra-przedstawiciela Partii, do nas pod datą 20 grudnia 1943 roku. Niestety! — ten list podczas powstania, zdaje się, że się spalił. Poszukiwania go w archiwum, w którym się znajdował, dotychczas trwają. W liście tym Stańczyk pisze, że ponoć na zaproszenie Benesa (Stańczyk podczas wojny 1914 - 1918 przebywał w Czechach, tam ożenił się z Czeszką i zaopatrzył się w znajomości; czy z Benesem przebywającym w owym czasie za granicą, powiedzieć trudno) udał się do niego. Podczas intymnej rozmowy Benes stwierdził, że nie jest za Rosją, gdyż sam na sam Czechów i Rosji, Czechom nie wyjdzie na zdrowie. Tylko niepodległa Polska jest gwarantką niepodległości Czech. Dał do zrozumienia, że jak najszybsze porozumienie się z Rosją jest konieczne. Żądania terytorialne są oczywiście przesadzone, ale Polska nie może liczyć na Aliantów. W przeciwnym razie znajdzie się w położeniu Czech w Monachium — tzn. położą sami Polskę na stół operacyjny i okroją Polskę. Trzeba się więc zgodzić na odstąpienie kresów — zwłaszcza z ludnością ukraińską, którą Sowiety chcą mieć koniecznie u siebie. Dlaczego? Dlatego, że Sowiety rozumują, iż Polacy mogą zmienić swój stosunek do Ukraińców i w ten sposób zrobić z nich wieczną dywersję w odniesieniu do Ukrainy Sowieckiej. By temu zaradzić Sowiety będą zmuszone stworzyć fakty dokonane wobec Polski, czyli stwarzać dywersję u siebie, co znów prowadzić będzie do stałych konfliktów. Otóż najlepiej porozumieć się z Sowietami. On zachęca i może zapewnić, że Stalin dużo może ustąpić. Pamiętajcie o naszym losie w Monachium. Następnie Stańczyk porusza sprawę swojej wizyty u Bevina, z którym jest — jak pisze — bardzo blisko. Otóż w rozmowie Bevin zadał pytanie odnośnie granicy zachodniej, a gdy otrzymał odpowiedź, że Odra, to zapytał, a jakże wy poradzicie sobie z mniejszościami na Wschodzie. Czy wy aby dacie sobie radę, i tu począł wymieniać trudności i zapytał o linię Curzona. Wtedy Stańczyk miał powiedzieć, że „rząd, który by się na linię Curzona zgodził, nie istniałby w Polsce nawet 24 godziny”. Przecież to co proponujecie, to zdrada. Czy wy nas zdradzacie? Na to Bevin odrzekł, „ależ Janie, o tym nie ma przecież mowy”. Na tym rozmowa z Bevinem i sam list bez dalszych wywodów się skończył. Więcej listów Stańczyk w tej kwestii nie pisał. Natomiast z serwisu radiowego dowiedzieliśmy się o przeprowadzonych wywiadach Stańczyka z dziennikarzami w Ameryce oraz w Kairze na temat żądań Sowietów w odniesieniu do Polski. Jeden z wywiadów był prostowaniem jego rzekomej zgody na linię Curzona. Był to nakazany widocznie przez min. spraw zagranicznych wywiad jako sprzeczny ze stanowiskiem rządu. Później Stańczyk widocznie już się nie liczył i głądził na tematy, których nie znał i na których w ogóle się nie rozumiał. Ale o jednym przecież ciągle pamiętał — a mianowicie, że jako agent rządu angielskiego ma obowiązek słuchać i spełniać jego rozkazy. W ogóle ten list, wyżej cytowany, byłby

niezrozumiały, gdyby się nie uwzględniało faktu służby Anglii. Bo przecież trudno zrozumieć, dlaczego właśnie Stańczyk min. pracy, a więc nie resortowy min. spraw zagr. odbył rozmowę z takim oszustem Beneszem (kiwał z Masarykiem bolszewików i stworzył im front wojny domowej na Wołdze, potem zdradził i wydał w ręce bolszewików adm. Kołczaka za złoto, potem kiwał Słowaków, a potem wraz z Masarykiem kiwał Polaków, którym ustąpił Cieszyn, potem zbrojną ręką odebrał Cieszyn i kwestionował granice Polski nawet na Olsze, tak jak kwestionował wraz z Masarykiem nasze prawo do korytarza Pomorskiego).

A następnie — co ma do powiedzenia u Bevina, albo w wywiadach przesądających granice Polski, znów jako nieresortowy minister, do tych wypowiedzi przez rząd nieupoważniony. A już naprawdę szubienicznie wygląda Stańczyk pomstujący na rząd, który by się poważył przyjąć żądania Sowieców, jako zdradę Polski, a w roku 1945 w Moskwie akceptujący wyżebraną u Anglików tekę ministra pracy w rządzie właśnie przyjmującym granicę zdrady Polski entuzjastycznie do wiadomości pod egidą „rządu jedności narodowej”. Przecież to już nie krok od hańby — to człowiek kroczący zawsze drogą hańby. List ten czytaliśmy naturalnie już po konferencji Teherańskiej. Jej lakoniczność w zestawieniu z tym listem była groźnym memento do sprawy polskiej.

Jak to wspominałem, represje niemieckie w roku 1944 wzmogły się niepomiernie, specjalnie łapanki i rozstrzały wywierały wpływ na społeczeństwo, niewątpliwie przemęczone przejściami wojny i bezkarnością okupanta. Coraz częściej opór stosowany przez ZWZ już nie wystarczał ludziom, którym ziemia się pod nogami paliła. To prowadziło do coraz szerszej akcji partyzanckiej, do organizowania tzw. lasu. Jasne jest, że dyslokacja oddziałów zbrojnych w „terenach” prowadziła do rozluźnienia dyscypliny organizacyjnej i do silniejszego uniezależnienia się do komend działających w pierwszym rzędzie w miastach frontowych. Tak samo zadania bojowe nieraz grzeszyły brakiem planu i sensu, a tym samym szkodziły ogólnemu kierunkowi ubojowienia oddziałów. To rozbijało często wzajemną łączność i współdziałanie. Te wady wyzyskiwały wtyczki oddziałów rosyjskich, wysyłanych nie tyle w celu walki z okupantem, ile w celach propagandy i dywersji politycznej w podziemiu polskim. Stąd w wielu oddziałach leśno-partyzanckich pojawiały się raz po raz grupy udające sprzymierzeńców, w zasadzie zaś prowadzące akcję rozkładową. Do tych kłopotów przyłączyły się walki z Ukraińcami i Litwinami, walki raczej obronne. Zarówno PKP jak delegaci i wojsko nie mogli patrzeć obojętnie na formalne wyrzynanie Polaków w województwach wołyńskim, lwowskim, tarnopolskim i stanisławowskim. Zadania samoobrony polskiej były bardzo trudne, nie tylko z uwagi na szczupłość oddziałów i na ubogi sprzęt bojowy, ale przede wszystkim z racji gromadzenia się wokół takiego oddziału całej ludności polskiej, uciekającej przed rzezią, zwłaszcza z terenów wjejskich. W miastach było łatwiej zorganizować i chronić się przed zaborstwem. Ale i tam w miarę tego, jak rezultaty napadów ukraińskich nie dawały poważnych wyników, Niemcy nie wahali się już jawnie interweniować na korzyść oddziałów ukraińskich. Słowem ten ruch band ukraińskich był ogromnie na rękę Niemcom, albowiem automatycznie zwalniał ich siły zbrojne z kłopotów i bezpośredniego niebezpieczeństwa ze strony oddziałów polskich. Charakterystycznym zjawiskiem na tych terenach była neutralność dywersantów sowieckich, to w najlepszym wypadku. Zdarzało się bowiem, że ich „ponosiło” i często angażowali się również po stronie ukraińskiej. Nado nie gardzili propagandą rozkładową i demoralizującą (straszenie, okłamywanie za pośrednictwem fałszywych wywiadów, sprzedawanie zepsutej broni itp.), żeby tylko Polaków rozbroić, lub też sobie podporządkować. Słowem na każdym kroku i w całym niemal kraju, z wyjątkiem województw zachodnich,

nasze oddziały tylko z wielkim trudem mogły wypełniać swój bojowe zadania. Dowództwo zaś zaabsorbowane ściągnięciem broni ze zrzutów, często przyswajanych, szkoleniem kadr podchorążych, opracowywaniem planów na bliższą metę, (dywersja, terror, odwet), oraz na dalszą metę, przyszłe coraz bliższe powstanie, miało dodatkowe trudności ze scaleniem i podporządkowaniem chodzących luzem, lub też organizacji *quasi*-militarnych. Tyczyło się to np. tzw. batalionów chłopskich, jako przeciwnych oddziałom ochrony powstania (SOB), oraz oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) powstałych wskutek rozłamu w Str. Narodowym, dokonanego przez ONR, które to organizacje opierały się scaleniu. I tak niemal aż do wybuchu powstania, zarówno bataliony, jak też i NSZ tylko symulowały chęć połączenia i podporządkowania się na zasadach często pretensjonalnych, czy też prestiżowych.

Rezultat był ten, że jedynie miasta i ich zaplecza, zwłaszcza wybitnie robotnicze, stanowiły niezawodny dorobek ZWZ. Reszta to działanie nieskoordynowane, bardzo trudne w ujęciu dyspozycyjnym. Rozpatrując poszczególne odcinki walki z okupantem, należy zająć się odcinkiem tzw. Walki Cywilnej, powołanej pod egidą Delegatury i wojska, w oparciu o stronnictwa zasiadające w PKP. Do walki cywilnej należały: sabotaże, w najszerszym tego słowa znaczeniu, niszczenie dostaw kontyngentowych, niszczenie młeczarni i młynów, podpalanie tartaków, gromienie kancelarii gminnych, zwłaszcza niszczenie w nich ksiąg ludności itp. Nadto prowadzenie akcji przeciw różnym nakazom, czy zakazom władz okupacyjnych, bojkotowanie między innymi kin (to się w ogóle nie udawało). Biorąc pod uwagę rozwój sądów kapturowych wykonywanie ich wyroków, potrzebne były organa wykonawcze: wywiad i egzekucja. Walka cywilna z większością wypadków dawała także wykonawców. Ponieważ wiele aktów dokonywano siłami wyłącznie wojskowymi, przeto w kwitowaniu tych aktów powstawała płatanina i zbytnie reklamiarstwo, często bardzo szkodliwe dla konspiracji. PKP porządkując te zagadnienia i usuwając nieporozumienia, starał się doprowadzić do możliwego podziału funkcji. Niestety, podobnie jak przy administracji zastępczej, powstawały spory kompetencyjne i nigdy nie kończące się wyjaśnienia, tak i w tej dziedzinie mieliśmy te same objawy.

Dopiero w początkach 1944 roku doszło wojsko, Delegat i walka cywilna do rozgraniczenia, które przewidywało, że strona wykonawcza, angażująca działania ściśle wojskowe należy do wojska, reszta zaś, a więc strona przygotowawcza i inicjatorska należy do Delegata (w jego ramach pracowała Walka Cywilna). Natomiast układ w sprawie administracji zastępczej wobec trudności natury personalnej (sprawa zwalniania, lub przyjmowania przez Delegata setek pracowników tejże administracji) — wszedł w praktyczne rozwiązanie dopiero niedługo przed powstaniem. Wspomniane wyżej wzmoczenie represji okupanta doszło do swego szczytowego punktu jesienią 1943 roku. Ściśle biorąc 13 października był pierwszym dniem publicznej egzekucji w Warszawie. Wprawdzie już wcześniej zdarzały się publiczne egzekucje (wieszanie) w niektórych miastach prowincjonalnych Guberni np. Częstochowa, Radom, Wierzbnik, Lublin, i w Rajchu np. Katowice, Sosnowiec, Zawiercie, lecz egzekucje rozpoczęte w Warszawie i trwające nieustannie, aż niemal do samego powstania przewyższały dotychczasowe maskary. Każdą publiczną egzekucję poprzedzały ogłoszenia (czerwone afisze), w których podawano nazwiska skazanych, a oprócz tego listę następnych delikwentów, którzy mają być straceni w wypadku powtórzenia się zamachu na Niemców, lub też Polaków w służbie niemieckiej. Jeżeli w ciągu 3-ch miesięcy nie zajdzie wypadek gwałtownej śmierci niemieckiej, to przeznaczeni niejako — jako zakładnicy — nie będą rozstrzelani. Naturalnie te zapowiedzi nie miały żadnego wpływu na postawę ludności, oraz na tok walki z okupantem. Rychło bowiem

okazało się, że publiczne egzekucje były tylko przyczynkiem do masowego niszczenia Polaków po więzieniach, getcie, na cmentarzach i w okolicach bliższych, lub dalszych Warszawy.

Wśród wielu został rozstrzelany w lutym 1944 roku Bronisław Ziemięcki. Do masowych egzekucji zapoczątkowanych w 1939 roku w Wawrze, przybyły 1940 roku (czerwiec) Palmiry, gdzie wśród setek rozstrzelano tow. Niedziałkowskiego, ob. Rataja i wielu innych), Magdalenki i las Sękociński, lasy Kabackie [...]. Na tle tych wydarzeń wszczęła się akcja, zwłaszcza wśród drobnych organizacji, które nie przymknęły do wielkich istniejących partii, na rzecz współdziałania i samoobrony.

Podobno znalazło się takich 37 organizacji, które odbyły specjalną naradę, na której wyłoniły wspólne kierownictwo. Ten zespół organizacji przyjął nazwę S.O.S. Organizacja ta skomunikowała się z Delegaturą i deklarowała chęć współpracy z nią. Tym sposobem SOS znalazł się we wspólnym szeregu walki cywilnej. Walka cywilna, organizacyjnie biorąc, rozrosła się w spory aparat sięgający także na prowincję. Na jego czele stanął pełnomocnik Delegata. Takim kierownikiem był przedstawiciel Ludowców Korboński (Zieliński). Jako PPS uczestniczyliśmy w walce cywilnej zastąpieni przez tow. Woliniowską (Kaspro-wicz Joanna). Zasadniczo nie angażowaliśmy się całkowicie, pomni na wielkie straty już poniesione przez robotników w ofierze, zresztą bez reszty pochłonięci robotą wojskową OWPPS i Milicyjną. Ta ostatnia rozpoczęta bardzo późno z winy stosunków wewnętrznych i różnych lokalnych ambicyjek, wymagała wyjątkowej uwagi i energii. Regulaminowo biorąc Milicja miała dwa cele: 1) utrzymanie porządku podczas przewrotu, 2) zadanie bojowe. Organizacyjnie rozpadała się na organizację według komisariatów policyjnych i na jednostki terytorialne. Szkolenie bojowe należało do OWPPS. Specjalne przepisy regulowały wzajemny stosunek oddziałów milicyjnych do jednostek OWPPS, szczególnie w dziedzinie i przynależności. Nadto zgodnie z zasadami ogólnymi Milicja w czasie działania miała być częścią składową Polskiego Korpusu Bezpieczeństwa (KBW). W rzeczywistości do istotnego sprzęgnięcia się Milicji z KBW nie doszło, przede wszystkim z powodu niewyraźnego oblicza tej formacji prowadzonej przez Partię Pracy. Zlekceważenie tego stanu rzeczy w KBW zemściło się później. Oto właśnie to środowisko zmieniło się później w środowisko dywersji komunistycznej. Na tym terenie brylował Ubrański, późniejszy prowokator w procesie moskiewskim. Jego zeznania obciążające wielu PPS-owców wynikały stąd, że jak to już wyżej pisałem, PPS była ostrożna i nie kwapiła się do tego środowiska, a to nie zachęcało innych. I dlatego dobór ludzi w tym zespole był bardzo mizerny. Przechodząc do PKP obradującego w tym mniej więcej okresie co tydzień, zaznaczę, że tematem były przyszłe sprawy ustrojowo-społeczne, gospodarczo-finansowe, narodowościowe, przyszedł go powoju, oraz reform. Dyskusje i wyniki świadczyły o zasadniczym wpływie porozumienia 4-ch stronnictw. Porozumienie rozstrzygając zasady, przyczyniało się silnie do opracowania szczegółów tych zasad i ich realizacji. Praca więc była ułatwiona zarówno dla referenta, jak też dla uchwalających. W tym miejscu pozwolę sobie wyliczyć działy (departamenty) Delegatury przygotowujące materiały dla PKP. Były następujące Departamenty:

- 1) Prezydialny — Ludowcy (Domański, później Grabowski),
- 2) Oświaty — Ludowcy (Wycech),
- 3) Rolnictwa — Ludowcy (Załęski),
- 4) Wewnętrzny — Rutkowski (Zawadzki) b. urzędnik min. spraw wewnętrznych, później Bagiński po nim Korboński (Ludowcy),
- 5) Propagandy — Kauzik (Dołęga) (Partia Pracy),
- 6) Pracy — Dr Mateja, później Białas (PPS),

- 7) Odbudowy — najprzód Ziemiański — po rozstrzelaniu, zastępczo Araszkiewicz (Ludowcy),
- 8) Finansowy — Klarner (nie przejawiający żadnej inicjatywy, ani też działalności, po nim ktoś ze Str. Nar.),
- 9) Przemysłowy — nazwiska nie pamiętam,
- 10) Sprawiedliwości — Zadrowski (popierany przez Stron. Pracy),
- 11) Likwidacyjny — któremu polecono sprawy zagraniczne — Domosławski (Str. Nar.),
- 12) Skarb Delegatury — Stankiewicz (Ludowiec),
- 13) Kontrola (Ludowiec),
Łączność radiowa — Ludowcy — nazwiska kierownika nie pamiętam,
- 14) Kolej — Czapski,
- 15) Poczta — kierownik nie znany mi.

Jak widać Departamenty dość jednostronnie obsadzone. Gdy mowa o Delegatach okręgowych, to mimo zapewnień delegata udzielanych tow. Arciszewskiemu i Zarembie — którzy z nim konferowali — że rozumie dysproporcję zachodzącą i w Departamentach i w okręgach — jednak ma ogromne trudności. Wobec tego otrzymaliśmy okręg kielecki, którego okręgowy (Ludowiec) załamał się podczas aresztowania przez Niemców, zdaje się w Garbatce pod Radomiem. Okręgowym został tow. Fiszer, który miał później krzyż pański z Ludowcami, pretendującymi niemal do wszystkiego w okręgu i sabotującymi otwarcie jego zarządzenia. Celowali w tym przeważnie nauczyciele. Następnie wskutek kryzysu wewnętrznego otrzymaliśmy w województwie lwowskim delegata w osobie młodego PPS-owca (docenta) Ostrowskiego, który w momencie przyścia bolszewików do Lwowa ujawnił się jako zwolennik PKWN. To wszystko. Mieliśmy także zastępców okręgowych, a więc w Lublinie tow. Bien, w Łodzi tow. Uziębło, w Warszawie — tow. Zbrożyna, w Krakowie — tow. Rzeźnik (jak mawiał okręgowy ludowiec, że takie brzydkie nazwisko ma zastępca?!), Śląsk-Zagłębie — tow. Motyka Roman. Oczywiście, jak to było do przewidzenia z chwilą połączenia się RPS, wszczeły się również i w obsadzie stanowisk intrygi. W ogóle im bliżej ograniczano wiano przyniesione przez RPS, tym więcej orientowano się, że za wiele hałasu i zamętu robiono, gdzie faktycznie może kilkunastu wartościowych ludzi nadawało się do przyjęcia. Zresztą już wkrótce, wśród tego towarzystwa zaczęły się fermenty zakończone wyjściem p. Osóbki, który ze swoją grupą wszedł do późniejszego KRN. Ten fakt zdaje się w całej rozciągłości potwierdza tezę, że grupa komunizująca, maskując swoją bytność w Partii w obawie przed konsekwencjami statutowymi — stale była rezydentką i agenturą Kominternu. I dlatego dziecinnie się wydaje rozumowanie, że gdyby ich od razu przyjęto po katastrofie 1939 roku itp. I dlatego zwłaszcza w robocie wojskowej, po przyłączeniu się do PPS z całą świadomością, znając zresztą mafijność całej roboty i komunistów i RPS, nie dawałem im żadnego przydziału. Miałem zresztą uczciwy argument. Otóż dla kilkunastu ludzi, którzy w zasadzie, jak się okazało oddali się ZWZ-owi dla pewnej akcji i stamtąd pobierali zaopatrzenie, ni stąd ni zowąd zgłosili i do mnie żądania pieniężne w wysokości przekraczającej 75% naszych wydatków wojskowych w ogóle. To przerwało dalsze konferencje, którymi zwracano głowę tow. Arciszewskiemu. Już wcześniej, bo na skutek uchwały konferencji ogólnopartyjnej z 7 czerwca 1941 r. powołano Wydział administracyjno-mobilizacyjny, obejmujący zakres prac przyszej administracji państwowej, a zarazem wszystkie zasoby kraju i jego produkcję dla potrzeb wojska (stąd mobilizacja). Wydział ten podzielił swoją działalność według wspomnianego wyżej zakresu i w praktyce pokrywał się z analogicznymi działami (departamenty) Delegatury. Nie była to zatem próba zastąpienia Dep. Delegatury. Była to raczej organizacja rekrutująca się spośród

PPS-owców i ich sympatyków, ludzi-specjalistów, nadających się na departamenty, czy w ogóle stanowiska administracyjne. Jednocześnie przepracowując różne zagadnienia w myśl doktryny socjalistycznej dostarczało się ludzi, nie tylko fachowców-biurokratów, ale ludzi o wysokim poziomie wiedzy i poczucia społeczno-ideowego. Więc poszczególne działy tego wydziału kierowanego przez tow. Zarembę, odpowiadały prawie że w detalach organizacji aparatury Delegata. Kierownictwo sprawowało Prezydium w osobach Zaremby, Tułodzieckiego (Baltazar), i Białasa. Wydział miał całkowitą autonomię, zwłaszcza w doborze ludzi i zdawał tylko sprawozdania okresowe CK.

Z działów przypominam sobie następujące: Gospodarczy — Zaremba, Strzelecki E.; Polityki Zagranicznej — Rosner, Kipa; Oświaty — Tułodziecki; Administracji — dr Pajdak Antoni; Samorządowy — Dratwa, Zbrożyna; Rolny — Nowicki, Giebartowski; Finansowy — Kościński; Pracy — Białas; poza tym Wydział miał obowiązek przeprowadzać odprawy wszystkich towarzyszy zasiadających w departamentach, czyli Okręgach. Pamiętam takie sprawy dla odbudowy u tow. Ziemięckiego, dla oświaty u tow. Tułodzieckiego, dla administracji i samorządu (w lokalu konspiracyjnym na ul. Wspólnej 15). Równoległe działy miały służyć wiadomościami i stanowiskiem w ważnych sprawach omawianych na PKP. Tak więc np. udzielały mi informacji, gdy dyskutowano reformę rolną, później sprawę spółdzielczości, przemysłu — izb przemysłowych, dalej sprawy przydzielone dla dep. oświaty i dep. propagandy i informacji Delegatury, sprawy narodowościowe. Również służyły pomocą szeregowi towarzyszy zasiadających najprzód w komisjach przy Departamentach, a później w komisjach przy Radzie Jedności Narodowej. I tu dochodzimy do instytucji bardzo ważnej w naszym życiu konspiracyjnym. Jak już wspomniałem w instrukcji z roku 1940 była mowa o powołaniu Rady. Podczas naszej nieobecności w PKP nowelizowano ze strony rządu statut Rady, a ze strony PKP zaproponowano kilka poprawek i uzupełnień. W tej formalistycy między Londynem, a Warszawą ugrzęzła sama sprawa. Z chwilą gdy PKP przyjęło wspólny program, sprawa realizacji Rady Jedności Narodowej stała się aktualna i możliwa do załatwienia. W ten sposób nareszcie zakończyłaby się organizacja Podziemia Polski. Zdaje się, że w momencie zbliżających się rozstrzygnięć wojennych, po kapitulacji Włoch, w wyniku ofensywy sowieckiej i związanej z nią sytuacji Polski — nieodzowne było zorganizowanie i ukonstytuowanie ostateczne władz konspiracji. Kończył się rok, a odpowiedzi rządu na propozycje PKP odnośnie zmian postanowień dekretu, dotychczas nie było. Tak samo nie rozstrzygnięto zasady wprowadzania do Rady kandydatów spoza czwórki i udzielenia Radzie funkcji kontrolnych. Nadto względy konspiracyjne musiały być wzięte pod uwagę przy wszczęciu oficjalnych posiedzeń RJN. Delegat, który w myśl regulaminu RJN zastępował niejako Prezydenta RZPLITEJ, gdyż on akceptował przedstawionych członków RJN, on też ją otwierał — pewien czas się wahał. Jednak dzieląc obawy, że dalsza zwłoka może nastęrczyć wiele nieporozumień, nie widząc możliwości szybkiej decyzji ze strony rządu — zgodził się wreszcie na praktyczne przygotowanie RJN. A więc zgodził się z moją opinią, że można nawet niepełną Radę zwołać i ukonstytuować ją. W konsekwencji więc pierwsze posiedzenie miało się odbyć na razie w składzie Czterech Partii — po 3-ch członków RJN, czyli PPS, Str. Ludowe, Str. Narodowe, i Str. Pracy, następnie przedstawiciele duchowieństwa. Gdyśmy przystąpili na PKP (organ formujący według dekretu Rady Jedności Narodowej) do ostatecznego wyznaczenia członków, Ludowcy, którzy w poprzednim okresie, gdy nas w PKP nie było, z okazji ówczesnego omawiania dekretu, wysunęli potrzebę udziału duchowieństwa w Radzie, obecnie zaczęli wysuwać sprzeciwy. Nie popierałem ich nie dlatego, że bym przepadał za klerem, ale to nie znaczyło, że bym nie

rozumiał nietaktu i afrontu, w dodatku trudnego do umotywowania, zwłaszcza w takim momencie, jak przedstawicielstwo narodowe. Regulaminowe posiedzenie RJN rozstrzygnięgo w myśl mojej propozycji, uzgodnionej w PKP, w następujący sposób: RJN miała wybrać przewodniczącego, jego dwóch zastępców, oraz sekretarza. Plenarne posiedzenia miały być zwoływane tylko w ważnych wypadkach, natomiast Komisja Główna stanowiąca zawsze 3-cią część RJN — miała zastępować Plenum. Regulamin nie wykluczał możliwości, by Prezydium RJN było jednocześnie Komisją Główną. Oprócz Komisji Głównej regulamin (jak nasz wewnętrzny) przewidywał następujące komisje przy RJN: Samorządu Terytorialnego i Ubezpieczeniowa — Gospodarki Narodowej — Oświatowa.

Komisje miały liczyć najwyżej 4-5 członków. W ten sposób każdy członek RJN otrzymywał możliwości pracy w RJN i w ten sposób plenarne posiedzenia same przez się ograniczały się tylko do wyjątkowych wypadków.

RJN po zagajeniu przez Delegata i stwierdzeniu wymaganego kompletu i prawomocnego desygnowania jej członków, rozpoczęła obrady pod przewodnictwem najstarszego wiekiem tow. Arciszewskiego Tomasza (pseud. Szymon). Następnie dokonano wyborów. Przewodniczącym został wybrany Pużak (pseud. Sekret), a moimi zastępcami Grudziński Józef (pseud. Kwiatkowski) (Str. Ludowe) i Jaworski (pseud. Olza), sekretarzem Urbański Franciszek (Rzewuski). W tym posiedzeniu zgodnie z regulaminem obok Delegata brał udział gen. Bór (Gł. Kom. ZWZ, później Armii Krajowej). W obradach Komisji Głównej brali udział członkowie Prezydium RJN, Delegat i Kom. Gł. ZWZ. Oni też mieli prawo statutowe, wprowadzać swoich referentów i swoich zastępców. Nadto jako prowadzący protokoły — sekretarz Dyrektor Kancelarii RJN p. Biega (pseud. Pisarski). Otóż na tym posiedzeniu, które odbywało się w lokalu Chrześcijańskiej Służby Domowej, przy ulicy Kredytowej 14 I p., po dokonaniu wyborów i po przyjęciu regulaminu obrad *exposé* złożył Delegat Jankowski, a później zobrazował sytuację wojskową w konspiracji i plany na przyszłość Kom. Gł. ZWZ Tadeusz Komorowski (Bór). Sprawozdaniem, po odpowiedziach na pytania i na wysunięte kwestie w dyskusji — posiedzenie zamknąłem. Jedną kwestią — a mianowicie przyjęcie deklaracji 4-ch stronnictw — nastęrczyła sposobność dla wielu członków RJN, bądź do rozszerzenia deklaracji, bądź też do jej zwężenia, lub w ogóle do przerobienia. W tym stanie rzeczy uchwalono odesłać materiał dotyczący Programu, a mogący być ogłoszony jeszcze do takiego terminu — Komisji Głównej do przeredagowania i do ogłoszenia go w imieniu Rady Jedności Narodowej.

W ten sposób konspiracja, otrzymawszy swoją reprezentację, musiała dążyć do jej uzupełnienia, oraz do autorytatywnego ustalenia programu przekazanego przez prawne konstytucyjne zebranie. NRJ stosownie do dekretu powinna była liczyć co najmniej 18 członków.

Jedno miejsce miało być zarezerwowane dla przedstawiciela mniejszości narodowej, czyli, że wchodziły w grę 4 miejsca. Z rozmów, które z urzędu przeprowadziłem, wchodziły w rachubę takie skupienia poza czwórka: SOS, Demokraci, aż trzy ugrupowania: jedno związane z ZWZ, drugie popierające PPS — wyczeszki — i trzecie wyraźnie komunistyczne (R. Miller i Barcikowski), „Ojczyzna” (ugrupowanie narodowe z b. zaboru pruskiego).

W SOS najpoważniejszą grupą było „Raclawice” (część młodzieży ludowej) dawniej pod wpływami sanacji i część Ludowców. Z kooperatyw najpoważniejszy był Marian Rapacki dyr. „Społem”. Z kandydatów pozapartyjnych próbowano wprowadzić reprezentację nauki, szkolnictwa, uniwersytetu, kooperacji. W rezultacie pertraktacji okazało się, że SOS w ogóle nie chce się ubiegać, gdyż uważa, że z tą chwilą rozpoczęłyby się wewnętrzne niesnaski, które

doprowadziłyby do rozbitcia tak z trudem skleconego zjednoczenia, jak już wspomniałem, aż trzydziestu kilku organizacji. W tym stanie rzeczy na PKP przeszli do RJN kandydaci następujących organizacji: Raclawice, Demokraci i Ojczyzna. Z kooperatyw najpoważniejszy był Marian Rapacki dyr. „Społem”. Moja z nim rozmowa i też rozmowa z Delegatem nie dały żadnego rezultatu. Mnie i Delegatowi Rapacki oświadczył, że stojąc na straży „Społem”, reprezentującego ogromny dorobek społeczny, którego on nie może narażać na szwank, a nawet na upadek w razie wyspy, w danym momencie nie może angażować się do RJN. Nie wiem na czym opierał Delegat swoje rozeznanie w Moskwie o Rapackim, jako o aktualnym członku RJN. W każdym razie do mnie wiadomość o wejściu Rapackiego do RJN nie doszła.

Dруга sprawa programu na Komisji Głównej natknęła się na duże sprzeciwy Str. Pracy, które usiłowało do programu — pod którym 15 sierpnia 1943 roku się podpisało — wprowadzić Boga, oraz papieża, oraz pewne zastrzeżenia dotyczące reform gospodarczych (upamiętnienie kluczowych przedsiębiorstw przemysłowych). Za przykładem Str. Pracy i Str. Narodowe zaczęło występować z analogicznymi wnioskami. Do tego dołączyła się tasiehcowa rezolucja ks. Bogusławskiego (członek RJN), którego nazwiska nie znam — zgłoszona na posiedzenie RJN samo przez się stanowiąca własny elaborat programowy, przeciwstawny programowi Czwórki. Sytuacja była groźna, gdyż maluczko, a RJN mogła się znaleźć w sytuacji bez programu, a więc bez oblicza ideowego, czyli instytucja zgoła zbędna. Ponieważ cała ta akcja, nicująca program 4-ki, wpływała raczej z gry, a nie z zasad ideowych (wszak przed pół rokiem program ten i reformatorzy podpisali, a ich reprezentanci w rządzie w Londynie przyjęli z uznaniem) — przeto zastosowałem taktykę formalisty prowadzącego obrady. A więc zgodnie ze stanem faktycznym zgłoszone wnioski potraktowano jako poprawki. Ponieważ miały za sobą dwa głosy, a więc równość, gdyż 2 przeciw — upadły przeto. Tak samo głosowanie za całością rozpocząłem znów od strony wnioskodawców zgłaszających poprawki — czyli od wniosku kto jest przeciw całości — znów tą samą ilością głosów wniosek upadł. W logicznym wyniku, za którym przeciw stała uchwała plenum RJN, wyraźnie formułująca uchwałę o istnieniu programu, jako podstawy — zgłoszonego na Komisji Głównej — musiała się ostać deklaracja programowa 4-ch z 15 sierpnia 1943 roku. Oponenti byli niezadowoleni z przebiegu głosowania, jednak bardzo szybko pogodzili się, a nawet do tego przedmiotu nie powracali, zadowoleni z przyjęcia prasy zagranicznej, kwitującej radiowe oświadczenie Mikołajczyka o powstaniu RJN i jej programie).

Pozostała jeszcze cała jedna kwestia, a mianowicie wniosek PKP, o powołaniu w kraju wicepremiera z przyboczną Radą Ministrów krajowych w liczbie trzech, będących tym samym częścią składową rządu Londyńskiego. Wobec tego, że Str. Pracy zrezygnowało ze swego kandydata, uważając Delegata za swego przedstawiciela, więc wchodzili w rachubę przedstawiciele: PPS, Str. Ludowego i Str. Narodowego. Kandydatów miała zaprezentować rządowi RJN na mój wniosek. To zgłoszenie odbyło się w ten sposób, że RJN rozpatrzyła kandydatury, ale bez nazwisk (nazwiska znał tylko Delegat). W ten sposób zabezpieczyło się je od dekonspiracji w środowisku krajowym, a co ważniejsze i w środowisku emigracyjnym. Wkrótce, tj. w pierwszym kwartale rząd te kandydatury przyjął i w ten sposób do rządu krajowego weszli: z ramienia PPS — Dr Antoni Pajdak (p. Traugutt), ze Str. Ludowego — Adam Bien (ps. Walkowicz), ze Str. Narodowego — Stanisław Jasiukiewicz. Ten zespół został również ogłoszony przez radio londyńskie.

Z natury te sprawy były przedmiotem obrad RJN, wymagały obok innych spraw dużo uwagi. Wśród wielu, dla których było trzeba odtąd zwoływać

Komisję Główną niemal co tydzień, na pierwszy plan wysuwały się sprawy ofensywy rosyjskiej, zbliżającej się do granic naszego kraju z 1939 roku. Konferencja Teherańska nic nie wyjaśniła, a także nic nie wyjaśniło się w stosunkach naszych z Sowietami. Przeciwnie, propaganda sowiecka od czasu katyńskiej tragedii, stawała się coraz agresywniejsza, zwłaszcza z momentem wyjścia aktualnych dywizji polskich z Rosji. Nie będę tu omawiał tego epizodu, stwierdzę tylko, że doznawszy porażki na tym ważnym problemie, Sowiety postanowiły same rozwiązywać sprawę polską, nie licząc się z Aliantami, a tym bardziej z rządem londyńskim, który wkrótce miał otrzymać od Sowietów miano faszystowskiego, dla tym łatwiejszego przeflancowania sprawy polskiej na grunt już ściśle wewnętrzny Sowietów. Przedstawicielem w tym przedmiocie miał być, znany nam już sprzed wojny, zespół jednolitofrontowych jednostek z p. Wasilewską na czele. [...] art. 2. pkt. 5 ustawy z dnia 31.01.1981 r. o kontroli publikacji i widowisk (Dz.U. nr. 20, poz. 99 z póź. zm.) To samo prawo zamówili sobie Anglosasi w stosunku do Francji, Belgii, i Holandii, wraz z koloniami afrykańskimi Francuzów. Próba Aliantów w stosunku do Belgii i Holandii natrafiła na sprzeciwi, a nawet na opór zbrojny konspiracyjnych oddziałów wojskowych, to samo we Francji, w której imieniu gen. de Gaulle dał słynną odprawę Rooseveltowi, gdy ten podobnie jak Stalin *via facti* uważał się za suwerena Afryki francuskiej i w tym charakterze zapraszał de Gaulle'a na konferencję. Tylko, że to były szczęśliwsze od Polski narody, bo dysponowały argumentami Zachodu, przed którymi musieli się wycofać Anglosasi. Te same argumenty wysuwane przez Polskę dla Aliantów nie istniały. Tymczasem Polska, już nie wiedzieć który raz w dziejach, oddana w ręce Rosji musiała podzielić los osamotnionego obiektu polityki przewrotnego Wschodu. Nawiązując do wzmożonej w tym czasie propagandy sowieckiej, między innymi bardzo silnej w Anglii, „Patrioci” zaczęli organizować swoje wystąpienia propagandowe, w których zachwalano wycieczki do Rosji, dla poznania stanowiska tamtejszej Polonii i wojsk polskich, pod wodzą gen. Berlinga, które zajmowały naczelne miejsce. Toteż ruszyły z Anglii i Ameryki ekipy w rodzaju ks. Orlemańskiego i prof. Langego. Nie tylko dyspozycyjne fundusze, ale swoboda propagandy popieranej przez Churchilla — z jednoczesnym ograniczaniem propagandy rządu londyńskiego, a wkrótce nawet z zakazem sprostowań i odpowiedzi na oszczerstwa i kłamstwa Patriotów Polskich, dawała literalną przewagę [...] art. 2. pkt. 5 ustawy z dnia 31.01.1981 r. o kontroli publikacji i widowisk (Dz.U. nr. 20, poz. 99 z póź. zm.) Zresztą wkrótce do radia polskiego w Londynie dostały się wpływy prosowieckie, demoralizujące i korumpujące jego pracowników. Dość powiedzieć, że w następstwie szef tego radia, Litauer, otrzymał paszport i wizę angielską, by dostać się do Lublina i tam rozpisywać się i produkować w radio na tematy rządu londyńskiego. Można sobie wyobrazić jakiego spustoszenia dokonywała [...] art. 2. pkt. 5 ustawy z dnia 31.01.1981 r. o kontroli publikacji i widowisk (Dz.U. nr. 20, poz. 99 z póź. zm.) sekundowanych przez aparat sowiecki. Nic też dziwnego, że w zestawieniu wyżej nagromadzonych faktów i w przewidywaniu jakichś faktów dokonanych na naszych ziemiach wschodnich, okupowanych przez wkraczające wojska rosyjskie — trzeba było z jednej strony dobić się wyjaśnienia, czy też rozpoznania zamiarów sowieckich, a z drugiej (nie licząc na dogadanie dyplomatyczne) udzielić instrukcji władzom terenowym delegatury, jak mają się zachować w chwili wkroczenia wojsk sowieckich.

Jeszcze w okresie, gdy Niemcy byli w głębi Rosji, gen. Grot zaznajomił PKP (była to wiosna 1943 roku) z problemem tzw. powstania przeciw okupantowi. Tezy jego wywodów dadzą się sprowadzić do następujących danych:

- 1) przybliżenie frontu walki jak najbliżej Polski i nieodzowny odwrót Niemców,

- 2) konieczne, uprzednie zaopatrzenie podziemia wojskowego w broń, zwłaszcza ciężką i automatyczną,
- 3) bezwzględne współdziałanie z powstaniem awiacji bombardującej,
- 4) interwencja oddziałów spadochronowych i związanych z ich akcją oddziałów pancernych.

Oczywista, jak każde powstanie rewolucyjne, jego ideologia powinna być propagandowo przeprowadzona, a zarazem muszą pojawić się realne znaki ilustrujące polityczne współdziałanie Aliantów z podziemiem politycznym Polski. Obok tego i władze Polski powstającej muszą dysponować poparciem polityczno-dyplomatycznym Aliantów. I wtedy Grot — omawiając tę ostatnią kwestię — zaznaczył, że stosunek Sowietów do naszej akcji, jak dotąd nie dał się ani poprawić, ani też rozszyfrować na wypadek polskiej insurekcji. Czyli że, nie mając w tym względzie żadnych danych, poprzestał na okólniku, którego trzymały się władze kierownicze wojska na emigracji, a brzmiał on, że Sowiety są „sprzymierzeńcami” naszych „sprzymierzeńców”. A więc nie bezpośrednio Polski. To rokowało szereg jeśli nie niebezpieczeństw, to w każdym razie niespodzianek. Tym okólnikiem Grot zamknął zagadnienie stosunku Sowietów do Polski, pozostawiając w danym momencie tę kwestię czasowi. Sytuacja, w której gen. Bór referował w najogólniejszych formach sprawę powstania na RJN zmieniła się o tyle, że Rosjanie już wkroczyli na terytorium Polski w roku 1939, już prowadzili agresywną propagandę przeciwko Londynowi i Delegaturze, a nadto tu i ówdzie trafiały się utarczki między oddziałami partyzanckimi rosyjskimi i polskimi. Ze strony zaś Aliantów, którzy — jak się później okazało — nie byli łaskawi zapewnić oddziałom ZWZ praw kombatanckich (zresztą na skutek układu w Teheranie) począwszy od 17 października 1943 roku, aż do marca rzutów broni nie było. Była zbrodnicza zwłoka tłumaczona wszystkim, nawet samym Panem Bogiem. Tymczasem stosownie do zobowiązań alianckich rzuty przychodzące do Polski miały zawierać w samych początkach lotów rzutowych, oprócz przesyłek zwyczajnych (w nich i pieniądze) oraz skoczków, przynajmniej pół tony sprzętu bojowego najnowszego typu, w drugiej zaś połowie 1943 roku waga sprzętu bojowego miała być podniesiona do jednej tony. Sądzę, że każdy zdający sobie sprawę z zadań stawianych Polsce powstańczej rozumiał co ten tonaż bojowy dla nas znaczył, jak zresztą każda pomoc przyrzeczona uroczyście przez Aliantów. Ktoś tu wpychał kołki między szprychy. Zagadka łatwa do odgadnięcia, gdy się zważy apetyty teherańskie. Ale każdy się ze mną zgodzi, że zahamowanie nawet tak mizernych rzutów w ogóle, w tym okresie oznaczało więcej, aniżeli swawolę. Zresztą perypetie tej gry Aliantów i Sowietów z Polską nie tylko od roku 1939, ale raczej od samego początku „kłopotu” z jakąś w ogóle Polską, spowodowanego przez „wariata” Wilsona, są coraz bliższe pełnego zdemaskowania, jeno jeszcze czas do tego obrachunku nie nadszedł. Ale nadejdzie! Jak rzekłem RJN miała obowiązek dowiedzieć się jakie zarządzenia w tej mierze ma zamiar wydać Delegatura i Komenda Główna AK. Na jednym z posiedzeń, zdaje się lutowych 1944 roku Delegat (a to się później ujawniło podczas procesu moskiewskiego) wydał instrukcję do okręgowców, żeby w chwili wkraczania Rosjan ujawnić władze administracyjne Delegatury i przedstawić władzom wojskowym komendantów oddziałów wojskowych i bezpieczeństwa publicznego, oraz do społeczeństwa załączać odezwę, w której powtarzał sakramentalne słowa — „wkraczają sprzymierzeńcy naszych sprzymierzeńców i im gwarantujemy lojalność w granicach ustaw i umów międzynarodowych”. Ta instrukcja w chwili, gdy Churchill, po przemowie w Izbie Gmin, właściwie nie tylko wyparł się suwerenności Polski, na tych terenach, ale co gorsza wyraźnie uznał fakt dokonany najścia także rosyjskiej władzy cywilnej, jako właściwej władzy rosyjskiej, w związku z czym

według logiki Anglika Curzona i tęsknot Anglików — Polska ma się cofnąć do Bugu. Instrukcja Delegata musiała być zmieniona i przystosowana do wytworzonej sytuacji: osią tej nowej instrukcji, która rzecz prosta nie wszędzie dotarła i nie wszędzie mogła być zrozumiana należycie i wykonana, była dyspozycja dla komendantów, idąca i od rządu i od Naczelnego Dowództwa: 1) współdziałanie z przychodzącymi oddziałami Sowieckimi, 2) odmawianie rozbrojenia pod hasłem tylko rząd, lub naczelne dowództwo ma prawo wezwać do składania oręża, 3) niezależnie od polityki oddziałów Sowieckich prowadzi się wzmoczoną akcję własną przeciw Niemcom: w razie zagrożenia rozbrojenia gwałtownego i jednostronnego należy się cofać na Zachód w obręb działania najbliższych komend AK, które ze swej strony udzielać odnośnych wskazówek. Oczywiście, że nie przesadzano najprawdopodobniejszej możliwości, tzn., że żołnierz polski zaskoczony — nie złoży broni i będzie się bić nawet ze „sprzymierzeńcami naszych sprzymierzeńców”.

Przypominaliśmy sobie dokładnie, że ten temat kilkakrotnie dyskutowaliśmy na Komisji Głównej RJN i właśnie odnieśliśmy się pozytywnie do wskazań instrukcji przytoczonej wyżej w 3-ch punktach. Na procesie moskiewskim Delegat nieściśle tę sprawę przedstawił, widocznie pamięć go wskutek przeżyć więziennych zawiodła. Obok tego zagadnienia zastanawialiśmy się nad odpowiedzią na pytanie Mikołajczyka, który żądał danych odnośnie zbrojnego wystąpienia kraju już w najbliższym czasie i bez żadnych zobowiązań alianckich popierania tegoż wystąpienia. Zdaje się, że to wyphywało z planu jego inscenizowanych przez Anglików rozmów z Sowietami, podczas których trzeba było się liczyć z demagogią propagandy sowieckiej monopolizującej pod skrzydła owych tzw. „partyzantów” i PPR-owskiej całej działalności dywersyjnej w Polsce i zarzucającej AK „stanie z bronią u nogi”. To ohydne podszywanie się pod krew i życie polskiego podziemia było stale praktykowane i nie cofało się, jak to wspominałem, nawet przed kradzieżą nazwy naszych oddziałów wojskowych „Gwardia Ludowa”, pod którą działały już wtedy, kiedy komuniści kroczyli we wspólnym szeregu hitlerowsko-sowieckim. Otóż w owym czasie PPR kwitowała akcje AK, jako swoje, a skutek był ten, że okupanci mogli masakrować (rozstrzeliwać lub wieszać) członków podziemia polskiego i AK jako komunistów. Było to pospolite maruderstwo traktowane wszędzie jako najpotworniejsze zbrodnie. Obok tego rejuwachu podszywania się, radio sowieckie i tzw. radiostacja im. „Kościuszki” — nawoływały ustawicznie do natychmiastowego powstania. Otóż Mikołajczyk — widocznie dla odparowania ewentualnych pretensji o powstanie — chciał mieć w rękę autoratywne zapewnienie czynników krajowych, że powstanie to zdolne jest przeprowadzić. RJN po naświetleniu sytuacji politycznej i wojennej (dokonanej przez Komendę Główną AK) przyszła do jednomyślnego wniosku, że powstania w danej sytuacji w całym kraju nie można wywołać. Te zaś możliwości, którymi kraj dysponuje, pozwalają jedynie na bardziej wzmoczoną akcję na bezpośrednich tyłach armii niemieckiej, którą dla wyróżnienia AK nazywa „Akcją Burzy”. Pierwszymi akcjami „Burzy” były spotęgowane wystąpienia dywersyjno-terrorystyczne, zapoczątkowane lutowym udanym zamachem na Kutscherę w Warszawie, zamachem na Krygiera w Krakowie i na wielu dygnitarzy hitlerowskich. Jednoczesne wieści z frontu wojennego coraz bardziej przybliżały moment wybuchu. A to znowu obok przyśpieszonych przygotowań zbrojnych, nakładało na Delegata i RJN obowiązek przyśpieszenia przygotowań politycznych. Trzeba było w pierwszym rządzie popularyzować Program RJN. W tym celu wypuszczono większy nakład broszury, poświęconej temu programowi, a poza tym wszystkie stronnictwa uczestniczące w RJN miały obowiązek w swych wydawnictwach omawiać szczegółowo program. Oczywiście, że należało ustalić główne zasady przewodnie

wystąpienia, czyli tzw. program powstania. W tym celu RJN ustaliła taką hierarchię spraw objętych dekretami rządu powstańczego: 1) dekret o powołaniu pod broń ustalonych z góry roczników, 2) dekret o reformie rolnej, stanowiący o przejściu terenów rolniczych pod zarząd Państwa, celem zabezpieczenia ziemi dla chłopów w myśl już uchwalonej przez RJN reformy rolnej, 3) dekret o radach zakładowych, 4) dekret o samorządach i o ordynacji wyborczej, 5) dekret o Sejmie jednoizbowym i o ordynacji wyborczej do tegoż Sejmu, 6) dekret o insygniach i symbolach Państwa Polskiego, 7) dekret o powszechnej oświacie i szkolnictwie, 8) dekret o prawach obywatelskich, 9) dekret o bezpieczeństwie publicznym, 10) dekret o podziale administracyjnym Państwa.

W tych sprawach poszczególne departamenty miały niezwłocznie przygotować pełne teksty dekretów do aprobaty RJN. Praca nad tymi dekretami nie skończyła się przed powstaniem, tak że podczas powstania, pod gradem kul, pocisków i bomb lotniczych ówczesne RJN nad niektórymi z nich obradowała. Te opóźnienia wynikały z powolności pracy departamentów, na których czynnościach i wycuciu aktualności przedmiotu odbijała się rutyna biurokratyczna. Jakoś w końcu kwietnia znalazł się w Polsce, jako skoczek, Retinger. Z poprzednich moich uwag, niezbyt o nim pochlebnych, musiał wynikać duży krytycyzm do jego osoby, oraz do wiadomości, którymi się z nami dzielił na dwóch posiedzeniach RJN, na które został zaproszony, oraz na spotkaniu, jednorazowym ze mną. W granicach bardzo ograniczonego czasu — jego *exposé* wobec obfitości materiału musiało być raczej ogólne i częściowo nam znane. Naturalnie, że jego związek z Anglikami zaciążył na treści i raczej obfitował w momenty optymistyczne. I dlatego zbywał ogólnikami nasze wynurzenia pełne rezerwy i wątpliwości. Ciekawe, że dużo uwagi poświęcił propagandzie sowieckiej w Anglii. Podał takie szczegóły jak £ 15 mln. wydanych na agitację w Anglii, na otwarcie aż 60 księgarni sowieckich w Anglii, na kolosalne honoraria dla różnch intelektualistów i uczonych-profesorów. Wspomniał, że np. odnośnie Polski wielu profesorów ogłosiło w druku swoje uwagi, nieraz nikczemne, o Polsce. Wystarczy przypomnąć, że książka niemieckiego hitlerowca Kricera pt. (?) „Das ist Polen” doczekała się przypomnienia pióra profesora angielskiego (wymienił nazwisko, szkoda, że wyszło mi z pamięci). Od niego też dowiedzieliśmy się wspomnianej wyżej opowieści-legendy o śmierci Sikorskiego. On też twierdził, że przedtem dwukrotnie Sikorski przeżywał katastrofy lotnicze. Raz wspólnie z Retingerem podczas lotu z Kanady do Stanów Zjednoczonych doświadczyli czegoś w rodzaju sabotażu, z którego tylko cudem ocaleli. Dotknął też kwestii rządu londyńskiego i podkreślił wagę koalicji, która jedynie przemawia przekonująco do świadomości przeciętnego Anglika. I dlatego należy wytrwać na tym stanowisku i w kraju i na emigracji. Poza naszymi spotkaniami Retinger odbywał szereg konferencji z różnymi politykami i przypuszczam z wywiadowcami Foreign Office. Prócz tych konferencji chętnie udzielał się różnym znajomym, ryzykując przebywanie w lokalach, barach, restauracjach, kawiarniach. Ta fanfaronada w naszym życiu konspiracyjnym musiała budzić duże zastrzeżenia. Szczególnie wśród wojska Retinger nie cieszył się sympatiami, zdaje się z racji jego współpracy z wywiadem. Tych animozji nie ukrywali ani wojskowi, ani sam Retinger. On też, jak później się okazało, wiele swoich niepowodzeń, czy też trudności tłumaczył kontrakcją wojska. To podejrzenie uszkodzenia mu wszędzie rozciągał, zdaje się zupełnie niesłusznie, na nieudany odlot z Polski do Anglii. Przyczynę tego niepowodzenia (po prostu spóźnił się na start) przypisał wyłącznie wojsku, a nie sobie. Odleciał dopiero w początku lipca wraz z Arciszewskim.

Dla czytelnika ważne jest zorientować się w mechanice lotnictwa w konspiracji. Druga połowa roku 1944 obfitowała w udane zrzuty skoczków wraz

z lądowaniem i w następstwie tego, także i straty. Do tego efektu w kraju okupowanym i potwornie nawodnionym przez ciągle przesuwające się masy wojsk tam i z powrotem — nie mówiąc już o silnym nadzorze policji, żandarmerii, SS-manów, Volksdeutsche, Selbstschutzów — udało się doprowadzić jedynie wysiłkiem kierownictwa tej akcji przygotowawczej, no i ofiarności i sprawności samej organizacji. Trzeba zważyć że ufundowanie lotniska wymagało masy czasu, by przygotować je do lotów i przylotów pod względem bezpieczeństwa, które musiało gwarantować ochronę lotniska nie na godzinę, a na kilka przynajmniej dni. Miejsce lotniska wyznaczone z całą precyzją (loty odbywały się tylko nocą) musiało być zakomunikowane zagranicy, ustalone dni i godziny lotów, oraz sygnalizacja przyjmująca lub ostrzegawcza. Ze względów konspiracyjnych te szczegóły musiały być ciągle zmieniane. Toteż praca radiotelegrafistów, już chociażby z uwagi na ciągle szperanie Niemców za czynnością radiową Polaków i na ciągle oczekiwanie nalotu na stację radiową, wymagało ogromnego napięcia nerwów.

Już samo nadawanie i odbieranie wiadomości, to specjalna udręka tej pracy i napięcia uwagi. Osobne niebezpieczeństwa stanowiło utrzymanie lotniska w rozporządzalności, a w razie potrzeby przenoszenia go, po prostu na zawołanie, gdzie indziej, ale niedaleko. Z tych względów ciągle opracowywano lotniska. Lotnisko musiało być zawsze w alarmie pogotowia inicjowanego ze względów konspiracyjnych niemal w ostatniej chwili przylotu, a to wymagało wielkiej sprawności pogotowia, patroli oraz kordonu ubezpieczającego i technicznego zespołu pomocniczego przy przylocie i odlocie. Jeżeli przy lotach bombardujących, a startujących z Anglii w zespołach kilkuset, na lotniskach uruchomiono około 250 tysięcy służby pomocniczej, to zrozumiemy, jakim arcydziełem w okolicznościach takich jak w Polsce była służba AK, przeprowadzająca technikę lotów nocnych, oraz lotów dokonywanych bez broni pokładowej, na aparatach rozwijających niezbyt wielką szybkość, czyli w razie rozpoznania narażonych na strącenie pociskami artylerii przeciwlotniczej, względnie przez myśliwcę. A te niebezpieczeństwa były właściwie permanentne, albowiem samoloty leciały nad Polskę załaną wojskiem niemieckim a wobec baz znajdujących się przeważnie we Włoszech — przelatywały ponad Słowacją, Węgrami i Jugosławią — też nawodnionych przez wrogie wojska, no i wreszcie musiały pokonać lot nad Alpami. Tak wyglądała powierzchownie przedstawiona przeze mnie praca na lotniskach. Sądzę, że ta część ryzykanckiej służby będzie przedstawiona w interesie prawdy i zasługi przez fachowców, oby jak najprędzej, dopóki żyją aktorzy tej karkołonnej gry.

Już Retinger, omawiając wzajemne stosunki w rządzie londyńskim, musiał udzielać wyjaśnień odnośnie pretensji do Sosnkowskiego, że pełni jednocześnie funkcje Naczelnego Wodza i zastępcy Prezydenta Rzplitej. Oczekiwano ciągle jego zrzeczenia się zastępstwa Prezydenta. Niektóre depesze przysyłane przez Mikołajczyka domagały się między innymi przylotu np. Witosa. Było jasne, że obok troski o losy Witosa w kraju i zabezpieczenie jego życia i wolności osobistej, Ludowcy chcą go uplasować na widocznym miejscu w Londynie. W związku z kryzysem w związku z zastępstwem Prezydenta było jasne, że zamierzają na to miejsce powołać przejściowo Witosa, by następnie wymusić na Raczkiewiczu jego rezygnację, oczywiście na rzecz Witosa. W ten sposób sfinalizowaliby grę o niepodzielną władzę na Emigracji i w kraju. Późniejszy zaś rozwój wypadków na tle już Naczelnego Dowództwa (było to we wrześniu 1944 roku podczas powstania) kiedy to p. Eden pozwolił sobie zażądać od Raczkiewicza, bądź co bądź Prezydenta, wykonania żądania Stalina, by Sosnkowskiego wydalili z Anglii, wskazywał na kulisy sprawy zastępcy Prezydenta, a później Naczelnego Wodza, Prezydenta, wreszcie na sprawy Kopańskiego, Andersa, Bora itd.

Według jadłospisu Stalina i nastawiania Anglosasów na uwzględnienie apetytów zaprzyjaźnionych Aliantów, oraz samego marszałka Stalina. Przecież bez naciągania wylazi jak sztydło z worka intryganctwo Ludowców emigracyjnych i krajowych (przecież po to poleciał do Londynu zamiast Retingera p. Domański) nie wahając się przed dopuszczeniem ohydy wtrącania się obcych do naszych spraw. To nie była polityka, a lokajstwo. I za to lokajstwo gorzko zapłacił Mikołajczyk, a w następstwie samo Stronnictwo Ludowe. Już wtedy podczas zaznajamiania się ze sprawą Sosnkowskiego i zastępcy Prezydenta, wyczuwało się rozwijający się w tak krytycznym momencie rozkład wewnętrznych stosunków londyńskich, spowodowany i forsowany przez Str. Ludowe. Od tej odpowiedzialności, podobnie jak komuniści, nie uciekną. I obojętną jest dla mnie rzeczą jak usłudni i zdeprawowani „Pochronie dziennikarstwa”, czy też uczeni piszący *ad usum delpbini* ten okres naszej historii przedstawiają. Dla mnie nie tylko jest jasne, ale wprost udowodnione, że odpowiedzialność spada na Ludowców i ich pobratymców, panów z Partii Pracy. Wina sanacji siłą rzeczy wobec nikłych koligacji rządowych nie miała tu rozstrzygającego znaczenia.

Powracając do zagadnienia taktyki wobec wkraczających Moskali mieliśmy dwa klasyczne przykłady taktyki sowieckiej. Pierwszy to Wilno, które zostało zdobyte od zewnątrz przez oddziały Armii Krajowej. W pierwszej dobie Rosjanie wdzięczyli się do oddziałów Polskich, zapraszali dowódców na przyjęcia, raczyli ich zapewnieniami itp., a któregoś dnia po prostu aresztowali w myśl słowiańskiej gościnności i wywieźli oczywiście na Wschód, i naturalnie bez śladu, według recepty Starobielskiej i Kozielskiej. Resztę rozbroili, a w następstwie rozpoczęli „*sud i rasprawu*”.

Wyroki drakońskie — za co? A teraz przykład drugi. Wołyń i 27 dywizja AK współdziałała w krwawych walkach z Niemcami. Wreszcie dochodzi do spotkania i już taktycznego i faktycznego jednolitego działania i obrony przed Niemcami. Dowództwo rosyjskie, zdaje się bodaj korpuśne, wszczyna rozmowy na tematy wojskowo-polityczne. Warunki wysuwa następujące: 1) strona rosyjska uzupełni uzbrojenie, ułatwi pełną koncentrację wszystkich oddziałów partyzanckich AK; 2) strona polska ma prawo uprzednio porozumieć się ze swoimi władzami wojskowymi i politycznymi, nawet w Londynie; 3) Dywizja 27 podlegać będzie organizacyjnie dowództwu sowieckiemu na szczeblu naczelnym: poza tym dowództwo dywizji pozostaje niezmiennione z prawem komunikowania się z dowództwem AK w kraju. Strona rosyjska będzie oczekiwać odpowiedzi przez 4 dni. Na RJN tę sprawę omawiamy w obecności dowództwa AK. Po dyskusji, w której powoływano przykład Wilna, jako ostrzeżenie pada argument, bodaj Delegata, a mianowicie, że tam rozstrzygnięcie nastąpiło pod pretekstem, że ten teren, w myśl żądań sowieckich, ma należeć do Rosji. Ale Wołyń i to Zachodni będzie najlepszym przykładem stosunku Rosji do AK w ogóle, czyli, że będziemy mieli dowód najbardziej miarodajny właściwych intencji sowieckich. RJN uchwała, by dowództwo 27 dywizji warunki przyjęło. Gdy tę zgodę strona sowiecka otrzymała, wówczas wyjaśniło się, że wprawdzie dowództwo sowieckie miało daleko idące pełnomocnictwa, ale w tej materii musiało zwrócić się do Moskwy o ostateczną instrukcję. Więc trzeba czekać. Tymczasem bitwa trwa. W czasie jej przebiegu oddziały sowieckie bez uprzedzenia oddziałów polskich odslaniają flankę polską i same się wycofują. Akcja staje się bardzo ciężka — oddziały wojskowe polskie częściowo się przebijają, częściowo zaś zdążają do swoich wczorajszych sprzymierzeńców sowieckich a ci po prostu ich rozbrajają i deportują. I tak już postępują, aż do osiągnięcia Wisły, czyli, że i na terenach wyraźnie polskich i przez Rosję i jej sprzymierzeńców anglosaskich nie kwestionowanych, oddziały AK są rozbrajane i deportowane. W tym stanie rzeczy jakże nie naiwnym, a zgoła przewrotnym było rozumowanie i zarzut w związku

z powstaniem, podnoszone przez Moskali i ich agentów lubelskich, że dowództwo AK przedtem się nie porozumiało i nie uzgodniło działania. W świetle przytoczonych przykładów skończyłoby się to pogromem AK, naturalnie na oczach Niemców. Pod jakimś pozorem? Wtedy, gdy propaganda sowiecka dokonywała łamańców w oczernianiu Polski, rządu londyńskiego, Naczelnego Dowództwa, wojska na emigracji i w kraju, dążących rzekomo do dywersji na tyłach rosyjskich, oczywista już w zмовie z Niemcami, każdy wyspany z palca pretekst, w oczach wielkich demokracji był usprawiedliwiony. Wszak już wtedy (maj) powstała legenda o zapoczątkowaniu przez Naczelne Dowództwo, ściślej przez gen. Sosnkowskiego i jego sztab, nowej organizacji „Nie”, jako wyraźnie skierowanej przeciwko Rosji. To zatem wymownie stwierdzało, że wojsko polskie nie mające błogosławieństwa rosyjskiego nie może liczyć na żadne względy kombatanckie i że ma ulec zagładzie, nawet biologicznej. Najbliższa przyszłość powstania, a potem cały okres, nawet po Jałcie i Poczdamie, dostarcza nieodpartych dokumentów, jakimi uczuciami kierowano się wobec „buntujuszczich polaczyszek”.

Jednocześnie dojrzywał także problem ustąpienia Sosnkowskiego ze stanowiska zastępcy Prezydenta. RJN na pytanie skierowane do Londynu w sprawie kandydata ze strony kraju (Emigracja w owym czasie nie była zdolna wysunąć swojego kandydata), odpowiedziała po dłuższej dyskusji wnioskiem, w którym figurowałoby dwóch kandydatów ze strony kraju i jeden ze strony Emigracji i z nich miał wybrać Prezydent jednego kandydata, jako swego zastępcę. W ten sposób do pewnego stopnia ograniczono prawo wyboru kandydata przez Prezydenta. W ten sposób Prezydent obok pactów conventów ustalonych w Paryżu 1939 roku, na mocy których zrzekł się swych praw odnośnie rządów, tracił nawet prawo nominacji swego następcy. Cóż zatem pozostawało w jego dyspozycji? Odpowiedź na ten wniosek RJN przyszła dość szybko. W drugiej połowie czerwca (23) podczas posiedzenia RJN Delegat przyniósł depeszę z podpisem Raczkiewicza, kontrasygnowaną przez Mikołajczyka, zawiadamiającą go o mojej nominacji na zastępcę Prezydenta. Jednocześnie proszono o natychmiastowy odlot samolotu będącego już do dyspozycji. Nie dałem żadnej odpowiedzi, warunkując ją decyzją moich towarzyszy partyjnych.

Ale już wtedy powzięłem postanowienie — nieprzyjmowania nominacji, mimo że obok pisma Prezydenta miałem zakomunikowany tekst rezolucji partji, zasiadających w rządzie, oraz działaczy, zwłaszcza przybyłych ostatnio z Polski — oświadczających się za moją kandydaturą. W tym samym duchu wypowiedział się Zarząd Sekcji PPS w Londynie. Na posiedzeniu CK Partii złożyłem oświadczenie o mojej odmowie. Wywołało to sprzeciw ze strony członków. Mimo to nie ustąpiłem i pozostałem przy mojej decyzji. W konsekwencji uchwaliliśmy rezolucję przerwania tera i już bez dalszego pytania rządu mieliśmy zaproponować teraz obsadę wyłącznie z kraju. Posiedzenie RJN ten wniosek akceptowało i zgodziło się, żeby kandydatów zgłoszyły trzy stronnictwa: PPS, Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Narodowe, naturalnie bez podania nazwisk tylko do charakterystyką działalności kandydata. Nazwiska miały być podane tylko do wiadomości delegata. Myśmy podali nazwisko Arciszewskiego. Z początkiem lipca kandydatura Arciszewskiego została potwierdzona przez Raczkiewicza. Arciszewski w końcu lipca odleciał przez Włochy i Kair do Londynu. W drodze, w Kairze, widział się z Mikołajczykiem, udającym się do Moskwy. Stąd wniosek, że został należycie poinformowany o rzeczywistej sytuacji w kraju. I rzeczywiście w tym okresie Niemcy byli w pełnym odwróceniu na wschodzie i zachodzie. To sprzęgło się z zamachem na Hitlera (10 lipca 1944 roku) nieudany, ale w konsekwencji osłabiającym morale wojska. Warszawa i ludność były świadkiem beładnej ucieczki armii, którą dotychczas cechowała

i ludność były świadkiem bezładnej ucieczki armii, którą dotychczas cechowała wspaniała postawa i dryl ściśle pruski. Zbliżały się dni rozstrzygnięć decydujących o naszym wystąpieniu powstańczym w sercu Polski — w Warszawie. Czyż w takim czasie mogłem wahać się z odmową przyjęcia zaszczytnego mandatu zastępcy Prezydenta? I dlatego w piśmie, wysłanym do Londynu na ręce Prezydenta, obok innych argumentów i powodów odmowy, przytoczyłem i ten szczegół, że nie mogę opuszczać organizacji podziemnej, z którą się zrosłem i jej potrzeb związanych z walką. Nadto czego nie pisałem, a zakomunikowałem dla porządku Delegatowi, że zważywszy ograniczenia Prezydenta, nie widzę dla siebie możliwości pracy, a automatem być nie chcę. Poza tym afery podejmowana wokół Sosnkowskiego stwarza kryzys w wojsku, a więc w tej najważniejszej instytucji Państwa — w dodatku funkcjonującego na obcym terenie — jest zjawiskiem groźnym, którego jako zastępca czy nawet następca Prezydenta nie mógłbym, nie mając ku temu uprawnień rozwiązać. Sprawę zaś wojska, jako *ultima ratio* istnienia Polski stawiam na pierwszym planie każdego Prezydenta. Tymczasem sytuacja dojrzała do wybuchu. Tu już nie tylko wola czy zamiary organizacji, partii czy dowództw AK, ale po prostu cała Warszawa czekała tylko sygnału.

Drakońskie zarządzenia władz okupacyjnych, zwłaszcza zarządzenie o porwaniu 100 tysięcy młodzieży — doprowadziło do ostrego pogotowia AK w Warszawie, a władze podziemia polskiego, RJN, Delegat i Dowództwo AK w ciągłym kontakcie i naradach starało się godzinę „W” wyznaczyć w najlepszym dla powstania momencie. Tutaj przypomnę, że rząd w Londynie i naczelne dowództwo zawiadomiły kraj, że powstanie choćby na pewnym tylko terenie Rzeczypospolitej akceptują, jednak czas wybuchu oddają do dyspozycji Głównego Komendanta AK. Równocześnie, przy dalszym wyjaśnianiu, kto decyduje ostatecznie o godzinie powstania, czy jedynie i wyłącznie Komendant Główny AK — od Mikołajczyka na pewno (czy Naczelnego Dowództwa też, nie wiem) nadeszła odpowiedź, że decydować ma Trójka w kraju; a mianowicie: Komendant Główny AK, Delegat na kraj i Przewodniczący RJN. W tym stanie rzeczy, pomny odpowiedzialności i jako Przewodniczący RJN i jako Komendant Główny OW PPS, postanowiłem dowiedzieć się u Komendanta Warszawy Montera (Chruściel) bliższych danych odnośnie rozporządzalnych sił AK. Rozmowa została zamówiona na 29 lipca, w mieszkaniu gdzieś w końcu ul. Chmielnej (za Żelazną, strona nieparzysta zdaje się 129). Zanim to nastąpiło na CK omawialiśmy możliwości przyszłej akcji i wyznaczaliśmy ewentualne punkty kontaktowe dla naszego kierownictwa politycznego i wojskowego. Wszyscy przykładali dużą wagę do nastroju mieszkańców stolicy, do bezhołwstwa odwrotu wojsk niemieckich i powszechnej ucieczki władz miejskich. Przykładali także dużą wagę odnośnie bliskiego sygnału wystąpienia, a to wobec już prawie jawnej mobilizacji AK. Narzekano jedynie na nikły stan zaopatrzenia w broń. Niestety jak we wszystkich tego rodzaju ruchach, choćby uwojskowionych ale pozbawionych mechanizmu techniczno-mobilizacyjnego, z nawrót Niemców na przedpolu Warszawy. W tej sprawie Bór poinformała: 1) docieranie wywiadów do linii jest prawie niemożliwe, ze względu na fakt rozstrzeliwania każdej napotkanej osoby pod pretekstem szpiegowania. Ze skąpych jeno wiadomości widać, że Moskale są na przedmieściu Grochowa i że np. na placu Szembeka pojawiły się sowieckie tankietki. Znaczy to, że linia generalnego natarcia zbliżyła się do lotnisk: Sulejówek-Anin. Wobec rozkazów idących od rządu i Naczelnego Dowództwa AK musi podjąć „Burzę” termin zaś należy do niego, tj. Bora. W tej ważnej chwili usiłował naradzać się ze swym sztabem, który jest stale do jego dyspozycji, i z Komisją. Wiadome jest Komisji, że zarządził pogotowie, które czuwa od kilku dni i że to naraża na pewne straty w ludziach i wojsku. Do pełnego wystąpienia i postawienia wszystkich rozporządzalnych sił na stopie wojennej musi on mieć

dla „mob” przynajmniej 20 godzin. W tym stanie rzeczy, gdy nawet Komisja nie zdąży się zebrać i wypowiedzieć w sprawie godziny wystąpienia — Rząd i Naczelne Dowództwo przysłały instrukcję, że w zastępstwie Komisji o wystąpieniu (gdy tego zajdzie konieczność) zdecyduje on Bór — w porozumieniu z Delegatem i Przewodniczącym RJN.

Na dzisiejszym zebraniu Komisji Głównej nie może podać do wiadomości obecnych godziny wystąpienia zbrojnego. W tej kwestii ciągle naradza się ze swoim sztabem i w danej chwili spieszy się na zebranie sztabu. Pozostaje więc instrukcja rządu — o decyzji w sprawie terminu „trójki”. Po jego odejściu Urbański zaczął wysuwać swoje koncepcje, że należałoby termin postanowić wtedy, gdy z jednej strony Niemcy będą opuszczać Warszawę, a po ich piętach będą deptać Moskale. P. Grudziński prosił delegata, żeby jednak dążył do zebrania się Komisji przed powzięciem ostatecznej decyzji. Oczywiście, że i ja ze swej strony, rozumiejąc co to jest akcja zbrojna i to w naszym położeniu, że zwłoka może stać się katastrofą tym nie mniej poparłem zdanie Grudzińskiego, zwłaszcza, że było ono warunkowe. Tym się uczułem dotknięty delegat, twierdząc, że w ten sposób jego pozostawia się samego w tak ważnym momencie decyzji. Sprostowałem to jego mniemanie i oświadczyłem, że mając podobny jak on mandat w decyzji nie uchylę się by ją powziąć, gdy moment decyzji Trójki nadejdzie, ale to nie wyklucza — o ile tylko będzie możliwe — powzięcie decyzji w komplecie Komisji Głównej. W ten sposób incydent się rozładował — po czym rozeszliśmy się, pozostawiając u Pisarskiego sposoby skontaktowania się z członkami Komisji Głównej gdyby zebranie się jej we wtorek było aktualne. Około godziny 14-tej rozeszliśmy się. Delegat uprzedził mnie, że jeżeli nie zawezwie mnie dzisiaj na „Trójkę” — to we wtorek tj. 1 sierpnia mamy się spotkać o godz. 12-tej na Elektoralfnej (nr 17 m. 27). Jeszcze jakimś tramwajem dojechałem do rogu Alej i Nowego Światu. Spieszyłem do moich na Grochowie, z którymi od 36 godzin się nie widziałem. A położenie ich było nieciekawe. Domek, wskutek dwukrotnego nalotu sowieckiego, pod wpływem podmuchu eksplodujących o kilkanaście metrów bomb, stracił dach, okna i oszklone drzwi. Żona i córka (druga córka — starsza — była w Henrykowie na posadzie w Aptece), przerażone i tym i zapowiedzianą wyprowadzką swoich przyjaciół do Warszawy, zaklinały mnie żebym nie odchodził. Przrzekłem, że w niedzielę 30 lipca lub w poniedziałek 31 lipca będę na pewno nocować. Był to wykręt — niech mi go przebaczą. Moja funkcja sprzeciwiała się pozostawianiu choćby przez kilka godzin na Grochowie — a to ze względu na most, który dawał łączność z Warszawą nie mówiąc już o ciągłych interesach publicznych i polityczno-partyjnych. Licząc się z tymi koniecznościami udałem się pieszo w stronę Grochowa, tj. przez most Poniatowskiego, już otwarcie podminowany z patrolami i szyldwachami. Przy Rondzie Waszyngtona zgrupowanie oddziałów wojskowych i aut, w domu nr 4 parter zajęty przez wojsko a w oknach karabiny maszynowe i rozpylacze. Minąłem dom nr 8 m. 2, w którym pod zmienionym nazwiskiem Buczaka Kazimierza mieszkałem, nie wstępując do niego, by czasu nie tracić. Na całej trasie — a więc Aleja Waszyngtona i Grochowska-Chłopskiego, spotykałem tłumy spieszące do Warszawy, natomiast w stronę Grochowa minąłem, zdaje się, parę osób, prawie wyłącznie niewiasty. Zaznaczam, że dzień z początku tylko pochmurny, w godzinach popołudniowych przeistoczył się w słotny. Idąc, stale słyszałem wystrzały artyleryjskie, zwłaszcza tzw. krowy-katusze i to dość blisko, oraz klekot c. karabinów maszynowych, gdzieś w chmurach — widocznie odbywały się pojedynki awiacyjne — bez względu na nikłą widoczność. W perspektywie Targówka widoczne były dymy i kolosalny pióropusz w okolicy Dworca Wschodniego lub Wileńskiego. Tak dostałem się na plac Szembeka (podówczas targowiska) zupełnie opustoszały,

tak samo dalsze domy świeciły pustką. Nikogo na ulicy, sklepy zamknięte. Już za kościołem spotkałem umówionego Dzięgielewskiego (z Lubelszczyzny), który zgodnie z naszym planem mob. OWPPS miał być naszym łącznikiem W-Praga z miejscem postoju, mój domek ul. Byczyńska 1. Gonilem więc, żeby go przedstawić żonie. Czekala mnie jednak duża niespodzianka. Oto domek zastałem zamknięty. Dopiero u sąsiada otrzymałem pozostawione klucze, ale bez wiadomości dokąd się udała żona z córką. Do domku wprowadziłem więc Dzięgielewskiego udzielając mu wskazówek odnośnie noclegu i aprowizacji. Nie było przytulnie. Wszystkie izby parteru były zalane wodą deszczową, gdyż nie było dachu, z sufitów ciągle się dalej lało. Ale nie było czasu, trzeba było się spieszyć wobec znaków na niebie i na ziemi. Więc jeszcze kilka kwestii natury kontaktowo-adresowej z Pragą i ruszyłem z powrotem, by dostać się do Warszawy i znaleźć dla siebie nocleg. Po drodze wstąpiłem do swego mieszkania na Waszyngtona wziąłem jedną zmianę bielizny, resztkę chleba i trochę cukru (gdyż cały dzień spędziłem prawie na głodno) i po pożegnaniu się z moją gospodynią mieszkania, p. Groniewską, popędziłem do Warszawy. W Warszawie odwiedziłem Tad. Szturm de Sztrema (podówczas Mokotowska 12) i omówiłem z nim parę szczegółów dotyczących łączności i umówiłem się na godz. 13-tą we wtorek w biurze u p. Korczakowej na Hożej 68. Wczesnym rankiem zacząłem poszukiwania mojej rodziny. Zważywszy, że o 12-tej miałem mieć decydujące o powstaniu spotkanie z delegatem, musiałem się spieszyć tym bardziej, że miałem z powodu braku tramwajów długodystansowe kursy — by wszystko na czas załatwić. A więc dla odnalezienia rodziny z Hożej powędrowałem na ul. Mochanckiego (p. Narutowicza) stamtąd musiałem zejść do Tad. Korczakowej ul. Senatorska. Na Mochanckiego rodziny nie zastałem i tutaj po wymianie niezbędnych wiadomości, otrzymuję zawiadomienie niezwłocznego widzenia się z A. Słowińskim (Bank Komunalny Róg Moniuszki i pl. Napoleona). Zachodzę i zastaję u niego Radziwiłła Janusza który przywiózł świeże wiadomości z Nieborowa (jego posiadłość), z których wynikało, że Niemcy w popochu wyjeżdżają likwidując zdaje się ważniejszą kwaterę (zdaje się armii). Naturalnie oni i Słowiński już wiedzą o powstaniu — dzisiaj we wtorek o godzinie 5-tej. Tak wyglądała tajemnica godziny wybuchu. Jeszcze raz w naszej historii potwierdziła się szkodliwość gadulstwa w takich decydujących, o być lub nie być narodu, chwilach. Z banku pędzę na Elektoralną. Delegat oznajmia mi, że powstanie wyznaczono na godz. 5-tą po południu, my zaś obaj mamy stawić się o godz. 3-ej po południu w dowództwie ogólnym — placówka ul. Dzielna, zdaje się 73 (prawie na rogu Okopowej Fabryka Kamlera). Delegat jednocześnie przeprosił mnie za podjęcie decyzji wspólnie z Borem bez mojego udziału. Był tak zaskoczony szybkością wypadków i koniecznością jak najrychlejszej decyzji, że zarządził zawiadomienie mnie, a gdy nic z tego nie wychodziło — zdecydował się na decyzję o godz. 6-tej wieczorem 31 lipca. Obecnie na gwałt zbiera się członków rządu, by ich poinformować co mają czynić w okresie, gdy będzie na placówce, a więc oderwany od rządu. Nie przeczę, że w danej chwili pozostawałem pod nieprzyjemnym wrażeniem jakichś faktów dokonanych. Oczywiście kwestie prestiżowe ani na chwilę nie powstały w mej głowie, nie mniej jednak, nie dysponując szczegółami, daleki byłem o posądzanie kogokolwiek, a tym bardziej delegata o jakąś intrygę czy złą wolę. Te myśli towarzyszyły mi w drodze na ul. Słiską — gdzie wreszcie znalazłem tylko żonę, Marysia była jeszcze poza domem w zajęciu w „Społem” na ul. Grażyny, ale miała lada moment przyjść. Nic nie mówiąc o powstaniu, prosiłem żeby nigdzie z domu już się nie wydałały. Pożegnałem się czując, że może po raz ostatni widziałem się z żoną, nie pożegnawszy się z Marysią — nie mówiąc już o Zosi, w danym momencie już bardzo odległej, chociaż tak blisko — bo w Henrykowie. Idąc ul. Słiską jeszcze

raz na Senatorską — w jednym z domów usłyszałem Etiudę rewolucyjną Chopina. Ten wspaniały utwór zamykający akordami strzałów okres powstania 1831 roku dziwnie zaciążył mi na samopoczuciu. Otrząsnąłem się i po załatwieniu drobiazgów na Senatorskiej udałem się na placówkę. Była godz. 2.10. Po drodze chciałem kupić coś do jedzenia. Tylko w jednej jadłodajni dostałem za słoną cenę trochę lemoniady i parę sztuk placków z lukrem czekoladowym. Przed 3-cią stanąłem przed fabryką Kamlera na ul. Dzielnej. Zapukałem do bramy. Otworzył mi młody człowiek w towarzystwie uzbrojonego — do pana Józefa — po czym odprowadzono mnie na I-sze piętro — gdzie w izdebce oszalowanej deskami — widocznie jakiś zakamarek fabryczny — zastałem Delegata, Bora i szefa sztabu Pełczyńskiego, stawił się również kierownik łączności delegata Grabowskiego (pseud. nazwiska nie pamiętam). Przywitawszy się rzuciłem następujące pytania: 1) Czy mamy zapewniony „parasol”, tzn. pomoc awiacyjną aliantów. Czy mamy zapowiedziane rzuty z bronią ciężką kalibrową. 3) Co oznacza ta straszna, od nocy trwająca cisza na froncie i w powietrzu — czyżby to oznaczało wstrzymanie, czy też załamanie się ofensywy sowieckiej? Odpowiadał głównie Pełczyński. Z ukrywaną troską oświadczył, że co do parasola — to żadnych danych Sztab AK nie posiada, co do zacisza na froncie, to przyznaje, że to jest bardzo dziwne i niewytłumaczone. O meldunki bardzo trudno, ale pewnie nadejdą i czeka się ich od Montera (Chrusciel), dowódcy całej operacji warszawskiej. Co do zrzutów to są wizowane dzisiejszej nocy — ale pogoda może dużo poplątać. Na tych wyjaśnieniach trzeba było poprzestać zwłaszcza, że życie na placówce siłą rzeczy zaczęło się rozkręcać. Już, że tak rzeknę, początek akcji wypadł jak *deux ex machina*. Zaledwie zaraportowano, że jak dotąd kwatery głównego komendanta Bora dysponuje oddziałkiem 12 ludzi, gdy rozległy się strzały karabinowe i krzyki och! och! Spojrzałem na zegarek — była godzina 15-ta 35 min. Te strzały wyprzedziły godzinę 5-tą powstania. Bo wynikiły jedynie z winy nieoswojenia się żołnierzy powstańczego ze służbą wartowniczą. Jak się okazało, wspomniana fabryka Kamlera prąta kozuchy dla kolejarzy niemieckich. Po te kozuchy zgłaszali się Niemcy codziennie, a nieraz i dwa razy dziennie. I tego dnia 1 sierpnia rano zabrano trochę kozuchów, a po południu właśnie około 15.35 przyjechali znów autem ciężarowym — w którym zdaje się jeden Niemiec miał karabin. (W owym okresie, z rozkazu armii wszyscy Niemcy uzbrojeni, mieli broń w pogotowiu). Otóż, gdy w bramę władował się ów nieszczęsny samochód i wyłonił się Niemiec z karabinem, jeden z szyldwachów AK przekonywał, że to jest atak Niemców — strzelił raz i drugi raniąc ciężko jednego (śmiertelnie) a dwaj drudzy rzucili się do ucieczki w kierunku Okopowej, przy której w pobliżu były koszary żandarmerii. W ten nieoczekiwany sposób zaskoczyło nas powstanie i trzeba było liczyć się z jego dla nas następstwami. Właściwie sądząc, należało liczyć się z naszą szybką likwidacją, albowiem: 1) w sąsiedztwie była fabryka monopolowa (bodaj na Pawiej — prawie że na przeciwko naszej posesji na Dzielnej), 2) na Okopowej w niezbyt wielkiej odległości — koszary żandarmerii i 3) na rogu Chłodnej i Żelaznej — również koszary żandarmerii. To były elementy, które uruchomione mogły nas zeskamotować. Był tylko pewien procent ocalenia — a mianowicie ruch zbrojny także winnych częściach miata. Istotnie prawie nigdzie nie dotrzymano godziny 5-tej. Np. na Żoliborzu akcję rozpoczęto o godz. 3-ciej — wszędzie zdaje się pod przymusem. I tym należy sobie tłumaczyć brak reakcji na wypadek w fabryce Kamlera. Ten brak reakcji na wyczyn fabryki K. nie wyczerpywał całości zachowania się Niemców. Albowiem już wkrótce bez wyraźnego kierunku na Kamlera, szczególnie od ul. Pawiej, dokąd przenieśliśmy się, na rumowiskach Getta pojawiły się grupy Niemców. Widzieliśmy ich na

szerokości ulicy patrolujących i szukających na wszystkie strony. Byliśmy oddzieleni od ich oczu jedynie firankami. Sledziliśmy ich z dużą dozą obaw, by ktoś z czujek obserwujących Niemców przez okna frontowe — uniesiony łatwością zakatrupienia — nie strzelił. Zadanie było jasne: trwać dopóki nie nadejdą oddziały Kedywu (Komendy dywersji).

Minęła 5-tą a oddziałów Kedywu nie było widać. Dopiero około godziny 6-tej mocno zdekompletowane oddziały — dachami dostawały się do naszej placówki — oczywiście wśród ciągłych walk. Nim zakończono przegrupowanie bojowe i zajęto pozycje wyjściowe zaczęło się zmierzchać. Atak AK kierowany był na fabrykę monopolu i na przyległe bunkry. Akcja szła bardzo ostro. AK-owcy posługiwali się granatami produkcji konspiracyjnej pirotechniki — tzw. „filipinkami”. Dawało to ogromne efekty chociaż krótkotrwałe, gdyż Niemcy zawsze górowali liczbą i ogniem. Akowcy, już w pierwszym dniu akcji licho uzbrojeni, mieli rozkaz oszczędzania amunicji. Nadto podpalone przez Niemców baraki na terenie Getta utrudniały walkę, dając swym pożarem dodatkowo szansę przewagi militarnej. W ciągu nocy, pomimo deszczu, płonęły 3 baraki i całą noc ciągnęła się obustronna strzelanina. Muszę tu wspomnieć o bardzo krytycznym dla powstania wypadku radiowym. Kierownictwo radiowo-nadawczo-odbiorcze należało do płk. Kuczaby (pseud.). Otóż jakiś niewytłumaczony pech chciał, że wiadomość o powstaniu została puszczona w świat ze skutkiem dopiero na drugi dzień. Słowem z niewiadomych powodów (sabotaż był wykluczony) nadawanie nawaliło. Nawet nawaliło w drugiej podręcznej stacji, znajdującej się niedaleko, zdaje się na ul. Żytniej. Tak więc powtórzył się w historii powstań — nieudany alarm. Alarm dla Warszawy 29 listopada 1830 roku zawiódł i alarm w świat 1 sierpnia 1944 roku również zawiódł. Czyli należy zaznaczyć, że zaczęło się od nieudanych aktów. Z rana drugiego dnia sytuacja bojowa zmieniła się na gorsze dla powstańców, gdyż nacisk ataku Niemców wzmógł się, dając pewne sukcesy, zwłaszcza po wprowadzeniu czołgów typu „Tygrys”. W pewnej chwili placówka nasza uległa zagrożeniu. Liczono po prostu godziny wytrzymałości bojowej. I dlatego gen. Bór i Pełczyński odbyli ze mną i Delegatem rozmowę, nakłaniając nas do przeniesienia się w miejsce „bezpieczniejsze”. Myśl przewodnia argumentów za przejściem gdzie indziej była taka, że oni jako wojskowo odpowiedzialni muszą dzielić dołę i niedołę żołnierzy, my zaś odpowiedzialni za całość polityczno-ideową ruchu powstańczego winniśmy przetrwać w interesie sprawy jak najdłużej. Po dłuższych perswazjach i namowach Delegat po naradzie ze mną i uzgodnieniu postanowił przenieść się. Udaliśmy się wraz z Grabowieckim na ul. Tyszkiewicza do willi jakiegoś fabrykanta, znajomego Grabowieckiego. U niego Grabowiecki miał *pied à terre*. Gdyśmy się przedzierali poprzez cmentarze i pomiędzy barykadami, budowanymi ciągle, natrafialiśmy na niespotykany entuzjazm i powszechnie pogotowie formalnie wszystkich mieszkańców tej okolicy. Oczywiście prym trzymała młodzież obojga płci. Rozumie się, że nic nie wiedzieli o krytycznym położeniu walczących, zwłaszcza o ostatekach oporu Woli. W willi na Tyszkiewicza przyjęli nas gościnnie. Byliśmy w kursie akcji, albowiem umówiliśmy się że będziemy otrzymywać ważniejsze wiadomości przez gońców. Około godz. 16-tej w tej części przedmieścia wynikła panika, wywołana wiadomością o paleniu przez Niemców domów przy ul. Wolskiej i masowych rozstrzałach mężczyzn. Tu i ówdzie zdarzały się wypadki płochliwych rejerad ludzi, nie biorących udziału w walce. Ale i to było bardzo deprymujące. Noc upłynęła wśród nieprzerwanej strzelaniny i wybuchów. Z rana otrzymaliśmy meldunek, że sytuacja naszego frontu wydobrzała i że zdobyto jeden czołg. Była to środa jeszcze deszczowa. Natychmiast ruszyliśmy na kwaterę Dowództwa i odtąd nigdy już nie daliśmy się skusić czy też przekonać o tezie, że tutaj, tj. w powstaniu, są jakieś podwójne

odpowiedzialności. W naszym poczuciu uważaliśmy się za odpowiedzialnych za całość walki powstańczej — cokolwiek się zdarzy.

W kwaterze zaroilo się od łączników przybywających od Montera. Zjawiali się urzędnicy Delegatury. Na krótki moment zjawił się Bagiński, piastujący od niedawna urząd dyrektora departamentu spraw wewnętrznych. Przybywli, tzn. przedzierali się, oficerowie służb i łączności. Zainstalował się oficer Bipu mjr. Gromski (zdaje się b. starosta Warszawy) a z nim zaczęły się pojawiać komunikaty prasowe bardzo skąpe w treści. Niestety, ta część informacyjna wewnętrzna i zewnętrzna zawsze szwankowała, zdaje mi się dzięki rywalizacji DI delegatury i Bipu Wojska. Nadto technika radiowa ustalała się dopiero i to zaciążyło nad powstaniem i jego propagandą. Jedyne co wiedzieliśmy, to o terminie zrzutów, nadsyłanych drogą radiową do Dowództwa. Ponieważ sąsiadowaliśmy z częścią zburzonego Getta, zatem zgodnie z planem zrzutów, ustalonych między AK a [sprzymierzeńcami] anglo-amerykańskimi via Dowództwo Polskie za granicą, mogliśmy będąc też terenem projektowanych zrzutów, obserwować akcje zrzutów. Również noc ze środy na czwartek nie dała efektów zrzutowych ze względu na warunki atmosferyczne (deszcz i niski pułap chmur). Ten szczególnie zrzutowy demaskował dwa fakty: 1) Sprzymierzeni na skutek umowy teherańskiej uznali Polskę za teren strategiczny należący wyłącznie do Sowietów. Stąd i zrzuty jako akcja wojskowa była wyłącznie w kompetencji Aliantów. Zrzuty w powstaniu, zwłaszcza dla Warszawy, napotykały ze strony Sowietów na sprzeciw i tylko poza Warszawą Alianci wymogli widocznie wolną rękę. Ponieważ loty kierowane były z Włoch, więc dzięki postawie dowództwa polskiego we Włoszech, no i dzięki postawie żołnierzy alianckich, doceniających walkę Polski, ekipy lotnicze skręcały do Warszawy, usiłując dostarczyć walczącym jak najwięcej materiału bojowego. Nie trzeba chyba dodawać, że kierownictwo powstania było w prawie liczyć na pełną pomoc powietrzną Aliantów i do końca powstania zawsze protestowało przeciwko tej taktyce ulegania roszczeniom sowieckim, a tym samym pomagania Niemcom w ich gromieniu powstania. Do tej polityki „lotniczo-zrzutowej” jeszcze powrócę. 2) Zdaje się w czwartek lub w piątek — kiedy nastąpiła słoneczna pogoda, a z tej racji zaczęło działać niemieckie lotnictwo bombardujące — pojawiły się zrzucane z samolotów, obok bomb ciężkiego kalibru (250 kg) — także ulotki nawołujące ludność do opuszczenia Warszawy, a traktujące powstańców jako bandytów. Te praktyki i straszliwa masakra ludności, jej mienia i siedzib — musiały wyłonić sprawę „kombatanctwa”. W danej chwili trudno mi ustalić, kto pierwszy poruszył to zagadnienie, ale w rzeczywistości Niemcy wykorzystali tu niczym nie usprawiedliwioną lukę w stosunkach Polski z Aliantami i zaczęli obrabiać ten temat raczej pozytywnie. Przebieg tej akcji jest znany. Ameryka i Anglia — bez Sowietów — pod naciskiem opinii publicznej były zmuszone ogłosić z końcem sierpnia [!] deklarację o AK jako kombatanctwach. Słowem dopiero w roku 1944 — uznano i to bez Rosji — prawa żołnierskie AK. Zdaje się, że jest to unikat w historii — stosunków międzynarodowych, a samo niezłatwienie w ciągu lat — daje pełne wytłumaczenie faktu uznania Polski za wyłączny teren strategiczny Rosji.

Równocześnie z nalotami i bombardowaniem coraz bardziej systematycznym (np. 4 sierpnia — 4-krotny, 5-go od 11 i pół godz. co godzina) — zaginał się nasz front, zwłaszcza z cmentarzy w kierunku miasta, czyniąc z naszej kwatery raczej bojową pozycję, a nie bazę rozkazodawczą i to w stylu głównego kierownictwa. Zaznaczyć trzeba, że od najbliższych pozycji wyjściowych np. Pl. Krasińskich byliśmy właściwie prawie odcięci dzięki ogniovi idącemu ze strony Pawiaka, oraz nieustannemu obstrzałowi ciężkich karabinów maszynowych ustawionych na wieży kościoła Św. Augustyna. Wprawdzie po zniszczeniu 2-ch czołgów, pozostał do naszej dypozycji jeszcze trzeci — typu „Tygrys” — ale

unieruchomiony, jednak z działem funkcjonującym i zaopatrzonej z górą w setkę pocisków. Otóż manewrując tym tygrysem udało się kilku strzałami spędzić obsługę karabinów na wieży Św. Augustyna. To ulżyło nam bardzo. Jednakowoż na wiadomość, że Niemcy jednak obok cmentarzy forsują ul. Wolską — sytuacja uległa raczej zaostrzeniu i trzeba było dla dowództwa szukać „spokojniejszej kwatery” (!). Dlatego też 6 sierpnia około godz. 11-tej ruszyliśmy poprzez Getto pod obstrzałem Pawiaka — w stronę ul. Krasieńskich — na ul. Barokową. Zwinięcie kwatery głównej w niczym nie naruszało pozycji bojowej. Szliśmy w kilku rzutach — grupkami. Szedłem z Delegatem Grabowieckim, dyr. Rukowskim, płk. Bogusławskim, Kuczabą i innymi, których nie znam. Tak doszliśmy do tyłów ogrodu Krasieńskich. Gdy dochodziliśmy do pierwszych drzew mignęło się nam kilka sylwetek w hełmach, oczywista niemieckich. Nie zdążyliśmy się rozoznać z kim mamy do czynienia — zaskoczono nas rozkazem pod murek i kilku żołnierzy — teraz wyraźnie naszych — zarządziło podniesienie rąk. Gdyśmy oburzeni takim traktowaniem zaprotestowali, dowództwo tej grupki po prostu nauręgało nam. Charakterystyczny był brak posłuchania czy legitymowania. Ja osobiście przypuszczałem, że po prostu natknęliśmy się na jakąś bandę, która wykorzystując pewien rozgardiasz tak zwykły w ruchach masowych, działała na własną rękę.

Sytuacja nasza się pogorszyła, gdy Delegat oświadczył, że za to postępowanie jeszcze odpowie. Po dłuższych pertraktacjach — my z podniesionymi rękami, a oni z wycelowaną w nas bronią — udało się wytargować stawienie naszego dowódcy przed dowódcą ich oddziału celem wyjaśnienia. Płk Bogusławski i ktoś jeszcze udali się z częścią tej eskorty do dowództwa a nam pozwolono usiąść na ziemi i czekać wyniku. Wtedy to zauważyłem na rękawie jednego z nich napis „Milicja PPS”. Zanim zdecydowałem się go zapytać, czy rzeczywiście jest milicjantem PPS-u, sam zwrócił się do mnie po nazwisku (widocznie mnie poznał jako członek organizacji PPS) i przejęty nietaktem swego komendanta dał temu wyraz oświadczając, że zaraz się to wyjaśni. Istotnie z budynku wybiegła grupa powstańców i wkrótce przede mną stanął kpt. Gnat i skomenderowawszy „na baczność” zaraportował: Ob. Komendancie (byłem komendantem najprzód Gwardii Ludowej, a po jej przemianowaniu na OWPPS także komendantem OWPPS) melduję obecność oddziału Milicji PPS. Oczywiście wszystko się wyjaśniło w nastroju serdecznym oprowadzono nas po całym gospodarstwie, które było domeną PPS-owską. Oczywiście, że oddział Milicji PPS był tylko częścią formacji Batalionu Łukasieńskiego i pełnił zarówno służbę na barykadach i w rezerwie, a kobiety codziennie wychodziły późnym wieczorem i pilnowały zrzutów dając sygnały samolotom. Dodać muszę, że ta służba wymagała nie tylko ofiarności, ale przede wszystkim przytomności umysłu. Bo przecież podczas pojawiania się samolotów naszych niebo i ziemia po prostu były w ogniu. Wszak artyleria, reflektory i rakiety Niemców odsłaniały wszystko na niebie i ziemi.

Była to ul. Barokowa. Tutaj zainstalowaliśmy się nie zważając, że część budynków już płonąła. Zastąpiłem tutaj Włodzimierza Miszewskiego komendanta OWPPS-Warszawy, dalej Dzięgielewskiego komendanta Milicji PPS na Warszawę, Sobolewskiego z Milicji PPS (organizatora i gospodarza placu) tow. Szczerkowskiego, który redagował „Warszawiankę”, wydawaną i kolportowaną przy pomocy towarzyszy — jako organ Warszawskiego Komitetu Okręgowego. „Warszawianka” była właściwie jedynym pismem Starówki. Niestety mała ilość papieru, a zwłaszcza prymityw techniczny (np. gdy ostatecznie zabrakło prądu, tłoczenie gazety codziennej ręcznie) nie przyczyniało się do rozwoju pisma. Ale w okresie gdy Starówka była całkowicie odcięta od świata i od reszty Warszawy (nie liczę sporadycznie przekradających się ze

śródmieścia łączników) „Warszawianka” był łącznikiem między walczącymi a ludnością.

Słowo o ludności Starówki. Byłem w czasie powstania na Woli, Starówce, w Śródmieściu jednym i drugim, ale muszę w interesie prawdy dziejowej stwierdzić, że ludność Starówki — ci rzemieślnicy i wyrobnicy, robocizna i w ogóle nędza — wytrzymała na swoich barakach wszystkie konsekwencje walki i jej następstwa. Zawsze była czynna i *nie narzekająca* i nie dająca posłuchu coraz wyraźniejszej dywersji agentów komunistycznych. Ona cierpiąc głód i dysponując coraz mniejszymi możliwościami mieszkaniowymi — lokowała i utrzymywała tysiące zbiegów z Woli i z Powązek. Jakże inaczej było np. w Śródmieściu między Al. Jerozolimskimi i pl. Zbawiciela w domenie tzw. inteligencji. Na próżno szukać słów na określenie jej postawy. Po prostu wstyd. Na Barokowej lokowaliśmy się razem ze szpitalem w pomieszczeniu, które wkrótce zapełniło się coraz to nowymi rannymi. Trzeba było oglądać się za nową siedzibą na Starówce. Było coraz trudniej, gdyż Niemcy wprowadziwszy do walki lotnictwo ciągle ulepszali swój materiał artyleryjski. Do akcji przybyły „szafy — czyli krowy” oraz coraz cięższa artyleria. Wynik był straszny, padały nie tylko domy i ulice od pocisków, ale również od ognia z którym walczono bohatercko, ale który w końcu robił swoje. W tym stanie rzeczy przenieśliśmy się do budynku Min. Sprawiedliwości ul. Długa 7 w dniu 13-tym sierpnia. Zaznaczyć muszę, że z opuszczeniem Barokowej, skończyło się dla nas obfite wyżywienie. Odtąd zaczął się stół bardzo skromny — jednopotradowy (kasza) czasem konserwy i chleb, kawa. Cukru było dużo bodaj w całej Warszawie. Dzień był wyjątkowo pogodny, słoneczny, naloty rzadkie. W podwórzu gmachu zieleniało wino — słowem raj. Zdaje się, że już po obiedzie zaczął się bój barykadowy, ale już wkrótce powietrze wstrząsnęły okrzyki wyglądające na jakąś przegraną, ale przy bliżeniu się już wyraźnie brzmiały wiwatowo. Patrząc z okna II-go piętra zauważyć można było wóz pancerny typu „Goliat”, otoczony powstańcami, z których kilku siedziało na Goliacie ze sztandarem polskim. Szli więc ze zdobyczą i to bardzo cenną. Toteż we wszystkich oknach domów i na balkonach przepełnionych ludźmi rozlegały się powitania i wiwaty oraz sypanie kwiatów. Goliat przedelfował, po czym usiłował przedostać się przez barykadę, jednak zrezygnował i skierował się na ul. Podwale. W tym momencie okna w naszym pokoju wyleciały raniąc, zwłaszcza szkłem, najbliższych stojących — z towarzyszeniem niesamowitego wstrząsu i huku. Jak się okazało Goliat był przynętą naładowaną materiałami wybuchowymi — nastawioną zegarowo. Skutek rozerwania się Goliata był potworny. Ludzi po prostu zmiotło. Optymistyczne obliczenia ofiar sięgały ponad 200-tu. Głównym winowajcą była oczywiście nieostrożność, za którą tak ciężko trzeba było płacić. Dodam że i brak doświadczenia również się do tej klęski przyczynił. Odbiło się to na nastroju — w obliczu jednoczesności tryumfu i klęski.

To osamotnienie Starówki, a tym samym rozbitcie terenu powstania na izolowane odcinki nakazywało jakąś kontrakcję. Zależne to było od następujących elementów: a) podjęcie łączności bojowo-rozkazodawczej dla całości, b) rozszerzenie bazy rekrutacyjnej dla szeregów powstańczych, c) intensywniejsze szturmowanie rządu i zagranicy.

Oдноśnie p. a) łączność informacyjną i bojową rozkazodawczą zdecydowano podjąć przez kanały. Po długich poszukiwaniach planów i znawców kanałów (robotników kanalizacyjnych) dzięki energii Marcela (delegat na Warszawę) zdobyto plany i wkrótce drogę do śródmieścia. Pierwsza a zarazem jedyna w tym czasie droga prowadziła przez tzw. kanał wąski (wysokość 90 cm). Trzeba było się czołgać i nie każdy korpus mógł w tej przestrzeni dokonać przejścia. Przeczółganie się odbywało się w następujący sposób: otwór kanału był

jajowaty — u góry szerszy a u dołu zwężający się tak, że tworzył rodzaj rynny, w której z ledwością mogła pomieścić się stopa. Wchodzący do tej kieszki brał ze sobą mocny kawał drewna i umieszczał go poziomo, naciskając w dół aż do pierwszego oporu. Na tym drewnie opierał się rękami, wyciągając jednocześnie w tył nogi i w tej pozycji leżącej nabierał rozruchu do czołgania się. Mianowicie, trzymając równo drewno, jednocześnie odpierając pod siebie nogi, miał możliwość przesuwania drewna w przód. Gdy osiągnął pozycję leżącą znów podkurczał nogi i znów pchał przed sobą drewno itd. Takie były kroki, na które pozwalała przestrzeń kanału. Oczywiście, że to szalenie wyczerpywało siły i nerwy, a to prowadziło do próby kroczenia na kolanach. Skutki takiego marszu były po krótkim czasie fatalne. Odzież szła w strzępy, a kolana zdierały się do kości. Stąd była nauka: mogą tej drogi używać ludzie młodzi, silni (serce!) wysportowani. Oczywiście pomijam taki szczegół jak zgniłe duszące powietrze. „Przechodzący” takim kanałem musieli iść pojedynczo, żeby ewentualnego „korka” spowodowanego np. przez zemdleńnię nie powiększać. Sztafety tym kanałem były wykorzystywane jedynie w celach bojowo-łącznościowych i informacyjnych. Tą drogą odbywała się wymiana broni i dostarczanie amunicji oraz dostarczanie prasy, która w śródmieściu miała wszelkie dane techniczne i wykonawcze. Prasa odgrywała wielką rolę propagandową i nie podlegała żadnej cenzurze czy ograniczeniom. W rezultacie szczyrzyły się dywersje pismackie, wymierzone z początku nieśmiało, później coraz odważniej, przeciwko kierownictwu powstania. W drugiej połowie września, kiedy powstanie znalazło się na bardzo ograniczonym terenie działania — dywersja komunistyczna przenikała wszędzie, paraliżując wydawnictwa popierające powstanie i jego władze. Jak daleko sięgały macki świadczy o tym np. taki fakt D.I. i Bip wydawały przegląd prasowy powstania. Szły więc tytuły różnych mało poczytnych efemeryd, nawet pisemka syndykalistyczno-monarchistyczne (!) natomiast np. „Robotnik”, który odgrywał rolę przodującą w propagandzie i cieszył się ogólną sympatią i poczytnością, był wymieniany — ostatni, a „Warszawianka” wychodząca na Starówce jako organ Warsz. OKR PPS miała w przeglądzie taki dodatek objaśniający: organ prawicy PPS. Oczywiście — mając choć prymitywnie jednak uregulowaną łączność mogliśmy ustalić, że Śródmieście dzięki skupieniu się tam i dowództwa Montera, prasy oraz służb pomocniczych wojska, a dalej przedstawicieli Delegatury, podejmującej takie zadania, jak aprowizacja i rozdział żywności: kuchnie, szpitale, lokowanie bezdomnych, walka z szabrownictwem i złodziejstwem (na szczęście niezbyt ciężkim), lokalizowanie pożarów i ratownictwo zasypanych, stało się siłą rzeczy bardzo żywotnym rezerwatem środków i sił powstania. Przyczynił się do tego fakt pewnego ceną [oszczędzenia — Eska] Śródmieścia przez ataki Niemców. Tutaj też funkcjonowała Rada Jedności Narodowej, kompletująca się by podołać swojej roli, pod przewodnictwem jedyne go na tym terenie, żyjącego wiceprzewodniczącego Jaworskiego. Od niego też otrzymywałem regularne sprawozdania i odwrotnie jemu przekazywałem moje uwagi i dezyderaty. Podawałem nadto wskazówki i tematy ustalone razem z Delegatem. Tą drogą również utrzymywałem żywy kontakt z organizacją PPS i z tow. Marcinem pełniącym funkcje przewodniczącego CK.

Odnośnie punktu b) rozszerzenia bazy powstania przez rozszerzenie rekrutacji — należy uwzględnić następujące szczegóły: 1) Powstanie Warszawskie było aktem „Burzy” i obejmowało tylko Warszawę. Np. okolice Warszawy lewej i prawo-brzeżnej były wyłączone z uwagi na nikłe rezultaty pracy wojskowej, stale rozbijanej przez dywersję komunistyczną. Ten sam obraz przedstawiała Praga. Pomimo szalonego nakładu pracy i środków Praga była najgorzej postawionym odcinkiem. Ale niech czytelnik nie myśli, że komuniści robiąc dywersję używali jakichś argumentów propagandowych — nie! Po prostu starali

się każdy wysiłek sabotować: a to wątpliwościami, a to względami niby bezpieczeństwa, co nie przeszkadzało im na odprawę wprowadzać coraz to nowych typków, którzy swym zachowaniem się obrzydali ludziom skąd inąd nawet bardzo chętnym — pęd do organizowania oporu okupantowi. Charakterystyczny był fakt, że i przed powstaniem i w czasie powstania Praga była najgorzej zorganizowanym skupieniem robotniczym i to w dzielnicy najbardziej fabrycznej. Nic też dziwnego, że samego „Kuriera” 5 gr. rozchodziło się na Pradze 21.000!! a w czasie powstania Praga obok bohaterskich wyczynów garści nieprzejednanych nie odgrywała żadnej roli. Rozszerzenie rekrutacji o którą zabiegaliśmy razem z Delegatem od dnia 9 sierpnia tj. od dnia gdy oficjalnie rząd w Londynie, przez usta Kwapińskiego (Mikołajczyk wówczas był w Moskwie), zadeklarował nie tylko całe swoje poparcie, ale również natychmiastową efektywną pomoc aliantów. Zabiegaliśmy oczywiście u Sztabu Bora, zdając sobie sprawę z trudności przeprowadzenia takiej mobilizacji najbliższych okręgów AK a te ze względów na łączność jedynie radiową, no i teren bezpośrednio wyjście w dła akcji niemieckiej. Zresztą teren był nawodniony przez wojsko, żandarmerię i Gestapo. Uważaliśmy jednak, że gdyby nawet tylko częściowo udało się niektórym oddziałom AK przebić się do Warszawy — to już sam apel o pomoc rzucony w kraj miałby ogromne znaczenie dla rozwoju powstania. Oczywiście, że liczyliśmy też na oświadczenie Kwapińskiego, wicepremiera rządu, i na fakt powołania do akcji Komitetu rządowego niesienia pomocy powstaniu w Londynie. Istotnie nasz postulat został przyjęty i odnośne rozkazy poszły w teren. Rada Jedności Narodowej również dała swoje poparcie, zwracając się z odezwą do narodu.

Odnośnie punktu c). Tutaj mieliśmy pewne swobody, dysponując możliwością wysyłania zwięzłych depezb do wszystkich — błagając o pomoc. Więc i do rządów alianckich, głównie do Anglii i Ameryki, do parlamentów, do wodzów Churchilla, Roosevelta, do prezydentów miast (New York, Londyn) itp. słowem wszędzie. Depesze podpisywaliśmy wspólnie z Delegatem, niektóre wspólnie z Borem. Uderzające było jednak to, że Mikołajczyk, który powrócił z Moskwy, nie przemawiał do powstańczej Warszawy a Komitet pomocy powstaniu — unicestwił. Dopiero 1 września z racji rocznicy wybuchu wojny poświęcił kilka zdań powstaniu, uznając go za dzieło, za które rząd bierze odpowiedzialność. Z obietnic i deklaracji rządów i społeczeństw aliantów — szybkiej pomocy — nic nie wyszło. Nawet rzuty, tzn. próby przerwania się awiacji z bronią, co było połączone z dużymi stratami, wskutek tych strat zostały wstrzymane. Jak już zaznaczyłem na początku od 1 sierpnia ofensywa Sowiecka utknęła i z frontu wschodniego nie nadchodził żaden objaw jakiejś akcji. Nawet pojawienie się w Warszawie płk. Kaługina i jego pośrednictwo depezb do Stalina — nie dało żadnych rezultatów. Zresztą ten akt pośrednictwa wkrótce zamienił się w protektorat nad suchotniczymi oddziałami AL i PAL, a nawet w ich prasie (Kaługin) umieszczał swoje „pouczające” artykuły. W ogóle z tymi oddziałami, zwłaszcza na Starówce i w Śródmieściu, były ciągłe kłopoty: niesubordynacja, kradzież broni i zamiast barykad kontrpropaganda. Zdarzyły się nawet dwa (z tym bezpośrednio się zetknąłem) wypadki dezercji z barykad na Starówce przy ul. Podwale i w Zamku. Wszystko to „przysychało” i bezkarność rozzuchwalała do dalszych bezceństw.

Ta izolacja powstania i powszechna frazeologia rządów alianckich i z nimi rządu sowieckiego — rychłej pomocy — prowadziła do jednego wniosku, że Polska, tak jak w roku 1939, tak i w roku 1944 nie może liczyć na nikogo, tylko na siebie. W tym kierunku należało moim zdaniem prowadzić akcję zagraniczną rządu, akcję demaskującą matactwa dyplomacji. Wszak był to jeszcze jeden nieodparty argument, że wojna tak ze strony Hitlera, jak i ze strony aliantów nie

ma żadnego programu ideowego. Uświadamianie tej tezy społeczeństwu alianckiemu bez obłonek miałyby bez wątpienia pozytywne dla naszej sprawy skutki. Nawet tak ryzykowny krok jak dymisja rządu z czym — po porozumieniu się z towarzyszami ze Starówki i w Śródmieściu — wystąpiłem do rządu w Londynie, wyjaśniłaby sytuację Polski już w sierpniu 1944 roku i nie trzeba było czekać na Krymski cios lotowy 1945 roku.

Bo intryga moskiewska PKWN brała górę u Aliantów, dając im szansę wyłgania się z pomocy powstaniu, oraz przeprowadzenia swych egoistycznych zysków w porozumieniu z Sowietami. Zatem oglądanie się na rzekomą pustkę, którą w razie dymisji zająłby PKWN, a zwłaszcza niewolnicze uleganie sugestiom krętaskim Roosevelta i trwanie w bezwładzie, ugruntowywało orientację prorosyjską aliantów zapoczątkowaną w Teheranie gdzie oddano Polskę bez reszty — a więc wojsko podziemne i aministrację — w ręce Rosji. Toteż wykrwawienie tego wojska i zdemoralizowanie aministracji Delegatury rządu Londyńskiego, ułatwiało realizację układów w Teheranie, a później na Krymie: Rosjanie mogli już bezkarnie likwidować na rzecz swoich agentów wszystko to, co utworzyła niezależną myśl polityczną Polski Podziemnej.

Tutaj na Starówce, a później w Śródmieściu, ta niecna gra przybierała takie formy jak np. podstępne przeprowadzenie Korpusu Bezpieczeństwa na podwórko PKWN i stopniowe porozumiewanie się i przechodzenie urzędników Delegatury na żołd PKWN. Ten stan rzeczy wewnętrzny i zewnętrzny nakazywał jak najszybsze przedostanie się kierownictwa powstania na teren Śródmieścia, gdzie siłą faktów nagromadziło się najwięcej elementów przydatnych do dalszego prowadzenia walki zbrojnej z okupantem. W ten sposób dojrzał plan wydostania się kanałem, trochę dogodniejszym, do Śródmieścia. Dokonało się to w nocy (godz. 1.15) z 25 na 26 sierpnia 1944. W nastroju głębokiego przygnębienia, pomni strat na Starówce, często bardzo drogich — śmierć Komendanta Warsz. OWPPS tow. Miszewskiego — weszliśmy do kanału z placu Krasińskich róg ul. Długiej i pl. Krasińskich po stronie pałacu Sprawiedliwości i od razu wpadliśmy w głębię wody, jak np. przy moim wroście pod klatkę piersiową. Zaznaczyć należy, że woda rwała tak, że trzeba było się podtrzymywać wzajemnie tzn. tak manewrować w marszu pod prąd, by i samemu się utrzymać i nie pozwolić poprzednikowi się przewrócić. Wprawdzie nasz szereg miał do dyspozycji po prawej ręce sznurek, którego się należało trzymać, ale mimo to bardzo często padało się i z trudem przy pomocy innych się podnosiło. Bardzo ciężko przeżywali tę drogę ludzie małego wzrostu, trzeba było ich po prostu wlec. Ciemność rozświetlana sekundową latarką przez przewodnika, szum wody i jej niesamowity odór bardzo sprzyjał zgubie w razie ewentualnego omdlenia czy też uniesienia wodą. Na szczęście to nie zdarzyło się. Ale np. w kanałach w kierunku Żoliborza zdarzały się takie nieszczęsne wypadki. Maszerowaliśmy ulicą Miodową, stanowiącą ogromną próbę wytrzymałości nerwów. Oto pod wpływem bombardowania woda z instalacji nie mogąc przedostać się otworami kloacznymi zalewała jezdnię rujnując ją, przeciekając przez sufity kanału. Były to potężne strugi tuszu charakteru wodospadowego. W ten sposób przemakało się do nitki, nie mówiąc już o potęgującym się w tej operacji zimnie. Sytuacja uległa pewnej zmianie na lepsze, gdyśmy stanęli mniej więcej u zbiegu Trębackiej *vis-à-vis* Mickiewicza, tylko że pod ziemią. Wchodziliśmy do rozstaju, a z niego do kanału niższego, z wodą spokojniejszą i sięgającą poniżej pasa. Ale za to znaleźliśmy się pod trasą Krakowskiego Przedmieścia zajętego przez Niemców patrolujących przy otworach ściekowych i co jakiś czas rzucających granaty przez te otwory. Trzeba było iść z wielką ostrożnością, nie rozmawiając i nie chlapiąc wodą. Niespodzianką na tej trasie była woda bardziej normalna, która tocząc ekstrementy niosła również, i to było najgorsze,

przedmioty twarde, gruby żwir i kamyki. A to obcierało ze skóry nogi często do mięśni. Wreszcie gdzieś od Św. Krzyża (słyszeliśmy turkot pojazdów niemieckich i kanonadę armat czy czołgów działających tuż nad nami) weszliśmy do jeszcze niższego kanału — zdaje się 120 cm wysokości — ale jeszcze gorszego tym, że po kolana brnęliśmy już w gąszczu kloacznym, który utrudniał każdy krok. Pozycja maszerującego była bardzo niewygodna, gdyż trzeba było iść zgarbionym, chroniąc głowę przed starciem z sufitem. Wreszcie doszliśmy do kresu, do wjazdu przy ul. Wareckiej — róg Wareckiej przy Banku Zachodnim. Tu skończył się nasz marsz; po straszliwym smrodzie, zwłaszcza na ostatnim szlaku najniższego kanału, w którym nie było literalnie czym oddychać — odetchnęliśmy tzw. świeżym powietrzem. A jednak jakżeż dotkliwiej i ryzykowniej przebiegł marsz w kanale, o którym pisałem wyżej. Nie trzeba dodawać, że sytuacja śródmieścia z całymi domami i szybami w oknach, z ulicami i trotuarami nie zagruzowanymi robiła duże wrażenie w porównaniu z piekłem Starówki.

Zainstalowaliśmy się w PKO w gmachu od ul. Marszałkowskiej, gdzie mieliśmy możliwość jakoś się wmyć i przybrać jakąś przyzwoitą postać po takim przeczyszczeniu własnym ciałem kanału. Ale już z rana 26-go zaczęły się na pobliskie domy celować tzw. krowy a później artyleria. Nie pozostawało nic innego, jak skorzystać z podziemi PKO robiących solidne wrażenie. Podziemia te — znane mi z obrony Warszawy 1939 roku — wytrzymały przecież podówczas wszystkie ataki bombowo-artyleryjskie i tutaj do kapitulacji mieściły się władze wojskowo-polityczne Obrony. Po przybyciu niezwłocznie udaliśmy się do RJN i odtąd już codziennie, nieraz dwa razy dziennie, odbywały się posiedzenia RJN z rządem i Dyrektorami Departamentów oraz od czasu do czasu z Komendantem Borem lub jego przedstawicielami. Obok spraw bieżących, aktualnych jak: żywność, sanitariat, woda, szpitalnictwo, bezpieczeństwo, obrona przed pożarami i akcja ratownicza zasypanych — omawiało się dekrety (niektóre rządu krajowego) a w pierwszych dniach września — propozycje nadesłane i zlecone przez Mikołajczyka w sprawie nie tyle porozumienia się z PKWN-em, ile dopuszczenia do reprezentacji ogólnopolskiej PPR-u jako piątego członu. Propozycja była nadesłana w dwóch tezach — teza A i B (należąca do PPS). Każdy nieuprzedzony przyzna, że na takim dystansie jak Londyn-Warszawa, w dodatku w ogniu walki, depesza iskrowa, w dodatku w dwóch wersjach, nie dawała rzecz jasna obrazu ani sytuacji międzynarodowej Polski, zwłaszcza w odniesieniu do Rosji, nie wyjaśniała różnic między A i B i robiła wrażenie zaskoczenia przez p. Mikołajczyka, który widocznie już stał się zakładnikiem. Toteż cały rząd krajowy i nasi dowódcy wypowiedzieli się przeciw, odkładając zresztą cały ten bagaż do dalszych wyjaśnień Mikołajczyka z jego rozmów i zobowiązań dokonanych w Moskwie. Rozumiałem, że cała ta propozycja jest tylko balonem próbnym, żeby wciągnąć Londyn do gry, której na imię jego likwidacja. Rozumiałem dalej, że dzieje się to za namową oczywistą i stanowczą p. Churchilla i Roosevelta. Nieprzyjęcie tych propozycji — i to zaraz — doprowadzi w konsekwencji do wspólnego szantażu Aliantów i Rosji. Na razie szantaż dojrzewał. Trzeba było wszystko uczynić, żeby ten szantaż stał się widoczny właśnie dzisiaj, gdy Warszawa krwawi się nie tylko pod atakami Hitlera, ale też przy cynicznej grze Piłatów Alianckich, rozgrzeszających karygodną beczynność Sowietów.

Argumentacja tej beczynności bazująca na twierdzeniu, że powstanie zaczęło się bez zawiadomienia czy zgody Rosji — nie wytrzymuje krytyki, zwłaszcza wobec ciągłego ujadania na AK, że stoi z bronią u nogi i że nie chce powstania. Dla historii i dla przyszłości należało dążyć do zdemaskowania właściwych intencji i przyjaciół Polski. Dzięki zatem mojemu i naszej frakcji stanowisku osiągnęliśmy jednomyślność, do której dołączyliśmy protest przeci-

wko taktyce Mikołajczyka nieinformowania w porę i zaskakiwania faktami dokonanymi. Za tym dodatkiem Ludowcy (Bagiński, Niecko) nie chcieli z nami głosować, ale później zdecydowali się i uchwała prawie że natychmiast została nadana. Ciekawe jest to, że właściwie do dalszej historii tej uchwały, ani rząd ani Mikołajczyk nie wracali. Odtąd Ludowcy zaczęli prowadzić w RJN wyraźną politykę prosowiecką. Mając łączność radiową z Londynem, gdyż ich członek był urzędowym kierownikiem tej łączności, mogli wiele spraw uprzedzać. Zresztą po naszym zainstalowaniu się w Śródmieściu wyszło na jaw, że Ludowcy pod pretekstem, że i Delegat i Przewodniczący RJN oraz Bór byli na Starówce, zaczęli montować dwa ośrodki dyspozycyjno-dyweryyjne skierowane przeciwko tym trzem — w Milanówku (kierownictwo Bienia, który w rządzie prowadził politykę solidarności koleżeńskej) i w Krakowie — delegat krakowski Jakubiec. Ze te tendencje były zorganizowane dowodzi tego następujący fakt: Otóż na Starówce w okresie najcięższych walk — zwrócili się do mnie dwaj panowie reprezentujący rzekomo Bataliony Chłopskie, które w powstaniu biorą udział, a ich komenda nie ma kwatery ani aprowizacji. Powierzyłem załatwienie tej sprawy tow. Gnatowi i So. (Krysianowi). Z ich relacji wyjaśniło się, że ciągle zmieniają kwatery jako niepewne przed nalotami i pociskami i że nie jest to żadna formacja wojskowa, ale zespół redakcyjno-drukarski, który jakoś nie umie spełnić swego właściwego zadania. Dalszy los był taki, że panowie ci w liczbie ponad 22-ch wykorzystali grupkę AK spieszącą na Żoliborz kanałami i, przez stosunki AK i Delegata oraz partyjne, wydostali się poza Warszawę — właśnie dla kontynuowania akcji Ludowców w Milanówku. Wszystkie te machinacje w danej chwili dojrzewające przeobraziły się, jak to później się okazało, w intrygę o daleko idących konsekwencjach.

Tymczasem po załatwieniu propozycji A i B sytuacja bojowa ciągle się pogarszała. Po upadku Starówki (30 sierpnia 1944) z której ewakuowano wszystko, nawet lżej rannych — wzmogły się ataki Niemców na Czerniaków i na górne Powiśle, które ostatkami sił odpierały ataki. Widoczne było, że Niemcy, mając przewagę absolutną nad powstaniem pozbawionym zewsząd pomocy, z całą premedytacją dążyli do stworzenia kotła w Śródmieściu — a to prowadziło do likwidacji przedmieść jak: Mokotów, Żolibórz, Powiśle. To nie wykluczało również ataków na Śródmieście — ciężkie bombardowanie z powietrza i artylerijskie. Korzystając z pięknej pogody słonecznej, eskadry Stukasów ciągle nękały bombami Śródmieście.

Nasze posiedzenia RJN wobec ciągłych nalotów i trudności dostawania się na obrady odbywające się w domu nr 2 przy ul. Przeskok (parter — okna na ulicę) musiały być przesunięte na godziny zmierzchu. Ale i to nie miało wielkiego znaczenia, zwłaszcza wobec nalotów bombardujących także i o zmroku. Właśnie 8 września, gdyśmy obradowali nad wnioskiem, rozesłanym już 7 września w sprawie kapitulacji i warunków podanych przez hr. Tarnowską, która z ramienia Czerwonego Krzyża interweniowała u Niemców w sprawach „wychodzącej dobrowolnie” — oraz gwałtem wysiedlanej ludności — otrzymała od von dem Bacha propozycje interweniowania u władz polskich na temat rozmów celem zakończenia powstania, na warunkach honorowych — Niemcy dokonali strasznego nalotu właśnie na naszą dzielnicę i na PKO. Skutki mogliśmy oglądać rozchodząc się po nalocie pod jego wrażeniem i pod wrażeniem naszej decyzji podjęcia na razie ostrożnych rozmów informacyjnych na temat kapitulacji. Wracaliśmy w kilku, między innymi z Delegatem, Borem ulicą Jasną, która po nalocie zmieniła się nie do poznania. Zwalone domy olbrzymy przy ul. Boduena i na samej Jasnej, ul. Świętokrzyska i w perspektywie płonąca na całej długości ul. Warecka — a zwłaszcza sama jezdnia dotychczas względnie nie zagruzowana, w danym momencie znalazły się na skutek gruzów na

wysokości parteru i to wysokiego — świadczyły o skutkach bombardowania. Dodam, że począwszy od 3 września Niemcy i na nas — Prudential, PKO, Filharmonia — zaczęli strzelać pociskami artyleryjskimi typu „Berta”. Jak znawcy twierdzili (zwłaszcza dowodem były niewypały) wysokość pocisków wynosiła 150 cm, grubość 60 cm a ładunek materiału wybuchowego równał się 250 kg. Jednak nalot bombowy, o którym wspominał, przewyższył szkody zadane dotychczas przez „Bertę”. Trzeba trafić, że lotnik rzucił ukośnie 2 bomby w wyciąg dźwigowy PKO przy ul. Marszałkowskiej. Wybuch nastąpił wobec tego w podziemiach, zabijając i raniąc wielu żołnierzy i oficerów oraz personel sztabu Bora, w tym płk. Pelczyńskiego, a wśród łączników wielce zasłużoną działaczkę AK pracującą bez przerwy w ciągu całej okupacji Basię — po prostu zmasakrowało. Niechaj tych parę słów wspomnienia będzie wyrazem czci dla bohaterskiej postaci Basi. W ten sposób zostaliśmy pozbawieni miejsca potrzebnego do dalszej pracy, tym bardziej, że oba gmachy PKO w dodatku płonęły. Zdecydowano przeniesienie się do Śródmieścia II za Al. Jerozolimskie. Ewakuowaliśmy się nad ranem 9 września. Przechodziliśmy podwórzami PKO na ul. Moniuszki, przechodząc przez budynki palące się, których ściany rozgrzane były niemal do czerwoności. Tak dobrnęliśmy po okropnych zwałach na ul. Chmielną, podówczas jeszcze nie zagruzowaną, a następnie piwnicami przecinając ul. Widok i Al. Jerozolimskie, prawie na wprost ul. Kruczej — pod ciągłym ostrzałem Niemców usadowionych w BGK, przeszliśmy Kruczą, dalej boczną stroną na Mokotowską. Dalej rozdzieliliśmy się w ten sposób, że Bór ze swoimi przeszedł na Koszykową, a my z Delegatem na Mokotowską 46a. Odtąd odbywaliśmy posiedzenia rządu oddzielnie, RJN oddzielnie, a my z Delegatem naradzaliśmy się z Borem lub Okulickim (Niedźwiadek) oddzielnie, przeważnie w naszej kwaterze. RJN wobec bombardowań w ciągu dnia, odbywała swoje posiedzenia wieczorami w różnych miejscach (Marszałkowska, Wilcza, Mokotowska, Piusa w szkole p. Reutt). Tymczasem toczyły się rozmowy z von Bachem, ciągle hamowane przez stronę polską rozmaitymi formalnościami. Wstępna treść rozmów ze strony Niemców była mniej więcej taka: 1) powstańcy są uznani za kombatantów, a więc będą traktowani jak jeńcy, 2) żołnierze i oficerowie nie będą odpowiadać za to, że na wezwanie władz nie stawili się w roku 1940 do obozów, 3) nie będą karani za powstanie, 4) ludność musi wyjść, może to co uniesie, wziąć ze sobą, 5) zdolni do robót będą po selekcji wywiezieni na roboty.

Rozumie się, że te warunki nie odpowiadały nam i dlatego przeciągano je, informując rząd, a za jego pośrednictwem Aliantów, w ich rzędzie także Sowiety. Zdawało się, że po zrzuceniu dwóch skoczków sowieckich, wraz z aparatem radiowym (w okolicach Hożej) będzie możliwość nawiązania kontaktu z Rokossowskim. Daremne były wysiłki z naszej strony. Skoczkowie mieli inną rolę, a mianowicie obsługiwanie AL i prowadzenie własnej dywersji politycznej. Zgodnie jednak z instrukcją rządu kontynuowano wysiłki ze strony polskiej ku porozumieniu. Odnośnie rozmów kapitulacyjnych nie nadeszła żadna instrukcja. Tymczasem około 12 września rozpoczęły się działania sowieckie na prawym brzegu Wisły w kierunku Pragi, zakończone około 14 września wzięciem Pragi i dojściem Moskali do Wisły. Jednocześnie zaczęła się interwencja myśliwców sowieckich z początku dosyć zabawna. A mianowicie po wypędzeniu sztukasów myśliwce sowieckie odlatywały w stronę swych baz, a wówczas nadlatywały ponownie sztukaszy i pustoszyły — korzystając z kilkunastominutowej przerwy — Śródmieście. Wtedy pojawiały się znowu myśliwce sowieckie i tak dookoła Wojtek. Pogotowie nieustanne myśliwców sowieckich ustaliło się dopiero po dojściu do skutku kolaboracji Aliantów z Sowiecami, co było konieczne ze względu na zapowiedziany przyłot Armady Alianckiej. Nie mogła ona dotychczas przylecieć, gdyż

przeprowadzenie lotu *tour-retour* bez wypoczynku w bazach sowieckich było niemożliwe.

Tymczasem nacisk społeczeństwa na bezczynność rządów Anglii i Ameryki był tak wielki, że nie sposób było dalej przewlekać i to spowodowało zgodę Rosji na ten jeden — jedyny — demonstracyjny lot Aliantów do Polski. Piszę o tym z całą odpowiedzialnością, że to był akt Piłata, opierając się na depeszach Mikołajczyka, który blisko przez 8 dni zapowiadał przylot — na pewno. Tymczasem przylot, nawet z awizowanym startem nie dochodził do skutku w związku z pogodą. Pamiętają wszyscy, jak piękną, stałą i słoneczną mieliśmy pogodę, ale pech chciał, że zepsuła się, gdy tylko Alianci ruszyli z kopyta. No i wreszcie przybył jeszcze jeden pech. Oto Alianci nie mogli znaleźć dla Polski spadochronów opóźniających się — co było rzeczywiście potrzebne, żeby z jednej strony trafić na ograniczony teren Powstania ze zrzutami, a z drugiej strony uniknąć psucia broni i amunicji zrzucaanej z takich wysokości, na których leciały fortece amerykańskie (4.000 m). To wstrzymywało również przylot na Warszawę. Wreszcie w poniedziałek 18 września o godz. 13.30 pojawiły się samoloty alianckie nad Warszawą budząc szalony entuzjazm i wiarę, że teraz nareszcie jest pomoc i że Warszawa będzie mogła zdobyć swą Wolność. Rozwiała się wiara w ten mit, który okazał się zwyczajnym bluffem politycznym. Lot odbył się oczywiście bez spadochronów opóźniających (czyli nie wiadomo dlaczego, pod tym pretekstem zwłoczono tyle dni) — a wobec tego prawie 80% zrzutów szło w ręce niemieckie i częściowo sowieckie, co było z góry do przewidzenia. Następnie efektywnych materiałów bojowych — jak ciężka broń — nie otrzymano, a amunicja musiała być naprawiana. Przybyło trochę żywności i medykamentów. Wreszcie ilość fortec, mająca sięgać cyfry kilkuset aparatów, dosięgła cyfry 75-ciu. Ogłoszenie oficjalne kolaboracji i przylot Aliantów podniósł nastroje i rozproszył przygnębienie. Oczywiście, że w tym czasie strona polska zaprzestała jawnie rozmów kapitulacyjnych i przygotowywała się do prawie pewnego przyjścia Rosjan, zwłaszcza po zdobyciu Pragi. Niestety — plany rosyjskie odbiegły od tych nadziei. Tym nie mniej, przygotowywano między innymi odezwę pióra Bienia i Jasiukiewicza. Po dłuższej dyskusji zdaje się dopiero na drugim posiedzeniu RJN przyjęto odezwę w tekście Jasiukiewicza. (15-go ginie z ran Werner — jeden z kierownictwa OWPPS Żoliborz). Jednak dalszy rozwój sytuacji bojowej — upadek Czerniakowa, gdzie oddział Polski armii Berlinga, częściowo wskutek braku pomocy z Pragi, wyginął — lub z Akowcami wycofał się do Warszawy — a następnie Mokotów i ciężkie położenie izolowanego zarówno od Warszawy, jako też i Kampinosu, Żoliborza, chroniczny brak broni — a przede wszystkim amunicji przez cały ciąg powstania, znów postawił na porządku dziennym kwestię zakończenia Powstania.

Przyczyniło się do tego położenie ludności prawie zupełnie pozbawionej żywności, światła, wody, lekarstw, brak zupełny jarzyn (choroby: *colitis*), mleka dla dzieci itp. Żywienie się psami i kotami należało do zjawisk niemal codziennych. Nadto wychodzenie ludności zgodnie z wezwaniem Niemców, wychodzenie niezorganizowane, mogło przyczynić się do głębszej demoralizacji nie tylko ludności cywilnej, ale częściowo wojska, które przecież całkowicie było związane ze swoimi rodzinami i nie mogło obojętnie patrzeć na to wychodzenie w nieznaną. Toteż poczynszy od 22-go znów zaczyna się dyskusja w RJN o kapitulacji. Ni stąd ni zowąd Ludowcy wraz z p. Urbańskim wprowadzają w takiej chwili na porządek dzienny Sosnkowskiego, a wniosek ich zmierza do żądania jego natychmiastowej dymisji. Powód, oczywiście, zaczerpnięty z propagandy komunistycznej, w której Sosnkowski figuruje jako faszysta i pretendent do dyktatury, jak za życia — Sikorski. Jest to już jawne współdziałanie z Sowietami, które likwidują każdą instytucję polską będącą nie w ich łaskach.

I to się dzieje pod ogniem wroga i w chwili, gdy należałoby naszym „opiekunom” zagranicznym pokazać drzwi. Nie chodzi tu o osobę Sosnkowskiego czy wreszcie o Raczkiewicza — bo i o niego idzie gra na RJN, więc co o nich sądzić, ale to co inscenizują toć to jest aprobacja wścibstwa w nasze stosunki rządów obcych — tak jak to już było w wieku XVIII-tym. Po prostu poczucie honoru narodowego powinno było otrzeźwić tych wnioskodawców. Ale czyż można mówić o otrzeźwieniu, gdy temu patronuje Mikołajczyk, który rozdaje patenty na patriotyzm prorosyjski. Właśnie to jest miarodajne u tego pana i u niektórych Ludowców, czy aby to się spodoba Stalinowi.

Oczywista, że wniosek o dymisję Sosnkowskiego przechodzi — a ja swoją drogą nie szczędzę moich uwag na RJN i to się właśnie nie podoba. Toteż wobec widocznych pretensji do mnie ze strony Ludowców, popieranych i współdziałających zgodnie z odbywanymi konwetyklami Stronnictwa Pracy (Urbański) postanawiam sprawę wyjaśnić przez dymisję i wyznaczenie nowych wyborów do Komisji Głównej. Wybory kończą się moim wyborem na stanowisko przewodniczącego RJN i Komisji Głównej, na wiceprzewodniczącego w miejsce Grudzińskiego-Bagińskiego ze strony Ludowej, a na miejsce Olzy-Zwierzyńskiego ze Stronnictwa Narodowego i na sekretarza w dalszym ciągu Urbańskiego, a do Komisji Głównej, Czarnkowskiego ze Stronnictwa Demokratycznego. Nie potrzebuję dodawać, że zebrania RJN odbywają się w warunkach nie spotykanych — bo pod ogniem nieprzyjaciela.

Pamiętać należy, że łańcuch okrażający Powstanie zwięźał się metodycznie i należało liczyć się, że po upadku Żoliborza — powstanie zawisłoby jedynie w centrum Warszawy. Podjęte rozmowy z inicjatywy niemieckiej ciągle wracały do groźby, że w końcu gdy pertraktacje się nie zakończą rychło, to Śródmieście dozna skutków wszystkich broni, dotychczas nie wprowadzonych do akcji przez Niemców. Von den Bach wskazywał na to, że z rozkazu Hitlera — bo on jeden dysponował bronią V 1 — rzucono dwa pociski V 1 na Warszawę — na Bielańską w dom Banku Polskiego i na jeden fort Dąbrowskiego. Odpowiedzialność za losy ludności cywilnej — wyraźnie zrzucali na powstańców. Trzeba było istotnie się liczyć z losami ludności cywilnej, tym bardziej że bombardowanie II-go Śródmieścia posiadającego domy przeważnie czynszowe — a więc tandetne — było po prostu w skutkach katastrofalne, nawet dla piwnic, w których ludność cierpliwie przeżywała cierpiąc głód i pragnienie, nie mówiąc o wyczerpaniu psychicznym i fizycznym. Wystarczyły krótkie naloty niemieckie, w których np. niszczały całe ulice, np. Skorupki, i padały w gruzy fundamentalne gmachy (jak kościół Św. Aleksandra). Odsieczy ani pomocy nie mogliśmy się znikąd spodziewać. Mieliśmy wprawdzie pewną osłonę ze strony awiacji sowieckiej, no i bardzo reklamowane zrzućy żywności i broni tylko w nocy. Istotnie żywność zrzucano w małych ilościach, którą rozdrapywano, bo noc sprzyjała. A zresztą pożytek z niej był bardzo skromny, choćby dlatego, że była zrzucana bez spadochronów w skrzyniach fornirowanych — podwójnych, przedzielonych plewą: spadając skrzynie się z reguły rozbijały a żywność głównie ugotowana kasza, mieszając się z plewą, była niezdatna do jedzenia. Tak samo amunicja zbijana przez upadek musiała być naprawiana w warsztatach, których było coraz mniej.

Toczące się rozmowy doprowadziły do ustalenia warunków, które dyskutowano w RJN. Jednocześnie ustalono termin ostatecznej kapitulacji z tym, że uprzednio postanowiono zakomunikować go Londynowi i Rokossowskiemu. Ustalono datę 1 października jako ostateczną. Zabawne było stanowisko Ludowców, głównie Bagińskiego, który niemal na każdym posiedzeniu RJN domagał się specjalnych depeesz błagalnych do Stalina. Gdy wskazywałem na to, że niemal od miesiąca depeesze do Aliantów są kierowane także do Moskwy

twierdził uparcie, że trzeba taką depeszą (widocznie jako wiernopoddańczą) zwrócić się do Stalina, który udobruchany przez nią (jako nuworysz?) zapewne coś uczyni. Oczywiście były poważane projekty nierealnego w tej sytuacji przebicia się przez Warszawę. Jednostkowo — można było ryzykować, ale całością to byłoby samobójstwo i wydanie już bez żadnych względów ludności na masakerę. Przecież trwanie Rosjan na Pradze — bez żadnego ruchu za Wisłą — oznaczało brak sił, co ujawniło się chociażby podczas desantu oddziału Berlinga na Czerniakowie, pozbawionego poparcia i środków odwrotu. A cóż dopiero mówić o przebijaniu się. Przecież prostsza była sprawa przebicia się Rosjan na brzeg warszawski, ale to oznaczałoby zwycięstwo powstania. Jak na każdej wojnie tak i tutaj przeważały względy polityczne, choćby za cenę pewnych korzyści. A setki tysięcy poległych w walce i zmarnowanych na wysiedleniu jakoś nie były brane pod rachubę przez Sowiety. Toteż nikt w RJN takich wniosków o przebijaniu się nie stawiał. Starano się jedynie zagwarantować (o ile możnabyło u Niemców coś gwarantować) kapitulacji jak najwięcej możliwości przetrwania czy to na wysiedleniu, czy też w jeniectwie lub na robotach. Jasne było, że pełna amnestia dawałaby duże możliwości gwarancyjne dla ludności i dla wojska. RJN i tą sprawą się zajęła, polecając aparatowi delegatury opracowanie szczegółów — zdaje się p. Zadrowskiemu dyrektorowi departamentu sprawiedliwości wspominam o tym wyżej.

Wojsko wysunęło również zawieszenie broni, co ułatwiłoby zorientowanie się w sytuacji stanów bojowych i strategicznych. Należy podkreślić, że w przeciwieństwie do władz cywilnych i rządu — Dowództwo Powstania w drugiej połowie września ujawniło się, reorganizując AK w 3 dywizje: 1) Okrzei, 2) Rataja, 3) Traugutta. RJN pomimo wielokrotnych wniosków na ujawnienie się władz rządowych i Rady nie zgodziła się. Zdaje mi się, że ta decyzja wyszła nam tylko na zdrowie. Okazało się to w dniu późniejszym.

Tymczasem pertraktacje kapitulacyjne dobiegały swego końca. Bór osobiście nie brał w nich udziału, a jedynie przez swoich zastępców, głównie przez płk. Bogusławskiego.

W ogóle bardzo dokładnie protokołowano rozmowy z Niemcami, a także wszystkie wnioski Sztabu Powstańczego i RJN oraz rządu, nie mówiąc już o depeściach z Londynu i do Londynu. Czy to archiwum — bardzo ważne dla końca powstania i jego głównych aktorów ocalało — tego nie mogłem stwierdzić. Jak ważne byłoby to, wskazuje np. legenda głoszona przez Żymierskiego w rozkazach i w druku propagandowym w jego wojsku — że Bór w powstaniu nie uczestniczył i że po prostu stchórzywszy — uciekł. Metodą już znaną w państwach totalnych starano się zożydzić niewygodnych sobie ludzie. Nie pomogło to, że wprowadzono do agitacji hrabiostwo Bora wtedy, gdy u siebie mają ksiąząt (K. Radziwiłł). Wracając do umowy kapitulacyjnej, której tekstem niestety nie rozporządzałam, ograniczę się tylko do ważniejszych szczegółów. Umowa była właściwie umową wojska z wojskiem. Stąd przez jakiś czas Niemcy, jako znani formalieści nie chcieli wprowadzić do umowy szczegółu tak ważnego, jak losu ludności cywilnej. Dzięki zatem Borowi i jego uporowi Niemcy zgodzili się na wprowadzenie tego szczegółu. W ten sposób amnestia dotycząca wojska, a więc przekreślająca „winę” AK nie tylko w powstaniu, ale też w ciągu całej okupacji, automatycznie rozciągnęła się także na cywilów. Tutaj zaszedł arcyśmieszny incydent ilustrujący czym jest biurokracja. Otóż przepisy odnośnie amnestii dla cywilów miał opracować wspomniany wyżej Zadrowski w porozumieniu z Departamentem Likwidacyjnym. Wyszło w końcu tak, że ten elaborat, bez dania go pod obrady RJN, został wprost przekazany na pertraktacje i to w następującej treści. Więc amnestionowało się jedynie aparat urzędowy Delegata oraz osoby z nim współdziałające z podkreśleniem służby propagando-

wej — natomiast taki szczegółik, jak działalność powstańcza partii politycznych — po prostu znikł z propozycji polskiej. Oczywiście, że sprawa została postawiona na RJN. Dałem wyraz mojemu oburzeniu i oświadczyłem, że w chaosie kończącej się akcji nie stawiam wniosków o odpowiedzialności, ale to nie znaczy, że do niej we właściwym momencie nie powrócę. Nikt nie stanął w obronie tego p. Zadrowskiego, jedynie Korboński usiłował bronić rzekomo prestiżu dyrektora, który zdaje się z Endeka przedzierzgnął się wówczas w Chadeka.

Dzięki delegacji wojskowej udało się tę lukę wypełnić stwierdzeniem w amnestii, że wszystkie przestępstwa w czasie okupacji i powstania — są przekreślone. Drugą sprawą dotyczącą cywilów — to sprawa wyjazdów na roboty, z czym należało się liczyć. W warunkach ujęto to tak, że kobiety do lat 45, a mężczyźni do lat 50 będą wyjeżdżać na roboty z tym słownym zapewnieniem v. d. Bacha, że uprzednio będzie karencja 3-tygodniowa, żeby wycieńczona przez 2 miesiące ludność mogła przyjść do sił. W ogóle w dalszych sprawach cywilów, miała się dokonać specjalna umowa między władzami cywilnymi (opiekuńczymi) RGO a władzami cywilnymi Niemców (Fischer). Niestety, warunki dla cywilów nie zostały ujęte w żadną umowę i to pozwoliło administracji Fiszer'a łamać przyrzeczenia. Nie przywiązuję wielkiej wagi do umów z totalistami w ogóle, ale twierdzę, że jednak pisemne umowy nie są tak zablagowywane jak dżentelmeńskie obietnice, i zapewnienia. Właśnie brak takiej umowy zaciążył złowrogo na ludności cywilnej, która wyszła cało z powstania.

Oczywista, że perypetie kapitulacyjne były referowane przeze mnie i członków RJN — ze strony PPS Zaremba-Baltazar, na zebraniach kierownictwa Partii w Warszawie. Uzgadniano wszystkie szczegóły tak, że wszyscy byli w kursie spraw zarówno bojowych jak też likwidacyjnych. Przez cały ciąg akcji w Śródmieściu na zebraniach bywali — oprócz wyżej wymienionych — tow. tow. Mały, Kurek, Krystian, Gnat, Joanna ---. Obecnie omawiano plan pracy partyjnej po wysiedleniu z Warszawy. Ustalano punkty spotkaniowe i przeznaczano na opiekę nad towarzyszami z resztek funduszków partyjnych. Z obliczeń, oczywiście tylko przybliżonych, wynikało, że na przeciąg mniej więcej pół roku będzie można udzielać wsparcia najmniej 2.000 zł — do 4.000 na osobę. Wyznaczono personel, który był zobowiązany rozprowadzać w terenie, oraz komórkę sprawozdawczo-kontrolną. W analogicznych rozmiarach i wojsko i Delegatura likwidowała swoje zobowiązania. RJN wypłaciła swoim członkom po 40.000 zł na okres: listopad, grudzień i styczeń, luty 1945 roku. Obok tego rząd i RJN postanowiły zwrócić się do ludności z odpowiednią odezwą donoszącą o kapitulacji. Tekst tej odezwy, w której figurowało takie zdanie, charakteryzując opuszczenie Warszawy przez Aliantów: „Niech im Bóg tego nie pamięta” pióra Bienia (Ludowiec) członka rządu — została przyjęta przez RJN. Charakterystyczne było nastawienie psychiczne Bienia. Ten sam autor pisał odezwę zwycięstwa i ten sam autor pisał odezwę kapitulacyjną. Prawdziwy stoicyzm.

Wreszcie RJN przyjęła projekt regulaminu dalszego funkcjonowania aparatu Delegata w jego współdziałaniu z RJN, według propozycji dyrektora Departamentu spraw wewnętrznych Zielińskiego (Ludowiec). Wyznaczano od połowy października punkty spotkaniowe: I — zdaje się okres 10-dniowy w Leśnej Podkowie — Kościół; II — Grodzisk, III — Skierniewice i IV — Piotrków Trybunalski. Omówiono szczegóły i hasła, gdyż 2 października był dniem podpisu kapitulacji, a w ślad za tym miała odbywać się wędrówka wygnanców z Warszawy — w nieznane. W tym też czasie, zdaje się w ostatnim dniu września, przenieśliśmy się z Delegatem na ul. Mokotowską 39. Tam też Delegat zachorował obłóźnie. Ta okoliczność sprzyjała ominięciu zetknięcia się

z Niemcami podczas ewakuacji. Wyjazd Delegata przeprowadził Czerwony Krzyż, tak że Delegat uniknął peregrynacji prowincjonalnej.

4 października 1944 roku odbyliśmy z Borem rozmowę pożegnalną przed jego udaniem się do niewoli. Był po wizycie oficjalnej u v. d. Bacha, na której odmówił wzięcia udziału w przyjęciu kurtuazyjnym, na którym Niemcom widocznie bardzo zależało. Przeżyliśmy razem dołą i niedolę całej roboty przygotowawczej i całego Powstania. Rozstanie było ze swej natury bardzo smutne. Nie wiedzieliśmy wówczas, że nadejdą jeszcze cięższe czasy próby, że wiele ciosów padnie ze strony najmniej spodziewanej i że nie jeden działacz epoki okupacyjnej się załamie, a nie jeden zacznie pluć na całą swą przeszłość. Czuliśmy, że zamyka się za nami coś bardzo dla nas drogiego — a przyszłość chyba z tzw. nadzieją, której nigdy nie traciłem, choćby na przekór rozsądkowi i *réalité de choses*.

Od 4 października żyłem już życiem wysłużonego i zająłem się siłą rzeczy moją rodziną, z którą się zetknąłem i z którą postanowiłem drogą oficjalną — przez Niemców wskazaną — ewakuować się. Z rodziną zetknąłem się dopiero 2 października, tzn. z żoną i młodszą córką. Starszą powstanie zastało w Henrykowie, gdzie pracowała w aptece. Co się z nią stało, mogliśmy się tylko domyślać, czy fantazjować. Zamieszkałem z moimi na Mokotowskiej 36a, aż do dnia 6 października skąd razem z p. Korczakową i Tadeuszem Szturm de Sztremem, naszymi serdecznymi przyjaciółmi, ruszyliśmy o godz. 9-tej rano. Droga prowadziła do wskazanych w zarządzeniach Niemców punktów przejścia, a więc dla nas takim punktem była ul. Koszykowa i 6-go Sierpnia. Począwszy od ul. Noakowskiego, spotykaliśmy coraz to większe gromady wysiedlonych. Była to nieprzebrana rzeka masy ludzkiej, obławowanej tobołami, dźwiganymi przez wszystkich — i młodych i starych, lub popychanymi w wózkach dziecięcych, taczkach, często na rowerach. Dźwigano też dzieci — niemowlęta. Kroczone pod eskortą rozstawionych żołnierzy niemieckich. Muszę tu zaznaczyć, że nikt z Niemców nie zapytywał, lub sprawdzał nazwisk, czy też dokumentów, nikt nie rewidował bagaży, ani też nikt nie rabował. Sam widok tych dziesiątków tysięcy żywych i mogących się jeszcze ruszać, posuwających się wśród śmiertelnej ciszy w blaskach ostatniego naprawdę jeszcze letniego słońca, mówił sam za siebie i najwymowniej ilustrował bohaterstwo walki, a zarazem poświęcenie bezprzykładnego siebie i rodzinnego miasta, w którym zostawiono dobytek wielu pokoleń i oddawano tę gehennę Polski — jako świadectwo wystawione obłudzie i zakłamaniu możnych tego świata Aliantów, którzy już po raz drugi wspólnie z naszym wrogiem, w swym egoizmie i zapamiętaniu zysków, spychali Polskę na poziom żywego terroru. Zdaje się, że nie będzie goryczą, gdy dodam, że pewnie żalowali, a może w duszy złorzeczyli Polakom, że jeszcze żyją i nadal będą ich kłopotem. Tylko to uczucie żywione dla Polski po tak straszliwej klęsce, mogły zrodzić uchwały krymskie. Mam odwagę tak pisać i oskarżać całe narody wielkich demokracji, wspólnie z sowiecką demokracją, bo Niemcy przekonali nas i nauczyli wymownie, że tak jak oni głównie i bez wyjątku stali się winowajcami, taką też zdolność do upowszechnienia zbrodniczych postępów wobec Polski posiadały narody wielkich demokracji. Nie zmieniają tego zdania żadne elukubracje dziennikarsko-publicystyczne, gdyż jak dowiodła wojna role były i są zawsze podzielone, by łatwiej tumanić i bezczęścić świętości kulturalne i etyczne ludzkości.

W drodze mijaliśmy często znajomych. Wszyscy liczyli się z etapem w Pruszkowie, tą zmorą i nieodłącznym zabieraniem z obozu na roboty. Cała ta droga — Wawelska i Kopińska do Dworca Zachodniego (wbrew wiadomościom o zbombardowaniu przez Sowietów) pełna była wymownych śladów okrutnego w swym barbarzyństwie bestialskiego spustoszenia. Ruiny i zgłiszczca wszystkich

bez wyjątku spotykanych domów, nie mówiąc już o trupach tułających się wewnątrz — tworzyły drogę naszej Polskiej Golgoty. Spotykane tu i ówdzie pustkowiec zieleniejące jesienną runią, często nawet pomidorami jakoś kojąco oddziaływały po tylu godzinach braku zieleni i szerszego oddechu powietrzem. Do dworca puszczano tylko uszeregowanych w czwórki, które z kolei były załadowywane do pociągów podstawianych. Wreszcie i my dostaliśmy się, wyjątkowo do pociągu pasażerskiego, tak że nawet siedząc przyjechaliliśmy około godz. 12-tej do Pruszkowa. Stąd czterokrotnie przeszliśmy przez druty na duży majdan, na którym mieściło się 5 bloków warsztatowych kolei żelaznej. W drodze do bloku 5 otrzymaliśmy każdy po kawałku chleba, rozdawanego przez RGO. Idąc spotykaliśmy dygnitarzy RGO pp. Machnickiego, Fabierkiewicza... Tak doszliśmy do wspomnianego bloku nr 5, który według szmatławca *Nowy Kurier Warszawski* miał być wysokim i widnym pomieszczeniem dla wysiedlonych. Rzeczywiście był wysoki i w tej porze dnia słonecznego widny, bo nawet ślepy zauważyłby bardzo ponętą podłogę betonową, obficie zaśmieconą, stronami około biur tonącą w błocie, a miejscami pociętymi szynami, nad wykopami, na których stały ongiś wagony do remontu — owe wykopy pełne były różnych nieczystości, nie wyłączając ludzkich ekstrementów tworząc straszliwe grzęzawisko kloaki.

Na tej podłodze nie było nawet źdźbła słomy, czy jakichś strużyn. Tu i ówdzie grupki szczęśliwców siedziały na zawleczonych tutaj resztkach desek. Ale to były wyjątki w tej kloace. Zewnętrzne „latryny” były bardzo ciasne i tak prymitywnie urządzone, że dla ludzi słabych było wielkim ryzykiem oddawanie kału siedząc w kucki na oślizgłej desce nad przepelnionym rowem. W tych warunkach bytowali ludzie nieraz po kilkanaście dni. Wiele w ten sposób uchylało się od selekcji przeprowadzanych codziennie około godz. 4-tej, a zmierzających do rekrutacji na wyjazd na roboty. Liczono tedy na różne kombinacje łapówkowe (obejście selekcji kosztowało około 60 dolarów) lub też na litość personelu lekarskiego, który szedł na pewne ulgi i dawał zaświadczenia, zwłaszcza tuberkulicznym i sercowym. Zwłaszcza tuberkuły u Niemców dawały przywilej-zwolnienie z robót. Jednak te kombinacje jako wyjątkowe nie ratowały sytuacji masy ludzi młodych. Chociaż często notorycznie starych brano na roboty wbrew umowie o 50 lat, czy 45 dla kobiet. Oczywiście, że przy lepszej organizacji RGO, do czego Niemcy nie dopuszczali, tolerując jedynie dożywianie obozu przez RGO — można byłoby używać podstępów, np. Niemcy omijali przy selekcji kobiety brzemiennie, omijali też ludzi obandażowanych. Tym łatwym sposobem można było wielu oszczędzić wyjazdu do Niemiec. W tym piekle nie było sensu przedłużać pobytu i dlatego tego samego dnia wyszliśmy do selekcji. Znowu przechodziło się czwórkami i defilowało w pewnym miejscu przed lekarzem mężczyzną i kobietą w otoczeniu administracji obozu. Kogo zakwalifikowano — ten odstawiony szedł na zbórne miejsce przeznaczonych na wyjazd roboczy, resztę zaś przerzucało się do bloku zdaje się nr 1, który był etapem dla wyjeżdżających w nieznaną. Szliśmy z żoną i córką w szeregu, aż do miejsca urzędowania lekarzy: lekarka tylko spojrzała na moją córkę, oczywiście podnieconą z wypiekami i rozumie się zakwalifikowała ją przy poparciu lekarza do grupy roboczej, polecając jej zegnać się z rodzicami.

Nie było czasu do stracenia, trzeba było działać. Skorzystałem z tego, że za nimi szły dalsze czwórki, w najbliższej p. Kołodziejski z synem, mającym rękę na temblaku, co spowodowało zatrzymanie i tłumaczenie, że „*schwer verwundete*” — i rzuciłem w stronę córki zmierzającej na swój wyznaczony punkt rozkaz „marsz przed siebie”. Stało się to w momencie, gdy następne czwórki niejako nas zakryły, a tym samym podały w zapomnienie decyzję o mojej córce. Tak doszliśmy do przepelnionego bloku z tą ekstrawagancją, że odtąd moja córka

kulała, a jej bagaż trzeba było nieść. To cudowne ocalenie nie było jeszcze ostateczne. Mówiono, że Niemcy i w nocy robią ponowną selekcję, a także wybierają idących już do wagonów przeznaczonych do wysiedlania. Mimo to nie traciliśmy nadziei. Zresztą było to wszystko arcyśmieszne. Przecież i tak byliśmy w kotle, czy tutaj, czy na wysiedleniu. Przecież wszędzie Szwabi robili łapanki właśnie na roboty. Ale poczucie, że ten raz kawał się udał — robiło swoje. Zapadał zmierzch i rozdawano zupe. Rozumie się, że tylko ludzie o zdrowych łokciach i z dużą dozą bezczelności otrzymywali pożywienie. Myśmy tylko raz korzystali z kawy, no i z tego kawałka chleba na wstępie do obozu. Blok nasz był taki sam jak blok nr 4. Trzeba było się lokować jak kto mógł na ziemi. Noc spędziliśmy bezsennie, była naprawdę makabryczna. Stłoczenie z górą 4 tysięcy ludzi w bloku doprowadzało do ciągłych krzyków, awantur, nieporozumień, czy podejrzeń o kradzieże. Do tego dołączały się pogłoski o bombardowaniu i alarmie lotniczym. Rozumie się, że Niemcy w bloku byli nieobecni, tylko na zewnątrz. Tak dotrwaliśmy do świtu. Około 6-tej zaczęto rozdawać zupe, której nie dostaliśmy, a wkrótce Niemcy zaczęli formować marsz do pociągu. Wreszcie wydobyliśmy się z bloku i pomaszzerowaliśmy w stronę pociągu, złożonego z samych węglarek, przeważnie 10-tonowych. Lokowali nas Niemcy nie szczędząc krzyków i urągani: choć mieli w rękę bity — nie zauważyłem, by kogo smagali. Zbliżając się do wagonu doznaliśmy prawdy o dalszych próbach zabierania ludzi na roboty. To tu, to tam kogoś na „kom”, „kom” zabierano. Lokowano nas w węglarce nie zważając na bagaże, dzieci i wózki dziecięce. Miało się zmieścić na stojąco 60 osób i tak musiało być. Można sobie przedstawić naszą sytuację w tym kłębowisku ludzi, rzeczy, wózków itp. Tak mieliśmy jechać do miejsca przeznaczenia. Z początku fama głosiła, że do Łowicza, potem trasa się wydłużała dochodząc do Częstochowy. W rzeczywistości, jak się później okazało dojechalismy aż do Jędrzejowa — przez Skierniewice, Koluszki, Skarżysko, Kielce. Tak stłoczeni przetrwalismy blisko 27 godzin. Zaznaczyć należy, że w całej drodze, tj. od Pruszkowa, gdzie już w wagonach można było, z biedą, oczywista mając szczęście, nabyć kiełbasę w cenie zł 600 za kg i chleb 800 gr, w cenie zł 50, drogą rzutów kupczących, którzy podchodzili w pobliże wagonów, w porozumieniu „zblatowanego” konwoju i otrzymawszy wprzód pieniądze — rzucali obstalunek. Rozumie się, że nie wszyscy mieli odpowiednie kwoty. Oprócz więc tej loteryjnej aprowizacji — cały transport nie otrzymał nigdzie ani kęsa jedzenia, bo nawet o wodę było bardzo ciężko. Pociąg bez zatrzymania dojechał do Skierniewic, a następnie przystawał na każdej stacji. Niestety konwój i władze niemieckie nie dopuszczały nikogo do pociągu — nawet RGO nie miała szansy żadnej pomocy. Nocą zajechalismy w okolicę Skarżyska, gdzie czekalismy na wolny przejazd około 2-ch godzin — co nastąpiło po zakończeniu nalotu na Skarżysko. Wreszcie 8 października, w słoneczny poranek o godz. 8-mej rano zajechalismy do Jędrzejowa. Tutaj nasz transport prawie w całości mógł wysiąść, kierując się do budynku przy stacji — starej słodowni. Przyjechalismy po nalocie i zrzuconiu 5 bomb na Jędrzejów. Zdaje się prócz szkód w budynkach, strat w ludziach nie było. Dziwić się należy, jaki cel miała ta bezmyślna ekspada, zdaje się Amerykanów. Jakoś było im daleko do Warszawy podczas powstania, więc chyba wetowali sobie tu, najeżdżając na miasteczko Jędrzejów.

Miejscowa ludność i organizacja RGO nie robiły sobie wiele z tego nalotu i zajęły się naprawdę serdecznie przyjezdnymi. Natychmiast otrzymalismy wszyscy bez wyjątku gorącą kawę i chleb, a w parę godzin później zupe pomidorową. Jednocześnie funkcjonował punkt sanitarny, bardzo dobrze urządzony, gdzie dokonywano nawet małych zabiegów chirurgicznych. Dla rozładowania przybyłych, których z powodu zakazu lokowania w ogromnej

2-piętrowej słodowni nie można było pomieścić w Jędrzejowie — zainstalowano biuro rejestracyjne. Ono w zależności od żądań dawało, albo kartki na dalszy wyjazd z Jędrzejowa, nawet w stronę Warszawy, aż do Skierniewic, czy po cichu do Łowicza, albo też kartki lokacyjne w okolice Jędrzejowa. Dawało się nawet otrzymywać furmanki (bezpłatnie). W ogóle muszę podkreślić, że Jędrzejów pozostawił u wszystkich miłe wspomnienie i złożył dowód dobrej organizacji, zarówno RGO, jak też miejscowego nauczycielstwa i inteligencji i pracowników miejscowego „Społem”.

Wszyscy pięcioro otrzymaliśmy z RGO marszrutę do Piotrkowa lub Skierniewic, dokąd ze zrozumiałych względów śpieszyliśmy. Niestety wydostać się z Jędrzejowa koleją via Kielce-Częstochowa nie mogliśmy z racji przepełnienia pociągów. Dobrze się stało, że nie pojechaliśmy tą trasą, albowiem w Koniecpolu literalnie wszystkich cywilów z pociągu wysadzono i kierowano na roboty. Z tej opresji wyratowało nas „Społem”. Córka moja, jako pracownica „Społem” zaszła by prosić, czy by nie pomogli w przedostaniu się do Krakowa — otrzymała obietnicę, że przy nadarżającej się wkrótce sposobności postarają się pomóc, a teraz zgodnie z obietnicą Centrali proponują, żeby się u nich zarejestrowała, po czym otrzyma 1.000 zł zapomogi i trochę produktów. Ponieważ z pieniędzmi nie było krucho, przeto podziękowała, prosząc jedynie o przejazd. W tej samej sprawie interweniował Szturm de Sztrem, oraz p. Kołodziejski młodszy, też pracownik „Społem”. Skończyło się na tym, że już 10 października o godz. 7-ej rano, po przenocowaniu w stodole na klepisku, dano nam miejsce w aucie ciężarowym, które jechało do „Społem” w Krakowie. Jechało nas 5-cioro i 3-je Kołodziejskich z tym, że wobec zachorowania Kołodziejskiego (starszego) na czerwonkę, jego podróż miała zakończyć się w Miechowie. Po przybyciu do Miechowa — Kołodziejscy wysiedli, a na ich miejsce natłoczyło się sporo żołnierzy niemieckich z beczkami piwa i gęsmi. Słowem utonęliśmy w żołdactwie — dość grzecznej. Było to dużą korzyścią, a ponieważ gwarancją, że naszego auta nie będą się po drodze czepiać, zwłaszcza pod Krakowem, no i brać na roboty forteczne prowadzone intensywnie w tych okolicach. Rzeczywiście co krok mijały nas auta i furmanki, a nawet pieszo maszerujące tłumy ludności cywilnej z łopatami, kierowane na kopanie okopów strzeleckich i przeciwczołgowych. Żarysy tych okopów widać było wszędzie.

W ogóle w tym okresie, aż do zimy i mrozów przeprowadzano na lewym brzegu Wisły tę akcję kopania rowów. Tak ubezpieczeni przyjechaliśmy do „Społem” w Krakowie na ulicę Krupniczą i tutaj w bramie zaczęliśmy się chwilowo instalować z tłumokami. Stąd mieliśmy robić wywiad w kierunku jakiegoś *pied à terre* i w sprawie możliwości wyjazdu do Piotrkowa. Byliśmy przemoczeni prawie do nitki, gdyż począwszy od Miechowa sięgnął deszcz jesienny, podcinany wiatrem i dlatego znalezienie dachu stawało się koniecznością. Dzięki znajomościom Szturma w tzw. świetle spółdzielczym (fachowa pomoc i statystyczne wskazówki) uzyskał dla siebie i częściowo dla mojej córki przydział cukru, kawy i wina, oraz obiady w jadłodajni „Społem” dla nas 5-cioro. Obiecano zakrzętnąć się około noclegu. Mogłem wprawdzie przez stosunki partyjne jakoś się ulokować, lecz licząc się z możliwościami aresztowań, przeprowadzanych jako represja za powstanie i zachowując tzw. *incognito* i cel dalszej podróży — zrezygnowałem, ograniczając się do moich osobistych znajomości. Nie potrzebowałem długo szukać, bo już około godz. 3-ej znalazłem gościnę dla nas wszystkich u serdecznego znajomego-katorżanina Miklasz... U niego otrzymaliśmy obszerny pokój, wyżywienie, a przede wszystkim gorącą kąpiel.

Po z górą dwumiesięcznym nie myciu się i nie rozbieraniu, ta operacja kąpielowa była czymś nieocenionym w naszej sytuacji bez jutra. Przebyliśmy tak

do 12-go, w którym mieliśmy wyjechać tzw. kurierem — jedynym pociągiem idącym wprost przez tzw. „Reich” do Piotrkowa. O włos bylibyśmy ze Szturmem na ten pociąg nie zdążyli wskutek incydentu z Niemcami. Otóż 11-go, już wieczorem około godz. 6-tej, stanęliśmy na rynku przy kościele P. Maryi, by przepuścić tramwaj przecinający nam drogę. W tym momencie podszedł do nas patrol 2-ch żołnierzy i zażądał dokumentów. Sprawdzili je i puścili nas. Zaledwie uszliśmy kilka kroków, dopędzili nas i oznajmili, że jednak musimy iść z nimi. Zaszliśmy pod „Telegraf”, w momencie, gdy szef (twarz sadysty) wychodził z kancelarii, polecając nas jakiemuś starszemu wiekiem sierżantowi. To było naszym szczęściem. Oczywiście, że pochodzenie zostało wyjaśnione i chociaż jeden z patrolu jakimś bełkotem (coś mnie specjalnie wygrażał) usiłował interweniować na rzecz naszego zatrzymania — tym niemniej nas zwolniono. Odetchnęliśmy i już z niecierpliwością oczekiwaliśmy naszego wyjazdu z Krakowa. Z pomocą dwóch tragarzy, za co otrzymali 400 zł dostaliśmy się oknem do przedziału, jednego z dwóch wagonów (bo tylko dwa wagony przeznaczono w pociągu „echt niemieckim” dla Polaków). Te dwa wagony dawano jedynie, jako osłonę przed dywersją partyzancką. Domyśleć się można, w co zmieniły się te dwa wagony w chwili odjazdu. Pasażerowie po prostu siedzieli sobie na głowach. Można też pojąć co się działo przy wysiadaniu na stacjach. Kto nie miał siły, lub możliwości dopchania się, nie tylko do drzwi, ale nawet do okna, ten jechał dalej. Odczuliśmy to na własnej skórze w Piotrkowie przy wysiadaniu. Rozdzielenie nas byłoby naprawdę katastrofą. Szczęśliwie wyszliśmy cało i znów stanęliśmy pod gołym niebem obok stacji. Wyszliśmy ze Szturmem na poszukiwanie według adresu M. Nowickiego, który miał się opiekować przyjeżdżającymi z Warszawy. Niestety nie zastaliśmy go, a jakaś pani prawie niechętnie nas traktowała. Już był zmrok, gdyśmy wrócili pod dworzec. Panie nasze zrobiły wywiad w bliskim RGO, jednak cofnęły się na widok à la Pruszków. Jakże żalowaliśmy RGO w Jędrzejowie. Prawda, że do Piotrkowa ścigały dziesiątki tysięcy wysiedlonych, a RGO musiało gwałtownie rozszerzać swoją organizację natrafiając na surowy materiał ludzki, często społecznie, nie tylko fachowo, niedojrzały. Szwankowały też różne działy, nie ze złej woli, lecz z braku funduszków i zaopatrzenia. Katastrofalny był stan sanitariatu i szpitalnictwa. Koniec końców udało się Paniom znaleźć przytułek na jedną noc u żony fryzjera na ul. 1-go Maja. Było to mieszkanko w dosłownej ruderze toczonej przez grzyb — składającej się z jednego pokoiku i malutkiej kuchenki. Sami gospodarze — młode małżeństwo — już gościło warszawiaków, więc udzielono nam miejsca na podłodze. I za to Bóg zapłać. Tam przebywaliśmy do niedzieli — tj. 15 października 1944 roku. Narzekać nie możemy. Spotkaliśmy dobrych ludzi, rozumiejących nasze położenie. Choć nas nie wypędzali, nie mogliśmy tak dłużej pozostawać, choćby ze względu na zimę, podczas której opalenie izby byłoby nie do pomyślenia. Zresztą sami gospodarze, licząc się zimą, mieli się przenieść, zdaje się do swoich teściów. Trzeba było szukać mieszkania i zarejestrować się, by uzyskać zgodę władz na mieszkanie w Piotrkowie, do którego wygnańców nie chciano w większej liczbie wpuścić. Dzięki stosunkom pocziwego tow. Gronostaja znaleźliśmy na ul. Limanowskiego 29 m. 46 przytułek u Pałaców (Józef i Genowefa). Nasz gospodarz wzięty przez Niemców zdaje się jeszcze w 1941 roku, przebywał w obozie, jednak bez żadnego śladu życia, a jego żona wraz z córeczką zamieszkiwała jedną izbę wraz z kuchenką. Odstąpiła nam więc tę izbę, a sama przeniósła się do matki Pałaca. Była to rodzina zasłużona w ruchu. Jeden z Pałaców został rozstrzelany w Gestapo, a drugi się ukrywał, trzeci zaś Józef, jak już wspomniałem — przebywał prawdopodobnie w obozie. Było nam dobrze i mamy naprawdę dużo do zawdzięczenia tym ludziom, podczas rocznego prawie pobytu u nich mojej żony i córek: dodam, że szczęśliwym trafem

odnalazła się w Częstochowie moja starsza córka z Henrykowa. Z pomocą p. Purtałowej wydostała się szczęśliwie z Częstochowy (gdzie ciągle były łapanki) i przyjechała do Piotrkowa już około 2 listopada 1944 roku.

Kłopoty instalacyjne kończyły się, tak że wkrótce mogłem podjąć moje zachody, w kierunku nawiązania łączności z Delegatem i RJN, nie mówiąc już o Partii. W Piotrkowie siłą rzeczy musiałem się izolować od naszych miejscowych stosunków i ograniczać się jedynie do wskazówek. Robiłem to jeszcze dlatego, że do mnie zaczęto się zgłaszać i w sprawach ogólnych i w sprawach partyjnych z prowincji dalszej i bliższej. Niestety okazało się, że umowne terminy i hasła zawiadły na całej linii. Wyjazdy w kierunku Skierniewic zostały reglamentowane przez kolej (pozwolenie na kupno biletów), a zresztą niewiadome było faktyczne miejsce zgłaszania się. Dopiero w listopadzie (pierwsza dekada) dzięki pomocy Delegata Okręgu Łódzkiego p. udało się spotkanie z „naszymi”, głównie z Marcinem, oraz z Delegatem, z którym ustaliliśmy daty posiedzenia Komisji Głównej na 28 listopada 1944 roku. W tym właśnie okresie czasu dojrzywał kryzys rządowy w Londynie, a zarazem dojrzywał kryzys w naszym środowisku RJN, dzięki Ludowcom. Powstawała konieczność naradzenia się naszej centrali partyjnej, zwołanej do Krakowa w dniu 20-tym i następane dni. Narada krakowska stanęła wobec dywersji rządu Mikołajczyka, nieudanej misji rządu Kwapińskiego i udanej Arciszewskiego z tym jednak, że Mikołajczyk usunął się całkiem, obiecując półgębkiem, że nie będzie przeszkadzał. Przyczyną miała być odmowa zgody rządu na ustępstwa na rzecz Rosji na wschodzie. Koncepcja Mikołajczyka miała być sugestią Harrimana, by zgodzić się na linię Curzona — z tym wyjątkiem, że powiat Stryjski (nafta Borysławska), a może i Lwów, przynależałby Polsce. Wszystko za cenę rezygnacji z Grodna i Wilna. Z powodu zdezauwowania go Mikołajczyk zrezygnował z premierowstwa. Dalszy przebieg znany. Z racji nieobecności Ludowców w gabinecie Ciołkosz i Grosfeld demonstracyjnie odmawiali swojego udziału w rządzie Arciszewskiego. Że Grosfeld robił demonstrację — to było zrozumiałe. Będąc w dywersji Morzowej, a później prosowieckiej, wywiązywał się z poleceń mu dawanych. Ale Ciołkosz przecież mógł wiedzieć, że jego krok — naszego ambasadora u Labourzystów — automatycznie krzyżuje drogę gabinetowi Arciszewskiego, izolując go od Labourzystów i oddając na pastwę brutalnego oszusta Churchilla. Mieliliśmy relacje Mikołajczyka, z których wynikało, że bezczelnie i bezceremonialnie Churchill naciskał go na ustępstwa, które miały być racją stanu Polski, a później przeobraziły się wprost w groźby Churchilla. Przecież ten pajac potrafił szantażować Mikołajczyka takimi groźbami, że zdemaskuje go, jako młodego człowieka, pędzącego żywot bezroski, zamiast np. służyć w wojsku. Można było się spodziewać, że Churchill zechce grać dalej tę rolę wobec Arciszewskiego, ale jednocześnie należało się spodziewać, że tu trafi kosa na kamień, co będzie usprawiedliwieniem dla rządu angielskiego, gdy opuści Polskę i ją zdradzi.

Pamiętam dobrze treść listu Stańczyka o Beneszu i Bevinie (20 grudnia 1943 roku), w którym i p. Bevin, no i p. Benesz — agent moskiewski — wyraźnie odmawiali nam prawa do naszych granic na wschodzie, nie tylko żeby nie drażnić Rosji, ale w ogóle z przyczyn zasadniczych. Zwłaszcza wypowiedź Benesza, że tak jak Czechy w roku 1938, tak Polska znajdzie się na stole operacyjnym wcześniej, aniżeli Niemcy!!, jeżeli nie zgodzi się na amputację wschodu. Wszystko to miało zadość uczynić zemście Sowieców, przede wszystkim na Ukraińcach. Bevin do tego dodawał jeszcze Białoruś. Gdy Stańczyk podobne wywody usłyszał z ust Bevina, miał wykrzyknąć: „ale rząd, który by akceptował taką operację, nie przetrwałby ani jednego dnia — to przecież zdrada”. Bevin miał zapewnić, że Polski Anglia nie opuści. Jakże najbliższe miesiące zakpiły sobie ze

Stańczyka i Bevina! Że Bevin zdradzał wraz z całym rządem Polaków — to przecież nie pierwsza w historii międzynarodowych stosunków Anglii. Wystarczy zajrzeć do dziejów polityki „dominialnej” Anglii i uprzytomnić sobie te dziesiątki milionów istnień tubylczych, eskamotowanych przez Herrenvolk angielski. Nasz Stańczyk zjadł kaszę, do której napluł — musiał to uczynić jako agent wywiadu angielskiego. Komiczna historia puczu antyrządowego w roku 1940, w którym Stańczyk uczestniczył i dzięki interwencji Labourzystów nie poniósł żadnych konsekwencji, przeciwnie znalazł się dalej w rządzie — ilustruje właściwą rolę tego gagatka.

Takie refleksje przychodziły na myśl w chwili dymisji Mikołajczyka i powstania rządu Arciszewskiego. Abstrahując od tych rozważań, abstrahując od przypuszczeń, że rząd Arciszewskiego nie znajdzie żadnego poparcia w Anglii, to jednak fakt jego powstania w ciągu zdaje się dwóch dni miał rozstrzygające znaczenie dla zamiarów anglo-sowieckich wyzyskania dywersji Mikołajczyka na terenie emigracji, żeby uroczyscie dokonać faktu dokonanego z wprowadzeniem do gry PKWN, jako jedyne elementu porządku i to w kraju. I znów rękami Polaków miano narzucić frondę sowiecką Polsce. Bo u tych legitymistów nie może być luki. Incydent z dymisją Mikołajczyka dokończył właściwej akcji Sowietów wobec Polski, jako tworu niepodległego i nieuległego Rosji. Sowietom udało się wyrzucić Polskę z gry międzynarodowej — przez zerwanie z nią wszelkich stosunków dyplomatycznych, przez anulowanie granicy wschodniej, a ostatnio przez proklamowanie swojego rządu. Zaslugą rządu Arciszewskiego był fakt, że Alianci musieli puścić farbę i wyraźnie zdradzić z własnej woli w Jałcie. Mikołajczyk niewątpliwie był wielkim ułatwieniem, ale nie decydującym. I dlatego odtąd jego rola się skończyła, a wobec Aliantów był uciążliwym pretendentem do korony — w rzeczywistości zakładnikiem kombinacji sowieckich. Że tak pojmował swoją rolę — tego dowodzi stanowisko Ludowców coraz bardziej dywersyjne w delegaturze, w wojsku i w RJN. Ośrodkiem tych manewrów był Milanówek, główna sztabskwiera Ludowców. Jasne było od razu, że w tym środowisku, obserwowanym przez Gestapo i Sowiety, nie było żadnych warunków dla jakiegokolwiek pracy realnej. Nie miało znaczenia, że Delegat, pomimo moich nalegań — tam się osiedlił, i przystosowywał swój aparat całkowicie zdemoralizowany i szukający nowego pana i pożytki do fikcji centrum dyspozycyjnego. Podczas rozmowy, którą miałem tak wtedy jak i później, po prostu błagałem go, żeby zerwał z tą fikcją. Pod moją presją zgodził się na wyjazd do Krakowa, zgodził się na to, że planowane przez niego posiedzenie Komisji Głównej miało się odbyć po raz ostatni na terenie podmiejskim w dniu 28 listopada, że wreszcie następne posiedzenie miało się odbyć 15 i 16 grudnia w Piotrkowie. Moja teza organizacyjna polegała na tym, żeby ewentualne osoby, a więc: Delegat, rząd, komenda AK i Przewodniczący RJN urzędowali w ciągle zmieniającej się miejscowości. Dla poszczególnych departamentów można było ustalić też pewne miejscowości. Osoby centralne kontrolowałyby ich działalność poruczoną sobie wzajemnie, żeby nie robić toku i nie zwracać uwagi. W ten sposób rozładowałyby się Milanówek, zdezorientowałyby się wywiad gestapowsko-sowiecki i sparaliżowałyby się wszelkie intryki. Prawda, że przy tym systemie trzeba było dużego wysiłku fizycznego i znoszenia masy niewygód. Niestety, jak się później okaże, Delegat, który miał klucz do sytuacji, tylko z początku podzielił moje zdanie, ale już wkrótce zrezygnował i do reszty zaangażował się właśnie w Milanówku, co miało zgubny skutek. Ale o tym potem.

W rozmowach z naszymi towarzyszami sprawa rządu oczywista górowała. Zdawano sobie sprawę, że Arciszewski musi bardzo szybko zlikwidować prowizorium i wprowadzić Ludowców. W tym kierunku zwracaliśmy się do

Londynu i planowaliśmy odbyć zebranie Centrali, żeby tę sprawę omówić definitywnie. W tym celu miało się odbyć posiedzenie w Krakowie w listopadzie. Do tegoż czasu miano nawiązać rozmowy z Ludowcami, że otrzeźwieli i zrozumieli do czego prowadzi ta nieobliczalna gra Mikołajczyka. Wyznaczone na 21 listopada zebranie Centrali odbyło się w składzie: ja, Marcin, Stefan Krak, Kurek, Góralczyk. Postanowiliśmy Plenarne Zebranie Centrali odbyć w dniu 8 grudnia w Piotrkowie. Dalej omawiano stosunek do rządu Arciszewskiego i do samego zagadnienia granicy wschodniej, zakwestionowanej przez Sowiety i Anglię, a stanowiącej problem ostatniego kryzysu rządowego. Zdecydowano, że rząd powinien mieć pełnomocnictwa do pertraktacji odnośnie pewnych ustępstw z granicy wschodniej 1939 roku. Następnie uchwalono uczynić wszystko, żeby nie dopuścić do dalszego absentowania się Ludowców w rządzie, zwłaszcza, że jest nie do pomyślenia dalsze utrzymywanie absurdałnej sytuacji, w której Ludowcy uczestniczą w rządzie krajowym, a zwalczają rząd londyński, którego rząd krajowy jest częścią, nie tylko integralną, ale jednocześnie jemu podległą. W tej sprawie zwrócono się do rządu. Dalej omówiono sprawy organizacji, wydawnictw, przy czym skontaktowano sabotaż drukarzy krakowskich w stosunku do pisma Delegatury, a także Partii. Zaiste powstał dziwny widok. Oto sabotowano wydawnictwa bądź co bądź antyniemieckie, drukowane a faworyzowano plugastwo hitlerowskie w języku polskim, przez tychże drukarzy krakowskich. Ten incydent był miarą demoralizacji i intrygantstwa, pieniaczenia się pod wpływem propagandy à la Milanówek, pod hasłem — rząd Arciszewskiego — to rząd narodowo-socjalistyczny a więc w skrócie nazistowski. W końcu omówiono sprawozdanie z opieki nad wysiedlonymi towarzyszami z Warszawy i z rozdziału pieniędzy na tę opiekę wydatkowych. Na tym zakończono obrady — powtarzając mi obrady zorganizowania (?) zebrania plenarnego Centrali naszej w Piotrkowie. Poza konferencją omawialiśmy z tow. Marcinem jego wyjazd za granicę i sposoby jego zastąpienia w tych pracach, których się podejmował. Według jego danych w grudniu powinien nastąpić jego odlot z jednego z naszych lotnisk AK. Poufnie było wiadome, że ma też odlecieć p. Witos, który jednak postawił szereg warunków, jak odlot w towarzystwie swej rodziny i lekarza. Niewiadome było czy te trudności w warunkach konspiracji i ograniczenia miejsc w samolocie, były wysuwane przez Witosa ze względów istotnych, czy też z pobudek jego gry, z której zawsze i wszędzie słygał i był w ogóle znany. Z polecenia Delegata konferowałem z p. Kołodziejskim na temat jego misji z ramienia PCK w Genewie, dokąd wyjechałby jako stały przedstawiciel. Był wtedy chory i tym tłumaczył swoją odmowę. Z tenoru jednak naszej rozmowy wynikało, że są inne jeszcze powody jego odmowy. Słuszność takiego posądzenia usprawiedliwiły następne wypadki i udział w nich p. Kołodziejskiego.

Miałem też spotkanie z Delegatem i Jasiukowiczem. Byli w trakcie przeprowadzki do Milanówka. Ta zmiana już mnie nie dziwiła. Rozumiałem, że od czasu wypędzenia nas z Warszawy coś się załamało w psychice i nastawieniu ludzi odpowiedzialnych za całość powierzonych im Spraw. Miałem jeszcze nadzieję, że jednak grudniowe posiedzenie RJN zmieni ten obraz. Po powrocie z Piotrkowa zająłem się zawiadomieniem reszty członków o posiedzeniu grudniowym Centrali, w szczególności tow. Józefa i Bisa (Zdanowskiego). Jednocześnie wysłańcy Delegata poszukiwali lokalu dla Delegata, co wskazywałoby na jego zamiary oderwania się od Milanówka, fizycznego — oby jak najprędzej i psychiczno-politycznego. Z mojego polecenia zaangażowano do tego zadania tow. Adele.

Dnia 8 grudnia zebraliśmy się prawie, że w komplecie, prócz tow. Marcina, który z racji swego bliskiego odlotu musiał być zawsze gotów do udania się na

miejsce, na tzw. „most”. Kontakt z nim miałem zapewniony w każdej chwili. W zebraniu wzięli udział: ja, Stefan, Józef, Bis, Góralczyk, Kurek. Zebranie potwierdziło linię uchwał zebrania w Krakowie i omówiło zagadnienia organizacyjne w tym przełomowym, po wysiedleniu, momencie. Przyjęto zasadę, że Centrala będzie ruchoma, a dla kontaktów wewnętrznych kreuje się następujące środowiska: Kraków - Piotrków - Podmiejska Warszawa - Skierniewice - Wierzbnik. Poszczególni członkowie Centrali osiedleni w tych miejscowościach obejmują kierownictwo. Opiekę nad wysiedlonymi zacieśniano ze względów oszczędnościowych, zaznaczając, że w dalszych miesiącach każdy zainteresowany musi się liczyć z możliwym brakiem zaopatrzenia z kasy partyjnej. Bolesne to cięcie było konieczne ze względu na coraz nowe zgłoszenia. Następne zebranie postanowiono odbyć w Krakowie. Dnia 15 i 16 grudnia odbywało się posiedzenie Rządu i RJN w Piotrkowie, w klasztorze Bernardynów. Stroną techniczną kierował delegat łódzki Rychlik i jego pomocnik (urzędnik z resortu opieki społecznej), oraz prof. zdaje się Orlański, dziekan wydziału prawa uniwersytetu Wileńskiego (duchowny, zdaje się poróżniony ze swoją władzą przełożoną), z ramienia delegatury — delegat uniwersytetów. On to pierwszy, gdy tylko do Łodzi weszły Sowiety zaoferował swoje usługi. Witiał zarówno posiedzenie Rządu, jak też posiedzenie RJN — delegat łódzki Rychlik ps. Piotr (Ludowiec). Z nim w czasie mojego pobytu w Piotrkowie utrzymywałem żywy kontakt, a przez niego z Ludowcami, z którymi współpracował zastępca delegata łódzkiego Henryk (Uziembło). Z tow. Henrykiem często spotykaliśmy się. Z ramienia Centrali miał on pieczę nad Końskimi, Opoczmem, Tomaszowem, i sąsiednimi stronami nie wyłączając Ostrowca. Jedno zebranie RJN odbywało się w mieszkaniu dr. Salaka. Zebranie rządu i RJN w składzie: Rząd — Delegat, Jasiukowicz, Pajdak, Bień; RJN — ja, Ozima (Str. Nar.), Bagiński, Urbański i Czarnowski, oraz Komendant AK Niedźwiadek — zajęło się przede wszystkim sprawą rządu londyńskiego, dalej własną organizacją i problemami finansowo-wydawniczymi i opiekuńczymi. Po długiej dyskusji RJN przyjmuje rezolucję odnośnie rządu i postulat, by umożliwić natychmiastowe zlikwidowanie incydentu z Ludowcami. Delegat w swjej rezolucji, która się nie utrzymała, lansował tezę o konieczności wprowadzenia Mikołajczyka do rządu na stanowisko premiera, a w każdym razie kreowanie go na pośrednika między Sowietami, a Polską, jako jedyne mającego zaufanie obu stron. Była to wyraźna sugestia torpedowania rządu Arciszewskiego. I tę tezę omawiał z mną przed wniesieniem na Radę i wówczas jej się sprzeciwiłem, widząc w tym zwycięstwo wpływów mikołajczykowskich. Nieraz jeszcze Delegat grzeszył swoją nielojalnością wobec rządu — co mu wyraźnie powiedziałem w lutym 1945 roku.

Obecnie perswadowałem mu, posiłkując się ostrzejszymi argumentami. Najtrudniej było przeforsować zdanie o pełnomocnictwach rządowi odnośnie pertraktacji z Sowietami, zwłaszcza na temat granic. Nie mogli się Ludowcy wyłabudać z sytuacji przymusowej, a mianowicie musieli pójść na tezę moją, że o ile chcemy kontynuować rozmowy Mikołajczyka, to musi to uczynić rząd, który nam się może nawet nie podobać. Ale nie wolno nam z tego robić gry i podstępnie prowadzić do dymisji rządu. Granicą pełnomocnictw była teza, że na linię Curzona nikt z RJN się nie zgadza. Jaka zaś ma być istotna linia przyszłej granicy z Rosją to odkładano do pertraktacji pokojowych. Dla ułatwienia przyjęcia mojej tezy, dogadałem się z Ludowcami — i to był nasz dwugłos — *votum separatum* — że przyszła granica winna brać za podstawę spis ludności na tych terenach z okresu przedwojennego. Na tym kryterium ustalona byłaby linia podziału międzypaństwowego, poprawiająca granicę z roku 1921 (Ryską).

Wzwołaniem o wprowadzenie Ludowców do rządu — powtórzonym w naszej wspólnej z Ludowcami depeszy — zakończyliśmy tę tak zwaną kwestię. Na tym

posiedzeniu Delegat zgłosił wniosek o mianowanie Janiszewskiego (Ludowca) na dyrektora Kontroli Państwowej. W ten sposób do departamentów objętych przez Ludowców, a więc: 1) departament spraw wewnętrznych, 2) rolnictwa, 3) szkolnictwa i oświaty, 4) odbudowy (należnego nam po Ziemięckim, nieobsadzonego wskutek różnic między nami, a Delegatem) kierowanego faktycznie przez Ludowca, 5) skarbu, 6) łączności radiowej, przybyła 7-ma Kontrola, czyli przeszło połowa resortów. Wywołało to sprzeciw Jasiukiewicza, który stwierdził, że ten wniosek nie był omawiany na posiedzeniu rządu. Po pewnych wyjaśnieniach udało się wniosek Delegata przyjąć. Chociaż dobrnęliśmy do końca, wyczuwało się, że idziemy ku kryzysowi, przygotowanemu przez Ludowców. W czasie dyskusji padały pogrożki, że ostatecznie wyjście z RJN, nie leży w interesie Ludowców, ale mogą być do tego przymuszeni, gdyż dzieje im się krzywda oczywista. Ich doły ciągle o tym mówią i stawiają natarczywe żądania. Widoczne było, że czas jeszcze nie nadszedł, a przed czasem nie było dla Ludowców żadnego sensu sytuację nie tylko w Londynie, ale i wkraju zaostrzać — wtedy gdy jeszcze nie dogadali się na temat współdziałania szerszego — któremu było na imię RPPS. Zresztą na pytanie stawiane na RJN, kto to nie tylko z RPPS, ale też i komuną paktuje — naturalnie wypierano się, kłamiąc w żywe oczy wówczas, gdy wróble na dachu wyśpiewywały nazwiska pośredników z jednej i drugiej strony. Ale w owym czasie RPPS już sterczał w Lublinie, a Ludowcy z województwa lubelskiego tkwili w akcji ludowcowej typu PKWN, więc o tyle pertraktacje oficjalnych Ludowców się opóźniły i utrudniły sfinalizowanie. W tej sytuacji, kiedy karty do gry były rozłożone i nie było po stronie Ludowców tutejszych dobrych atutów, zwłóczono oczywiście do czasu. Tymczasem wystarczały dąsy i narzekania osłabiające pozycję RJN i Delegatury. Do tego doprowadziła taktyka Ludowców, a to znowu było na rękę PKWN-owi — czyli, że była nadzieja, że papiery Mikołajczyka pójdą w górę i jak w Londynie, tak i na PKWN-nie — zdobędzie się prymat. Rozchodziliśmy się pod ciężkim wrażeniem z tym, że najbliższe posiedzenie RJN miało się odbyć w Krakowie dopiero w styczniu 1945 roku. [...]

art. 2. pkt. 5 z dnia 31.01.1981 r. o kontroli publikacji i widowisk (Dz.U. nr. 20, poz. 99 z póź. zm.)

Znamionowało to zbliżającą się akcję polityczną, czy też militarną. W tym czasie rząd londyński rozwiązał AK w kraju. Nigdy nie dowiedzieliśmy się właściwych powodów rozwiązania. Sądzę, że ten fatalny krok uczyniono gwoli jakichś obietnic oszukańczych anglo-amerykańskich. A było to potrzebne ze względu na rozpoczynającą się ofensywę sowiecką — podczas której przeważnie dochodziłoby do podobnych scen, których byliśmy świadkami w Wilnie, Lwowie, lub też na Wołyniu. Mając masło (!) na głowie, tj. umowę Teherańską, Alianci wiedzieli, że Sowiety mając już niby rząd i naczelnego wodza tzw. armii polskiej w osobie Żymierskiego, przystąpią z miejsca do ostrej likwidacji Akowców, czyli kombatantów alianckich. Wytworzy się zatem sytuacja, która zdemaskuje łajdactwa umów poufnych w Teheranie. Stąd rozwiązanie AK przez rząd londyński było nie tylko Akowców, czyli kombatantów alianckich. Wytworzy się zatem sytuacja, która zdemaskuje łajdactwa umów poufnych w Teheranie. Stąd rozwiązanie AK przez rząd londyński było nie tylko na rękę Aliantom, ale jednocześnie rozwiązywało ręce Sowietom. Co za to uzyskano? Przypuszczam, że chwilowe poklepywanie Churchilla i liściki Roosevelta, którymi zasypywał wszystkich. Bo Polska żadnej korzyści nie odniosła, przeciwnie wydała na poniewierkę i śmierć tysiące najofiarniejszych swych bojowników. I taka jest moja opinia o tym dekreście rządu, podpisanym przez Prezydenta Raczkiewicza. Zdanie to może brutalne — nie przeczy — zmienię dopiero wtedy, gdy otrzymam inne dowody *ad oculos*. Niech mi wybaczą ten upór i nieufność. św. Tomasz.

Ofensywa zastała mnie w Piotrkowie i przyżywałem ją w całym jej rozwoju. Widziałem cofające się w nieładzie wojska niemieckie, popędzane od czasu do czasu nalotami sowieckimi, co dawało w efekcie pożary i ruiny kilku domów i sporo ofiar postrzelanych z broni pokładowej. 17 stycznia Piotrków został zdobyty przez Sowiety i zaraz zaczęły się ujawniać różne instytucje porządku Lubelskiego. Więc milicja — z oddziałami kolejowymi, Rada Narodowa, w której ukazali się przedstawiciele partii w czasie okupacji prawie nie działających, np. Demokratyczne Stronnictwo. Zaczęły się manifestacje witające wkraczających Rosjan, bramy tryumfalne i przemówienia — akademie, na których występowali osobnicy często o bardzo niewyraźnej działalności. Takim był nowomianowany starosta Bykowski-Bystry o pewnym rozgłosie niezbyt pochlebnym, kiedy to robił dywersję w PPS w porozumieniu z sanacją. Zresztą to była plotka. Jak się później okazało z reżymem nowym poszły ręka w rękę także grube ryby sanacyjno-ozonowe. Te powitania wojska sowieckiego były właściwie musztardą po obiedzie. Albowiem te wojska już się zaprezentowały uprzednio przy zdobywaniu Piotrkowa. Spadli jak szarańcza na sklepy, nie szczędząc np. „Społem”, którego magazyny padły całkowicie łupem żołdackim. Charakterystyczne, że żołnierze nie kwaterowali w koszarach — pustych — a lgnęli do mieszkań, wprowadzając wszędzie nieporządek i rekwizycję opału — no i zegarków — i latarek elektrycznych. Przecież te same a nawet mniejsze przydziały otrzymywał i żołnierz polski. Jednak był zawsze umyty i jego mundur oraz obuwie doprowadzone do porządku. Już wtedy — chociaż w lepionej na murach propagandzie, rojącej się od błędów ortograficznych, kłamstw oraz inwektyw pod adresem Londynu, a zwłaszcza AK-owców — pisano coś nie coś o sojuszu z Sowietami i demokracjami Zachodu, czyli z Aliantami. Ale np. na lawetach armat defilujących widziało się jedynie hasła sojuszu polsko-radzieckiego. Zainstalowało się oczywiście NKWD dyrygujące powstającymi Urzędami Bezpieczeństwa, oraz ciągle organizującą się Milicją Obywatelską. Jeżeli reklamując się Partie wywlekały na powierzchnię życia różne typy i szumowiny, to jeszcze bezprzykładniej jednak [je] sobie powstający aparat demokracji państwowej, angażując z całą świadomością typy mające za sobą służbę u Niemców czy też w Gestapo. Byli to tak zwani ideowi współpracownicy z polecenia konspiracji PPR-owskiej. Jeżeli pierwsze zarządzenia dadzą się jeszcze usprawiedliwić wyjątkowością położenia, o tyle zarządzenia odnośnie aprowizacji i pieniądza musiały do reszty zrujnować podstawy prymitywu gospodarczego, wytworzonego w czasie okupacji. Dzięki tym zarządzeniom znikł z obrotu pieniądź — a na jego miejsce siłą rzeczy zjawiała się wymiana towarowa. Zarządzenie o wymianie tylko 500 zł na 500 złotych-Lubelek, a tylko 250 tzw. Reichu — z jednej strony przypominało analogiczne chwytły Sowietów na terenach wschodnich Rzeczypospolitej, które zakończyły się zdeprecjonowaniem w ogóle złotego i wyrzuceniem go z obiegu, a z drugiej strony napawało obawą odnośnie losów tzw. Lubelek. Dekret Rządu Tymczasowego o wymianie, czy kto chce czy nie chce, stał się właściwie kontrybucją nie stosowaną nigdzie, tylko w Polsce i to przez Sowiety i ich agentów Lubelskich. I nie było to bynajmniej posunięcie rewolucyjne — wywłaszczające. W praktyce — wszyscy czy biedni, czy bogaci zostali jednakowo potraktowani, otrzymując w zamian bezwartościowy pieniądź — górujący nad pieniądzem — również bezwartościowym — okupacyjnym tylko powagą drukarni moskiewskiej. Nie potrzeba chyba dodawać, jak się ta wymiana odbywała, jak maltretowano ludność różnymi terminami i szykanami i jak spekulacja na oczach tzw. rządu święciła swój tryumf. Drugie zarządzenie aprowizacyjne było również warte dekretu pieniężnego. Jeżeli u Niemców były niedostateczne przydziały żywnościowe to w każdym razie opierały się na równości i powszechności. Rozporządzenia władz aprowizacyjnych „demokracji” podzieliły ludność na pracującą i niepracującą — napiętnowana

zasada — kto nie pracuje ten nie je. Ten brutalny prymityw zastosowano wtedy, gdy pracy jeszcze w dostatecznej ilości nie było i kiedy ludność po 5-ciu latach głodowania zasługiwała na jakieś względy. Czyż np. pozbawianie starców kart, dających jakieś możliwe przydziały, czyż wyeliminowanie dzieci niepracujących na pańskim (urzędnicy, instytucje miejskie, fabryki rządowe) — nie zasługuje na napiętnowanie? Takiego przykładu jeszcze nie było, żeby karano obywateli kontrybucją pieniężną i niedostatkiem żywnościowym — za co, za to iż nie chcieli ulegać agentom? Wszystko to miało jeszcze jeden wyraz wstydliwych zakątków wywiadu na Polskę. Wszak od pierwszych dni wywożono z Polski literalnie wszystko, rekwirowano dla wojsk sowieckich chleb i mąkę i piekarnie powodując powszechny głód. Kraj ogołocony i spustoszony w ciągu okupacji niemieckiej — musiał żywić nie tylko garnizony rosyjskie wewnątrz kraju ale i te wojska, które ciągle przebiegały kraj i lądowały w Niemczech. W ogóle gospodarka, zwłaszcza aprowizacyjna, rządu ma swoją bardzo pouczającą historię i czeka na swego historyka. Naturalnie nie było w niej nic oryginalnego, gdyż całość była przyczepką do całego systemu okupacji sowieckiej i jej postępowanie było obowiązujące dla agentury Lubelskiej. Wybielaniem i motywacją tego systemu zajmowała się zgłajszaltowana prasa, kryjąca się ze zrozumiałych względów za tytułami istniejących przed wojną wydawnictw prasowych, nie mających nic wspólnego z komuną i agenturą sowiecką. Nie przepuszczono nawet organu konspiracji Polskiego Podziemia. Oczywiście, że najwięcej miejsca w paszkwilach udzielano szkalowaniu powstania i ciągłemu judzeniu i nawoływaniu o sąd. W ten sposób uczestnicy zbrodni puszczenia stolicy na pastwę losu łudzili się, że z pomocą okupanta i prasy wydobędą ze zmęczonego i zepchniętego na dno prymitywu (społeczeństwa) odwet na swoich „winowajcach”. W tym też celu zaczęto obrabiać moje nazwisko, Bora i Zaremby. My byliśmy odpowiedzialni za zniszczenie, palenie i masakrę Warszawy i jej ludności. Za przykładem publicystów sanacyjnych usiłovali nawet śmierć niektórych obozowiczów — np. Barlickiego — zepchnąć na nasz współkolegę Cyrankiewicza o jakieś machlojki z Niemcami, z którymi uciekł na Zachód zamiast pozostać z Kuryłowiczem i wydostawać się na wschód. W najbliższych kilku tygodniach ci dwaj dżentelmeni jakoś się uzgodnili, wyznaczając sobie role — bohaterskie w obozie i kombinatorskie w nowym reżymie. Szkalując nas tym samym dawali możliwość Moskałom prześladowania i usuwania z przyszłych „konsultacji” istotnych reprezentantów podziemia na rzecz „podstawników” w rodzaju: Kołodziejskich, Żuławskich, Krzyżanowskich (leader finansowy sanacji), Kutrzebów itp.

Ale Bóg z nimi! W tym chaosie wojenno-politycznym utraciliśmy łączność wewnętrzną polityczno-partijną i delegacką. Przez łączników zacząłem szukać dróg. Gdzieś w drugiej połowie stycznia otrzymałem list czuły od p. Bienia z wezwaniem na zebranie, które on zwołuje w porozumieniu się z kilku politykami znajdującymi się na terenie Milanówka. Odpisałem mu, że na to zebranie nie przybędę (pomijam brak komunikacji i to w zimie) gdyż termin zebrania zawsze ustalano z Delegatem, z którym właśnie nawiązałem łączność. Bien jako pierwszy zastępca delegata, człowiek wysoce nielojalny i nie zważający nawet na przyzwoitość wobec delegata, który przecież jeszcze żył i istniał — szykował się do swojego ingresu. Można by na ten temat jeszcze parę szczegółów bardzo charakterystycznych dodać, ale nie chcę wchodzić w tę miernotę małych ludzi, biorących się do wielkich interesów. Wszystko to jest naturalnie epizodem przykrym, ale nie dorastającym do tej miary banału, który zainscenizował i przeprowadził popychle Churchilla, Mikołajczyk. Rzecz jasna, że wobec mojej odmowy zebranie nie doszło do skutku i zakończyło się prywatnie. Na nim postanowiono doprowadzić do mojego usunięcia z przewodnictwa na

RJN. Z delegatem spotkałem się w Piotrkowie w końcu stycznia. Przyszedł piechotą z Częstochowy — dokąd udało mu się z pomocą spirytusu dostać miejsce w samochodzie sowieckim. Ustaliliśmy zebranie RJN 14-go lub 15 lutego, oczywiście w Milanówku (!). Jednocześnie zawiadomił mnie, że widział się z Witosem, przebywającym w Piotrkowie, okropnie zde gustowanym i psio- czącym, że nie wyleciał za granicę. Narzekał na swoich i zapowiedział, że chce się wydostać stąd i wyjechać do Małopolski *incognito*. Delegat zaproponował mu wyjazd własnym wozem, na co Witos dostał pożyczkę 500 dolarów. Nie wyprowadziłem Delegata z jego złudzeń. Miałem też rozmowę z p. Niećko, który przyszedł mnie uprzedzić, że z Witosem nie da się osiągnąć spotkania (o takie spotkanie istotnie zabiegałem i wyczuwałem, że pretorianie do niego nie dopuszczą) — z powodu jego choroby. To nie przeszkadzało urządzić spotkania z Delegatem. Podobnie jak Delegat niewiele wyszłoby z tego spotkania. Natomiast rozmowa z Niećką dała rozstrzygające rezultaty. Pamiętać należy, że jeszcze nie było wiadomości o Krymie. Otóż Niećko — który ongiś był naszym członkiem sekcji PPS w Moskwie w okresie rewolucji, a więc mój znajomy — oświadczył mi, że Stronnictwo Ludowe ustosunkuje się wobec Rządu Tymczasowego pozytywnie. Powód — chłopci nie są zdolni do konspiracji, a zresztą należy ufać kierownikom nowego reżymu. Nadmienił przy tym, że kto ma gęsią skórę przed Sowietami, jak np. Bagiński, ten może się wahać, ale na to nie ma rady. Co to miało znaczyć, o to się nie pytałem, składając te niedopowiedzenia na karb rozgrywek wewnętrznych w stronnictwie wstrząsanym przez rozdźwięki między „Wiciami” (na których zerowała komuna) a oficjalnym kierownictwem. Zresztą najbliższa przyszłość miała w całej ozdobie ludowcowej mentalności się uwyrażać.

Wreszcie w pierwszych dniach lutego, kiedy już wybierałem się na RJN, rozeszły się wiadomości o Krymie. Cios był dobrze przygotowany przez zmwę nowego „Świętego Przymierza”, niewątpliwie był wielkim aktem krzywdy wyrządzonej Polsce, krzywdy, której nasz naród — jeżeli ma zostać narodem o własnej godności — nie może zapomnieć, tak jak nigdy nie zapomni zbrodni niemieckich. Ta krzywda, jak krzywda rozbiorów nie da spokoju Europie. Trzeba było coś zdecydować i dlatego zwróciłem się do Towarzyszy z Centrali o naradę. Miała się odbyć najprzód na marginesie RJN w Milanówku, a następnie miała zdecydować o naszym stanowisku Rada Naczelna w Krakowie. Podróż do Brwinowa, gdzie się zatrzymałem, odbyłem szczęśliwie, pomimo straszliwego bałaganu w ruchach pociągów, no i nieopisanego tłoku pasażerów. Już 15 lutego 1945 roku zebrana RJN (razem z Komisją Główną) dała możność Ludowcom zaprezentowania swojej nowej taktyki. Jak zawsze tak i teraz Ludowcy w osobie Bagińskiego zachowywali się zagadkowo i dopiero w ciągu posiedzenia zażądali jego odroczenia, aby następnie odbyć posiedzenie tzw. „czwórki”. Oczywiście, że zgodzono się na to i na zebraniu „czwórki” Bagiński wreszcie wydukał, że Ludowcy nie mogą dłużej pozostawać w porozumieniu 4-ch — bo w nim są Endecy. W RJN pozostaną, ale na razie i nie mogą określić, czy i z niej wkrótce nie wyjdą. Na pytanie — dlaczego żądał odrębnego zebrania — długo klarował, że tylko ze względów na nierozgłaszanie tego wypadku. Wyglądało na to, że ktoś z zewnątrz pociąga za sznurek, a Ludowcy siedząc na kilku stołkach — raz przez swoich w KRN, drugi raz w RJN i wreszcie tkwiąc głęboko w rozmowach z komunistami prowadzą znaną taktykę Witosową — zależnie od „sytuacji” przerzucać się z jednej strony na drugą, oczywiście znienna zaskakując.

To oświadczenie Bagińskiego o wystąpieniu z 4-ki, a pozostawanie w RJN czyli tymczasowość z głębokim wywiadem w całej polskiej konspiracji — miało dla kogoś znaczenie orientacyjne z pierwszej ręki. Odtąd Ludowcy byli obcym

ciałem w reprezentacji Podziemia i z tym należało się liczyć przygotowując w razie potrzeby odpór. Już dalsze posiedzenia Komisji Głównej, podczas których zaprezentowali Ludowcy swoją rezolucję formułującą stanowisko wobec uchwał krymskich, a dalej votum nieufności dla Rządu Arciszewskiego, połączone z ubolewaniem na odrzucenie przez ten rząd uchwał jałtańskich. W końcu rezolucji mieściło się zdanie następujące a mianowicie, że to wszystko w polityce międzynarodowej dla Polski ujemne jest rezultatem rządów Arciszewskiego. A na samym końcu pod moim adresem, że przez odmowę odbycia posiedzenia (wspomniana wyżej inicjatywa Bienia — Ludowca) „uniemożliwiłem zajęcie przez RJN negatywnego stosunku do Rządu Tymczasowego”, a to z kolei zaszkodziło naszym sprawom w Jałcie. Gdy idzie o stanowisko wobec uchwał konferencji Krymskiej, to po przyjęciu poprawki PPS, piętnującej jednostronność i absencję Polski, oraz ograniczenie jej suwerenności — ten ustęp został przyjęty jednomyślnie. Z rezolucji dotyczących rządów Arciszewskiego odrzucono 1-szą wraz z motywacją, a przyjęto trzema głosami na 5, tj. głosami Ludowców-Chadeków (według posiadanych wiadomości paktujących z „Kranem”) i Demokratów — rezolucję wyrażającą ubolewanie z powodu protestu rządu wobec uchwał jałtańskich.

W dyskusji nad tym zaangażowałem się broniąc rządu ze względów zasadniczych, oznaczało to właściwie tchórzowskie votum nieufności w danej sytuacji, idące na rękę Lublinowi i Moskwie. Czyniłem to dlatego, że Delegat pomimo moich aluzji do niego jako członka rządu Arciszewskiego — milczał, słowem trzymał „neutralność”. Aluzji pod moim adresem — skrywającej tchórzliwie votum nieufności — nie poddałem w ogóle pod dyskusję, ani też pod głosowanie, oświadczając brutalnie, że Komisji odmawiam prawa wyrażania votum nieufności. Czynię to tym bardziej, że widzę pewną ciągłość w usuwaniu symbolów państwowych. A więc w krótkim tym okresie usunięto Naczelnego Wodza, zaatakowano Prezydenta. Odarto rząd nie tylko z zaufania, ale i szacunku, obecnie okazuje się, że w marszrucie trzeba stworzyć *non est* RJN. Zwołane plenum RJN będzie mogło powziąć swoją decyzję. Dzisiaj kończę posiedzenie RJN (Komisji Głównej).

Spotkaliśmy się ponownie jako Komisja Główna 26 marca 1945 roku. Charakterystyczne, że podczas badania w więzieniu moskiewskim, mój *sledowatiel* napomknął o tym posiedzeniu i o votum nieufności dla mnie. Można być pewnym że te wiadomości były udzielone przez Urbańskiego. Sądzę jednak — a to nie jest mania prześladowcza — że Urbański nie był jedynym informatorem. NKWD w Milanówku było jak u siebie w domu, buszując wśród urzędników Delegatury no i via PPR wśród Ludowców, u których nigdy nie cieszyłem się dobrą marką, chociaż nie dawałem ku temu żadnych powodów. Zresztą o tym pisałem już więcej wyżej. Tu w tym miejscu mogę po doświadczeniach powiedzieć, że wobec ich zachowania się wszędzie, gdzie tylko uczestniczyli, jakoś szybko zgrywali się walcząc nie o swoje zasady czy cele, ale jedynie i wyłącznie o władzę, choćby do niej nie dorastali.

Jasne jest, że uczestnicząc w obradach RJN byłem w kontakcie z towarzyszami z którymi odbywaliśmy narady, tak że byli w kursie wydarzeń. W posiedzeniach — zdaje się w dwóch — skład CK był następujący: ja, Marcin, Józef i Stefan. Uzgodniliśmy nasz stosunek do uchwał krymskich, akceptując je z umotywowanymi zastrzeżeniami i postanowiliśmy zwołać na 18 marca Radę Naczelną w Krakowie. Zatwierdzono oświadczenie pełnomocnika CK na Okręg Podmiejski dotyczące stosunku do tworzonego porządku Lubelskiego, oraz dwa okólniki instrukcyjne sformułowane w tej samej materii przeze mnie i rozesłane do reszty naszych środowisk. Wytyczne rzeczowej instrukcji I i II sprowadzały się do zakazu angażowania się w działalności polityczno-reżymowej. Natomiast

zalecały inicjatywę w powoływaniu Związków Zawodowych, kulturalno-oświatowych, spółdzielczych, rad zakładowych i Milicji. Kładłem nacisk na czynnik wybieralności i uzasadniałem potrzebę zwalczania systemu komisarzy i nominatów. Dalej proponowałem wzmoczoną akcję w dziedzinie aprowizacji i wyżywienia ludności, bez różnicy na zasadach powszechności. Podniesienie zarobków i wycofanie dekretu o wymianie tylko 500 zł. W okólniku — instrukcji II podnoszono potrzebę intensywnego tworzenia Milicji według zakładów i instytucji pracy z zaleceniem selekcji ideowo-etycznej. Sprawę ujawnienia się — odkładano do najbliższych uchwał partyjnych. Tylko Partia zdecyduje, na jakich zasadach i w jakich warunkach ma się odbyć ujawnienie organizacji partyjnych. Podkreślano jednak, że Partia od zasad bezwzględnej niezależności działalności politycznej, wolności słowa, druku, zgromadzeń, usunięcia represji policyjnej i inspirowanej NKWD nie może odstąpić i nie odstąpi od zasad, że w Państwie nie będzie monopartyjności — PPR-owskiej i jej przybudówek pod postacią skradzionych nazw i symbolów historycznych stronnictw polskich.

Mieliśmy się spotkać 17 marca w Krakowie, żeby odbyć jeszcze jedno C.K. Przedtem miałem wyjechać do Zagłębia i na Śląsk, by zlustrować stan rzeczy wytworzony przez ujawnienie się całej organizacji. Podobne relacje, nie sprawdzone, dotyczyły ujawnienia się w Łodzi, częściowo Ostrowca, Wierzbnika i Częstochowy. A więc wszędzie tam, skąd w ostatnich czasach nie mieliśmy przyjazdu naszych łączników. Tam gdzie udało się nam w tym okresie braku komunikacji udzielić wskazówek, tam czekano na naszą decyzję. Potrzebne wiadomości i awiza spotkaniowe miałem otrzymać od wysłanego przeze mnie na Śląsk i Zagłębie tow. Dew(ora). I rzeczywiście po powrocie do Piotrkowa otrzymałem ustne sprawozdanie od tow. D. i zgodnie z umową wyjechałem 12 marca w nocy w kierunku Zagłębia. Jechaliśmy razem z tow. Gnatem, który przyjechał po instrukcje do mnie i obecnie wracał do Częstochowy. W drodze mieliśmy ciekawy wypadek ilustrujący powszechny wówczas szaber, bez względu na czas i miejsce. Otóż w pewnym momencie dnia Gnat zauważył brak swej teczki, którą powiesił tylko na chwilę w wagonie, rozumie się nieoświetlonym. Zaczęło się poszukiwanie, rozumie się bezowocne, ale kiedy zagroziliśmy, a Gnat zaczął markować uzbrojenie — podrzucono teczkę w drugim końcu wagonu pod ławkę. Skończyło się szczęśliwie. Dojechałem do Żąbkowic by dostać połączenie z Katowicami. Jeszcze było ciemno ale stacja po prostu kipiała od natłoku czekających, nieraz od kilku dni, pasażerów, powracających z przymusowych robót z Niemiec. Dopiero o 9-tej nadszedł pociąg miejscowy (towarowe wagony) którym dojechałem tylko do Będzina. Resztę drogi odbyłem tramwajem (natłoczonym do niemożliwości) do Sosnowca. By dostać połączenie z Katowicami, trzeba było udać się aż na most Szopienicki, gdzie można było wsiąść do tramwaju. Niestety, po przybyciu na miejsce tramwaju nie zastałem, a tłumy oczekujące od dłuższego czasu oświadczyły, że czeka nas dłuższa przerwa w ruchu. Czy mogłem czekać wobec faktu, że oczekiwano mnie około godz. 11-tej w Katowicach w Załężu. Trzeba było ruszać na własnych nogach, w dodatku w obuwii mocno zdezolowanym, a więc przeciekającym (jedna zółwka gumowa była pęknięta). Na domiar złego padał deszcz, a droga była pełna błota i bajor. Dnia 13 marca około godz. 13-tej dobrnąłem się do Załęża ul. Wojciechowskiego, gdzie w mieszkaniu śp. Janoty (rozstrzelanego przez Niemców zdaje się jeszcze w roku 1942) spotkałem się z zastępcą delegata na okręg Śląski Kopaczką (R. Motyka) i towarzyszymi Janickim i Kusym. Zdaje się, że był ktoś czwarty, o ile pamiętam z Bytomia. Z relacji wynikało, że stan wytworzony po przyjsciu Rosjan jest wprost tragiczny. Pieniądz nie kursuje, żywności żadnej, wypłat na kopalniach i w hutach się nie przeprowadza. Jedynie grasanctwo

polityczne PPR-u i UB jest na porządku dziennym. Partia jeszcze się nie ujawniła, oczekując na dyrektywy CK. Tym nie mniej dawni dywersanci z okresu dywersji Biniszkiwicza i sanacji, jak np. Rozenfeldt przystąpili do zakładania swojej PPS. Do nich przymknął Trąbalski Franciszek — człowiek Grażyńskiego. Demoralizację z okresu Sanacji i Grażyńskiego, która przycichła w okresie okupacji, rozgrzeszono obecnie i znów zaczynają się zwyczajne plebiscytarne. Po dłuższej wymianie zdań i szczegółów obchodzących Partię — postanowiono 14 marca odbyć konferencję działaczy PPS w Sosnowcu, a 15-go działaczy ze Śląska w Bytomiu, 16-go miałem wyjechać do Krakowa na CK i Radę Naczelną. Konferencja Zagłębiaków w Sosnowcu była stosunkowo bardzo liczna. Ze sprawozdania wynikało, że towarzysze zdani na siebie samych — tow. Stefan zagłębiowski (tow. Pol) przebywający w niedalekiej okolicy nie zjawił się i zawiódł całkowicie. W ogóle od tego czasu wycofał się, no i nastąpiło to, o czym mówiłem Bieniowi (naturalnie z PPS) — organizacje najliczniejsze, najofiarniejsze, najbardziej uwojskowane poddały się różnym arraywistom i spekulantom z PPR-u. Stwierdzone fakty ujawnienia się organizacji PPS dowodziły, że doły pozostały sobą — wierne PPS-owi, a góra narzucona przez PPR — administracja i policja pozostała obca i coraz bardziej wroga wobec nieprzejednanych PPS-owców. Naciski NKWD wzrastały a areszty i bicie uwięzionych były już wtedy zjawiskiem codziennym. Właśnie, kiedy obradowaliśmy, przyszły dwie wiadomości bardzo charakterystyczne. Otóż na Kazimierzu (stara placówka PPS) aresztowano 11-tu członków Komitetu PPS (ujawnionego), a jednocześnie przygotowanie PPR do zajęcia Domu PPS w Dąbrowie Górniczej. Nie pozostawało nic innego, jak udzielić rady odnośnie aresztowanych i Domu i zapewnić towarzyszy, że sprawa ujawnienia będzie zdecydowana 18-go w Krakowie. W danej sytuacji mogłem zrobić tylko lekką wymówkę, że nie czekając decyzji Partii, ani też jej nie zapytując (przecież mieli niedaleko choćby Częstochowę czy też Kraków) — na ola Boga ujawnili się. I dzisiaj już widzą konsekwencję tego gwałtownego i nieprzemyślanego kroku. Obradowaliśmy cały dzień. Wieczorem nocowałem w Załężu a 15-go z rana wyjechałem do Bytomia (tramwajem). Na dawnej granicy — odcinek Bytom zastaliśmy już porządek sowiecki. A więc emblematy graniczno-sowieckie, w mieście ogłoszenia w języku rosyjskim i niemieckim. Słowem Ziemię Odzyskane jakoś nie miały żadnego polskiego znaku państwowego.

Odbywaliśmy zebranie na kopalni Hohenzollern. Działała tam Rada Zakładowa polska i Dyrekcja wybrana przez górników. Szyld „Cześć Pracy” był jedynym znakiem, że proletariat polski czuwa, tylko nie rządzi kopalnią. Kopalnią rządziły Sowiety ogoławając ją z węgla i wagonów, kierowanych na wschód. Położenie robotników katastrofalne (wyżywienie i zarobki). Omówiwszy plan doraźnego polepszenia zatrzymaliśmy się na potrzebie wykonania instrukcji I i II, a dalsze kroki uchwalono odroczyć do dalszych wskazań CK Partii — dotyczyło to, między innymi, także ujawnienia się na terenach o większości niepolskiej, co wymagało dużej ostrożności. Dalsze szczegóły oraz samo wykonanie ujawnienia mieliśmy rozstrzygnąć w kwietniu, podczas mojego powtórnego przyjazdu. Niestety do tego nie doszło — na skutek mojego aresztowania, a po drugie wskutek aresztowania Kopaczki i jego pomocników.

Po przenocowaniu w Sosnowcu u tow. Bielnika, który jako członek Rady Naczelnej miał przyjechać na Radę Naczelną — 16-go z rana wyjechałem do Krakowa. Podróż odbywałem wagonem towarowym z Sosnowca-Kazimierz-Szczakowa, gdzie miałem czekać na pociąg do Krakowa przez Tunel. Była godzina około 10-tej kiedy przybyliśmy do Szczakowej, a pociąg miał nadejść około godz. 16-tej. Przy tym chodziły wieści — istotnie prawdziwe — że Tunel trzeba było obchodzić, by się dostać do pociągu idącego do Krakowa.

W związku z tym wojsko sowieckie urządzało polowanie na podróżnych, zapędzając ich do roboty w Tunelu zniszczonym przez cofających się Niemców. Zaiste ta perspektywa tyłtania się w robocie ziemnej, a później noclegu na dworcu podniszczonym w Krakowie nie budziła zachwyty. Droga ze Szczakowej przez Trzebinę do Krakowa była szerokotorowa i przeznaczona dla wojska sowieckiego wyłącznie. Trzeba było coś postanowić, żeby ze Szczakowej się jak najprędzej wydostać. Z rozmowy z telegrafistą wywnioskowałem, że z transportów sowieckich można czasem korzystać. I rzeczywiście w niedługim czasie wjechał olbrzymi pociąg towarowy załadowany wojskiem, sprzętem bojowym, węglem oraz kamieniami brukowymi (!). Pociąg przejechał i na jakimś kilometrze zatrzymał się za stacją. Pobiegłem, ale niestety nigdzie nie mogłem dostać się do wagonu. Wreszcie pomimo protestów żołnierza wgramoliłem się na galerijkę wagonu towarowego, na którym było kilku krasnoarmiejców. Gdy w dalszym ciągu zmuszano mnie do wycofania się — w czym celował jakiś Gruzin (zawsze mniejszości narodowe są bardziej służbiste niż większość narodowa) — pociąg ruszył. I tu rozegrała się następująca scena. Gdy Gruzin dalej mnie napastował i przystąpił do wyrzucania mnie, zaapelowałem do reszty w imię „starika”. I wówczas jeden z nich grzmotnął Gruzina kolbą tak, że zalał się krwią. Oczekiwałem rzeczy najgorszych dla mnie, a mianowicie, że zaczniesz się bójka ze strzelaniną — w mojej obecności i że jako nieuzbrojony mogę zdrowo beknąć. Na szczęście do tego nie doszło. Mimo to miałem gęstą minę gdyż ciągle oczekiwałem, że za ten akt gościnności i obrony, któryś z żołnierzy poprosi wódki (za którą można wszystko było zrobić) albo chociaż papierosów. Naturalnie, że nie miałem wódki, ani też papierosów jako nie pijący i nie palący. Czyż jednak to byłoby przekonujące dla żołnierzy? Szczęśliwie do tego nie doszło, gdyż po przyjeździe do Trzebini, trzeba było przesiąść się na pociąg wojskowy, jadący wcześniej do Krakowa. Był to jednak bardzo niewygodny pociąg, załadowany kostką brukową i węglem w wagonach-lorach. Ani stać, ani siedzieć — istne katusze z utrzymywaniem takiej pozycji, by z usuwającym się węglem lub brukiem nie zlecieć. Jednak pociąg robił swoje, pogoda prześliczna — słończko dogrzewało i około godz. 1-szej po południu zajechaliśmy na granicę Dworca Zachodniego Krakowa.

Miałem zajść na adres Mieczysława Bobrowskiego, by otrzymać dalsze dane odnośnie posiedzenia CK. Była to duża odległość. Zmachany zaszedłem, niestety zastałem Bobrowskiego złożonego ciężką bo śmiertelną chorobą (nerki-pęcherz). Zasługi tego towarzysza były niespożyte w całym okresie okupacji. Jego mieszkanie było sztabskwaterą naszego ruchu w Zachodniej Małopolsce. Cudem było to, że Niemcy nie wpadli na jego trop. I oto kiedy odeszli, Bobrowski zapadł tak ciężko. Następnego dnia, tj. 17-ego, na ul. Wrzesińskiej odbyło się posiedzenie CK w zespole: ja, Marcin, Góralczyk, Stefan, Kurek, Bis, Józef. Najprzód poszły sprawozdania o sytuacji i o ujawnianiu. W wyniku dyskusji zgłoszoną przeze mnie rezolucję na Radę Naczelną, przekazano do ostatecznej redakcji mnie i Marciniowi. Omówiono również sprawę wysiedleńców i powracających do Warszawy. Opracowana przez nas rezolucja — na wstępie omawiała rolę armii sowieckiej oraz wysiłek Polski osamotnionej w swej walce i cierpieniu w czasie okupacji. Dalej następowała krytyczna ocena faktów dokonanych w Jałcie, dalej akceptacja pod przymusem warunków z protestem przeciwko jednostronności i tendencyjności wobec Polski. Wreszcie na zakończenie wykaz warunków, które są nieodzowne, jeżeli ujawniona PPS nie będzie miała niezależności w działaniu, a obywatele nie będą korzystać w pełni praw i wolności — zwłaszcza słowa i duku, zgromadzeń i związków. Nazajutrz, tj. 18 marca, o godz. 10-tej rozpoczęła swoje obrady Rada Naczelna, zdekompletowana przez areszty, rozstrzały i zgony członków, wybranych jeszcze w 1937 roku na

XXIV-tym Kongresie PPS w Radomiu. Przewodniczył Żuławski. Zagaił zebranie Rady wstępnym referatem tow. Marcin przestawiając rezolucję, o której wyżej była mowa. W dyskusji w zasadzie zgodzono się na jej brzmienie z małymi poprawkami. Najwięcej zastrzeżeń zgłaszał Żuławski, nie stawiając wniosków, ale domagał się przekazania tej rezolucji Komisji na prawach plenum Rady w składzie: on, Marcin i ja. W sprawie ujawnienia naszej organizacji przyjęto mój wniosek, który uzależniał ujawnianie się od każdorazowego zgłoszenia chęci ujawnienia CKW a zatem od jego każdorazowej decyzji. Wieczorem tego dnia Komisja odbyła swoje posiedzenie i ustaliła ostatecznie redakcję, niestety odartą z szeregu argumentów i zwrotów wyróżniających ją od podobnych rezolucji stronnictw kapitulujących. O ile, jak się później okazało, a co obecnie było widoczne, Żuławski szukał pokrycia dla swojej rezygnacji, o tyle my nie mieliśmy żadnego powodu mu w tym Zebraniu politycznym sekundować. Niestety, Marcin za wiele się ludził, sądząc, że w tym okresie, bardzo niepomysłnym dla PPS — a jego zdaniem w okresie przejściowym — uda się stan posiadania z trudem wywojować. Mój opór był daremny wobec Marcina i Żuławskiego. A jeżeli coś przeszło z moich sugestii to oczywista było to mało ważne z punktu widzenia całości. Nie tałem mojego pesymizmu zwłaszcza wobec wyraźnej dywersji Ludowców i kumających się z nimi Chadeków, słowem wobec frontu „Morges” — *redivivus*. Najbliższe wydarzenia potwierdziły słuszność po mojej stronie. Bolszewizm nie zna kompromisów, uznaje kapitulację na łaskę i niełaskę. I nie tylko nasza Partia i inne partie polskie, ale i narody i państwa grubo płacą i płacić będą za swoje złudzenia i wiarę w zobowiązania, choćby nawet pisemne, komunistów. Pewne względy natury organizacyjnej zatrzymały mnie do 22 marca w Krakowie. W tym okresie mieszkałem z Małym w willi Cyrankiewicza (wówczas jeszcze nieobecnego, a według Kuryłowicza tułającego się pod opieką Niemców...). 22-go wieczorem widziałem się z tow. Pajdakiem (pseudonim Antoni), który zakomunikował mi datę 25-go jako datę RJN w Warszawie. Na tym posiedzeniu miano omówić program i taktykę RJN wobec perspektywy jazdy na wspólną naradę z rządem w Londynie, względnie wobec narady w Kraju, na którą przybyliby członkowie rządu z Londynu. W jednym i drugim wypadku przedstawiciele wojska sowieckiego ofiarowali swoją techniczną pomoc (awiacja). Delegat, który już miał spotkanie z przedstawicielami wojska — zdecydował się z usługi skorzystać i nie tał swojego pełnego zaufania do powyższej akcji i naglił o pośpiech.

Ludowcy ze swej strony prą do dalszego usuwania, między innymi Raczkiewicza i zamierzają już teraz, w trakcie ewentualnych rozmów z Londynem, zażądać wprowadzenia Witosa na Prezydenta.

Powziąłem — pod wpływem relacji Pajdaka (który zaraz wyjechał), postanowienie nie śpieszyć się, choć bym się spóźnił nawet o dobę. W tym celu odbyłem rozmowę z tow. Marcinem, który poparł moje podejrzenia, zwłaszcza w odniesieniu do Rosjan, tak ostentacyjnie afiszujących się z Delegatem i zgodził się na mój wyjazd 24-go rankiem. Poparł również moją opinię, że zaczyna się ryzyko, w którym — ze względu na solidarność — należy wziąć udział.

Podeczas naszej rozmowy przybył członek Rady Naczelnej P. Krygier, spóźniony. Na pytanie, ile jest prawdy w tym, że uczestniczył w nowej Radzie Naczelnej nowej PPS — wyparł się tego, przytaczając jakąś bajeczkę. Rozumie się, że było to łgarstwo, a bytność jego w Krakowie była tylko wywiadem. Całe zachowanie się tego pana i pokrewnej duszy Kłuszyńskiej — potwierdziło jeszcze raz, do czego są zdolni ludzie ciągłej kariery i wygodnictwa życiowego. Oczywista że do każdego swego świństwa dorobią napuszoną argumentami, dorobioną ideologię. Takich jegomości spotkamy więcej.

Tego samego wieczoru Mały przyniósł wiadomość o wypowiedzi nowego

proroka reżymu p. Kołodziejskiego, b. radcy sanatorów, a obecnie radcy Lublina — zdaje się dygnitarza Łoży masonskiej. On to miał dowodzić, że po co WRN się pałęta, przecież ich społeczeństwo nie chce — niech uciekają, bo naród ma ich dosyć. Ten okrzyk był niewątpliwie też próbą, czy też namową do krycia się, by ułatwić Lublinowi represje wobec spisku.

26 marca 1947 roku.

Dnia 24 marca 1945 roku udałem się w godz. 6-tej rano, w towarzystwie Małego, na dworzec w Krakowie. Pociąg towarowy, przeważnie wagony odkryte, ruszył około 8.30 w kierunku Słomnik. Dojechał do Tunelu — po czym przeweksłował się w kierunku Ząbkowic. Zaznaczyć należy, że jadący na Kielce-Radom musieli obchodzić tunel (zawalony) przy czym z reguły byli zapędzani przez Moskali do jego uprzątania. W ogóle cała odbudowa tunelu cuchnęła aferą. Do Ząbkowic przybyłem o godz. 13.30. Dzień słoneczny i ciepły. Stacja zatłoczona — pełna żołnierzy moskiewskich, powracających na własne ryzyko, porywanych przez Szwabów na roboty, obławianych przeważnie „zdobyczą” i ogółem podróżujących, czekających całymi dniami na szansę dostania się do pociągu. Najszczęśliwi zajmują budynek stacyjny, w którym dosłownie każdy cm^2 jest zajęty. Bufet prawie nieczynny, jeżeli nie liczyć obscurnej lury zwaną kawą, za którą płaci się 5 zł (szklanka czarnej kawy *ersatz* nieocukrzanej). Sytuację ratują kobiety miejscowe, które częstują taką samą kawą, trochę słodkawą i zupą, zawierającą odrobinę kartofli, głąby kapusty i makaron: talerz głęboki — 15 i 20 zł. Pieczywo pojawia się bardzo skąpo i natychmiat rozrywają je zgłodniaли. Trzeba dodać, że w danym okresie całe Zagłębie łącznie ze Śląskiem (o czym piszę wyżej) zostało całkowicie obrabowane z wszelkiej żywności przez wojsko moskiewskie. Na stacji Z. ciągle waruję w oczekiwaniu na pociąg do Warszawy, zapowiadany jako pierwszy i bezpośredni z Katowic do Warszawy. Niestety są to zwyczajne, fałszywe alarmy. Zastaje nas noc księżycowa, lecz mroźna. Tak pod gołym niebem czekam. Monotonie przerywają dość częste alarmy, podnoszone z reguły przez kobiety, które węszą wszędzie ukrywających się Niemców. Robią więc rwetes i wyciągają milicjentów, którzy niechętnie interweniują — zawsze bez rezultatów i ku oburzeniu zhysteryzowanych bab. Nareszcie około godz. 3-ciej 25 marca nadjeżdża pociąg naładowany „po dziurki od nosa”, naturalnie z upiękuszonymi dachami tłumem pasażerów, to samo na pomostach wagonów. Po długich poszukiwaniach znajduję przytułek na pomoście. Sytuacja fatalna, bo niezależnie od naturalnego „podmuchu” spowodowanego pędem pociągu, dubluje ten podmuch przeciąg idący z wnętrza nie zamykającego się wagonu, w dodatku pozbawionego okien. Szczęściem to przedwiosnie, więc budzi się wczesny, słoneczny ranek i stopniowo robi się ciepłej. Przejeżdżam przez rozświetlony Piotrków. Zbiera ochota wpaść do swoich, ale interesa popędzają. Muszę być za dnia w Brwinowie, gdzie mam otrzymać od Dr. Pajdaka dalszy „porządek dzienny” na poniedziałek 26-go. A pociąg może zrobić zawód. Opóźnienie to wywrócenie „porządku dnia”, uprzednio ustalonego. Moje opóźnienie to woda na młyn zmywy Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy.

Więc na bok sentymety osobisto-rodzinne. Chwała Bogu pociąg mija „korek” w Koluszkach — i o godz. 14-tej staje w Milanówku, gdzie wysiadam, by piechotą ze względów ostrożności dojść do Brwinowa. Na kwaterze kładę się, by choć na minutę zdrzemnąć się. Rychło jednak budzi mnie umówiony Dr. P. Relacja jego. Posiedzenie RJN wyznaczone na 26-go. Pertrakcje z płk. Pimenowym trwają: łączność wzajemną utrzymują: strona Delegata — Stemler-Dębski, strona m. (!?) Chodkiewicz. Delegat chodził początkowo na konferencję zaopatrzoną listem żelaznym — dotrzymanym. Obecnie już tych

listów żelaznych nie używa. Wzajemna ufność! Ugruntowuje się bajeczka o pomocy dowództwa (marsz. Żukow) w wylocie delegacji polskiej do Londynu dla ostatecznego dogadania się z rządem Arciszewskiego. Teza, że jest to naturalny wynik umowy krymskiej panuje i zaprzęta wszystkich nie wyłączając oczywista Delegata. Naturalnie, że zmowa Ludowców — Partia Pracy traktuje swoją misję w Londynie, jako wybieg polityczny, żeby jak najprędzej i na oczach świata odciąć się od całej przeszłości i terażniejszości londyńskiej — w odwet za detronizację Mikołajczyka.

Że taki jest zamiar stwierdza to fakt — wysunięcia na naradę — kandydatury Witosa na stanowisko Prezydenta i to wtedy, gdy następcą Raczkiewicza jest Arciszewski. Ta kombinacja przy zestawieniu opisanej wyżej gry Ludowców w maju i czerwcu 1944 roku, a później w grudniu 1944 roku (projekt wyjazdu Witosa do Londynu) rzuca właśnie światło na intrygę. Kończymy rozmowę późnym wieczorem i umawiamy się, że 27-go rano wyjedziemy EKD na dalsze spotkania w Warszawie. W myśl relacji Dr. P. mam przed posiedzeniem RJN spotkać się z Delegatem.

Spotkałem się z nim, tak jak sobie życzył, w mieszkaniu Urbańskiego Franciszka w obecności p. Chacińskiego. Delegat robi wyrzuty, że jestem sam jeden, gdyż umówił się z Moskalami, że stawi się od każdej partii przynajmniej trzech, tym bardziej, że przed odlotem do Londynu odbędzie się jeszcze narada partii reprezentowanych w RJN, wraz z przedstawicielstwem Moskali w obsadach gen. płk. Iwanowa i marsz. Żukowa. Wobec tego, że z oświadczenia Delegata wynikała możliwość zmiany naszego odlotu na przylocie reprezentacji rządowo-emigracyjnej z Londynu do Warszawy, przeto i pośpiech i stawiennictwo zainteresowanych przedstawicieli partij *in corpore* — jest sprawą najpilniejszą. Na moje pytanie, czy i jak przewiduje się rozmowy z Moskalami i Lublinem, Delegat odpowiedział, że jego zdaniem ta sama delegacja startując do Londynu w wyniku takich, czy innych rezultatów rozmów londyńskich — wyjedzie do Moskwy. Na moje pytanie, czy w rozmowach z Moskalami Delegat na tę okoliczność zwrócił uwagę, padła odpowiedź, że i w tej materii Moskale obiecują pomoc. Wreszcie na moje wątpliwości, że Moskale nie wypuszczą swej inicjatywy i że tworzą fakty dokonane w postaci własnych rozstrzygnięć i Delegat i Chaciński potraktowali moje słowa jako nieuzasadnioną podejrzliwość. Zresztą ich rozmowy polityczne, które odbyli wszyscy, prócz PPS i Stronnictwa Demokratycznego z Pimenowym dowodzą pełnej szczerości strony rosyjskiej. Nie było czasu na dalszą wymianę zdań, gdyż godzina zebrania się Rady RJN już dawno minęła.

Zebranie RJN-Komisji Głównej: Przewodniczący — Seret, zastępca — Zwierzyński, — Oleśnicki, Str. Narodowe — aresztowany przez NKGB (Bezpieczeństwo rosyjskie i UB) — w jego zastępstwie Ozima (J), Bagiński - Biernacki (Str. Ludowe), Urbański - Rzewuski (Str. Pracy), Czarnkowski - Czernik (Str. Demokratyczne), — Delegat Jankowski - Klonowski, 1-szy zastępca Bień - - Walkowicz — 2 zastępca Pajdak - Traugutt czasowo nieobecny, 3-ci zastępca Jasiukowicz - Opolski.

W obradach uczestniczył: Dowódca AK Okulicki (Niedźwiadek). Protokół prowadził w zastępstwie aresztowanego przez NKGB i UB Biegi - Pisarskiego — urzędnik Delegatury Nil. Nadto biorą udział: łącznik Delegata ze stroną rosyjską Stemler - Dębski. Porządek dzienny obejmował następujące punkty: 1) odczytanie protokołu z powodu aresztowania Biegi — odcroczono, 2) Komunikaty Delegata, 3) Konferencja wspólna z przedstawicielami armii sowieckiej, 4) Wyjazd do Londynu, 5) Wolne wnioski.

Z komunikatów Delegata siłą rzeczy wypłynęło na czoło aresztowanie Zwierzyńskiego i Biegi. Z relacji Delegata, który w międzyczasie odbywał

konferencji z płk. Pimenowym i był z nim w stałej łączności przez Stemler-Chodkiewicza wynikało, że na zasadzie naszych danych i przebywaniu ich obu w obozie Rembertowskim (jeden z nich już zawagonowany — nr wagonu wiadomy — przeznaczony do wyjazdu do Rosji). Że zatem Pimenow miał w związku z tym interweniować i zapewnił Delegata, że np. Zwierzyński już dzisiaj ma przybyć na posiedzenie RJN. Następnie zawiadomił Radę, że we wtorek, tj. 27-go, o godz. 9-tej ma się spotkać z Pimenowym przedstawicielstwo tych partii, które jeszcze nie konferowały z Pimenowym, a więc PPS i Str. Dem., o 12-tej zaś ma się odbyć rozmowa Pimenowa z gen. Okulickim między innymi na temat współdziałania, w celu uspokojenia zaplecza Czerwonej Armii. Projektowane zebranie przedstawicieli partij, rządu i Komisji Głównej RJN na ten sam dzień zostanie przeniesione na 28-my na godz. 12-tą. Trzeba więc do tego czasu przygotować pisemne dane o każdej partii, oraz podzielić rolę sprawozdawczo-informacyjną na tej konferencji, według kompetencji: partie, RJN, wojsko i rząd. Osobno sprawa wyjazdu do Londynu. Przy wymianie zdań na te tematy wynikł humorystyczny szczegół. Oto Stemler oświadczył, że strona rosyjska przygotowuje monstre przyjęcie Konferencji i że zapytywano, jakim drukiem mają być uwidocznione zaproszenia dla członków (ich nazwiska na biletach oznaczających miejsce za stołem). Oczywiście, że najwięcej miejsca poświęcono w dyskusji aresztowanym i niewypuszczonym pomimo zapewnień Rosjan, dalej sprawie wyjazdu do Londynu. W tej kwestii Bagiński, jak zwykle wystąpił z propozycją włączenia w skład delegacji do Londynu przedstawicieli RPPS. Poza mętnym poparciem Urbańskiego i moim oświadczeniem, zastrzegającym się przed wprowadzeniem do naszych postanowień elementu takiego jak RPPS (należących do Lublina) nie podejmowano w tej materii dalszej wymiany — i na tym ten incydent się skończył. W wolnych wnioskach gen. Okulicki przedstawił zastraszający proces prześladowań i aresztów i wykańczania przez czynniki NKWD legalizujących się członków AK.

Potrzebna jest ich obrona i pomoc materialna dla nich i ich rodzin. Jego zapowiedź, że postanowił asygnować na ten cel odpowiednią kwotę przyjęto do wiadomości, a zarazem postanowiono interweniować. Wreszcie w związku z wtorkową konferencją zgodzono się odbyć 27-go około godz. 16-tej jeszcze jedno posiedzenie RJN, celem ostatecznego ustalenia taktyki w związku z materiałem sprawozdawczym, uzyskanym na konferencji wtorkowej. Przed zamknięciem zebrania Rady Bagiński odczytał karteczkę, którą miał otrzymać drogą poufną. Treść jej była ostrzeżeniem przed udawaniem się na konferencję ze stroną rosyjską. Wywód: prawie pewne aresztowanie. Wiadomość tę potraktowaliśmy, jako zupełnie widoczną próbę storpedowania konferencji. Albowiem, gdybyśmy nie wzięli udziału w tej konferencji — to sądząc po dalszych perypetiach — Moskale mogliby z całą stanowczością twierdzić, że podziemie polskie unika spotkań, gdyż ma na swoim sumieniu wszystkie akty antyradzieckie i oczywiście dąży do wojny z ZSRR. Dodatkowo zaś podziemie uchyla się od rozmów ze stroną rosyjską i to na wezwanie dowództwa wojskowego Sowietów, w którego zasięgu działa strona polska, tym samym uchyla się od rozmów (konsultacji jałtańskiej) z Anglią, Ameryką i ZSRR, które to państwa mają dostęp tylko za pośrednictwem strony rosyjskiej, działającej wojskowo i cywilnie na ziemiach polskich. Nie da się zaprzeczyć, że większość z Delegatem i rządem nie przypuszczała, że jednak autor karteczki się nie mylił. Jednak niezależnie od przypuszczeń racja stanu wymagała bez względu na to co wyniknie, stawiennictwa naszych osób...

Zamknąłem posiedzenie z tym, że 27-go zejdziemy się o godz. 16-tej...

O godz. 17-tej tegoż dnia udałem się na punkt spotkaniowy (Nowogrodzka),

na którym miałem pomówić z Dr. Pajdakiem i jednocześnie przygotować memoriał o PPS dla Sowietów. Wyglądało to wyraźnie na kpinę, czy szykanę. Ale cóż, trzeba było zachować przyzwoitość i ciągnąć „bombę”. Z Dr. Pajdakiem omówiliśmy nasze spotkanie, jako przedstawiciele PPS z Pimenowym, oraz nasze spotkanie przed biurem Pimenowa (Pruszków, ul. Pęcńska 3).

Nazajutrz, tj. 27-go, na podwodzie zdążającej do Szczęśliwic dojechałem do stacji EKD. Dodam, że po drodze kupiłem 4 kajzerki, szczęśliwy nabytek, który mi ułatwił pierwsze dni przystosowania się do późniejszego menu moskiewskiego. Na przystanku spotkaliśmy się we trójkę: ja, Delegat i Dr. Pajdak. W tramwaju widzieliśmy Czarnowskiego z plecakiem. (On również zdążył na konferencję z ramienia Str. Demokratycznego). Do Pruszkowa przybyliśmy mniej więcej około godz. 8.30 rano i powędrowaliśmy na Pęcńską 3. (Czarnowski gdzieś znikł). Po zameldowaniu u szyldwachów zaproszono nas do Pimenowa, który z wyszukaną grzecznością nas przyjął, wyrażając radość, że widzi mnie. „Pana Prezydenta” (?!!) i że oczekuje dalszych rozmów już z gen. płk. Iwanowym, do którego podążymy, a tam dalej możliwe, że i do marsz. Żukowa. Na razie rozpoczynamy rozmowę, jako PPS przy p. Delegacie na tematy naszego ruchu, no i naturalnie na pytanie naszego ujawnienia się. To ujawnienie się jest potrzebne dla pacyfikacji w związku z dywersją na tyłach Armii Czerwonej. Ciekawe, że o tym zagadnięciu mówił bardzo ostrożnie i bez wielkiego akcentu. Gdy w rozmowie zwrócił uwagę na szczegóły, o których nic nie wiedzieliśmy — Pimenow dość flegmatycznie zaznaczył — *da! imiejutsia pikirowanija i daże naloty na goroda*. Ale ani jednego faktu, czy nazwy. Natomiast ciągle powracał do tematu partyjnego — jak sobie wyobrażamy istnienie partii z Lublina — no i tej w podziemiu i jak sobie przedstawiamy naszą propagandę. Wyjaśniłem (przeważnie mówiłem po rosyjsku), że PPS jest przyzwyczajone do dywersji wewnętrznych i rozłamów inscenizowanych przez różne agentury i ostatnio przed wojną mieliśmy dywersję Kominternu, Sanacji. Przecież istniały jakieś PPS-lewicy czy Frakcje, no i PPS-CKW (!). Słowem damy sobie radę. Odnosnie propagandy, to istotnie do niej przywiązujemy największą wagę, by nie tylko przyczynić się do pacyfikacji, o ile istnieją powody, ale też wyjaśnić nasze pozycje. Zwracam przy tym uwagę, że obecnie nie mamy żadnych warunków działania i wydawnictw, tak po stronie Lublina, jak i na stronie Armii Czerwonej. To są warunki ujawniania się. Pimenow od razu wpadł mi „w słowo” proponując wszelką pomoc ze strony wojska. Na to zareagowałem w ten sposób, że nawiązując do tematu likwidacji dywersji zapytałem, czy nie byłoby właściwiej zacząć od ogłoszenia jakiegoś aktu amnestyjnego, zwłaszcza w obliczu masowych represji i aresztów działaczy politycznych. To byłby bodaj rozstrzygający czynnik pacyfikacji. Pimenow zaskoczony tym — odroczył w ogóle rozmowy na ten temat do konferencji jutrzejszej, tj. 28-go. A teraz podziękował Dr. Pajdakowi i zaprosił Czarnowskiego, który wyjaśnił stanowisko Stronnictwa Demokratycznego wobec postawionego zagadnienia ujawnienia się i propagandy podkreślając konieczność zastosowania całkowitej swobody akcji partyjnej.

Od tego postulatu uważa za niemożliwe odstąpić. Na tym konferencja z Str. Dem. się zakończyła. Chwilę zostaliśmy sami, tj. Delegat Pimonow i ja oraz Chodkiewicz, który wkrótce zaanonsował obiad.

31 grudnia 1946.

1 stycznia 1947.

W tym momencie zjawił się gen. Okulicki przeprasząc za spóźnienie, które wynikało wskutek wcześniejszego odejścia EKD. Okulicki wszczął starania o jakąś komunikację z Pruszkowem i w konsekwencji udało mu się wynająć rower, zostawiając palto i trochę gotówki. Po tych wyjaśnieniach przeniesiono

się do sąsiedniego pokoju już zastawionego do obiadu. Za stołem zasiadli — Delegat, ja i Okulicki, a ze strony Rosjan — płk Pimenow i jego współpracownicy — przeważnie niższe szarże oficerskie z Chodkiewiczem na czele, ciągle odzianym na cywila. Była wódka, wino, zakąski i normalny obiad: zupa z pierożkami, mięso, jakieś słodczy i owoce. Obiad przeciągnął się poza godzinę 14-tą. W trakcie obiadu postanowiłem wyjaśnić sobie sytuację naszej nietykalności. W tym celu zapytałem o klozet, który miał być na I-szym piętrze. Charakterystyczne było to, że wyprowadził mnie jako „cicerone” tenże Chodkiewicz, który czekał na mnie przy drzwiach klozetu i towarzyszył, aż do pokoju stołowego. To mnie uderzyło bardzo niemiło i w związku z tym zacząłem uważnie przyglądać (się) twarzom naszych rozmówców. Właściwie tematy rozmowy, ściśle towarzyskie, nie nastęrczały okazji do rewelacji, jednak przy ustawicznym śledzeniu ruchów i mimiki można było dojrzeć ślady bardzo skrytego komunikowania się panów oficerów między sobą i z Pimenowem i coraz częstszego wydalania się pojedynczo, no i rychłego powracania z dobrze skrytym manewrem sprawozdawczym. Jednak mimo to — biorąc pod uwagę praktyczne zetknięcia delegata i przedstawicieli niektórych partii z Pimenowem — jeszcze nie zupełnie wierzyłem w pułapkę. Wreszcie skończono ceremoniał jedzenia i na oświadczenie Pimenowa, że nadszedł czas jechać do gen. płk. Iwanowa — wyszliśmy wśród pożegnań na dziedziniec, gdzie czekały nas zdaje się dwa samochody. Do pierwszego samochodu wsiedliśmy z Delegatem i dwoma oficerami, do drugiego gen. Okulicki z resztą oficerów — bez Pimenowa. Zasiadliśmy tak, że oficerowie siedzieli rzędem z nami, tak jak z „rabinami”, tj. uciskując nasze boki i ubezwładniając ramiona nasze swymi tyłkami. I to też odniosłem do moich wątpliwości. Samochody pomknęły przez Pruszków i Piastów — w stronę Włoch, gdzie przed jakimś większym domem, bodaj 2-piętrowym, zatrzymały się. Do domu wprowadzono nas obu bez Okulickiego. Weszliśmy z Chodkiewiczem dwaj na piętro I-sze do jakiegoś gabinetu, w którym za biurkiem siedział generał w czapce na głowie. Przywitał się z nami podając rękę. Zapytał krótko Chodkiewicza — *poczemu tak pozdno*. Na to Chodkiewicz — *obiedali i oziдали telefona. Dolżen ostawatsia?* — *Niet możetie iti!* — Wyszedł, a generał zadał pytanie dość dziwne — *imiejetie orużije?* — To już coś znaczyło. Oświadczyliśmy z uśmiechem — *zaczem nam orużije w gostiach*. — Nie stropił się, a wrażeń zapytania zrównoważył portcigarem. Ja nie pałacy — Delegat wziął papierosa. Dłuższe milczenie. Potem dzwonek telefoniczny i głos generała: *Jest!* Z tym *jest* spotkałem się odtąd stale — jest to rodzaj żargonu NKWD, czy też NKGB odpowiadający samej sentencji zlecenia podczas krępującej obecności osób trzecich.

Po tym *jest* generał podniósł się i zaproponował nam wyjazd do Iwanowa. Wyszliśmy do naszego auta wraz z Delegatem — nie widząc wcale Okulickiego. To wszystko było coraz bardziej zastanawiające. Jechaliśmy w stronę Warszawy — przez Gorce od szosy Wolskiej, wśród strasznych spustoszeń tej dzielnicy — dalej Chłodną obok ruin kościoła św. Boromeusza, dalej przez Plac Żel. Bramy, Plac Teatralny do Krakowskiego Przedmieścia — do Karowej przez most wysoko-wodny na Pragę ul. Środkową (do NKGB) — do dużego budynku, widać świeżo wykończonego. Obaj z Delegatem — bez Okulickiego — weszliśmy na I-sze piętro. Tutaj nas rozdzielono, odprawiając Delegata do jednego z tamtejszych pokoi. Mnie kazali iść na II-gie piętro i tam do pokoju biurowego, w którym oprócz dużego stołu i biurka oraz tapczanu pod ścianą znajdowało się kilku urzędników rosyjskich na cywila i w mundurach sowieckich, wśród nich jeden Rosjanin w mundurze polskim o dystynkcjach kapitańskich; proponowano bym usiadł, mniej więcej w sąsiedztwie tapczanu, na krześle. Urzędowanie polegało na tym, że jedni ciągle wychodzili i wracali. Jeden, jak się

później okazało, czytał książkę księdza Trzeciaka o Żydach, nie tyle czytał, co dukał z rosyjska. Zaczęło się długie oczekiwanie. Zmierchało się, czyli, że mój udział w zebraniu RJN o godz. 16-tej stał się bezprzedmiotowy. Pozostawało dobić się kategorycznie dowodu odnośnie pytania — czy zostałem aresztowany. W tym celu zwróciłem się o wskazanie mi ustępu. Po porozumieniu się obecnych oczyma — bodaj kapitan rozejrzawszy się po przedpokoju i podeście — sprawdził mnie do ubicacji, w której stanął tuż za mną. A zatem aresztowanie było faktem. Jednocześnie z tą świadomością stanęła przed oczyma sama ubicacja, przedstawiająca się jako nieprawdopodobna kloaka. A więc sedes był z czubem zafajdany, stanowiąc jakiś potworny stożek spływającego po bokach łajna. Wanna zaś była po brzegi wypełniona również cuchnącym łajnem.

Powróciliśmy do biura i dalej płynął czas oczekiwania. Było coś około 7-mej (zegarek miałem na rękę) kiedy jeden z moich opiekunów zapytał mnie o nazwisko, *otczestwo*, przynależność partyjną, zapisując odpowiedzi na kartce. Gdy zapytał o rok urodzenia, zapytałem go wręcz — do czego to jest potrzebne. Mam się widzieć z gen. płk. Iwanowem więc nie widzę powodu dla tego rodzaju pytań o generalia, które świadczą o protokole dochodzeniowym. Zdaje się, że w tym charakterze nie jestem. Na tym incydent się wyczerpał. Po powrocie widocznie rozesłanych oficerów „na biuro” — zaczęło się zaczepianie mnie na temat książki Trzeciaka, no i stopniowo jeden z nich tak od niechcenia zaznaczył, że dobrze się stało, że jesteśmy tutaj, bo teraz na pewno się „dogadamy” z Iwanowem. Gdy się zapytałem o czym — odpowiedział — „*Wy uże eto znajetie*”. — Padały nadto zdania usiłujące mnie wciągnąć do dyskusji na temat faszyzmu naturalnie z aluzjami, odnośnie nieprawomyślności mojej — ale to się da *blagopoluczno* również wyjaśnić. Nie podtrzymywałem tych głądzin i rozmowa się urwała, zresztą dzięki temu, że zacząłem na krześle drzeć.

Grubo po 10-tej wieczorem zrobił się rumor w przedpokoju i do kancelarii wtargnęło kilku wyższych oficerów z Iwanowem na czele. Przedstawił się — prosząc o wybaczenie, tak się niestety wszystko złożyło, że nie mogła dojść nasza rozmowa do skutku. Pora jest również późna i jutro sprawę na pewno załatwimy. Mogłem wprawdzie zapytać, co to za sprawa, dlaczego jestem sam, gdzie Delegat i Okulicki itd. — dałem jednak temu spokój słysząc łgarstwa Iwanowa i patrząc na jego fizjognomię — istną maskę błagiera. Więc udałem naiwniaka i nic nie mówiłem. Dla złagodzenia tego interwału zaczął przymilnym głosem rozpytywać o Partię i o mój w nim udział. Odpowiedziałem, czy ze względu na późną porę i na jego ograniczony czas nie byłoby lepiej odłożyć tego tematu do jutrzejszej konferencji stronnictw i z nim i w ogóle z przedstawicielstwem wojska. Oczywiście, więc do miłego zobaczenia — i wyszedł, żegnając się uściskiem ręki. Po jego odejściu rychło podano jedzenie: porcyjka zimnych nóg wieprzowych, kilka plasterków kielbasy i trzy kawałeczki bułki, a na zakończenie coś, co imitowało herbatę, a co przedstawiało ciepłą wodę z sokiem — woda z osadem ziemi. Po zjedzeniu tej kolacyjki, ściągnięto z tapczanu kapitana, który już chrapał, i zaproszono mnie do zajęcia po nim miejsca. Nie było to przyjemne legowisko, zważywszy ogromne brudy, jednak przemęczenie wzięło górę, więc ległem w ubraniu i przespałem kilka godzin. Z rana przyniesiono miednicę z wodą do mycia, bezpośrednio po tym, tzn. około 10-tej, śniadanie, składające się z jakiejś siekaniny (bardzo słonej, czy też kwaśnej), trzech kromeczek bułki, dwóch plastrów kielbasy i szklanki podobnej jak wieczorem lurki kwaskowo-słodkiej. Około w pół do 11-tej rozwarły się nagle drzwi i do pokoju wkroczyła cała gromada epoletowych oficerów wyższych stopni, a na ich czele Iwanow na cywila w cyklistówce. Przywitawszy się z uśmiechem, zaznaczył, że niestety projektowana na dziś, tj. środę, konferencja z naszym udziałem nie odbędzie się, gdyż jesteśmy we trójkę, tj. ja, Delegat i Okulicki, zaproszeni do Moskwy, gdzie

z kim należy odbędziemy rozmowy. Sprawa więc naszego wyjazdu jest sprawą bardzo pilną i nagłą, dla szybkiej realizacji mamy do dyspozycji samolot, który już jest na lotnisku i na razie sygnalizowaną pogodę.

Jest przecież wiosna i pogoda była kapryśna i nasz odlot może się spotkać z niespodziankami. Dlatego pośpiech jest wskazany. Na takie *dictum* zaznaczyłem: 1) nasza konferencja z Iwanowem miała na celu jedynie szybkie skomunikowanie się z Londynem, 2) Intermezzo z samolotem jest prawdziwą niespodzianką. Nie jesteśmy do niej przygotowani w sensie po prostu podróży. Zresztą co sądzić o okolicznościach bardzo dziwnych, które nam towarzyszą, choćby od wczoraj (z całą świadomością udawałem ciągle niezorientowanego) i jak ustosunkować się do konferencji dzisiejszej bez naszego udziału. 3) W tym stanie rzeczy nie mogę powziąć żadnej decyzji odnośnie odlotu, chyba, że ułatwią mi widzenie się z Delegatem, o którego losie od wczoraj nic nie wiem. P. Iwanow różną rolę ugrzeczniwego szantażysty, twierdząc, że wszystko jest w porządku. Jedziemy do Moskwy, a wszystkie szczegóły podróżowania będą załatwione ku naszemu zadowoleniu. Nasi członkowie zaproszeni dziś na konferencję będą mile widziani i zaraz za nami przylecą do Moskwy. Nie rozumie doprawdy mojego uporu i konieczności rozmowy z Delegatem, ale jeśli na to bardzo nastaje, to Delegata zaraz zaproszą. Istotnie wkrótce przyszedł Delegat. Nie wchodząc w szczegóły posiadanych przeze mnie informacji (z Delegatem nie zdążyłem ustalić, czy Iwanow w ogóle z nim te szczegóły omawiał), po krótkiej wymianie zdań na boku złożyliśmy oświadczenie: „Dotychczasowe kontakty i rozmowy zmierzały głównie do ustalenia koniecznej dla nas i dla samej sprawy łączności i porozumienia bezpośredniego z Londynem. Wszak on i inni zapewniali, że są gotowi okazać nam maksimum współdziałania. Obecna propozycja wywraca wszystko do góry nogami i stwarza sytuację przymusową. Oczywiście, że odmawiamy naszego wyjazdu, niespokojni dodatkowo o Okulickiego i resztę członków konferencji”.

Na to Iwanow wybuchnął oburzeniem, że płacimy nową nieufnością za szczerość zamiarów. Że nasi koledzy przybędą natychmiast za nami do Moskwy, a tam jest pewny, że dobijemy układu ku naszemu całkowitemu zadowoleniu.

Rzeczywiście nastąpiło tak, jak Iwanow mówił. Zaproszonych na środę w liczbie 13-tu przyjęto bardzo gościnnie w Pruszkowie, lokując po kilku w pokojach już z akcesoriami izolacji na zewnątrz i na wewnątrz. Tak przekawęczyli dzień i noc, a rano 29-go wylecieli do Moskwy. Przed Moskwą pogoda się popsowała, samolot zaczął wirować, a lotnisko moskiewskie nie reagowało. W tym stanie rzeczy zwrócono się w stronę Iwanowo-Wozniesieńska (jakieś 300 km na południowy wschód) i tam na lotnisku wylądowano. Wreszcie skomunikowano się z władzami i po spożyciu kolacji w jakimś zakładzie udano się na pociąg, który ich zawiózł do Moskwy — w piątek, tj. 30 marca, zdaje się w południe. A ze stacji odwiezieni zostali na Łubiankę, do więzienia — na „konsultację jałtańską”. Od naszego więc wyjazdu wszystko zależy, więc on prosi — śpieszyć się, bo na lotnisku czekają i ciągle naglą. Wtedy, by już tę przykrą scenę zakończyć, zaznaczyliśmy, że nie zmieniamy naszej opinii o wyjeździe i oświadczamy, że „*wy nas zastawiajete jechat*”, a zatem nasza zgoda, czy niezgoda wobec tego faktu nie ma żadnego znaczenia. Iwanow tragicznym gestem rozwartych ramion reagował na to oświadczenie i dał znak do wyjścia. We dwójkę w jednym samochodzie ciągle bez gen. Okulickiego ruszyliśmy w asyście jeszcze dwóch aut na lotnisko, około godz. 12-tej. Na lotnisku czekała nas grupa oficerów z generałem z Włoch na czele i doprowadziła nas do samolotu typu Douglas. Jednocześnie podprowadzono także gen. Okulickiego. Weszliśmy do samolotu urządzonego do transportu, a więc bez kabiny pasażerskiej, przedzielonego ścianą od aparatury.

Mieliśmy do dyspozycji ławki biegnące wzdłuż dwóch ścian, na których ułożono derki a nawet zdaje się jedną poduszkę. Na samym środku w suficie był duży okrągły otwór, pod którym były ustawione schodki z platformką, jako stojak dla strzelca z karabinu maszynowego (dużego kalibru) ustawionego pionowo w otworze. Na schodkach niewiasta z personelu obsługi ułożyła kilka książeczek, wśród nich Szczedrina (czytałem z przyjemnością w ciągu całej podróży) np. opowiadanie o biurokracie, którego głowa była umeblowana jak pozytywka, ze znakomitym credo „nie pozwolę”, „oćwiczę”, albo o konstytucji, której jeden z paragrafów naczelnych postanawiał: że pierożki z mięsem można wypiekać nie tylko w święta, czy w niedzielę, a też w dniu powszednie.

Rozsiadliśmy się na tych ławkach z naszymi konwojentami: Delegat nawet się położył na zmianę z gen. Okulickim. Rozmawiać, na co kładł nacisk jak na przynętę Iwanow, było niemożliwe — wobec szalonego warkotu motoru, który obsługiwali na zmianę mężczyzna i dość młoda kobieta. Z urywanych słów wykrzykiwanych w ucho ustalono takie fakty podczas naszej gościnu u Iwanowa. Delegata bardzo dokładnie obrewidowano. Okulickiego nie zdążono zrewidować, gdyż zagroził głodówką, którą kontynuował po cofnięciu rewizji pod hasłem dlaczego tu siedzę jako aresztant. Na skutek głodówki nie jadł kolacji i śniadania. Toteż wniesiono za nim do samolotu sporą paczkę kanapek. O naszych losach nie mówiliśmy wiele, gdyż było to raczej zgadywanie. Najwięcej iluzji miał Okulicki, więcej rezerwy zachował Delegat. Obaj razem nie podzielali swojego (?) pesymizmu, że odbędzie się zdaje sprawa procesowa. Samolot warczał tak strasznie, że straciłem prawie całkowicie słuch, a w związku z tym i głos. Więc o rozmowach jak się okazuje nie mogło być mowy i Iwanow mógł być spokojny co do naszych rozmów w samolocie. Lecieliśmy do granicy Bugu na pułapie z którego mogliśmy obejrzeć tzw. krajobraz. Za Bugiem wlecieliśmy ponad mgły i chmury i w dalszym ciągu przelatywaliśmy kolejno przez deszcz ze śniegiem i krupami, oraz przez deszcz. Płynęliśmy na 1.200 m około 240 km na godzinę. W samolocie odczuwaliśmy coraz większy głód. Dopiero gdzieś między Smoleńskiem a Wiaźmą, znaleśliśmy się na pułapie widoczności. Krajobraz — płaszczyna i dość niskie lasy. Wreszcie około godz. 5-tej zbliżyliśmy się do Moskwy i wylądowaliśmy.

Wyszliśmy z samolotu na dość błotniste lotnisko. Ogarnęło nas przejmujące zimno. Był 28 marzec — 1.155 wiorst na północo-wschód od Warszawy. Rychło jednak zawrócono nas ku naszemu zadowoleniu do samolotu, gdzie było jednak dużo ciepłej. Po jakiejś pół godzinie zbliżyło się auto — przez Okulickiego upragniona limuzyna — gorzej gdyby zajechał autokar czarny (więzienny) — z szoferem i jakimś cywilem (gęba policyjska) w dżokejce. Usiedliśmy trzej razem, na tylnym siedzeniu: dwóch aniołów stróżów tj. oficerów naszego konwoju. Reszta jechała, zdaje się oddzielnym autem za nami. Nurtowała nas myśl — dokąd jedziemy. Okulicki ciągle fantazjował na temat kremlowski. Znałem Moskwę, którą opuściłem we wrześniu 1918 roku. Więc rozłąka bardzo duża. Zmiany, które powstały, przeszkadzały w orientacji wskutek szybkiej jazdy samochodu. Dopiero gdzieś w okolicy „Nikitskich worot” rozpoznałem teren, tak że gdy znaleźliśmy się na „Srastnoj Ploszczadi” — zorientowałem się gdzie jesteście pomimo, że usunięcie cerkwi i dużego monasteru charakter placu bardzo zmieniło. Teraz już wiedziałem, że rychło pojedziemy Twerską (dzisiaj Gorkiego) w kierunku Placu Teatralnego, a stąd na prawo — Kreml, a na lewo słynna, Łubianka. Zwrot na lewo zakończył niepewność. Jechaliśmy więc na tzw. konsultację Rooseveltowską-Churchillowo-Stalinowską, ale w wydaniu faktycznego autora układu jałtańskiego i jego wykonawców. Krótko, węzłowato — zajechaliliśmy na jakieś podwórko i stąd przez korytarz, każdy z nas oddzielnie

został wprowadzony do drewnianego boksu. Wnętrze mogło mieć $1,50 \times 1,20$ m — wysokość 2 m, bez sufitu. Umeblowanie pod ścianą na wprost drzwi z „judaszem” (w Rosji ongiś miał nazwę wołczok, a dzisiaj „wolnościowo” *glazok*) na całą szerokość boksu ławka, a przed nią skrzynka postawiona pionowo. Rychło po zainstalowaniu się — byłem tylko w palcie prawie bez rzeczy — nie licząc teczki, w której miałem zmianę bielizny, przybory do golenia, ręcznik, mydło.

Jednocześnie zaczęły się tzw. formalności aresztanckie. Najprzód zdaje się dwóch urzędników administracji więziennej (oczywista wszystko w mundurach NKGB (*Narodnyj Komisariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*) z epoletami spisało moje generalia. Potem zjawił się doktor (podpułkownik również w mundurze), który mnie oglądał od stóp do głów. Następnie przeprowadzono mnie do trochę obszerniejszego boksu, gdzie dokonano drobiazgowej rewizji. Odebrano wszystkie pieniądze wraz z 250 dolarami, zegarek, następnie sznurowadła, pasek — szelek nie miałem — szalik, marynarkę, a pas od spodni rozpruto. Niestety znalaziono w rogu poły surduta sztyfcik ołówkowy, który zawsze miałem przy sobie „zameldowany” wśród strzępów watoliny. Na tym zakończono akt przyjęcia, z którego nie wiadomo dlaczego opuszczono urzędową kąpiel i fotografię.

Z tego miejsca wpakowano mnie do windy i podniesiono na czwarte piętro. Tu stanąłem przed drzwiami opancerzonymi z małym okienkiem zakratowanym i z wartownikiem. On zatrzymał nasz kortex, manewrując światłem lampki elektrycznej. Po czym drzwi otworzył i znaleźliśmy się w oddziale 4-go piętra więzienia NKGB. Pomieszczenie to przeistoczone z dwóch kondygnacji miało wewnętrzne pięterko, na dole coś w rodzaju hallu piętrowego, na dole i na górze biegły otwory celkowe wzdłuż ścian tworząc literę T, również i na pięterku. Do cel górnych wchodziło się po schodach wewnętrznych, a do bocznych cel galeryjką. Należy zaznaczyć, że cała góra oddzielona od dołu siatką drucianą, żeby przeszkodzić samobójstwom. W tym oddziale na dole — wprowadzono mnie do celi nr 83. Gdy wszedłem spotkałem siedzącego właśnie na łóżku, jak się później okazało, Borysa Nikołajewicza Muratowa, siedzącego już 8-my miesiąc. Z jego opowiadania wynikało, że jest oskarżony o sprzyjanie tendencjom rasistowskim. Denuncjatorem był jego jakiś kolega biurowy. Przed aresztowaniem pełnił służbę w jakimś komisariacie. Przyjrzałem się celi. Była kwadratowa, ale niesymetryczna: pamiętać należy, że zarówno cele, jako też nasz oddział wraz z całym gmachem stanowiły budynek dawnego Towarzystwa Transportowego „Jakor” dostosowany do potrzeb osławionej kiedyś Czerezwyczajki, później GPU, później NKWD, a obecnie NKGB. W tej małej celce było jedno okno na wysokości człowieka, zakratowane, a ramy okienne były zamykane na zamek i otwierane specjalnie przez dozorcę więziennego. Nadto każde okno było zasłonięte od wewnątrz koszem sięgającym niemal do całej formacji okiennej. Stąd półmrok w celi. W chwili gdy zjawiłem się w celi — a był już wieczór — okno było zasłonięte czarnym papierem tzn. *maskirowką* (czas wojenny). Zanim zasięgnąłem niezbędnych informacji więziennych — dostarczono mi łóżko, materac, poduszkę, koc i prześcieradło, oraz kawałek mydła tzw. toaletowego. Łóżko żelazne — typu polowego szerokości półmetrowej, materac tejsze szerokości i długości łóżka — wypchany pakułami bawełny przefastrygowanej, wskutek czego nie można było w żaden sposób jakoś przyzwoiciej ułożyć wnętrze, a to z kolei narażało na leżenie jak na kracie. Nasze łóżka stanęły pod kątem pod dwoma ścianami. Prześcieradło bardzo wąskie i dereczka cieniuteńka, oraz poduszczyk nabita lichem pierzem, wypełniały legowisko. Został środek niezapełniony, w którym umieszczono rodzaj szafki bardzo wąskiej i długiej, niespełna metra mającej a w niej dwie półki, na których można było

umieścić żywność i garderobę, którą wpuszczano do celi. Mój kolega był zasobny w odzież i trochę w jedzenie, tytoń, zapalki — buty z cholewami i pantofle. Dla mnie półka była prawie niepotrzebna. Żywność dodatkową można było według prawideł urzędowych, nabywać w więziennym sklepiku w granicach 70 rubli — w tym czasie sklepik był zamknięty, a to ze względu na rosnące ceny — lub otrzymywać z zewnątrz.

Byłem setnie głodny — byłem jedynie po śniadaniu warszawskim. Musiałem więc w oznaczonej porze o 10-tej wieczorem (znak światłem) położyć się. Według regulaminu więzień winien tak przykrywać się, ażeby ręce stale miał na wierzchu. Jeżeli zajął inną postawę wówczas dozorca wchodził do celi i przywracał pozę urzędową śpiącego więźnia. Spałem dość krótko, gdyż obudziło mnie otwieranie drzwi i głos dozorca „*was na dopros*” — skierowany do mojego współtowarzysza. Wzywano go, jak się okazało, po dłuższej przerwie na badanie. Po odejściu rozbudzony, czas dłuższy nie mogłem zasnąć. Ledwie zdrzemnąłem znów drzwi się otworzyły i znów tym razem do mnie skierowano wezwanie — „*was na dopros*”. Wstałem i w parę minut ubrany wyszedłem z celi w towarzystwie dozorca i konwojenta. Wyszliśmy szybko z oddziału i po przejściu jednej kondygnacji schodów weszliśmy na jakiś korytarz — jak się później okazało — korytarz oddziału administracyjnego więzienia. Wprowadzono mnie do małego gabinetu, gdzie za biurkiem siedział umundurowany jegomość w randze kapitana. Spisał ze mnie generalia, po czym odprowadzono mnie do celi, gdzie już zastałem mojego współtowarzysza. Wreszcie usnąłem obudzony znów otwieraniem drzwi. Wszedł dozorca, by podnieść *maskirowki* i otworzyć lufcik. Jednocześnie podał szczotkę do zamiatania. Zaczynał się normalny dzień więzienny. Mój współtowarzysz zaczął zamiatać podłogę (betonową, gdzieś-gdzie pokryta farbą) ja zaś przecierałem ją sukniem. Zebrane na deseczkę śmieci wrzuciliśmy do ohydnie cuchnącej *paraszy* — *parasza* zamknięta wiekiem blaszanym mieściła się w kącie przy drzwiach, a w drugim kącie u dołu ściany wisiała siatka osłaniająca kaloryfer. Znów otwarto drzwi i podano chleb — dwie porcje czarnego chleba nie wiem jakiej wagi, o skromnej wielkości wyglądzie — miara dwie zapalki wzdłuż i wszerz i jednej zapalki grubości. Następnie podano dwie kostki cukru dla każdego do herbaty (co dwa dni przynoszono taką porcję): Następnie wypuszczano nas do *ubornej*. W przeciągu niespełna 10 minut, ciągle przynaglenni sygnałem żarówki, musieliśmy oczyścić *paraszę* i umyć się i złożyć daninę przyrodzie. W *ubornej* było 3 sedesy. Rezerwuary dla sflukiwania klozetu były zamaskowane preforsztowaniem. Na bocznych ścianach były przytwierdzone do muru krany ze sztyftami oszczędzającymi zużycie wody, a pod nimi rodzaj rynny do spływu wody, podłoga terrakotowa. Po przyjściu podano wodę gorącą, tzw. czaj, który wiano do czajnika, stanowiącego mebel celi razem z kubkiem emaliowanym dla każdego więźnia. To był jedyny przedmiot kulinarnego użytku. Naczynia bowiem do obiadu i kolacji przynoszono wraz ze strawą, a po spożyciu zabierano do umycia do kuchni więziennej. Jednym słowem aresztant oczyścił jedynie celę, korytarze oddziału i *uborną* czyściły funkcjonariuszki straży więziennej (NKGB) rozumie się posiadające rangę starszych, młodszych sierżantów. To samo z kucharzami, z roznosicielami jedzenia, z fryzjerem, nie mówiąc już o sanitariuszach: felczerzy i felczerki (*mładszj lejtnant medycynskiej służby*, podporucznik) — w tym dziale służba była przeważnie płci żeńskiej. Jak wspomniałem tzw. herbatę pije się z rana a później około godz. 5-tej, prawie przed kolacją, delektując się przez dwa dni dwoma kostkami cukru kamiennego. Herbatę zagryzłem bułeczką warszawską a chleb schowałem na później. Z cukrem zaś postąpiłem bardzo oszczędnie — czyli oszczędzałem — zyskując lepiej niż w PKO, bo w końcu mojego gościnnego pobytu w ZSRR zaoszczędziłem około

50 kostek, pomijając co najmniej 40 kostek rozdanych współtowarzyszom celi z którymi siedziałem.

Jeszcze przed obiadem wywołano nas na spacer. Wprowadzono do windy wewnętrznie podzielonej drzwiami na 2 komórki. W jednej aresztanci, w drugiej konwojenci. Po przyjeździe na najwyższą kondygnację (10 pięter), wyprowadzono nas na taras dachu podzielonego na 2 pola spacerowe: jedno większe (długość 32 płytek trotuarowych — szerokość 16 m). Wspomniane pole przytykało z jednej strony do ściany szczytowej jakiegoś budynku, a z drugiej strony do takiejże ściany o wiele niższej, tworzącej w pewnym miejscu ścianę kominową (wysokich kominów obsługujących łaźnię, pralnię, kuchnię i centralne ogrzewanie). Ściana ta była wiecznym zniczem, który wysyłając słup dymu i kopcium przesyconego popiołem z palenisk, znakomicie odświeżał i dezynfekował powietrze i oddech spacerujących. Trzecia ściana była ogrodzona parkanem obitym grubą blachą koloru hitlerowskiego na wysokości kilku metrów a czwarta ściana nieco niższa, tak samo wyposażona w blachę, stanowiła rozgraniczenie z drugim podwórkiem do spaceru. Było to podwórko prawie o połowę mniejsze od pierwszego. Wchodziło się i na jedno i na drugie podwórko przez wspólną dyżurkę konwojentów, zakończoną u góry balkonikiem dla szyldwachy. Na jednej ze ścian budynku wisiał zegar (elektryczny) nieczynny, wskazujący stale godzinę za 10 minut drugą. Spacer trwał według regulaminu 20 minut łącznie z przyjściem i odejściem. Spaceruje się — jeżeli dwóch — gęsiego: dopuszczalne są zmiany kierunku spaceru — zawsze w krąg. Po powrocie do celi mógł towarzysz wziąć się do czytania. (Miał pięć książek dostarczonych z biblioteki więziennej). Książki zmienia co 10 dni, na żądanie nawet częściej, bibliotekarka naturalnie nie uwzględnia zainteresowania czytelnika. W celkowej porcji książek w sumie 5-6 mieszczą się: jedna dzicinna, jedna klasyka literatury rosyjskiej, jedna z literatury cudzoziemskiej i reszta współcześni pisarze sowieccy. Książki są cenzurowane wewnątrz w ten sposób, że wycina się niewygodne miejsca. W ten sposób wypożyczanie książek ma zapobiec korespondencji między więźniami.

Jak zaznaczyłem — czytania nie mogłem podjąć dlatego, że nie miałem okularów, które mi zabrano podczas rewizji. Zwrot należy do decyzji *sledowatiela*. W ogóle *sledowatiel* jest panem więźnia. Od niego zależy, w której celi ma siedzieć, czy ma otrzymać książki, *pieriedacze* żywnościowe. Za poradą mojego współtowarzysza zwróciłem się niezwłocznie do dyżurnego dozorca (*młodszy lejtnant*) o bieliznę kazonną, którą odtąd stale nosiłem, nie mając zmiany własnej, ani też możliwości jej przeprania. Tego samego ranka doznałem opieki *sledowatiela* (którego jeszcze na oczy nie widziałem), bo oto dostarczono mi 10 sztuk paierosów „Kazbek”. Ten sort miał być jednym z lepszych, jak zaopiniował mój towarzysz, któremu moją porcję, jako niepalący, wręczyłem.

Naturalnie zapalek nie dano. W zasadzie ogień rozdają od czasu do czasu dozorca. W ten sposób panuje się nad nałogiem aresztanta „ugniatając” jego psychikę. Obiad podano około godz. 12.30. W menażce z białej blachy, mieszczącej w sobie 3/4 litra podano *szczy* (*miasnoj sup*), trochę skrawków siekanej grubo kapusty, ze dwa plasterki parówki no i dużo solonej wody. Taki był obiad. Od godz. 2-giej do 4.30 następowało tzw. *miortwoje wremia*. Wówczas można się położyć do łóżka. O godz. 5-tej podawano *czaj*, a w pół godziny potem *kaszica* (na rzadko jęczmienna kasza). Na tym koniec potraw, które zmieniały się: zamiast zupy mięsnej, *sup rybnyj* (sporo ości i czasem ochłap mięsa ryby) a co do krup to chińskie jagły, też rozwodnione. Potem ubornaja. Tak dociągnąłem do sygnału spać.

Przed północą obudził mnie dozorca na *dopros*. Prowadzono mnie dłuższą drogą. Najprzód przez dyżurkę między więzieniem a budynkiem NKGB

— potem do windy, windą na 7-me piętro do gabinetu *sledowatiela*, oznaczonego nr 780. Podczas całego przejścia trzeba było złączone ręce trzymać z tyłu. (Trzeba zaznaczyć, że klatki schodowe są wszędzie ogrodzone siatką żelazną okna u *sledowatiela* (szyby) były poprzecinane drutami, żeby przeskodzić wyskakiwaniu!!!). Rękę trzymał konwojent, który ciągle baczył, by kogoś niepożądanego nie spotkać. Używał specjalnej sygnalizacji np. klaskając językiem lub też strzelając palcami. Z takimi ostrożnościami odtąd i mnie i innych prowadzono. W razie niebezpieczeństwa usuwano mnie do specjalnych kabin (w rodzaju telefonicznych), które w sporej ilości stały na korytarzach i w ich załamaniach. Wprowadzono mnie więc do gabinetu 780. Był to długi o jednym oknie pokój umeblowany w następujący sposób: W rogu stało biurko, przy nim frontem do pokoju siedział mój *sledowatiel* major Gałkin, starszy *sledowatiel po osobowaznym dielam*, lat około 35-ciu, dość wysoki, szczupły, pociągly na twarzy, czupryna (szatyn) zaczesana do góry. Na jakiś metr od biurka stał niski fotel z oparciem dla rąk — kryty ceratą. Pod jedną ścianą kanapa z dużym oparciem (czarna cerata) przy drugiej ścianie coś w rodzaju skrzynki ogniotrwałej, dalej szafa meblowa a w końcu pokoju przy ścianie stoliczek i krzesła drewniane a za nimi przy drzwiach pancerna szafa na akta.

Gałkin wskazał mi kanapę bym usiadł i rozpoczął od spisywania generaliów. Ciągłe przerywał pytania zapisując zwolna i zapalając po prostu zapalniczką papierosa. Jednocześnie odbierał telefony używając swoistego żargonu NKGB. Wreszcie usłyszałem uroczyste — *sluszajus' — jest', jest'!* — po czym poprawił mundur i włosy i kazał mi iść ze sobą. Zeszliśmy zdaje się do 2-go piętra, a może nawet 1-go i weszliśmy do apartamentu kilkugabinetowego, w którym przegrywał radio. Zatrzymał mnie w jednym pokoju, zapelnionym przez oficerów NKGB. Po chwili Gałkin powrócił i zaprowadził mnie do obszernego gabinetu, w którym ujrzałem grupę umundurowanych i grubo ozłoconych na ramionach dygnitarzy sowieckich. Zrozumiałem od razu, że jestem świadkiem reżyserii. Otóż pod ścianą na wprost wejścia stało ogromne biurko a za nim siedział opasły brunet lat około 50-ciu generał zast. komisarza NKGB, Kabułow — coś z Gruzina czy Ormianina, a nawet sądząc po gestykulacjach Żyda. Po jego prawej ręce siedział w tym samym mniej więcej wieku z dystynkcjami generała zast. Kom. Spraw Wewn. Krugłow, do biurka było dokombinowane swoją długością prostopadłe drugie biurko, przy którym siedzieli inni dygnitarze — więc *uprawlajuszczij sledstwiennoj czastju* gen. Włodzimierski — wysoki blondyn powyżej 40 lat, prokurator gen. Afanasjew średniego wzrostu szatyn w okularach. Twarz pociągła, chorobliwa cera, dalej dostawiony do biurka w tej samej linii stół, a na jego końcu stolik i krzeselko — a przy nim moja osoba. Z boku i z tyłu za mną kilku *sledowatieliej*. W tej odległości rozpoczęła się indagacja.

Zagał ją prezydujący Kabułow słowami: „*Wy czestnyj czelowiek, i dlatego prosimy was o współdziałanie — dawajcie porabotajem w miestie. Widitie, matuszka Rassiejja swoją ręką czasem trzepie, często gładzi. U nas z obozu lub więzienia można popasać w komisarzy. Zatrzymał się. Wtrąciłem zdaje mi się, że taka propozycja jest nie na miejscu, rozmawiamy w kryminalu, po cóż ta szutka. Przerwał. — To wasze szczęście, że tu jesteście, byłoby z wami bardzo źle, gdyby was później ujęto. Przerwałem mu. Izwinitie, przecież ja przyszedłem na zaproszenie — dobrowolnie do Pimenowa i Iwanowa. — My takich nie znamy, powiada. Jakie z wami rozmowy mogło prowadzić dowództwo Czerwonej Armii? Jedyne, co zechciało uczynić, to właśnie was aresztować. — Widzę, że jest to nowa forma postępowania u nas w Polsce panów oficerów. — Znów podjął rozmowę na temat mojego *curriculum vitae*. Gdy usłyszał o mojej przeszłości więziennej w Szliselburgu wdał się w pytanie między innymi z kim siedziałem.*

Wymieniłem Ordżonikidze, Lichtenstadt, Imchanickij (? prokurator sowiecki na Ukrainie). Zaczęły się drobiazgowo pytania na temat Ordżonikidze i stosunków ówczesnych. Dobrnąwszy do końca mojego życiorysu znów zaczął głądzić o jakiejś współpracy i wreszcie skończył, widząc, że na to nie reaguję. Kazał mnie odprowadzić. Wtedy zwróciłem się o oddanie mi moich okularów — na to zareagował *Otdat' oczki*, tak samo upomniałem się o moje pieniądze — *Otdat' dieńgi — do swidanja. Wsiewo charoszawo!* Oczywiście, że pieniądze aż do mojego uwolnienia na moje konto i rozporządzalność nie wniesiono. Odprowadzono mnie do celi. Tak skończyła się pierwsza indagacja, która była wstępem do długich, męczących indagacji prowadzonych przez Gałkina. Zasługują one na uwagę, gdyż prowadzą do wniosku o systemie śledczym Sowietów w sprawach politycznych.

Oczywista, że nie są czymś nowym, zwłaszcza przy porównaniu ze śledztwem prowadzonym w krajach dyktatury — obojętnie: faszystowskiej czy komunistycznej. Śledztwo w ZSRR ma jeszcze tę oryginalność, że oskarżony nie otrzymuje oskarżenia sformułowanego z przytoczeniem wszelkich danych (dane rzeczowe, świadkowie itp.) natomiast oskarżony winien sam naprowadzić fakty ze swej działalności, codziennego życia, na podstawie których *sledowatiel* buduje oskarżenie. Tego rodzaju indagacja jest powtarzana w tym przeświadczeniu, że indagowany zapłacze się w szczegółach. Gdy na moją prośbę otrzymania wyjaśnień odnośnie formuły mojego oskarżenia stanowiącego dwie fazy — zatrzymanie i areszt, która brzmiała, że *prowadziłem dywersyjną (podrywnuju) robotę w zapleczu Oswobodzicielskiej Armii Czerwonej*, Gałkin oświadczył — wy lepiej znacie szczegóły i dlatego mówcie o sobie jak najwięcej. Spytałem a więc mam sam siebie oskarżać? — Tak jest! Gorzej będzie, gdy my was zmusimy do tego. — Wtedy chwytając go za słowo spytałem: jak pan sobie wyobraża to zmuszenie? Jestem starym wróblem, który niejedno widział i przeżywał i rozumiem, że grozisz mi Pan *pytką!* Z miejsca z oburzeniem podskoczył do mnie usiadłszy prawie bok w bok — i rzekł — O nie! my was przekonamy dowodami rzeczowymi, świadkami i naocznymi „*stawkami*”. — A może mi Pan wyjaśni, co to znaczyła oferta zast. komisarza, żeby *porabotal wmiestie s nami?* Czy mam rozumieć, że mam być *oswiedomitiel* — współpracownikiem NKGB. — *Ad niet — pomilujtie* — nam idzie o współpracę z pacyfikacji stosunków w Polsce. — Rozumiem wasze zamiary śledcze, przypominają mi one śledztwo z czasów Iwana Groźnego i Opryczników czy czasów późniejszych Tajnej Kancelarii Słowo i Dzieło — od Piotra — aż do Katarzyny. Tam również uwięziony musiał wśród tortur sam siebie oskarżać. — Skręcił się (dosłownie) w sobie, co wyraziło się na jego obliczu i zaczął kłąć. Gdy skończył, rzekłem: — Widzi Pan jestem zdaje się od Pana starszy wiekiem, więc przyjm Pan następującą naukę: Człowiek krzyczący nigdy nie ma racji. A następnie stwierdza pan swoim postępowaniem jak powierzchowna jest *komunisticzeskaja obrabotka*, jeżeli Pan nadal używa „*krepkich słów*”. — Tak oto na wstępie wyjaśniło się dokładnie o co chodzi. Więc nie tylko szczegóły organizacji podziemnej, która z góry była na indeksie ZSRR jako nie spod ich stempla, ale przede wszystkim o przyznanie się do wyssanych z palca NKGB pogaduszek, odżegnywanie się od Londynu, przeklinanie go, względnie dostarczanie na ten temat wiadomości i wreszcie żałowanie i kajanie się. Wszystko gwoli pokłonów na rzecz oswobodzicielskiej Armii Czerwonej i negligowania faktu zaboru połowy Polski. Charakterystyczne, że tak jak kiedyś *Priwislinje* oznaczało Królestwo Polskie byle wykreślić nawet słowo Polska (jak to przypomina zarządzenie Hitlera o Generalnej Guberni), tak w czasie śledztwa usiłowali nakłonić by w protokołach śledztwa wyrażać się o województwach wschodnich, Zachodnia Białoruś i Zachodnia Ukraina. Albo też o Armii Czerwonej — oswobodzicielska — a niech Bóg broni by nazwać jej działanie

okupacją. Słowo okupacja rosyjska kwalifikowało się jako zdradę stanu. Rozumie się, że ze mnie nie miano pociechy, zwłaszcza gdy pytano o szczegóły Delegatury, Rady Jedności Narodowej, Armii Krajowej i Partii. Otóż w tych sprawach wytknąłem sobie następujące granice:

[*W tym miejscu autor zostawił pół strony zeszytu niezapisanej, zapewne w zamiarze podania w przyszłości tu właśnie odpowiednio sformułowanych zasad którymi się kierował*].

Skutek takiej taktyki wywołał następującą reakcję: 1) wezwano mnie na badanie ponownie do Zast. Kom. NKGB, który *sowieścił* mnie trochę ojcowsko i zgola policyjnie — że się prowadzę nie *charaszo*. Następnie *sowieścił* mnie prowadzący *śledstwiennuju czast' NKGB* gen. Włodzimierski. Gdy to nie dało ich zdaniem pożądanego efektu — Włodzimierski próbował jeszcze raz przedstawić *eto ponimajetie daże sowsiem niesolidno!* — No i w ślad za tym poszły następujące chwytły. A więc dzień w dzień badanie dwukrotne! Z rana od godziny 10-tej lub 10.30 do 5-tej czasem 4.30 po południu. Wieczorem od godz. 9.30 lub 10-tej do godz. 4.30, nieraz 5.30 rano. Nie darowano mi nawet niedzieli. Zapyta ktoś jaki olbrzymi materiał śledczo-protokularny p. Gałkin zdobywał na mnie. W rzeczywistości badanie trwające od 4 do 5 godzin zawierało po moim przyjsciu do jego gabinetu introdukcję: „*Nie razdumali?*” — odpowiadałem stereotypowo: — „*To co wiedziałem to powiedziałem*”. — „*Znaczit' nie chotitie goworit'!*” — „*Niet nie mogu*” — Zapadało milczenie kilkogodzinne, podczas którego Gałkin coś pisał, coś kreślił, naprawiał zapalniczkę i skręcał w papierze machorkę, płując przy tym siarczyście na podłogę, celując do kosza na papiery. W ogóle muszę zaznaczyć, że ci upagonowani poźłocisto dygnitarze lubili *plewat' na pol*. Od czasu do czasu przerywał słowami — „*Nu Kazimir Wojciechowicz — rozdumali?*” — odpowiadałem wyżej przytoczoną formułkę. Czuć było jego wściekłość, a ja również czułem to nieludzkie tracenie czasu i świadome dręczenie człowieka wtedy gdy powinien, u diabła, spać. Pamiętam to dobrze w okresie mojej konspiracji rewolucyjnej, jak walczyłem osobiście przeciwko nocnym badaniom śledztwa carskiego. Pamiętam, że to było głównym motywem wystąpień zagranicą przeciwko bestialstwu takiego śledztwa. Na sobie doświadczyłem słuszności powiedzenia — murzyńska etyka. Tylko jej obrońcami są dzisiaj intelektualiści i publicyści a nawet uczeni usługujący — tak jak kiedyś za czasów Fryderyka czy Katarzyny *ad usum delptini*. Ważne są osiągnięcia takiej metody. Więc cała noc nie przespana. Bo nawet półgodzinne (o 6-tej rano zaczynał się dzień więzienny) położenie się do łóżka nie miało żadnego znaczenia.

Po załatwieniu wszystkich oficjalnych czynności związanych ze sprzątaniami, czynnościami fizjologicznymi i jedzeniem (czyli ta woda i czarny kawałek chleba na śniadanie przy wściekłym głodzie całej nocy) wprost nie możliwe było oprzeć się konieczności snu. Sprzyjał temu brak mebla do siadania. Siłą faktu łóżko stanowiło legowisko i krzesło: usiadłszy zapadało się niezwłocznie w drzemkę. Nadzorujący dozorca był właśnie od tego, że w momencie tym wpaść do celi i budził, i tak stale, aż zrezygnowany więzień musiał wstać z łóżka. To polowanie dawało satysfakcję i śledztwu i dozorczy była to igraszka w jego diabelnie nudnym wystawianiu na stojaku na korytarzu. Zresztą w moim położeniu tę zabawę przerywało wezwanie na badanie. Siedząc na badaniu traciłem tym samym obiad, który spożywałem na zimno po powrocie. Oczywiście, że w ten sposób dopędzałem *czaj i użyn (kaszię)*. Ale i tutaj była atrakcja dla dozorczy: tak jakoś wypadało, że w tym momencie jedzenia po raz pierwszy od godz. 8.30 rano — wywoływano do *ubornej* lub na spacer, do łaźni, do felczera itp. Wreszcie wieczór i znowu badanie do rana i tak *da capo*. Po tym nieodłączny sakramentcki głód. Głód i bezsenność — te argumenty śledztwa: dodam jeszcze — zimno.

W marcu, kwietniu a nawet w maju — przy tzw. centralnym ogrzewaniu („oziębieniu”) — marzło się. Miałem wprawdzie jesionkę, ale jej nie pozwalano wkładać na siebie w celi. Tym samym marzło się na badaniach. W normalnych czasach carskiego więziennictwa istniały regulaminy niezależne od Ochrony. W obecnych warunkach obowiązującego regulaminu tzw. *Prawila wnutrienniewo rosporiadka zakluczonych sodierzaszczichsia w tiurmach NKGB* wyliczały co wolno a czego nie wolno uwięzionemu. Mój Boże! Z jaką pasją komuniści i różni intelektualiści w Polsce i na świecie piętnowali polski regulamin więzienny. Próbowaliby regulaminu NKGB. W ogóle samo więzienie człowieka w sprawach politycznych jest barbarzyństwem — będącym hańbą XX-go wieku. Bo jakże to uważać, że więzień NKGB nie może do nikogo pisać, ani też nie może otrzymywać pism i depesz. Albo, że nie ma prawa do komuny więziennej czy też do *wypiski*, do głodówki i do przestukiwania się. Nie ma prawa do materiałów pisemnych. Ani do tworzenia komuny więziennej, czy starostwa celi. W ogóle nie ma patronatu. Moskale mieli ten przywilej, że mogli otrzymywać „*Pieredacze*” za zezwoleniem *sledowatiela*.

My, z Polski, byliśmy tego pozbawieni, a jednocześnie pozbawiono mnie i nas wszystkich prawa do własnych pieniędzy i kupowania żywności. Zacząłem od tego, że powoływałem się na zezwolenie Komisarza z dnia 28 marca. Nic to nie pomagało. I w ogóle aż do zwolnienia nie zezwolono na korzystanie z pieniędzy „lubelek”. Nawiasowo dodam, że pieniądze lubelskie drukowane w Moskwie nie miały żadnej wartości wymiennej. Nigdzie, nawet w Banku Państwa nie wymieniano zł. Małe kwoty np. dla mnie 1000 zł zmieniano w poselstwie. Więc na gruncie zwiększenia produktów żywnościowych byłem pobity na głowę.

Sprzeciwiałem się pozbawieniu mnie snu. Oświadczyłem, że nie będę zeznawać, gdyż jestem śpiący i pozbawiony ciepłego obiadu. Gałkin wyraził zdziwienie co do obiadu (myślał, że przychodzę po obiedzie), a co do spania to czasami pozwalał na wstawanie o godz. 9-tej rano (3 godziny dodatkowe). Była to fikcja choćby z uwagi na mojego towarzysza, który musiał wstawać normalnie, a gdy zostałem sam, to przecież musiałem w kolejności klozetu skorzystać ze sposobności, a nadto ciągle otwierano drzwi, żeby podać wodę, cukier, lekarstwa itp. Istotnie mało zmieniało się na moją korzyść, chyba, że spóźniony obiad, tj. rozwodniony kapuśniak i wodę z jednym kartoflem, podawano przygrzany, a więc był gęściejszy. Bo nadal nie uwzględniano w indagacjach pory obiadowej i ciągle stosowano metodę trzymania całymi godzinami w gabinecie *sledowatiela*.

Tak trwało od 28 marca — do 7 czerwca — kiedy oznajmił mi prokurator zakończenie śledztwa. Według moich obliczeń w tym okresie czasu wezwano mnie około 140 razy na badanie. Pominąwszy badanie iście mimiczne, badania esencjonalne stanowiły bardzo skromną rubrykę w dochodzeniach. Badania można by podzielić na takie działy, względnie etapy: Najprzód szło badanie dotyczące organizacji partyjnej jako ogniwa konspiracji. Tutaj przestrzegano rzekome fazy wyzwolenia Polski przez Armię Czerwoną spod *germańskich zachwateczykow*, a więc okres od połowy stycznia 1945 roku. Jednakowoż Gałkina „Niechąco” ponosiła ciekawość tak że musiałem ciągle zwracać uwagę na niestosowność badania PPS w okresie okupacji niemieckiej. Wtedy wycofywał się twierdząc, że to jest nieporozumienie. Ale to nie przeszkadzało temu, że bezczelnie, nieraz bardzo obcesowo, nalegał by wskazać nazwiska działaczy PPS-owego podziemia, podać strukturę organizacji i łączności, technikę (drukarnie) odbiorniki i nadajniki radiowe, finanse, lokale, szyfr itp. Powoływał się przy tym na innych, np. Ludowców, że ci udzielili na ten temat informacji. Danych na te tematy nie użyczałem — bodaj dlatego — że nie dotyczyły według założeń śledztwa okresu „wyzwolenia”, a następnie poza ogólną charakterystyką

działalności partyjnej w całym okresie (np. stwierdzenie czym był WRN a czym tzw. RPPS) co było konieczne wobec bezsensownych pytań i twierdzeń Gałkina, zaczerpniętych z Lublina — oparłem się dawaniu nazwisk, adresów itp. — opierając moją negację sloganem: Nie mogę, gdyż to oznacza areszt każdego wskazanego z nazwiska czy adresu. Wywoływało to zgorzienie ze strony Gałkina, takie same ze strony Kabułowa i Włodzimierskiego, którzy wołali „*pomilujcie wied' eto nie wozmožno arestowat' tysiaczi ludiej*”, nie mówiąc już o tym, że to było poczytywane mi za szczyt nieufności, obraźliwej, jak mówił Gałkin, wobec towarzyszy komisarzy. Wtedy wskazywałem na swój los jako dowód, a nawet wręcz mówiłem, „czuję to, że nasi ludzie są masowo prześladowani, bo sam się przekonałem co wasi wyprawiali w pierwszych dniach przyjscia Armii Czerwonej na nasze ziemie”.

Moja sytuacja była bardzo kłopotliwa, rozstałem się z moimi, współtowarzyszami w dniu 18 marca 1945 roku (Rada Naczelna, na której zapadły decydujące uchwały między innymi o naszym ujawnianiu się). Pamiętać należy, że oskarżenie moje i PPS wprawdzie *nie wyraźnie* ale zmierzało do wyszukania za wszelką cenę współpracy z Niemcami w momencie ich kraksy w 1945 roku. Wyraźnie zaś starało się stwierdzić zbrodniczą tajemniczość w naszym trwaniu w konspiracji. Tymczasem prawda przeze mnie ustalona wyglądała tak: w całym okresie wojny PPS walczyła z okupacją niemiecką nawet wtedy gdy sowieci byli z nimi w przyjaznej neutralności usług, paliwa i żywności, niemal w ciągu dwóch lat — a o naszym stosunku pozytywnym odnośnie słynnej krymskiej deklaracji, będącym następstwem Teheranu — świadczyło posiedzenie CKW z 14 lutego 1945 roku a następnie Rada Naczelna z 18 marca tegoż roku. To musiało być poparte nieodpartymi dowodami prawdy sprawdzalnej. O ile więc odnośnie działalności PPS przed wojną i w okresie do 1945 roku mogłem odmówić nazwisk, czy adresów, o tyle w tym zagadnieniu „ujawniania się” stanowiącego właściwe rusztowanie sowieckiego oskarżenia o aprioryczną wrogość do Sowietów, a tym samym o sympatię do odchodzących Niemców, musiałem oświetlić uchwały CKW i Rady Naczelnej. Przecież musiałem pamiętać, że organizacja już się ujawniła (w wyniku uchwały Rady Naczelnej), a zatem moja negacja dawałaby podstawę do ścigania każdego PPS-owca, który by musiał dowodzić, że on „*nie wierblud*” pomijając już to, że w więzieniu narażeni byliby na torturę i wszelkiego rodzaju wyrafinowany przymus. Tylko w tym jednym wypadku musiałem podać dane osobowe. Poza swoim nazwiskiem i tytułem urzędowego działacza wymieniałem Arciszewskiego, jako przewodniczącego i Zarembę, jako zastępcę, oraz Żuławskiego, jako przewodniczącego Rady Naczelnej z dn. 18 marca 1945 r. Nie było to łatwe i to przejście kosztowało mnie wiele. Przywołałem z mojej pamięci cały szereg zarządzeń Partii na krótko przed wojną, w czasie okupacji, i oświadczyłem: Ostatnia Rada Naczelna z 18 czerwca 1939 r. w przewidywaniu wojny przekazała pełnię swej władzy statutowej CKW, który w momencie wybuchu wojny i wobec faktu wyjazdu niektórych swych członków przekazała swe pełnomocnictwo Prezydium, które stanowili wówczas tow.tow. Arciszewski — przewodniczący, Kwapiński — zastępca, Pużak — sekretarz generalny i skarbnik, Zaremba i Niedziałkowski — członkowie. Kwapiński wyjechał z terenu (był prezydentem Łodzi) zarazem z rozpoczęciem działań wojennych, Niedziałkowski zaś w przededniu Świąt Bożego Narodzenia 1939 roku został wezwany do Gestapo, skąd nie wrócił i później, zdaje się 21 czerwca 1940 roku, został rozstrzelany przez Niemców — zostaliśmy we trzech. W ciągu okupacji Prezydium urzędowało, jako CKW, przybierając do pomocy w swych czynnościach poszczególnych działaczy organizacji konspiracyjnej. Zatem na posiedzeniach, zwłaszcza 14 lutego 1945 roku, byliśmy z Zarembą + zaproszeni działacze i razem z nimi zdecydowaliśmy wyjść z podziemia. Tę naszą decyzję

postanowiliśmy poddać pod aprobatę Rady Naczelnej, która miała się zebrać w Krakowie i zebrała się 19 marca 1945 roku. W ten sposób pomimo krzywienia się Gałkina i Włodzimierskiego mogłem ograniczyć się na nas dwóch. Gdy doszło do Rady mogłem z góry przypuszczać, że NKGB ma w swoim archiwum dane drukowane o składzie zarówno CKW, jak i Rady Naczelnej. A zatem należało się zastosować do tej ewentualności. Można było odmówić w razie przedstawienia np. *Robotnika* ze sprawozdaniem z XXIV-go Kongresu w Radomiu, zawierającym dane z nowego składu Ciał Kierowniczych Partii — jakichkolwiek wyjaśnień. Przy moich usiłowaniach nieobciążania akcji ujawniającej PPS, takie stanowisko było niemożliwe. I dlatego, gdy przedstawiono mi spis wydrukowanych nazwisk składu Rady Naczelnej, musiałem dać świadectwo prawdzie i podałem jedynie charakter czynności polityczno-społecznej danego członka — no i adres (z góry nieścisty). To był przymus wobec tezy o Radzie Naczelnej, która musiała przecież obradować w jakimś składzie. Według moich obliczeń, a był to rok 1945 — wobec roku 1937, a w dodatku nie miałem żadnego czarnego na białym spisu, a musiałem podać cyfrę obecnych. Określiłem ją cyfrą 27, tak mi z pamięci wydawało się, biorąc pod uwagę członków rozstrzelanych, wychodzących w więzieniach i w więzieniach przebywających, zmarłych, na wychodźstwie i żyjących na terenie Polski. Z 82 członków Rady Naczelnej — a o to głównie NKGB zabiegał — pozostało do ujawnienia 27 biorących udział w Radzie. A tego nie chciałem uczynić i nie uczyniłem, powołując się na swoją obawę o ich aresztowanie. Kto więc był istotnie na Radzie Naczelnej — mogli się tylko domyśleć, ale żadnemu nie mogli zaszkodzić. Diabli ich brali, że przyznając się do techniki zwołania Rady — poza moją osobą, Zaremby i Żuławskiego — nie wymieniłem nikogo — odsyłając ich do domysłów, a nadto przyznając się do Krakowa nie podałem adresu obrad, znów z powodu obaw o nietykalność osób. Złościli się, ale nie mogli uznać, że w naszym stosunku do sytuacji wytworzonej przez przyjsie Sowietów — Partia uczyniła wszystko, żeby się ujawnić.

Następnie usiłowano wydobyć zeznanie o stosunkach, różnicach etc. z RPPS. Oświadczyłem, że nie rozumiałem powodów zainteresowań nami w czasie okupacji i w czasie przyjsia Czerwonej Armii do Polski — a jeszcze bardziej nie rozumiem, *poczemu „suniecie wasz nos w naszi wnutriennije odnoszenija. Wied' Polska poka jest' niezawisimaja — tak prowozgłaszajetie w mirie”*. Zatem odmówiłem moich wyjaśnień. Później, tj. w połowie maja 1945 roku, gdy na tego rodzaju indagacje odpowiadałem podobnie jak wyżej wówczas gen. Włodzimierski oświadczył z patosem „a co nam do tego, *eto wasze wnutrienneje dielo*”. Pokwitowałem to oświadczenie słowami: „jakoś sobie poradzimy, PPS nigdy nie prowadziła i nie prowadzi dyskusji ideologicznych z pomocą rewolwerów, więzień i obozów. Te metody niegodne socjalistów zwalczaliśmy i będziemy zwalzczać”.

Tak skończyły się badania odnośnie PPS. Z kolei przyszły badania na temat Delegatury, Rady Jedności. Śledztwo wydedukowało stosownie do szablonu demokracji sowieckiej, że Rada Jedności Narodowej i jej przewodniczący (nie wiem dłaczego okreśłany jako Prezydent tejsze Rady) jest właściwie odpowiedzialnym przedstawicielem Rady Państwa, oraz Delegatury jako rządu. Pokręciło im się w łepetynach wskutek machlojki z Lublinem, prezydentem Bierutem, rządem Osóbki i Krajową Radą. Te potworki ustrojowe nie mają nic wspólnego z zachwalaną Konstytucją 1921 roku — nawet nie są jej karykaturą tylko zwyczajną formą, w której rej wodzi ustrój sowiecki. A więc po dłuższych indagacjach musieli się wycofać ze swojej tezy o mojej omnipotencji i z bólem serca przystosować się do naszej konstytucji podziemia, której obce były sugestie fałszywych bogów demokratyczno-patriotycznych, faszystowskich i komunistycznych. Cóż więc pozostało? Pozostała moja osoba, która według określenia

prokuratora Rudienki (później występował w Norymberdze) miała jednak wpływ na wszystko. By nie być gołosłownym, powoływał się na współtowarzysza z ławy oskarżenia Franciszka Urbańskiego. Z jego zeznań wynikało: byłem reakcjonistą, faszystą, wrogiem ZSRR, PPR również, podżegaczem propagandy antamowieckiej i antywojskowej w Armii Czerwonej. Niestety dla nich Urbański złamany, rozumujący kategorią ucieczki od kary przed niezależnym werdyktem ludzi, listem do prokuratora zdemaskował swoje zeznania — prośbą-propozycją, żeby jego nazwiska na procesie nie ujawniać. To musiało osłabić atak prokuratury na mnie, natomiast rzuciło na naszą ławę światło krytyczne — pomniejszające naszą rolę Polaków, porwanych przecież z Polski (za zgodą, a kto wie czy nie na wniosek tzw. Rządu Lubelsko-Warszawskiego) i stawianych przed sądem obcym — niewłaściwym, bo narzuconym brutalnie sądem wojskowym.

W ciągu inkwizycji śledczej żądano ode mnie danych personalnych, adresowych, terenowych, technicznych, wojskowych itp., o Delegaturze, AK i Londynie. Tutaj, podobnie jak w rozmowach o PPS, ograniczyłem się jedynie do tych faktów, które nikogo nie obciążały, a odnośnie oskarżenia o robocie dywersyjnej dawały dowody bezpodstawności, że wskażę na całą frazeologię oskarżenia o prasie podziemnej, radiu, delegaturze, AK, akcjach zbrojnych i odwetowych, które były prowadzone poza wiedzą i fizyczną łącznością z Komendą AK. Cały ten bagaż wkładano na moje barki. Cóż więc, dawałem. Dawałem siebie, Delegata z którym byłem aresztowany (zastępców z Prezydium, plus Czarnowski — resztę danych o Radzie, osób, zamilczałem) — zastępców mimo pasji i scen karczemnych Gałkina wyparłem się jako moich znajomych, odmówiłem nazwisk dyrektorów departamentów i ich liczby. Przyznałem się do „Niedźwiadka” — ale Okulickiego nie znałem. To szczególnie wściekło moich badaczy. Jak to, lecieliśmy razem i ja nie wiem, że to jest Okulicki? Nie podałem żadnego lokalu zebrań, czy drukarni, czy też radia nadawczego. Przyznałem się, że tylko używałem pośrednictwa osoby oficjalnej jaką był Delegat przy przekazywaniu uchwał Rady — a to był mój obowiązek. Jeżeli to było niezgodne z rozkazami Armii Czerwonej — to dla mnie było ważniejsze zorientowanie Londynu, co było wielką usługą a nie przestępstwem w sprawie obchodzącej i Polskę i Rosję. Słowem, zasłużyłem w całej pełni na określenie Włodzimierskiego, że jestem „ulitka” (ślimak) w skorupie. Już później, po wyroku, gdy spotkałem się w jednej celi z moimi współtowarzyszami osądzonymi na „mniejsze wyroki”, dowiedziałem się od nich, że ich straszono odnośnie toku sprawy, że przedłuża się tylko dlatego, że ja nie chcę nic zeznawać na zadane pytania. Jak już wspomniałem zapewniano mnie, że zmuszą mnie do przyznania się między innymi z pośrednictwem „licznych stawek”. Istotnie miałem dwie konfrontacje. Jedną z Delegatem, drugą z gen. Okulickim. Z Delegatem wynikł kontrowersyjnie temat stosunku naszego podziemia do wkraczających wojsk rosyjskich. Otóż z niewiadomych dla mnie powodów Delegat przytaczał instrukcję Londynu o niezdawaniu broni i wycofaniu się do lasów. Według tej instrukcji działał, zapominając o własnej instrukcji, nakazującej współdziałanie z wkraczającymi wojskami i władzą rosyjską. Zapomniał o tym, że wezwanie do wycofania się nie brzmiało do lasu, tylko na zachód ku Warszawie, za połączeniem się z oddziałami AK, pozostającymi w walce z Niemcami i czekającymi na generalne wystąpienie zbrojne, później skutek wielkich niedociągnięć w uzbrojeniu i przygotowaniach do tzw. wzmożonej „Burzy”. Dopiero przy mnie, na konfrontacji, przypomniał sobie te okoliczności o właściwym sensie wycofywania się — zapomniał widocznie. W ogóle zaskoczył mnie końcowym twierdzeniem, że jednak instrukcja Londynu „nakazywała walkę”, on ją poprawił na własną rękę instrukcją, którą mu dziś przypominałem. Czym się powodował tak mówiąc?

Chyba jakimś przemęceniem. Zresztą to przeświadczenie utrwaliło się w moim sądzie o jego postępowaniu na rozprawie sądowej. Ale o tym później.

Druga konfrontacja, dzień później, nastąpiła z gen. Okulickim. Pytanie na temat że Okulicki zreferował Radzie dekret o rozwiązaniu AK (fikcyjny), o zachowaniu kadr, uzbrojenia i radia. Twierdziłem dalej, że nie, co doprowadziło do płataniny dat. W końcu pozostałem przy swoim twierdzeniu, albowiem według twierdzenia Okulickiego, że to było na Radzie w połowie lutego 1945, podczas gdy wówczas Okulicki — według dekretu nie sprawujący dowództwa na AK (rozwiązanym) nie mógł już brać udziału w posiedzeniach Rady. Druga data 26 marca 1945 odpowiadała tylko w jednym względzie, a mianowicie gen. Okulicki był zaproszony na zebranie Rady, by umówić się odnośnie konferencji z Iwanowym, na którą był zaproszony przez niego i przez Delegata. Na tym zebraniu była mowa jedynie o nagonce NKGB na Akowców, o potrzebie ich legalizacji i pomocy materialnej. Okulicki przypomniał sobie tę okoliczność i dalej starał się wtłoczyć swoje twierdzenie o sprawozdaniu na temat broni i kadr AK, do tegoż sprawozdania z dnia 26 marca 1945 roku. Pozostaliśmy zatem przy swoich opiniach. Nawiasowo mówiąc, na ten temat — jak później mi opowiadano — nikt z Komisji Głównej (jej Prezydium) nie zeznawał, że takie sprawozdanie istotnie słyszał — tak mnie zapewniano, kiedy im powtórzyłem pytanie Gałkina i jego zapewnienia, że wszyscy przyznali się do stawianych zarzutów i w ogóle że słyszeli sprawozdanie Okulickiego, a tylko ja jeden uparty (*starik*) uciekam i kryję się „w *kustach*” i udaję, że „ja nie ja — i *loszad' nie moja*”. *Eto znajetie niesolidno*. Słowo *niesolidno* powtarzało się we wszystkich badających, od górnych rang aż do najniższych. Powstawało to stąd, że zdaje się co kilka dni odbywały się odprawy prowadzących śledztwo u głównego gen. Włodzimierskiego. Gdyśmy, już siedząc, razem przypominali sobie różne powiedzonka naszych *sledowatieliej* — to powyższa terminologia stawała się zrozumiała — jako standaryzowana. Np. u mnie. Jestem u Włodzimierskiego, coś wałkuje, ja zaprzeczam — wreszcie jego argumentacja: „Widzicie tu na stole stoi lampa dla nas wszystkich to jest lampa — a dla was to ołówek, ta ściana w moim gabinecie pomalowana jest na niebiesko — a dla was na zielono”.

Na drugi dzień jestem u swojego *sledowatiela*. Wśród badania — gdy czemuś zaprzeczam, wtedy zasypuje mnie kubek w kubek tymi samymi porównaniami, którymi operował Włodzimierski. To samo spostrzeżenie odnieśli moi współtowarzysze u swoich *sledowatieli*. Wymienię ich tutaj, ażeby już więcej do nich nie powracać.

Więc główny kierownik gen. Włodzimierski; *sledowatielie*: 1) Gałkin w czasie mojego śledztwa z początku major — w końcu śledztwa podpułkownik, 2) Gusiew, rangi nie znam, 3) Tichonow, również rangi nie znam, 4) Sorokin, ranga *ditto*, 5) Zewako, ranga *ditto*. Zdaje się, że było jeszcze dwóch przydzielonych do badania dr. Pajdaka, Jankowskiego i Okulickiego — niestety nazwisk nie udało mi się ustalić. Zasadniczo biorąc te nazwiska z reguły są przybrane. Taki jest styl pracowników NKGB. Kiedyś w rozmowie z Okulickim — ten ze swej praktyki miał wypadek z jegomościem występującym przed nim pod dwoma nazwiskami. Zażenował się gdy poznał Okulickiego. Sporo uwagi w śledztwie poświęcono Radzie Jedności. Intuicyjnie wyczuwałem, że grzebiąc się w jej szczegółach i korzystając z niepamięci, czy też słabości wielu z oskarżonych ustala wygodne dla siebie *dossier* — tak zwane faszystowskie, czyli reakcyjno-antydemokratyczne. Logika *sledowatieliej* i prokuratorów była zaiste nadzwyczajna. Więc np. ktoś przyznaje się do winy ustalonej w oskarżeniu. Te przyznania się są nieraz groteskowe, np. Stemler-Dąbski, bądź co bądź naukowiec, i odróżniający rzetelność od urojenia — przyznaje się do wszystkiego — nawet do dywersji i zamachów nieledwie indywidualnych. Było to tak rażące, że na sądzie musiano

go zwolnić z tego przyznania się. Jakimi metodami do tego dochodzono, nie chcę tego przesądzać.

Biorąc najlżej — była to jakaś wściekła aberracja i brak woli oporu. Np. takie rozumowanie w śledztwie. — Więc przyznajecie się, że prowadziliście w prasie oszczerczą nagonkę na ZSRR. — Ta nagminna mania prześladowcza, to leitmotiw całej propagandy sowieckiej i jej powodzenie, a ponieważ Sowiety są sprzymierzeńcami Narodów Zjednoczonych, zatem szkodziliście nie tylko Rosji, ale także sprzymierzeńcom. Szkodziliście im a pomagaliście Niemcom, oto logiczny wywód...

Przedstawiając działalność Rady starałem się przytoczyć jak najwięcej materiału odpierającego te nikczemne chwytły śledztwa NKGB, przyswojonego później przez polskie UB i polskie sądownictwo. Oczywiście, że mogłem to uczynić przytaczając takie fakty z obrad i uchwał Rady, które były jednomyślne, miały charakter zasadniczy i w razie konfrontacji z zachwianymi współtowarzyszami śledztwa, nawet przez nich musiałyby być potwierdzone. Do takich należały takie materie: konferencja krymska i stosunek do niej RJN, sprawa żydowska i jej załatwienie — podczas okupacji, pomoc szeroka i w chwili powstania na terenie Warszawy. Sprawa reformy rolnej, upaństwowienie i uspołecznienie produkcji, kwestia udziału robotników w kierownictwie produkcją, kooperacja, szkolnictwo i oświata, odbudowa, finansowość, skarbowość itp. Wszystko ustalone w programie przyjętym przez Radę w marcu 1944 roku, a przedtem w sierpniu 1943 przez 4-kę. W części politycznej — reaktywowanie samorządu i natychmiastowe wybory do niego a następnie do Sejmu jednoizbowego. W polityce zagranicznej — porozumienie ze wszystkimi sąsiadami. Granice Polski — między innymi na północ z Królewcem i na wschodzie z 1939 roku. To właśnie było kamieniem obrazy bo tylko to jedno różniło program Rady Jedności z „Kranem”, który sformułował niejedno w swym programie PKWN — oportunistycznie.

13 stycznia 1947.

Oczywista, że śledztwu zależało na zatajeniu dorobku Podziemia i na jego miejsce stworzenia fikcji o jego faszystwie i o jego podstępny działaniu nie tylko na szkodę Sowietów ale całej koalicji. Fikcję tą potwierdziły z jednej strony prowokacyjne rewelacje Ubrańskiego, załamywanie się i potakiwanie słabych uczestników procesu i przyznawanie się do fantastycznych w swojej głupocie i nieprawdzie czynności podawanych przez inkwizytorów. Z drugiej strony agenci Sowietów, kreowani później przez zdegenerowanych wodzów demokracji Zachodu na rząd polski, Polski demokracji ludowej (czyż nie nie masło maślane?), robili wszystko, żeby z zaszczytnego i wielce zasłużonego miana postępu europejskiego o Polakach — że co Polak — to rewolucjonista, orzeknąć współczesny ruch opozycyjny przeciwko skończeniu Polski i Partii i przedstawić jako faszystów*. Wreszcie benefis zwyrodniałców i pochroniów pióra, debiutujących w prasie, wydawnictwach, zjazdach i wyjazdach zagranicznych i zalewających potokami śliny — wszystko to w kraju i za granicą i co nie chce służyć ani obcym ani swoim. Choćby dla tej „hucwy” zwerbowano nie tylko Sowietów, ale samego belzebuba — bzdura pozostanie bzdurą. Bo bzdurą jest nowe nowe objawienie targów, że Polska historia — to jakiś obłęd reakcyjny no i zbrodnia, czająca się z przynależności kresów wschodnich, zamiast parcia na zachód. Dobrze by było przypomnieć zdanie Kominternu i KPP o zbojeckim zagarnięciu przez Polskę Pomorza i Śląska — i to w okresie dochodzenia Hitlera do władzy — bo to się podoba tym, którzy przezuwają ciągle paradoks: jeżeli im przeczą fakty *ciem chuze* dla faktów. Na tej płaszczyźnie nie przyjmowałem żadnych

* Ten ustęp i nast. są niewątpliwie zniekształcone przy pospiesznym przepisywaniu rękopisu.

sugestii badających i nie przysporzyłem najmniejszej nawet laurki dla oswobodzicieli *otieczestwiejnej draki*. Naturalnie, że *sledowatiel* układał w protokole, to co jego zdaniem kwalifikowało się do *sledswiennowo proizwodstwa*, unikając skrupulatnie okazji do moich dogodniejszych i „niesolidnych” odpowiedzi. Przecież już nieraz złorzeczając mi mówił: zadać wam pytanie to wplątać się w wasz długi wywód, którego nie jestem ciekaw, chyba gdybyśmy siedzieli *za stakanom piwa*. Macie odpowiadać *da! ali niet!*, a *wy krutitie*. To samo oświadczył mi prokurator, żądając żebym odpowiadał — *da ili niet*. Odpowiadałem, że w rzeczywistości nie wszystko da się zamknąć w takim prymitywie. Bo może ani *da ani niet* — ale coś trzeciego. A to wymaga właśnie umotywowania, które dla was jest kręceniem.

Gdzieś około trzeciej dekady maja Gałkin zaczął mnie zapoznawać z *dokazitielstwami*. Były to zdjęcia przeważnie aparatów radiowych (nadawczych), dalej zdjęcia osób z organizacji „wykrytych” podziemnych, umieszczonych w fotomontażu stanowiącym wykaz danej organizacji czy komórki. Dalej protokoły oględzin zabitych w akcjach, przeważnie członków instytucji sowieckich, na terenach województw zachodnich. Charakterystyczny szczegół wówczas zaobserwowałem. O ile do niedawna napisy na *dielach* śledztwa brzmiały — *dielo polskich banditów* — o tyle teraz zauważyłem zmiany na *diejatieliej* lub *czlenow polskawo podpolja*. Ta nowa literatura stanowiła incydentalną część obecnie przeprowadzanych przesłuchań. Charakterystyczne, że po przejrzeniu takiego tomu, w którym często znajdowałem ślady wyroków na bandytów, wyroków opiewających na 20-letni ciężki obóz pracy, jako pierwszy opiewający na śmierć znalazłem w rejonowym sądzie tzw. wojska polskiego (Lubelski) wydany na Polaków. W związku z tomami, których było zdaje się sześć, Gałkin tu i ówdzie zapytywał o moje stanowisko i z miną triumfującą stwierdzał — chcieliście dowodów — to one są. Zwłaszcza gdy na przesłuchaniach obok tomów zaczęto mnie raczyć także protokołami zeznań moich współtowarzyszy — Gałkin mógł triumfująco oświadczyć, no cóż widzicie, inni są mądrzejsi gdyż zeznają, a wy nie. Więc było tak jak zeznają, czy nie? Ciekawym rysem tych zeznań prawie większości była wstawka — brzmiąca stereotypowo — że taka to depesza z kraju do Londynu wysyłana przez organa delegatury — była oszczerstwem i należy żałować, że taka depesza czy rezolucja miała miejsce, gdyż między innymi psuła nie tylko wzajemne stosunki rosyjsko-polskie, ale również też i sprzymierzeńców, a więc *dielo borby z faszizmom*. Albo taki sam wywód na zasadzie wypowiedzi prasy podziemnej — również *podstriekatielstwo i klewieta*. Wreszcie depesze z ostatniej chwili przed aresztowaniem, a dotyczące zachowania się Armii Czerwonej — były również nicowane w zeznaniach — szczególnie zastrzegano się przed wyrażeniami armia okupacyjna, czy też okupacja sowiecka. Depesze takie podpisane głównie przez Korbońskiego, a w pewnych razach przez innych, stanowiły też podstawę badania.

Cóż miałem robić? Zaprzeczać — trudno — więc oświadczyłem, że tej literatury nie rozumiem i czekam na konfrontację. — Dobrze! dobrze! otrzymanie możność skonfrontowania. — Nim do tego oświadczenia dojrzałem, musiałem kluczyć (*wy krutitie*) i tłumaczyć np. depesze o zachowaniu się Moskali, że wpływały one może nie z faktów masowych, ale raczej poszczególnych: w ten sposób odpadało pytanie, czy ja potępiam jako *klewieta*, tym bardziej, że twierdzenie o powstaniu w Krakowie zaliczyłem raczej do prowokacji. Tak samo odnośnie artykułów pism — zwłaszcza słów okupacji, okupant — tłumaczyłem, że okupacja w języku polskim ma znaczenie zajęcie jakiegoś terenu bez zgody dotychczasowego posiadacza, tym bardziej gdy teren ten stanowił spór. Na ziemi wschodnie weszło wojsko rosyjskie i stworzyło fakt

dokonany jednostronnie, zagarniając je bez zgody rządu polskiego. I znowu wyłączałem pytanie — czy potępiam *klewiete*.

O ile konfrontacja, że tak rzeknę, zeznań była logicznym ogniwem badań, zwłaszcza wobec rewelacji Korbońskiego, o tyle przeglądanie tomów i pytania Gałkina na gruncie tych tomów stanowiły jakiś unikat w prowadzeniu śledztwa. Więc gdy mnie pewnego razu Gałkin zapytał, jakie wrażenie odnoszę z powodu jakiejś akcji dywersantów polskich przeciwko NKGB, oświadczyłem wręcz — wygląda to na romans bulwarowy, a w ogóle nie wiem, jaki ma to związek z mną. Widocznie — to są właśnie dowody waszej akcji dywersyjnej w tyłu *Krasnoj Armiji*. Naturalnie, my nie oskarżamy was, żeście to robili osobiście, ale oskarżamy, że byliście podżegaczami tych zbrodniarzy, a świadczą o tym artykuły waszej prasy, wasze wypowiedzi na posiedzeniach RJN (zeznanie np. Urbańskiego). Czyli pytam, to te tomy chcecie dołączyć do mojego procesu? Naturalnie — to jest przecież *wieszczestwiennoje dokazatelstwo*. Jeżeli tak, to pozwolicie, że wypowiem moją opinię, naturalnie do protokołu. Nie wiem czy akty, o których mowa, miały miejsce i czy były przeprowadzone przez władze podziemia i przez jakie władze. Teoretycznie rozważając — sędzę, że niektóre — zwłaszcza typu wyraźnie niewojskowego i nieideowego — można odnieść do wypadków zemsty osobistej czy też zapobiegawczej, a więc bez powołanego kierownictwa. Przy rozwiązywaniu AK i w ogóle w rozgardiaszu — takie niesubordynowane działania oddziałów w dezorganizacji dowództwa są możliwe. Od takich działań należy się odciąć. Odcina się i od tego wojsko polskie, które w naszym narodzie zażywa ogromnego szacunku. I dlatego nie będę odpowiadał na tego rodzaju zarzuty i pytania, które są dla mnie *oskorblenijem*. Pamiętam dokładnie, że między innymi przytoczyłem zachowanie się Sowietów wobec oddziałów AK zdobywających Wilno, albo np. walczących przez kilka dni z ofensywą niemiecką na Wołyniu (27 dywizja). Dlaczego więc ich rozbrojono, pyta Gałkin — ja nie wiem i wiedzieć nie mogłem i nie mogę, ale pan chyba wie lepiej od nas wszystkich. Zaznaczam, że kiedy na przewodzie sądowym gen. Okulicki wspomniał o tych wypadkach, przewodniczący sądu — generał pułkownik Ulrych — nie pozwolił na kontynuowanie tej części przemówienia. Moje wnioski o włączenie do akt wspomnianych wyżej tomów, były próbą usprawiedliwienia wobec świata całego procesu i nagonki na AK, Rząd Londyński, Delegaturę i Radę Jedności Narodowej. Przecież dawano dowody w postaci fotomontażów (to dla Amerykanów) oraz w postaci niezbyt szczęśliwych i często bardzo głupich i nic nie mających wspólnego z prawdą zeznań niektórych kolegów oskarżenia, oraz uwięzionych lub zagrożonych skazaniem na śmierć lub długotrwałe więzienie działaczy z różnych terenów okupacji, ze sobą w ogóle nie związanych.

Co do nas była to góra, która miała nas przywalić w rezultacie wyrokiem wynikającym z późniejszych paragrafów oskarżenia, tych samych paragrafów, na zasadzie których rozprawiono się z całym szeregiem działaczy rewolucyjnych „starych bolszewików” — jak wiadomo wszystkich rozstrzelanych (lata 1936-1938). Przy tym wyniknął ciekawy szczegół. Już niejednokrotnie, gdy Gałkin mi mówił wobec moich zaprzeczeń, czy też upartego milczenia, że jak *trus* (tchórz) chowam się „nie ja i *łoszad*’ nie moja” oświadczałem, że odtrącając od siebie posądzenie czy oskarżenia o czyny przeze mnie nie spełnione, nie wyrzekam się solidarności z Delegatem i chcę brać pełną odpowiedzialność. Wówczas to nie reagował. Obecnie jak zaznaczyłem prawie na końcu śledztwa, Gałkin zareagował — „tylko nie bierzcie na siebie za dużo — nie *stoit*”.

Reasumując moje wrażenia z odczytywanych tzw. akt i dokumentów — dochodziłem do wniosku, że sprawa nasza jest bardzo poważna, a oskarżenie moje przez Urbańskiego (nie wiedziałem jeszcze o jego zakulisowym zwróceniu

się do prokuratora) z kłamiwym powoływaniem się na statut władz podziemnych rozrasta się. Poruszywszy w ten sposób nawet szczegóły, które nie znalazły się w protokołach (protokół stanowił nieraz tylko pytanie i odpowiedź „wopros — otwiet” a tzw. pogaduszki ciągnące się całymi godzinami, mogły znaleźć swój oddźwięk jedynie wtedy, gdy protokolant zadał na ich temat pytanie) muszę zaznaczyć, że na indagacjach z braku laku Gałkin wdawał się w rozmowy historyczne, bardzo często na tematy stosunków prawnych, zwłaszcza w dziedzinie pracy, wychowania, opieki nad młodzieżą. Niektóre pytania były naiwne i wręcz dziecinne. Na tym tle zaznaczała się nadzwyczaj powierzchowna erudycja urzędniczo-polityczna aparatu śledczego. Raził brak wykształcenia historycznego nawet na temat Rosji czy samej partii. Wśród wielu pytań padały nazwiska: Bieruta, Matuszewskiego, Osóbki, Stańczyka, Świątkowskiego. Miałem swój sąd o nich, naturalnie ujemny, ale nie wyjawiałem go, dlatego, że bada mnie organ policyjny i do tego obcy, mający w tym jakiś cel — mnie nieznanym, a więc siłą rzeczy podejrzany. Zapytywał o Mikołajczyka, a to w związku z zeznaniem Bagińskiego z którego wynikało, że ze mną Ludowcy nie mogli się dogadać. Jedynie Zaremba jest ustępliwy. Zapytał wręcz — dlaczego RJN a więc i pan wysuwacie Mikołajczyka na Premiera. Odpowiedziałem — dlatego, że ma za sobą kilka lat działalności w tym charakterze i że osobiście go znają Roosevelt, Stalin i Churchill.

I jeszcze jedno. Siedząc z początku we dwóch tp. z Muratowym nie zapuszczałem się zbyt w rozmowy, pomny na wirtuozostwo śledztw NKGB z góry wyłączałem zaufanie do Muratowa (niech mi nie weźmie za złe, jeżeli kiedyś spotka się z moim zdaniem o nim). Wszak strzeżonego Pan Bóg strzeże. Przepraszam słowo Bóg przez dużą literę. W Sowietach ani w piśmie, ani w druku nie wolno pisać inaczej jak Bóg przez małą literę. Gdy zostałem sam jeden, siłą rzeczy powracałem do wojny, którą zostawiłem w momencie mojego aresztowania w pełnym rozkwicie.

Że wojna trwa świadczyły o tym *maskirowki* i dość często salwy artylerii, między godzinami 10-tą, 11-tą. Ilość strzałów, jak mnie informował Muratow, oznaczała: większa — zdobycie bardzo ważnego obiektu, mniejsza — obiektu mniejszego. Nic ponadto nie dochodziło do mojej celi. W gabinecie Gałkina wisiały dwie mapy z przodu i z tyłu biurka. W moim dystansie zajmowanym na przesłuchaniu mapy, jedna ogólniejsza była poza zasięgiem mego wzroku, druga zaś — na ukos przede mną — przedstawiała Środkową Europę, w danej chwili rozdzieloną grubą kreską z północy na południe, już wówczas kresą-granicą okupacji sowieckiej. To zastałem w pewnym momencie moich indagacji. Na biurku leżała pod taflą szklaną mapa Sowietów — po środku z wizerunkiem Stalina. Kilka razy, gdy nocą dzwonił Gałkin i odwrotnie dzwoniono do niego, nawet w żargonie można było wyrozumieć sukcesy... Nie pytałem ze względów zrozumiałych, a dla mnie zasadniczych. Nie lubię organicznie amikoszonerii z urzędnikami. Gdy jednak pewnego wieczoru zastał mnie salut (coś ze 30 strzałów), a Gałkin po kilka telefonach ilustrowanych jego wykrzyknikami *da zdrowo! da eto ocen' kriejko* — zwrócił się do mnie ze słowami — *da protriepali zdrowo* — zapytałem, jakie miasto, czy teren zdobyto — Gałkin nie dał odpowiedzi. W tym stanie rzeczy nie robiłem już dalszych eksperymentów i pozostawałem z całą cierpliwością w nieświadomości. Prawie, że w końcu maja w Moskwie powróciła zima w całej swej okazałości z mrozikiem i zadymką. Kiedy na ranną indagację wchodziłem do gabinetu Gałkina, przez chwilę — nim usiadłem — mogłem przez okno zauważyć pogodę, Gałkin czytał długi czas *Izwiestija*. W pewnej chwili zwrócony do mnie zauważył, że dzisiejsza pogoda daje się we znaki także w Europie. *Wot ja wam proczitaju* (inni śledowatiele dawali książki, czytali badanym gazety itp.). W Warszawie jest

zaledwie 3°C, a z Wiednia i Berlina sygnalizują rosyjscy meteorologowie, że jest ok. +7°C. Wynikało więc, że 31 maja Moskale są już w Berlinie i we Wiedniu. I tylko tyle. Tymczasem 30 czy 31 maja, po moim nocnym powrocie z badania (zwolniono mnie wcześniej) wprowadzono do celi nowego więźnia z wolności — jak się później okazało był to mój *tielochranitel* na czas przed i w czasie procesu. Tak postąpiono ze wszystkimi współtowarzyszami sprawy. On to pierwszy zakomunikował ważne nowiny: zakończenie wojny, śmierć Roosevelta (jaka szkoda, że tak późno), objęcie prezydentury USA przez Trumana i trochę szczegółów dotyczących kapitulacji Niemiec — samobójstwo Hitlera i dygnitarzy, oraz zamordowanie Mussoliniego. Wrażenie olbrzymie. Całą noc nie spałem. Z początku czerwca wyczerpywano resztę dokumentów, a więc zeznania i tzw. *Diela* (Tomy). Zdaje się 7 czerwca na rannym przesłuchaniu przy biurku Gałkina zastałem jakiegoś dygnitarza w mundurze tabaczkowym ze srebrnymi epoletami a więc z innej służby — jak się okazało z „*justiciji*” prokuratora Rudienko, który przedstawiając się oświadczył, że przybył, by zakończyć śledztwo. Był bardzo ugrzeczniony i z punktu zaczął namawiania, by się przyznać do winy. Odpowiedziałem po prostu, że nie poczuwam się do winy, a jeżeli winą jest radiodepeszowanie do rządu w Londynie — to proszę przyjąć moje oświadczenie, że rozkaz Dowództwa Czerwonej Armii widziałem na ogłoszeniach, że z całą świadomością i z mojego obowiązku użyłem radia, ale jedynie i wyłącznie w sprawie konferencji krymskiej (uchwała RJN) i że to jest fakt w moim przekonaniu nie zasługujący na karę. Innych zarzutów nie biorę na siebie, więc nie poczuwam się do winy. Długo się przekonywaliśmy, wreszcie stanęło na tym, że częściowo (w tej właśnie sprawie radia do Londynu) uznaję się za winnego.

Wprawdzie zrozumiałem, że tą formułą daję cząstkową satysfakcję śledztwa w zakresie przyznawania się, wprawdzie nie całkowitego i bez słowa kajania się, jednak bądź co bądź przyznania się, to jednak czyniłem to w przeświadczeniu, że tym sposobem dzielę odpowiedzialność z Delegatem, który całą tzw. winę brał na siebie, nieraz za obszernie i niepotrzebnie. W następnej fazie tego przesłuchania wynikł następujący incydent: Rudienko nawiązując do rozmowy nie związanej z protokołem zeznania (pisał sobie na brudno) zawadził o moje miejsce rodzinne — Tarnopol, dzieląc się ze mną wiadomościami o zburzonym mieście, będącym, jak wiadomo, kilka tygodni silnie bronionym punktem oporu Niemców. Po wymienieniu jeszcze kilka miejscowości sąsiadujących z Tarnopolem przystąpił znów do treści przesłuchania nawiązując do AK i jego rozwiązania, które według niego okazało się fikcją. Po czym znów zabrnął w swoje opowiadania na temat podróży po Wołyniu i tamtejszych spustoszeniach wojennych.

Bezpośrednio potem znów zaczął rozmowę na temat zeznań i rzucił pytanie: „Co byś Pan powiedział o człowieku, który zapewni Pana, że coś uczyni, a potem okazuje się, że nie dotrzymał słowa. Prawda, że *eto nie solidno* i godne napiętnowania!”. — Podzieliłem ten wywód, potakując. Ta uwaga — ni przypięć ni przyłatać — miała swój sens, gdy przystąpił do odczytania projektu pisanego przez siebie protokołu zakończenia śledztwa. Oto pisząc o przyznaniu się częściowo do winy, w dalszym ciągu pisze — „uznając fakt fikcyjnego rozwiązania się AK — piętnuję to jako *obman*”. Zaprotestowałem przeciwko takiemu twierdzeniu, jako wyszanemu z palca, a nadto jako wyraźnie nakręcone-go do protokołu, z którym przecież się nie łączy. Gałkin w ten spór się nie wtrącał. Gdy wreszcie Rudienko zaryzykował, że cały czas mnie przesłuchiwał oficjalnie, że zatem nie wymienił nic prywatnego, zapytałem — a rozmowa o Tarnopolu była też oficjalna i łączyła się z protokołem śledztwa? Otóż przyjm Pan do wiadomości, że protokołu z tą wstawką nie podpiszę. Jeszcze długo usiłował wybronić swój elaborat, przy czym zapytywał, skąd dowiedziałem się

o rozwiązaniu AK. Gdy usłyszał, że z radia — za pośrednictwem pewnego znajomego, zażądał ujawnienia — od kogo. Oczywiście na tę beczelność odpowiedziałem milczeniem. Wreszcie nerwowo schował papiery i oświadczył, że jutro przyniesie czystopis.

Wprowadzenie tego werse tu miałyby ogromne następstwa. Albowiem w ten sposób udowodniono by mi, że wiedziałem o fikcji rozwiązania AK, a tym samym o zakonspirowaniu broni, sztabów, oddziałów, itp., co byłoby wierutną bujdą. Rzeczywiście na drugi dzień przyszedł ponownie i tym razem protokół podpisałem. Na tym przesłuchaniu — udzielił mi usłużnie do przeczytania tekst artykułów, z których będę oskarżony — były to: Art.rt. 17-58⁸, 58⁹, 58¹², KK RSFSR. Miały tę zaletę, że niektóre z nich przewidywały sankcje karne sięgające w dół do 4-ch miesięcy. Jednak w zestawieniu z innym artykułem (zapomniałem którym) przewidywane było wyższe „nakazanie” — to jest rozstrzał. Czytając ten artykuł uśmiechał się zjadliwie. Nie reagowałem, a gdy zapytał, jak będzie z obroną odpowiedziałem, że zasadniczo, nie znając procedury sądu nieznanego u nas i zdaje się w Europie, jestem zmuszony oglądać się za obroną. Jednak o tym zakomunikuję po otrzymaniu pisemnego aktu oskarżenia. Przyjął to do wiadomości nadmieniając, że zakończenie wojny — *znajetie, czto wojna konczena* — będzie mieć niewątpliwie wpływ łagodzący na wymiar kary. Nic na to nie odpowiedziałem, już więcej z nim się nie widziałem, dopiero na sądzie. Zapytaniem stereotypowym, czy nie mam jakiejś skargi na prowadzącego śledztwo, albo też jakichś dodatkowych zeznań, zakończyła się ta druga i ostatnia wizyta Rudienki. Zakończyła się choćby dlatego, że oświadczyłem, że nie mam nic do powiedzenia chociaż można byłoby wiele... Szczególnie okoliczność głodowania nadawała się do *zajawlenija*. Jednak i tutaj zaszła przemiana na lepsze, naturalnie teraz, gdy śledztwo się skończyło. Widocznie że należało już do ceremoniału śledczego. Muszę zaznaczyć, że aż do tego momentu nie korzystałem z moich pieniędzy, a więc i nabywania artykułów. Wyzaczyłem sobie termin, od którego zacznę awanturę. Tym terminem był zakończony okres 2-ch miesięcy przebywania we więzieniu. A zatem na badaniu oświadczyłem p. Gałkinowi, że czekam nadmiernie długo, że uważam porcje żywnościowe za wyrafinowane *izdiewatelstwo* i nie tylko porcje żywnościowe: weźmy dla przykładu taki produkt jak mydło. Z okazji łaźni (co 10-14 dni) dają kawałeczek mydła długości 4 cm szerokości 1,5 cm (ruskiego), którego ma się używać w łaźni i w ciągu całego okresu między jedną łaźnią, a drugą (właściwie nie łaźnia, a tusz regulowany dla większej szykany od wrzątku — do całkowicie zimnej wody). Po ubieraniu się ciągle przynaglany otwierają „furteczkę” okienną dla higieny. Czyż to jest godne nazwy czystości więziennej? Albo dla przykładu chleb — od jakiegoś czasu mokry z przymieszką nie tylko kartofli, ale co gorsza buraków i w stałym pomniejszaniu jego wymiarów. Otóż nie żądam frykasów, tylko przyzwoitego traktowania. Jeżeli tego dać nie możecie, to mam prawo jeszcze nie skazany, nabywać to za pieniądze moje, które są w naszym zawiadywaniu. Na to oświadczenie padła replika Gałkina, oni nie są „*krowawyje tigry*” — że on nic o tym nie wiedział, że ja o nic nie prosiłem i że ja jestem hardy i opryskliwy. Zwróci się do kogo należy i z góry może zapewnić mnie, że nastąpi „*ulutszenie piszczy*, a nawet *pieriedacza*”. Zdaje się, że drugiego czy też trzeciego dnia otrzymałem zrazu dodatek do porcji chleba w postaci sporej kromki pyłowego chleba. Następnie dodatkową kostkę cukru (w ten sposób miałem otrzymywać codziennie dwie kostki). W obiad otrzymałem zwyczajną zupę (z kotła ogólnego) następnie wermiszel i kaszkę. W następnych dniach dostawałem czasem jeszcze kompot (dość wodnisty, ale smaczny). Dzisiaj — po doświadczeniach z UNRR-ą widzę, że wszystko to szło z jej przydziałów. Wieczorem zamiast *kaszczy* dostawałem tę samą kaszkę gęściejszą w kształcie sześcianu — wierzch był

posmarowany jakimś lukrem. Siedząc we dwójkę, oczywiście dzieliłem się tą *dobawoczną pizzą*. Tegoż wieczoru byłem na badaniu, oznamiłem Gałkinowi, że jest *ulutszena*. Gdy wróciłem w nocy zastałem na stole (skrzynce) paczkę owiniętą papierem, w której po otwarciu znalazłem dwie bułki (paryskie), trochę pasztetu z ryby, trochę tłuszczu, kawał (250 gr) kielbasy, 13 kostek curku i pół kg chleba czarnego. Na drugi dzień na badaniu zawiadomiłem Gałkina, że *pieriedaczu* otrzymałem, dziękując za interwencję: oczywiście, że byłem przekonany, że to jest z moich pieniędzy. W kilka dni potem przyniesiono mi podczas mojej obecności małą paczkę, która zawierała to samo co pierwsza plus kawior czerwony. Zapytałem dozorcę, co to za paczka — powiedział, że z *kantora*, od kogo? — nie dał odpowiedzi. Gdy nazajutrz zapytałem o to Gałkina, zaczął kręcić, że są na to fundusze na *ulutszenie* itp. Na takie *dictum* powiedziałem, że prosiłem o produkty jak najprostsze, ale za moje pieniądze. I dlatego proszę to mieć na uwadze i nie robić mi dodatkowych przykrości. Trochę się skrzywił tłumacząc, że obecnie nie ma sklepiku więziennego, że ceny się wahają, itp. Jak się później okazało, innym kolegom oskarżenia dostarczano owe *pieriedaczu* nawet po kilka razy z rzędu. By skończyć z tematem wyżywienia nadmienię, że aż do końca sprawy, tj. od wyroku forsownie nas odżywiano i w więzieniu i w sądzie. Wreszcie po wyroku to odżywianie kontynuowano, ale o tym później.

By skończyć z higieną, zaznaczę, że co pewien czas przychodził ktoś z personelu sanitarnego więzienia, kazał podnosić koszulę (zmiana od łaźni do łaźni) i zapytywał o pluskwy, a była ich moc — co jest cechą charakterystyczną, powiedziałbym odwieczną mieszkań moskiewskich. Z chorobami postępowano metodycznie. Najprzód meldunek u felczarki — czasem zyskało się jakieś *medicamentum*, a jeżeli nie to dopiero doktor (kobieta), a nawet naczelnny doktor przepisywali lekarstwa, lecz jakie — to to chorego nie miało obchodzić. To samo z temperaturą. Lekarstw nie dawano do celi, tylko felczarka przynosiła porcję i trzeba było w jej obecności zażywać. Chorowałem (a to jest nieodłączne u więźniów wskutek marnego odżywiania i innych niewygód) na wrzody na rękę i na powiekach. Leczenie takich chorób odbywało się dokładniej i staranniej, anieźli chorób np. wewnętrznych. Mniej więcej jeszcze do 10 czerwca wzywano mnie na badania, na których zapoznawałem się z dalszą treścią przyłączonych do naszej sprawy tomów i Gałkin jeszcze zapytywał o powstanie i pewne jego szczegóły, a jak się później okazało usiłował, pomimo powstania, ustalić fakt kierownictwa AK, także aktami dywersyjnymi rzekomo przeciwko Armii Czerwonej — poza Warszawą i nawet na Kreml (!!).

W ten sposób skrupulatnie i absurdalnie dążono do wytworzenia pewnej ciągłości w „*klewietie*” i w „*podrywnej robotie w tyłu Krasnoj Armii*”, począwszy od wiosny 1944 roku — aż do naszego aresztowania w końcu marca 1945 roku. Do czego to było potrzebne. Zapewne, że do pogrążenia nas, a zarazem do wytlumaczenia Sowietów w ich po prostu skandalicznym i często zbrodniczym stosunku do AK. Skoro AK kierowało akcją nawet podczas powstania, to znaczy, że Sowiety były usprawiedliwione w swej taktyce odmowy nie tylko pomocy, ale też i w przeciwstawieniu się każdej pomocy militarnej z zewnątrz np. ze strony Aliantów (loty i zrzuć). Te chwytły były zanadto bezczelne, żebym się nie zorientował, że stanowią część integralną całej gry Sowietów wobec Polski na przestrzeni lat, zwłaszcza od początku 1939 roku do czasu naszej sprawy. Oczywiście, że żadna kombinacja policyjno-śledcza nawet przy pomocy Urbańskiego i podobnych mu nie mogła umotywić tego potwornego zamysłu imperializmu sowieckiego wobec Polski. Raz w trakcie kłótni mojej z Gałkinem na temat AK i czystości dążeń wyzwoleniczych podziemia polskiego — nagle Gałkin, który przemierzał wzburzony swój gabinet ogromnymi krokami, zatrzymał się przy moim krześle i stoliku i rzekł patetycznie: Zapewne i tego

będziecie się wypierać, że u was obok konspiracji podziemia tworzyła się nowa konspiracja i my mamy na to dowody. Zaprzeczałem najkategoryczniej. Potoczyła się, jak zwykle cała kaskada oskarżeń, no i drwinek wobec mnie, który udaje, że nic nie wie i podbijania mi bębneków słowami, a jeżeli się nie udaje, to tym gorzej, bo traktowano go jak pionka i głupiego staruszka. Nie nazwał tej dodatkowej konspiracji, ani też nie wymienił jakichś bliższych szczegółów. Jak później już z aktu oskarżenia wynikało miała być utworzona organizacja konspiracyjna „NIE”. O tej organizacji rzeczywiście nic nie wiedziałem i z jej statutowych zamysłów, będących raczej beletrystyką daleką od rzeczywistości, w której dana konspiracja miała się tworzyć — przejawiała się cała naiwność polityczna. Z niej to oskarżenie usiłowało utworzyć jeszcze jeden argument przeciwko *polskim banditom*. Zresztą z tą nową kreacją zaznajomimy się niedługo z okazji procesu.

Tymczasem już 16-go zostałem z rana zawezwany do kancelarii, gdzie przedstawiciel prokuraturii, zdaje się Batner, wręczył mi akt oskarżenia wraz z 1 1/2 arkusza papieru i ołówkiem (do notatek obrończych), a zarazem pouczył mnie, że mogę korzystać z urzędowej obrony. Przedtem uprzedzony przez Rudienkę po krótkim namyśle zdecydowałem się na obronę z urzędu. W ciągu bowiem nowatorskich reform w sądownictwie, zwłaszcza w prokuraturze, w ustawodawstwach faszystowskich, hitlerowskich, sanacyjnych czywista sowiecko-komunistycznych zdążono dokonać takiego spustoszenia — naturalnie ze szkodą „obwinionych”, jako społecznych sprzestępców — że po prostu z ciekawości postanowiłem skorzystać z obrony. Na moje pytanie, kiedy mam się spodziewać rozprawy, otrzymałem odpowiedź dość zagadkową, że pewnie wkrótce. Taką samą odpowiedź otrzymałem od mojego obrońcy p. Kaznaczejewa, kiedy mnie odwiedził 17 czerwca 1945 roku, między 9-tą-10-tą wieczorem. Rozmowa nasza była bardzo krótka. Mój adwokat dotychczas nie mógł się rzecz jasna zaznajomić z materiałami i tylko wysłuchać moich uwag, wyjaśnień, które były raczej moją tendencją w obronie, Kaznaczejew zrobił na mnie wrażenie człowieka *dielowowo* i bardzo mi się podobał, gdy radził jednego się trzymać, a więc jak najmniej mówić. W ogóle przed „*mnogosłowijem*” wyraźnie przestrzeżał. Czywista i jego zapytałam, kiedy sędzi, że będzie rozprawa sądowa. Otrzymałem odpowiedź, że właśnie na dniach, ale on nic jeszcze nie wie i jak mogłem się domyśleć, o to się dowiadywać ma sam obrońca. Toteż z prawdziwym zdumieniem dowiedziałem się, z samego rana, gdy dozorczy zaczęli naglić — *sobirajties na sud*. Wprawdzie już od kilku dni wzięto moją bieliznę do prania oraz spodnie (zupełnie zniszczone, liczyły już 6 lat i przeszły podróż w kanałach w czasie powstania) do odprasowania. Nadto codziennie dawano mi to pas do spodni, to sznurowadła, to krawat. O! z tym krawatem to była istna farsa. Okazuje się, że w magazynie zapodziano gdzieś krawat, a nawet pasek. Wobec tego, że dano mi inny pasek wbrew moim zastrzeżeniom, że cudzego nie chcę, a tyle co do krawata, pomimo, że mi ciągle przynoszono nieraz bardzo eleganckie (nawet paryskie) krawaty, obstawałem przy swoim i żądałem mojego krawata, narzekając na porządki i bałagan. Wreszcie 18-go, gdy alarmowano o wyjściu na sąd starszy lejtnant przyniósł zziajany krawat — mój naturalnie — z tryumfem. Dodam, że w ciągu kilku dni poprzedzających sąd, prawie co drugi dzień nas golono i strzyżono, a nawet opryskiwano *ode-kolonem!!* Niezależnie od tego w dniu sądu dano pastę do oczyszczenia z połyskiem obuwia. Po drugim śniadaniu, składającym się z dwóch potraw — jakiejś potrawy z konserwy, zdaje się omletu i kilka słodkich krakersów — wyprowadzono mnie na podwórze więzienne, gdzie już szeregowano moich kolegów, w ten sposób, że każdy miał anioła stróża z przodu i z tyłu i w ten sposób wchodził do autokaru więziennego. Była to ogromna buda przedzielona korytarzykiem po jednej i po drugiej stronie

maciupęćki ciupki — tak by więzień mógł usiąść i żeby go można było w ciemni zamknąć. Tylko w drzwiczkach była od góry nad judaszem malutka żarówczeka, by konwój mógł obserwować zamkniętego. Znając z dawnych lat trasę do sądu (*Dom dworianskowo sobranija*) na Placu Teatralnym w sąsiedztwie Ochotnych riadów, od razu się zorientowałem po zjeździe z Łubianki w dół, że jedziemy tam właśnie. Licząc do 140 — doliczyłem się do silnego podskoku autobusu, który w ten sposób znalazł się na podwórze „*Sobranija*”.

Z chwilą przybycia reszty autokarów kazano wychodzić i znów jak poprzednio w szeregu własnych konwojentów. W ten sposób byłem wraz z innymi uczestnikiem jakiegoś potwornego poloneza, który tańczyliśmy z Mochami, ocierając się z nimi „tyłkiem i przodkiem”: jednocześnie nasz „polonez” przesuwiał się wzdłuż dwóch szeregów NKGB w pełnej formie i gali (przy orderach i pojazdach).

O tym nic nie wiedzieliśmy, że prawie jednocześnie z naszym sądem i równoległe z naszym polonezem — Polaszczyki skakali pod dudkę moskiewską pod przewodem Mikołajczyków (nowo ochrzczonych na inną wiarę obrządku wschodniego), a obok nich cały klan zasłużonych w służbie a nadto w nowicjacie „przedstawiciele podziemia polskiego” pasowani na tę godność przez Wschód i Zachód, który temu w danym momencie z całym cynizmem asystował. W naszej imaginacji tego obrazu nie widzieliśmy i w ogóle do głowy nam nie przyszła taka ohydna w tym zestawieniu z więźniami tego podziemia — rola tych panów z Londynu i z Krakowa. Ale *diela dielami*, „*kantora pisze*” tak jak zawsze w rytm *prawitielej*.

Weszliśmy na salę parterową, w której przed klatką schodową widniała grupowa rzeźba — przedstawiająca Lenina siedzącego ze Stalinem na ławce. Lenin w pozie nauczyciela, a Stalin w roli słuchacza czy ucznia. Na pierwszym piętrze w dużej sali stanowiącej coś w rodzaju *foyer* — tylko strasznie zakurzonej, ze zblakłymi zwierciadłami. Z tego *foyer* było wejście na salę obrad sądu oraz do oddziałów dla aresztowanych. Najprzód wprowadzono nas do pomieszczeń aresztanckich — niektórzy po dwóch, trzech i czterech, ja oddzielnie. Rozmawiać prawie niemożliwe, gdyż nawet grupowi — wobec konwoju — nie są w możności zamienić choć kilka słów. Siedzimy więc z konwojentami. W trakcie tego ciągła lustracja administracji więziennej i częsty głośnik „*mładzewo lejtnanta medicyńskiej służby*” — *bariszni*, która cienkim głosem: *kto balnoj* — manifestuje swoje posłannictwo lecznicze. Wreszcie na znak, polonezem wchodzimy po schodkach w dużej sali kolumnowej na rusztowanie w podkowie w końcu sali — środek dla sądu, jeden bok dla prokuratury, a drugi dla nas. Prokuratorzy: gen. Afanasjew, średniego wzrostu, lat około 40, szatyn, pociągły na twarzy, w okularach — typ czynownika i Rudienko też w tych latach, pucołowaty, *roża* nachała. Prokurator w Sowietach uczestniczy na zebraniach gospodarczych sądu, a nawet na zebraniach, gdzie omawia się i formułuje sam wyrok. obrońcy po stronie naszego boku — w dole. Nasz bok okalają konwojenci, a na marginesie rusztowania szyldwachy. Reszta ochrony zajmuje miejsce w pierwszych krzesłach widzów, którzy zajmują wszystkie siedzenia dla publiczności. Majdan pomiędzy publicznością a piedestałem „*zbrodni i sprawiedliwości*” — zajmują operatorzy filmowi.

Weszliśmy na nasze podium — jak się okazało wszyscy — tylko bez dra Pajdaka i posadzono nas w dwóch rzędach krzeseł. W lewym szeregu od rampy wstecz od lewej:

- | | |
|--------------------------------|-----------------------------------|
| 1 szereg: Czarnowski i Delgat | : 1 szereg: Stemler, gen Okulicki |
| Jankowski | |
| 2 szereg: Bień W. i Kobylański | : 2 szereg: Michałowski i Mierzwa |

3 szereg: Jasiukiewicz i Urbański : 3 szereg: Chaciński i Zwierzyński
4 szereg: Stypułkowski, Bański : 4 szereg: Pużak.

Ławy nasze pozostawały zawsze pod inwigilacją. Wyprowadzanie do ustępu odbywało się najwyżej po dwóch — a więc czterech konwojentów. (Nawiasem mówiąc ustępy wprost potwornie ohydne). W czasie przerw pozwalano palić i dostarczano urzędowo papierosy, o które nieraz bez powodu i w sposób uniżony ciągle się dopominano. Robiło to przygnębiające wrażenie.

Dalej, jak w sprawozdaniu wydanym oficjalnie po polsku i rosyjsku, a przypuszczać należy, że zapewne i dla Anglo-Amerykanów wydano również tę publikację. Oczywiście, że jest nie sposób sprostowania różnych niuansów, dalej pewnych zwrotów i opuszczeń: będę więc usiłował, to co możliwe uczynić, by całą prawdę roztoczyć. W każdym razie rzeczony sprawozdanie może być przewodnikiem. Na jego podstawie będę czynił moją powinność uczestnika procesu... Na wstępie więc w liście osób oskarżonych brak dra Pajdaka. Dlaczego? Według świadectwa medycznego — zachorował, a w dodatku otrzymał oskarżenie oddzielne — inne niż jego koledzy z rządu. Dlaczego? — więc domyśly.

O tym, że dr Pajdak siedzi, nie wiedziałem, mogłem się raczej tylko spodziewać. Pierwszą pozytywną wskazówkę o nim otrzymałem raz w nocy przed 6 maja 1945 roku, kiedy przez ścianę gabinetu Gałkina, przy której siedziałem, usłyszałem w sąsiednim gabinecie coś bardzo podobnego do głosu Pajdaka. Dopiero 6-go w godzinach popołudniowych zupełnie wyraźnie odcyfrowałem jego głos i poszczególne słowa „jak rząd w Londynie” (po polsku). Może w dwa dni później, kiedy po przeniesieniu z celi 83 (gdzie siedziałem oddzielnie) znalazłem się znów sam jeden w celi nr 107 w kondygnacji górnej oddziału śledczego. Tam już o zmroku, gdy deszcz padał usłyszałem jakby na moim oknie głos Pajdaka, zdaje się do dozorca. Wtedy słyszałem kilka dni bardzo podejrzaną kaszel. I na tym się wszystko skończyło. Albowiem któreś z następnych nocy, kiedy po badaniu kładłem się spać — usłyszałem rumor w sąsiedniej celi. Między innymi usłyszałem głos głównego lekarza więziennego. Wkrótce po tym kogoś wynoszono. Widać, że wynoszono bardzo chorego, a może zmarłego Pajdaka — tak przypuszczałem. Inne zaś ujście artykułowe (zresztą bardzo nieznaczące) oceniałem jako rekompensatę na wypadek tragedii. Musiał więc być bardzo chory. Dopiero po wyjściu z więzienia, a później po przyjeździe do kraju, dopiero wtedy częściowo potwierdziła się jego choroba — ale bez żadnych szczegółów dopóty, dopóki sam nie opowie, czy też kiedyś opisze.

To jest moja pierwsza uwaga — uzupełnienie. Druga zasadnicza uwaga odnosi się do sentencji aktu oskarżenia. Już powierzchowne zaznajomienie się z myślą przewodnią aktu wskazuje nie na argumentację, ale na ślepą nienawiść i głupią nie umotywowaną zemstę na organizacji narodu Polskiego, czy organizacji, która nie chciała i nie mogła być agentem ZSRR. Że właśnie o to autorom aktu chodziło dowodzi przejście od statutu organizacji podziemnej — od razu do oskarżenia o wrogość jej do urzędów wojskowych Sowietów. Ten przeskok jest tak króki, że czytelnik musi kilkakrotnie go studiować, żeby zrozumieć dlaczego niemal 5-letnią działalność przeciwko Niemcom — zawołowano faktami jedynie walki z Armią Czerwoną. Złośliwy mógłby sądzić, że jest niejako porachunek za okres flirtu niemiecko-rosyjskiego i zemsta za ten okres wspólnych batów hitlerowsko-komunistycznych (wspólnie rozprawiających się

z Polską) zadanych przez Polską irredentę. Tak postawiona teza historiozoficzna mówi sama za siebie. Charakterystyczne, że gdy dochodzi się do wzajemnych stosunków między AK i Czerwoną Armią, ta ostatnia nawet wówczas, kiedy AK staje się kombatantem, kiedy jej udział oszczędza ludzi i materiał techniczny Armii Czerwonej — zawsze, wszędzie i z reguły spotkania te bez żadnych powodów i względów kończą się katastrofą dla AK. Czy taka taktyka da się wytłumaczyć jedynie winą Sowietów? Otóż nie! Od Teheranu, a nawet wcześniej w Villa Blanca Roosevelt i Churchill odstąpili bez reszty Polskę i jej cały problem Rosji. Oczywiście, że stało się to za pewną cenę zyskową realizującą pewne cele polityczne. Z chwilą więc gdy Rosja konsekwentnie nastawiła się na opanowanie całej Polski (już w XVIII-tym wieku) jasne było, że problem ten natury międzynarodowej musi być rozstrzygnięty przy pewnym współnictwie graczy będących „na rękę”. Tak było np. w roku 1939, kiedy po bratersku podzielono Polskę i kiedy nikt poza Rosją i Hitlerem nie miał nic do powiedzenia. Gdy spotkali się Panowie z Trójki — jasne było, że w Europie musiało ponownie dojść do realizacji dążeń w pierwszym rządzie Rosji przed innymi apetytami. Zatem brzeg Łaby — to linia podziału łupów. Rosjanie postarali się żeby ta operacja żywego i na żywym ciele Polski dokonała się na zasadzie zgody także wielkich demokracji. Więc zgoda na przekazanie całej Polski jako terenu strategicznego Rosji, zgoda na likwidację AK — oczywiście z odstąpieniem od jej kombatantstwa w świecie Aliantów. Tym się tłumaczy fakt, że dopiero 31 sierpnia 1944 roku Anglia i Ameryka jakby na nowo (i tylko dla tego, że Niemcy wystąpiły z inicjatywą Kombatantką) zadeklarowały kombatantstwo. Sowiety jednak uważały, że interes zaborczy Rosji jest droższy niż hekatomba powstańcza i dlatego nie przyłączyły się do deklaracji amerykańsko-angielskiej. Oczywiście, że akt ten był platoniczny i „nielojalny” wobec Rosji (trzeba było ustąpić opinii publicznej, która nie rozumiała sabotażu Aliantów wobec płonącej Warszawy) i Rosja mogła *a vista* zażądać, by Alianci nie uzbrajali oddziałów powstańczych i nie wtrącali się do rządów na terenach nie przez anglo-amerykańskie armie okupowanych.

Nie dziwota, że Moskale mając czarno na białym wyrok Teherański na AK nie ustaną w swej niszcycielskiej robocie nie tylko wobec AK, ale wobec wszystkich formacji niezależnych. To był najgłówniejszy punkt oskarżenia i przewodu sądowego, na którym wszystko się koncentrowało — reszta to była beletrystyka dla oglądy potwornego obrazu odwetu i Aliantów i Moskali w Polsce — za co?: bo była inna z ducha, cywilizacji i działalności — tych oto, które urągały w ciągu wieków satrapom zaborców, a które nigdy nie dały zginąć narodowi polskiemu.

Oto myśli, które przesunęły się w mej świadomości na tej ponurej sali występkę caratu i komunizmu, na sali, którą zapelnili czynownictwo epoletowe, wynajęta zgraja dziennikarzy tzw. zagranicznych, ale w której ciągle pada cień wielkich działaczy wyzwolenia proletariackiego — tutaj doprowadzonych wyrafinowanymi środkami do załamania się, i zamordowanych.

Trzecie — to postawa zeznających na przewodzie. Tu miałbym bardzo wiele do powiedzenia i poprawienia niejednej nieścisłości zeznających. Ponieważ są to autorowie własnych zeznań a ja poza krótkoterminowymi z 5-ciu najciężej skazanymi, nie miałem możliwości z nimi zamienić nawet kilku słów, a cóż dopiero dowiedzieć się o właściwych intencjach czy pobudkach takiego a nie innego zachowania się w tej fazie — usuwam się od wszelkich wypowiedzi. Zwróć uwagę jedynie na szczegół powtarzający się w zeznaniach oficerów w innych procesach, przeprowadzonych w Polsce przez sądy wojenne w polskich mundurach. Zdaje się mi (z tysiącami zastrzeżeniami) że ich zachowanie się — dla nas nieraz niezrozumiałe i nieoczekiwane — podyktowane jest raczej regulaminem,

dotyczącym zwłaszcza wziętego do niewoli. Na razie tak sobie to tłumacząc i bardzo przepraszam za poruszenie tego bądź co bądź bolesnego tematu. Może później, może kiedyś ta sprawa otrzyma swoje wyjaśnienie w blaskach wolności i sławy wojska polskiego. Jedno tylko nie znajdzie ani wyjaśnienia, a tym bardziej usprawiedliwienia czy wytłumaczenia — p. Urbański. Przyjąwszy nawet, co w moim przekonaniu wygląda na nabicie w butelkę Urbańskiego przez *sledowatielej* i prokuraturę, tym nie mniej jego zachowanie się i w śledztwie i na przewodzie kłamliwe i złośliwe wobec mnie, a co większe niegodne Polaka, stojącego przed sądem nieprzyjaciół — jest niewybaczalne. Szczególnie jego charakterystyka dotycząca moich przekonań „faszystowsko-reakcyjnych” i nie tylko moich, ale też i innych moich przyjaciół, mogła mnie zmusić w obronie mojego dorobku ideowego prawie całego życia — zacytować *ad oculos* kwiatki demokracji Urbańskiego. Wszak nie kto inny, ale on właśnie tworzył w Chadeckich Związkach Zawodowych dywersję sanacyjną, a w konsekwencji piastował mandat do Sejmu z ramienia OZON’u jako kombatant wyborczy w jednym okręgu warszawskim z Wiślickim (Syjonistą). Byłby to cios ale zrzekłem się go pamiętając, że reprezentuję nie tylko siebie wobec obcych.

Jeszcze jedna kwestia z tym związana. Oto pytanie, po co oskarżenie chwyciło się takiego typka jak Urbański i to w stosunku do mnie. Tego dotychczas nie rozwikłałem. W stosunku zaś do ławy oskarżonych ten chwyt stanowił rezerwę w gromadzeniu błota, które zwalono na podsądnych, odzierając ze wszelkiego dostojęstwa, podobnie jak to czynili faszyci i hitlerowcy. A komuniści są przecież mistrzami w zohydżaniu niemiłych sobie ludzi — argumentów przecież nie trzeba. Niech jak epoce Iwana Groźnego dowodzi, że on nie jest wielbłądem. Zdopingowanie zatem tego bezczeszczenia przez Urbańskiego miało służyć (tak ja sądzę) do jakiejś nieprawdopodobnej akcji, która miała wybuchnąć na ławie między mną a Urbańskim, a może jeszcze z kimś. Na szczęście do tego nie doszło. Cały incydent ten stanął mi żywo w pamięci, kiedy przypomniałem sobie podobną aferę prowokatora Sukiennika — mojego oskarżyciela w procesie z 8 maja 1913 roku przed Warszawską Izbą Sądową w Piotrkowie. Tak wyglądali podsądni.

A teraz ława sędziowska. Przewodniczył jej gen. Ulrych — niski, krępy, przysadkowaty, łysy, z uśmiezką, z zadyszka (albo pijaka, albo sercowego) — ten sam, który przewodniczył i wyniósł wyroki śmierci w słynnych procesach lat 1936-1938 na tzw. starych bolszewików. Ciekawe, że równoległe za tą masakrą zginęli różni starzy SD-cy polscy (później komuniści). Nikt z nich się nie dochował do obecnych czasów. Czy prowadził tendencyjnie — prawie tak. Wynikało to bardziej jaskrawo w sprawie naszego aresztowania w Pruszkowie.

Nie wiem jaki miał interes przewodniczący Najwyższego Trybunału Wojennego, by przeprowadzać tezę, że te nasze spotkania z Pimonowym czy Iwanowym są po prostu jakąś szopką, która nigdy nie istniała i takich ludzi w ogóle się nie zna. Taka sama finta została zastosowana w momencie, gdy gen. Okulicki usiłował świadka oskarżenia zahaczyć o zachowanie się Rosjan w stosunku do AK w Wilnie. Po prostu nie dopuścił Okulickiego do tego pytania. Inni członkowie sądu nie zaznaczyli swego udziału ani jednym słowem. Zresztą sam sąd (kolegium wojskowe, Najwyższego Sądu Związkowego) — jest jakimś unikatem w hierarchii sądownictwa w ogóle. Sądzi bowiem jako stała instytucja — specjalistów — intelektualistów i za ich aprobatą. Cóż — murzyńska etyka. Nie żądam od nich współczucia — byłoby to dla mnie obelgą nie do zniesienia.

Pozostaje adwokatura. Przewodził jej (tj. ławie obrońców, tj. kolegium *zaszczytników* przy *Wyższym Sudie*) p. Braudé. Średniego wzrostu, lat około 50, rozczochrany i robiący wrażenie muzyka, któremu popękały struny w instrumencie. Ponoć to jest jeden z najlepszych adwokatów w procesach politycznych. Trudno mi wyrazić pogląd swój na podstawie jednego przemówienia — był to

jakiś bełkot wysokoparnych (?) słów bez związku prawniczego, czy jakiejś tezy obrończej. Odwrotnie, w pewnym momencie przebijały raczej akcenty prokuratorowskiej mowy i zaczepiania i tak pogrążonego Okulickiego, który przecież sam się bronił — nie władając biegle językiem rosyjskim. Było to niesmaczne. Takim bardzo swoistym nadużywaniem mojej osoby, było przemówienie obrony Urbańskiego p. Michalskiego. To w moim ostatnim słowie wyraziłem się o jego zachowaniu i jego klienta — tak (za poradą). Zeznanie Urbańskiego między innymi o mojej mściwości i zamiarach zabójstwa i użycie takiego argumentu przez obrońcę Urbańskiego składam na odpowiedzialność sumienia ich obu. Innym adwokatom widocznie w granicach formuły obrończej (dozwolonej w upaństwowionej adwokaturze) pozostało, albo nakłaniać do żalowania przestępstwa, albo przynajmniej obietnicy kajania się. Mój adwokat, tak jak zapowiadał — bronił w krótkości mej osoby i muszę przyznać, że wykazał dużo umiejętności w stawianiu sprawy. Toteż nie mogę narzekać, jakkolwiek przez moje odmowy Rudience podania nazwiska, o której Rudienko dopytywał się, utrudniłem stanowisko obrońcy Kaznaczejewa, tym nie mniej wybrnął z trudnej sytuacji, nic nie uroniwszy z istotnego adwokata w trudnej, a w swym założeniu, nawet gardłowej sprawie. Szczególnie udało mu się sprowadzić moją odmowę wyjawienia nazwiska do następującego wniosku — „nie godzę się z prokuratorem, że Pużak jest uparty, ja powiem, że Pużak jest raczej człowiekiem twardym, który nawet wtedy gdy... — reszta jak w tekście. (W tekście sprawozdania sądowego — Moskwa, 1945, str. 293 — odnośny ustęp przemówienia adwokata Kaznaczejewa brzmi jak następuje: „... pozwolę sobie zwrócić uwagę na jeden moment, świadczący o tym, że Pużak zachowuje się w Sądzie szczerze, nawet wtedy, kiedy mu to nie jest wygodne”).

Tak się zakończył nasz proces w Moskwie dnia 20 czerwca 1945 roku około godz. 11-tej wieczorem. Odprowadzono nas do pomieszczenia przy Sądzie, gdzie mieliśmy oczekiwać wyroku. Otrzymaliśmy dodatkowo herbatę — dużo herbaty. Wobec tego, że wyrok miał być ogłoszony dopiero nad ranem, przeto mogliśmy skorzystać z legimat (?). Mnie więcej o świecie dano znać, że Sąd czeka. Z prawdziwą ciekawością wraz z innymi podążyłem na Sąd. Wkrótce Ulrych przeczytał wyrok (tak jak w sprawozdaniu). Odczytane wyroki na pierwszy rzut oka uderzają swoją niewspółmiernością w porównaniu z oskarżeniem, mową prokuratorów, oraz całą tendencją śledztwa, nie mówiąc już o wyuzdanej swawoli propagandy sowieckiej i lubelskiej, o czym dowiedziałem się po przyjeździe do kraju.

Jednak wyraźnie zemszczono się na pięciu współoskarżonych, skazując ich na długie więzienie od 5 do 10 lat. Odnoszę wrażenie, że te właśnie wyroki miały być z jednej strony naciskiem na „konsultujących” w tym czasie w Moskwie, a z drugiej strony okazją do handlu politycznego. Świadczyły o tym dwa incydenty: 1) Wywołanie Bienia na krótką rozmowę z adwokatem i z kimś z sądownictwa i rozmowa stylem telegraficznym na temat prośby o ułaskawienie. Może to były jakieś chody Mikołajczyka poprzez reprezentantów Anglo-Ameryki. Do takich kombinacji są zawsze chętni — że powołałam się na słynny proces obywatelski angielskiej Katty Małockiej (członek PPS) w roku 1911 przed sądem rosyjskim w Warszawie, który skazał ją na 4 lata ciężkich robót, a na zasadzie prośby — car ją amnestionował (interwencja lorda Greya). 2) Poufnie rozszerzano wieści (głównie przez adwokatów), że jeśli nie natychmiastowa, to w każdym razie rychła amnestia anuluje wyroki. Najbliższa przyszłość nie potwierdziła tego mniemania, a sam wyrok był w owym czasie wspaniałym wyrazem wzajemności i zaufania między ówczesnymi układającymi się stronami — Mikołajczykiem, polskim podziemiem ??? i komuną.

Po wyroku upłynęło około 7 dni, gdy prawie jednocześnie zabrano z mojej

celi owego *tielochranitiela*, a mnie kazano pakować manatki i przenosić się do innej celi. W pewnej chwili sądziłem, że przenosił mnie, jako skazanego do więzienia dla wyrokowych. Gdy jednak znalazłem się piętro niżej w wielkiej celi Nr 62 wraz z resztą skazanych na krótsze wyroki — wówczas zacząłem węszyć jakąś tymczasowość i wyczekiwanie w naszych losach więziennych. Przeprowadzał nas uroczyście Naczelnik więzienia w asyście kilku pomocników. Napastowany przez współtowarzyszy pytaniami co dalej — robił minę radosnego zakłopotania, odkładając wszystko do tajemniczego wtorku (a była to sobota) i że wtedy sami się przekonamy. Nowa cela, mieszcząca nas 8-miu, była całą wyjątkowo ciemną i trzeba było położyć się na podłodze, żeby zobaczyć skrawczek nieba. Temu sprzyjał oczywista tradycyjny kosz z dwóch okien, oraz bliska ściana przeciwległego gmachu bez porównania wyższego od naszego. Wewnętrzne ułożenie to samo jakie miałem na górze, z tą różnicą, że podłogę mieliśmy parkietową. Zasiadło nas 8-miu. Najwyższy wyrok — półtora roku — ja, 1 rok — Bagiński, 8 miesięcy — Zwierzyński, pół roku — Czarnowski i 4-miesiące — Chaciński, Mierzwa, Stypułkowski no i Urbański. Tak więc miałem wątpliwy zaszczyt oddychać tym samym powietrzem co prowokator.

Niezwłocznie po wydaleniu się naczelnictwa odbyłem rozmowę z Chacińskim, jako prezesem Stronnictwa Pracy i oświadczyłem mu, że zgodnie z regułą więzienną takie typy jak Urbański — na zasadzie solidarności opinii aresztantów — winny siedzieć w tzw. „*suczom kutkie*”. Tego nie mogę osiągnąć (choć ta sprawa jest sprawą ogólną) albowiem nie wiem, czy wobec obecnego uzusu w więzieniach sowieckich nie trafiłoby to na represję, a nie chciałbym narażać współtowarzyszy, a następnie nie chciałbym wobec Rosjan zaczynać akcji, w której może natknąłbym się na brak solidarności. I dlatego proszę spowodować oświadczenie Ubrańskiego, że zgadza się cały incydent przekazać natychmiast po powrocie do kraju pod Sąd Obywatelski. (Ogólne przekonanie, że nasz pobyt już się kończy, sprzyjał takiej koncepcji). Moja ostrożność miała za sobą rację. Okazało się, że prawie wszyscy bardzo prędko zapomnieli kim jest Urbański i raczej rozszereżali swoje z nim kontakty, a nawet p. Chaciński wykorzystywał jego drobne usługi. Oczekiwanie jednak amnestii przyćmiewało potrzebę wyczuć etycznych, a gdy wieczorem 6 lipca wezwano mnie do *sledowatiela* (po wyroku!!) wszyscy w jeden głos orzekli, że to jest zawiadomienie o amnestii. Wezwanie to mnie nie zaskoczyło. Było ono następstwem obietnicy (jak się okazuje dotrzymanej), a dotyczącej napisania mojego listu do żony.

Ostatni raz na badaniu zapytałem Gałkina, czy mogę napisać do rodziny po wyroku — otrzymałem odpowiedź, że on nie wie, natomiast wyjaśni ten problem i zawezwie mnie jeszcze. Na wstępie naszej rozmowy Gałkin zapytał co sądzę o wyrokach. Odpowiedziałem, że są niewspółmierne w stosunku do oskarżenia i mimo to potwierdzają tezę o drakońskich wyrokach. Na to nic nie odpowiedział i bez żadnego wstępu, zamiast o mojej korespondencji, zaczął w ciągu jakichś trzech godzin nastawiać szczegółowe pytania, stanowiące właściwie moje *curriculum vitae* politycznego. Słuchając moich odpowiedzi robił notatki. W pewnym momencie przerwał zaznaczając, że poprosi mnie na drugi dzień (sobotę). Jak czytelnik zauważył, nie pytałem go ani o rozstrzygnięcie problemu mojej korespondencji, ani o przyczyny protokołowania *curriculum vitae*. Zachowałem się pasywnie. Rozumie się, gdy wróciłem do sali, nie było końca zapytaniom. Zdaje się, że wszyscy mocno ochłodli na temat bliskiej amnestii. W sobotę mnie nie wzywano, dopiero w poniedziałek. Na tym przesłuchaniu Gałkin zakończył *curriculum vitae* i po pewnej pauzie zaczął wyjaśniać, że tę czynność wykonał, jako część pozaproceduralną. Taki jest u nas zwyczaj, że do *diela* przyszywamy i działalność pewnych oskarżonych, tak trochę dla celów badawczo-archiwalnych. Zresztą ten materiał stanowi czasem podstawę amnes-

tyjną. Pewnie sądzi — że na to magiczne słowo — zasypię go pytaniami. Zareagowałem milczeniem. Dopiero po wyczerpaniu tego tematu oznajmił, że mogę napisać list, który oni wyślą. Przyniósł kawałek papieru i kopertę. Skreśliłem natychmiast parę słów o wyroku i ewentualnej paczce żywnościowej. Przeczytał zawiadamiając, że teraz pójdzie do generała (Włodzimierskiego) o cenzurę. Rzeczywiście w parę minut wrócił zaznaczając, że generał kazał wysłać. Podziękowałem. Gałkin tym razem już po raz ostatni zatelefonował do dyżurnych konwojentów: „780a proszu wziat' ariesztowanowo”. Odszedłem i już więcej Gałkina nie spotkałem.

Jak było do przewidzenia — tego listu, ani też jeszcze jednego listu tej samej treści żona moja nie otrzymała. Kto tu zawinił? Sądzę, że raczej Lublin. Zaczęły płynąć monotonne dni, przerywane spaniem, jedzeniem, spacerem (codziennie 45 minut) czytaniem, niekończącymi się rozmowami na temat sytuacji w kraju i na świecie. Chociaż tego rodzaju tematy były już obrobione, nie raz, a sto razy i to z tą większą łatwością, gdyż materiału informacyjnego prawie nie było. Nicowano również śledztwo. I tutaj wyłaziła na wierzch straszliwa prawda, której na imię — biada zwyciężonym. To ciągle szukanie winnych tylko poza sobą, psioczenie na wszystko do czego przykładło się walnie rękę — szukanie usprawiedliwienia swej „otwartości” w śledztwie tysiącami argumentów *ad hoc*, jakkolwiek logika faktów przeczyła im dowodząc raczej wielkiej szkody i krzywdy ludzi i działań.

Celował w tym p. B. wpadając w jakąś niesamowitą megalomanię i nieodłączną argumentację *ad absurdum*. Na to nie było w ogóle lekarstwa. Szczególnie nieuleczalna była jego mania interesowania się wszystkim, co było ograniczone dyskrecją. Stąd zachodziło nieraz wiele nieporozumień, kiedy trzeba było prostować i karcic. Często zachodziły wydarzenia bardzo przykre... Pamiętam, że na krótko przed zwolnieniem Chacińskiego i trzech z nich (mieli po 4 miesiące) podczas spaceru podszedł do mnie Bagiński zmieniając moją parę z propozycją pogadania w ważnej sprawie. Zaznaczam, że żyliśmy prawie zawsze w naprężonych stosunkach. Po zawarłym wstępie zwrócił się do mnie z propozycją, by rozpatrzyć sprawę moją z Urbańskim w celi — bo to jest jedyne wyjście, są świadkowie, pamiętają szczegóły, protokoły, a więc ich zeznania ułatwią rozstrzygnięcie. Opanowałem się i oświadczyłem: „Nie rozumiem Waszej interwencji. Nie wiem o jaki przewód sądowy tu w celi Wam chodzi. Zdaje mi się, że każdy przytomny świadek procesu — był świadkiem faktu — choćby tego jednego, gdy Rudienko Urbańskiego zdemaskował, jako denuncjanta, kłamcę i oszczercę. I to mnie wystarczy i sądzę, że każdemu choć, kto był na sali sądowej — to również wystarczy. To co jest w protokołach tego nikt nie zgłębi z uwagi na różne kulisy i zakamarki dochodzenia NKGB, zresztą to jest niepotrzebne. Na sąd obywatelski daję tylko ten zapis: Zachowanie się Urbańskiego na śledztwie w świetle przewodu sądowego i dokumentu odczytanego na sali przez prokuratora Rudienkę. Temu Urbański nie zaprzeczył, lecz jeszcze raz potwierdził. Nawet w ostatnim słowie nie próbował naprawy zbrodni. Więc co tu trzeba jeszcze dowodzić? Wszak wyrok jest bezapelacyjny. — Człowiek taki jest w moim sumieniu potępiony i oczekuję takiego potępienia od wszystkich uczciwych ludzi”. — Wtedy p. Bagiński z najzimniejszą krwią oświadczył: „A ja tego incydentu na sali nie zauważyłem?!”. Tyleśmy ze sobą rozmawiali. Porzuciłem to zjawisko naprawdę patologiczne. Na marginesie tego incydentu z p. Bagińskim muszę zaznaczyć, że spodziewając się jakichś innych kawałów zagadnąłem p. Chacińskiego — co zamierza. Zaczął jakoś dziwnie kluczyć, że oświadczyłem mu: „Widzę, że nie ma Pan wielkiego nabożeństwa do sprawy Urbańskiego, który według zwyczajowego prawa (a Pan jesteś prawnikiem) winien być z punktu zawieszony, aż do sądu obywatelskiego”. Przyznał mi rację — ale

dodał, że Urbański zna wiele szczegółów organizacji Stronnictwa Pracy i że najprzód trzeba od niego wszystko przejąć, a potem dopiero zawieszać. Na takie *dictum* oznajmiłem, że nie wierzę w złożenie Sądu przez ChD nad Urbańskim, dla mnie jego zbrodnia podczas procesu jest udowodniona i dlatego raczej rezygnuję z dalszego procesowania się. P. Chaciński zaczął się tłumaczyć, waląc góry, mury na Urbańskiego, jednak przerwałem tę rozmowę, do której już więcej nie powracaliśmy. Życie było coraz cięższe.

Rozpoczął się jakiś prymityw rozmów obracający się około okruchów życia, czy potrzeb celi, zwłaszcza koło zagadnień kulinarnych. Każda nowa potrawa, czy danie (np. omlecek) — lub dłuższy brak jego, kawa zawsze letnia, czy kapusta świeża kiszona — były ewenementem obrabianym na różne sposoby. Oczywiście, że palacze mieli swoje rekordy w uzyskiwaniu ognia. Przeżywali istne katusze. Były papierosy, zawsze z jakimś mankamentem, często widocznym tylko dla palacza, ale dla mnie niepalącego stanowiły nową męczarnię, może taką jaką przeżywał Prometeusz — złodziej ognia. Czas jednak płynął i zbliżał się kres przebywania w więzieniu — czterech. Pozostający przeżywali całą gamę wzruszeń, począwszy od liczenia dni i godzin poprzez różne przypuszczenia odlotu, czy jazdy koleją, zwiedzania Moskwy, odgadywania przyjęcia przez władze lubelskie itp. Była to swojego rodzaju emocja, może czasami banalna ale emocja i dla pozostających — trochę o posmaku „w *czużom piru pochmielje*”. Tak opuścili celę 62 najprzód: Chaciński, Mierzwa, Stypułkowski i Urbański, następnie — 30 września: Czarnowski. Następny miał być Zwierzyński. W celi pozostało na razie wraz z nim nas trzech. Zwierzyński szykując się do wyjścia usiłował załatwić przede wszystkim swoją sprawę — odzyskania dwóch waliz z rzeczami i pieniędzmi, które NKGB wraz z UB zabrało mu podczas aresztu w Brwinowie, w dniu 12 marca 1945 roku. Oczywiście, że o odbiorze nie było mowy i władze w Moskwie odcinały się od tej afery, a naczelnik więzienia radził Zwierzyńskiemu, żeby zwrócił się w Polsce przez MSZ, do takiegoż sowieckiego. Słowem kancelaryczna. Poza tym Zwierzyński dążył do widzenia się ze swoim współtowarzyszem Jasiukowiczem, a pretekstem do tego były pewne drobiazgi podrózne (pled, na temat których miał pomówić z Jasiukowiczem).

Wreszcie ostatnia sprawa — zmiana naszej celi na inną, możliwie nawet mniejszą, ale za to widniejszą. Wizyta u naczelnika dała pewne rezultaty — przede wszystkim przeprowadzono nas do celi nr 68, rzeczywiście znacznie widniejszej. Tak dotrwaliliśmy do dnia 1 listopada, kiedy po obiedzie oświadczyli nam, że Prezydium Najwyższego (*Wierchownawo*) Sowietu ZSRR udziela nam indywidualnie amnestii i że jesteśmy wolni i będziemy odstawieni od Poselstwa Polskiego dla *dalniejszowo sledowanija*. Pomimo naszych zapytań, co to za amnestia, czy z niej korzystają nasi współtowarzysze oskarżenia — nie otrzymaliśmy żadnych wyjaśnień. Więc między innymi naczelnik łągał, że naszych 5-ciu skazanych na cięższe kary już nie ma, gdy tymczasem już w rok po tym ci nieszczęśliwcy siedzieli na Łubiance zapomnieni przez wszystkich. Prokurator łągał, że w ogóle nic nie wie o amnestii, jej zasięgu, itp. O Pajdaku w ogóle nie chciał udzielić żadnych informacji. Na tym nasza wizyta się skończyła i odprowadzono nas po raz ostatni do celi, gdzie miano z nami załatwić resztę formalności, związanych z naszym zwolnieniem.

Istotnie jakoś w godzinę oddano nam nasze rzeczy, odebrane przy naszym areszcie, między innymi pieniądze i zegarki, po czym około godz. 4-tej po południu wyprowadzono nas do auta osobowego i odwieziono do poselstwa przy ul. Aleksieja Tołstoja (dawniej Spiridonowka). Zaledwie stanęliśmy przed budynkiem w stylu osobniaka, gdy auto z impetem zawróciło, pozostawiając nas samych. Weszliśmy na podwórze, na którym natknęliśmy się na jakiegoś obdartusa, mówiącego łamanym językiem (z ruska po polsku), który jak się

okazało pełnić funkcję stróża. Wskazał nam na zapasowe wejście do Poselstwa. Weszliśmy do dużego hallu, w którym na widocznym miejscu zauważyliśmy oświetloną budkę (trochę większą od telefonicznej), a w niej dwóch Żydków: jeden z nich starszy coś z typu białostockiego, wyglądający na koniokrada, lub pasera (tegi, dobrze zbudowany, twarz nie przystępny bez kija) — a drugi mały chłopak. Obaj siedzieli przy telefonie. Właściwym ciceronem był chłopak, a starszy pomagał. Okazało się że z powodu święta (Wszystkich Świętych) poselstwo nie urządzuje. Po długich ceregielach zgodził się telefonować do urzędnika dyżurnego — bo na takiego wskazaliśmy, że musi być. Więc po pewnym czasie zawiadomił nas, że podobny dygnitarz nas oczekuje. Weszliśmy na I-sze piętro do gabinetu, w którym przyjął nas osobnik mniej więcej lat 30-tu. Tłumaczył się świętem i dużą niewiedzą (naturalnie umyślnie) spraw o krótkie zapytywaliśmy. W trakcie naszej rozmowy telefonował do jakiegoś sowieckiego urzędu, a następnie do p. Kraszewskiej. W następstwie tych rozmów otrzymał połączenie z *chargé d'affaires*, który zapraszał do siebie.

Zeszliśmy zatem do niego, nazywał się Matwin, też około 30 lat, trochę typ wschodni. Najprzód doniósł nam o śmierci Witosa, dalej na zapytanie wyjaśnił strukturę personalną (z dużą luką) i kierunkową rządu. Stwierdził, że Stronnicwo Ludowe jest w rządzie reprezentowane w dwóch frakcjach. Poza tym partie: PPR, Str. Demokratyczne, Partia Pracy są scalone, a PPS właśnie w danej chwili unieszkodliwiło akcję Żuławskiego do stworzenia PPSD. Ale intrygi tego oszusta zostały sparaliżowane i obecnie jest wszystko w porządku.

Dalsze rozmowy na ten temat były zbyteczne, tym bardziej, że p. M. stał się coraz oszczędniejszy, twierdząc, że był bardzo krótko w Warszawie. Wobec informacji naczelnika więzienia, że już jest po wyborach — zaznaczył, że na razie idą dopiero przygotowania do rychłych wyborów. O Pajdaku również nic nie wiedział: w każdego sprawie sądowej nic nie wie, zapewne nie była (?) o naszej amnestii dopiero teraz się dowiedział, a jakiego rodzaju jest ta amnestia oczywista, że nic nie wie. W tym stanie rzeczy musieliśmy zrezygnować z *interview'u* i zacząć omawiać nasze sprawy dachu nad głową, pożywienia i papierów na wyjazd. Od ręki załatwił nam mieszkanie (pokój wspólny) dla nas trzech, jedzenie — kolację i śniadanie na dziś i jutro, a następnie ulgowe bilety całodziennego wyżywienia w hotelu „Metropol” (śniadanie, obiad i kolacja). Wymienił następnie dla każdego z nas 1.000 zł. Należy zauważyć, że złoty polski nie ma żadnego kursu w ZSRR i nikt go nie wymienia, nawet Bank Państwa. Nadto dla swobodnego poruszania się wydał nam odnośne zaświadczenia Poselstwa Polskiego. Co do papierów na wyjazd i co do terminu tegoż wyjazdu to wyrażał wątpliwości, czy uda mu się to przeprowadzić w ciągu kilku dni, tym bardziej, że właściwie mieliśmy do dyspozycji dwa dni (tj. piątek i sobota). Na prośbę naszą o przyspieszenie, obiecał wszystko uczynić. I rzeczywiście w niedzielę o godz. 2-giej po południu z dworca Białoruskiego (dawniej Aleksandrowskiego) wyjechaliśmy mając w wagonie zarezerwowane miejsca do spania. Też część załatwiał na interwencję Poselstwa *Inturist*. Dobrze po 6-tej wieczorem wyszliśmy na krótki spacer. Zarówno ten spacer jak też następne dni poświęciliśmy zwiedzaniu miasta oraz załatwianiu naszych interesów.

Moskwę opuściłem we wrześniu 1918 roku. Po tylu latach zaszły widoczne zmiany w kierunku modernizacji, którą reprezentowały wysokie gmachy urzędowe (drapacze powyżej 20 pięter), poszerzone ulice np. dawna Twerska — obecnie Gorkiego, dalej zabudowane place obejmujące dawniejszy — Teatralny i Ochotnicze Riady, wyjazd na Moskwoecze, podniesiony most na rz. Moskiewie, uregulowanie jej przez połączenie z Wołgą poprzez sztuczne morze Moskiewskie (zatopiono około 12 wsi i zdaje się miasteczko) dalej Metro (na głos Metro — Moskwicze wpadają w istny szal entuzjazmu z wyczynu — nie

spotkanego na świecie) ponoć trasa Metra biegnie nie tylko pod rzeką Moskwą, ale zagłębia się do 100 m pod powierzchnię ziemi. Dodajmy do tego komunikację autobusową, trolejbusową i tramwajową (mocno nadgryzioną przez czas i eksploatację) wyrugowanie zupełne ze śródmieścia konnych pojazdów i wreszcie olbrzymi ruch w godzinach kończącej się pracy — a będziemy mieli obraz współczesnej Moskwy, którą również entuzjaści obliczają na 7 milionów mieszkańców.

Ruch — jak rzekłem — olbrzymi, wygląd Moskwiczów da się podzielić: na korzystających z własnych nóg i komunikacji powszechnej — z zasady bardzo ubogo ubranych i na jadących limuzynami — rekrutujących się z dygnitarzy partyjno-urzędowych. Przeciętny wygląd Moskwicza nazenidany (?) i przygnębiiony. Drożyna produktów i codziennych potrzeb jest zjawiskiem codziennym. Dostarczają tych produktów: aprowizacja rządowa dla swoich i dla rabów — reglamentowane w wymiarze i w cenie, aprowizacja tzw. *Komercyjnych Magazynów* (bez kartek również rządowa) i aprowizacja tzw. czarnego (wolnego) rynku. Pisząc o tym uprzytomniam sobie, że chodzę po Moskwie w okresie przygotowań do uroczystości Rewolucji Październikowej — do jej 28 rocznicy, a pomimo to jestem świadkiem nieregulowanej sprawy dziesiątków milionów ludzi i to w państwie najprawdziwszego feudalizmu, charakteru tym razem komunistycznego. Jedyne co się robi dla pokrycia tego wstydliwego zakątka historii — to owe *komercyjne magazyny* rzekomo konkurujące z czarnym rynkiem i dopuszczenie wolnego przewozu na tenże rynek produktów rolnych — pod hasłem: każdy sprzedaje swoje. Poznałem taki rynek tzw. Tysziński. Czego tam nie było. Oczywiście forpocztę stanowili, jak w Warszawie, sprzedawcy sacharyny. Poza tym jak u nas, tylko straszne brudy sprzedających i brudy towarów. Naturalnie nieodłączna drożyna idzie w zawody z cenami u nas. Ogromny zabłocony plac wypełniają tysiące kupujących i sprzedających. Wprawdzie po środku jest małe zabudowanie dla pomieszczenia jatek i straganów, ale tylko znikoma ilość sprzedających mogłaby się w nich pomieścić. Więc pomimo napisów ostrzegawczych i grożących karami — wszystko tłoczy się poza zasięgiem dobroczynnego budynku. Milicja ściga takich sprzedawców, jak również targujących po godzinie handlu i nakłada mandaty karne. Jednak na ogół stosunki są rodzinne — dosyć nabiedowali się podczas wojny, po co ich nękać biedaków. A zresztą w skrytości ducha tak jak zresztą wszędzie, gdzie biurokracja rządzi aprowizacją — wykonawcy jej zarządzeń — po prostu odmawiają posłuchu, boć wiedzą, że w ten sposób zapewniają minimum wyżywienia ludności. Te braki spotykamy właśnie w sklepach komercyjnych. Więc w żywnościowym reprezentowany jest dział spirytualiów i tutaj zauważamy tłupy. W sklepach wyrobów przemysłowych zauważamy najlepiej zaopatrzone dział kosmetyków. Gotowych ubrań brak, sprzedają tylko materiał, niestety w trzech lub w dwóch kolorach. To samo z gotowymi czapkami i nakryciami głów kobiet: tak samo krawaty nie cieszą się względami kolorystyki. Wszędzie prymityw — czy to wśród gospodarstwa domowego, artykułów elektrycznych, zabawek itp. Braki, braki i jeszcze raz braki wylażą na każdym kroku pomimo świątecznego rwetesu dekoratorów upiększających niedostatek, któremu nadaje się oficjalną nazwę — *niedostatka logkoj industrii*. Temu ma zapobiec nowa *piatiletka* — tym razem zwycięskiej „*Otieczestwiennoj wojny*”. Dobrze! ale ktoś zapytał — skąd bierze się przede wszystkim żywność, której trzeba najwięcej — na „czarnym” rynku? Wyjaśnia się to w języku urzędowym frazesem, że na rynek dostarcza się produktów „kołchoźników” i ruchomości obywateli sowieckich przymuszonych do wyzbywania się na skutek takich czy innych potrzeb życiowych, ale których Państwo Sowieckie nie jest w stanie zaspakajać.

Rozszyfrujmy te trzy bardzo ważne właściwości ustroju gospodarczego Sowie-

tów. A więc kołchoźniki: ich nagromadzenie produktów, idących na uboczny handel prywatny na czarnym rynku bierze się z przydziału reszty danego produktu wypracowanego w kołchozie — po ostatecznym rozrachunku, tj. po oddaniu tzw. normy przypadającej na dany kołchoz. Ta reszta indywidualna idzie na rynek. W zależności od stopnia uprawy rolnej, wartości gleby, urodzaju, zresztą w związku z produkcją pochodzą: masło, sery, jaja, miód, mięso, skóra, tłuszcze roślinne, przędza (len, konopie), drzewo na opał i tarte — kołchoźniki w ostatecznym obliczeniu stają się zamożniejszymi, coraz częściej bogatszymi, słowem obrastającymi w pierze — burżujami. To burżujstwo w niektórych kołchozach staje się przysłowiowe, że wymienię np. kołchoźników bawełnianych. Jeśli nie przesadzili nasi informatorzy — to tu się zaczyna klan nowych milionerów. A teraz sprzedający swe ruchomości — to w pierwszym rzędzie handlarze pośrednicy kupujący nie tyle od sprzedających resztki swego utrzymanka w produkcji państwowej. Jak się to odbywa — tego nie zdążyłem ustalić — jednak wnioski nasuwają się same przy przeglądzie ogromnej liczby handlujących tymi produktami i jeszcze większej ilości samego towaru. Wreszcie obojętny jest rodowód — ważny jest sam fakt istnienia takich obrotów. Któż bierze udział w tych obrotach. Oczywiście ci, którzy nagromadziwszy pieniądź szukają dla niego lokaty. Zgodnie z faktami sklepy państwowe mają na swych półkach te same towary do nabycia bez kartek — jednak daleko droższe przy sprzedaży, daleko tańsze przy nabywaniu od sprzedającego, niż na czarnym rynku. Podam przykład życiowy. Ktoś ma zegarek złoty do sprzedania. Idzie do sklepu państwowego i otrzymuje od sklepowego taką informację: mogę ten zegarek kupić (jeszcze będzie ocena fachowa) za 7.000 rubli. Oczywiście to jest dla was *małowato*”, ale na rynku powinniście otrzymać coś około 30.000 rubli. W konsekwencji idzie się na czarny rynek. Taka jest tajemnica istnienia w Sowietach handlu prywatnego. Tak! Tak! Żelaznych praw ekonomii, tak jak praw przyrody, żadna dyktatura nie usunie. I jeszcze słówko o drożyznie, która rządzi życiem obywateli sowieckich. Ceny rosną jak na całym świecie burżuazyjno-kapitalistycznym a z nimi rośnie nakład drukowanych pieniędzy. Tak jak w innych krajach świata przewalają się olbrzymie masy pieniędzy, których w małych odcinkach już się nie liczy. Źródłem tego powszechnego na świecie zjawiska jest drożyzna wywołana wojną, a atmosfera — klimat wojny — to spekulacja, kradzieże, szantaże, rabunek, dewaluacja. Wszak dostawy do armii są niezależne od ustroju, czasu i przestrzeni. Z tym liczy się życie powszednie, no i władze, nawet sowieckie, dostosowują się doń. Stąd też ustępstwa dla dość podejrzanego radości życia. Więc np. poza hotelami i restauracjami dla cudzoziemców (do których każdy obywatel Sowietów ma wstęp) istnieją zakłady charakteru np. szantanów z chórami cygańskimi i płcią żeńską i prosperują całą noc (oficjalnie!). Tam też — na wesoło płynie potok pieniędzy. A przecież to nie jest *dernier cri* — ale pewna tradycja pomimo surowości klimatu dla takich dreszczyków, nie licujących z ustrojem. Pozostaje obserwacja tych niewykształconych (?) ale brak czasu stoi na zawadzie, a u nas ponaglenia terminowe pieczęci urzędowych w naszych paszportach, które nam wreszcie wręczono. Zresztą, prawdę mówiąc, chcielibyśmy ujrzeć naszą rzeczywistość w Polsce.

Więc 4-go o godz. 14-tej z dworca Białoruskiego ruszamy ku naszej „nowej granicy” nad Bugiem. Nasz bilet Inturista upoważnia nas do przedziału (*twiordyj-żostkij*) z miejscówkami. Przedział na 4-ch, nas jest 3-ch. Po pewnym czasie do naszego przedziału wsiada wojskowy (oficer), a gdy pociąg ma ruszyć przyczepia się też oficer i zajmuje wnękę pod dachem wagonu, w której składa się rzeczy podróżne. Zauważyć należy szczegóły następujące. Przedział na 4-ch jest jednocześnie przedziałem sypialnym (pociąg *dalnawodżienja* — bo aż do

Brześcia — a po przesiadce — do Berlina przez Warszawę). Każdy pasażer siedzący na miejscówce ma prawo położyć się na ławce oraz na górnej połce utworzonej przez podniesienie oparcia. W ławce dolnej jest coś w rodzaju szuflady, w której mieszczą się materace na dwa posłania. Gdy pociąg rusza na noc, wówczas kobiety-kolejarki, utrzymujące porządek w pociągu, przynoszą bieliznę pościelową: dwa prześcieradła na jedno łóże, derkę i poduszkę z pierza. Trzeba przyznać, że to rozwiązanie na dzień i na noc jest dobrze pomyślane. W tym stanie rzeczy nasz 5-ty pasażer znalazł się bez legowiska i zadowolnił się wneką, w której skurczony istotnie przemęczył się dwie noce. Wobec tego, że to było sprzeczne z przepisami kolejowymi i porządkowymi — należy przypuszczać, że w ten sposób chroniło nas dwóch oficerów NKGB. Była to jedyna opieka (raczej domyślna) której doznaliśmy na przestrzeni naszego pobytu w Moskwie i w podróży — w dniach od 1 do 6 listopada 1945 roku. Muszę powiedzieć, że wzajemnie nie krępowaliśmy się, wypowiadając często zdania nie spod stempla urzędowego. Czasem nas to intrygowało, dlaczego ni stąd ni zowąd awansowali nas na dziennikarzy z Poselstwa Polskiego. W pociągu był wagon restauracyjny bardzo drogi, więc z niego poza herbatą i piwem, nie korzystaliśmy. Tak dojechalśmy we wtorek 6-go o godz. 6-tej rano do Brześcia. Ta nowokreowana stacja graniczna właściwie nie funkcjonowała i razem z tłumami żołnierzy i oficerów wałęsaliśmy się z jednego kąta do drugiego dość zdemolowanego dworca w poszukiwaniu jakiejś *tamoźni* lub NKGB (wojennego) by zasięgnąć informacji i dostać drogę po bilety do Warszawy. Nasza peregrynacja odbywała się w tłoku iście tramwajowym chyba ze trzy godziny. Każdy z nas na własną rękę szukał jakichś wskazówek. Wreszcie zdaje się któryś z oficerów podróżujących razem z nami w sąsiednich przedziałach poradził zatrzymać się przy okienku zamkniętym szczelnie. Po jakimś czasie okienko wprawdzie się nie otworzyło, ale jakby spod ziemi wyrósł przed nami (stary znajomy z czasów carskich) „zielony” celnik — zapytał się nas, czy nas jest 3-ch po czym bardzo uprzejmie poprosił o dokumenty, po czym zaprowadził do salki imitującej komorę celną i kazał czekać na swój powrót. Istotnie po kilku minutach przyszedł wręczając nam zawizowane paszporty wraz z przepustką do wagonów 2-giej klasy z nr. danego wagonu z radą byśmy bilet do Warszawy nabyli u kasjera, a jeżeli w krótkim czasie nie zdążymy wobec tłoku kupujących nabyć, to możemy tak wsiadać — wykupując bilet w drodze. To okienko i zielony to była interwencja na naszą korzyść z ramienia dworcowego NKGB, poinformowanego oczywiście albo przez naszych *incognito* konwojentów, albo wprost z Moskwy. Raczej to pierwsze przypuszczenie. Zaznaczam, że prócz przewodniczki wagonowej (obsługa naszego pociągu moskiewskiego w dalszym ciągu pełniła służbę w pociągu wąskotorowym biegnącym przez terytorium polskie), która z przepelnionego przedziału przepędziła dwóch oficerów (bodaj pułkowników) i kazała mi zająć opróżnione miejsce — konduktora nie widziałem, a tym samym nie mogłem wykupić biletu. Nawet moja reklamacja u „wagonowej” bardzo grzecznej, ale zarazem bardzo stanowczej niewiasty nic nie wskórała. Widocznie był to symbol, jak się później okazało, ciupasu urzędowego, przeprowadzonego przez panów z Lublina. Albowiem w Sowietach jako wolny bez ograniczeń jechałem za bilet kupionym z moich pieniędzy. Takie oto paradoksy zdarzają się tam, gdzie chciwcy panowania są bardziej papiescy niż sam papież.

Około godz. 11-tej ruszyliśmy w stronę i do Polski. W przedziale natłoczonym przez oficerów rozmowa najprzód między nimi, a później ze mną. Uderzające było dyskretne z ich strony posądzenie mnie o związek z poselstwem. Mam wątpliwości, żeby krótka bytność moich kolegów (jadących w drugim wagonie) u mnie do tego się przyczyniły. Jednego nie mogliśmy ukryć i to nie staraliśmy się, że jesteśmy Polakami. Rozmowa na bardzo niskim poziomie. Na

każdym kroku wylażyły braki w wykształceniu, związanym choćby z zajmowaną rangą. Motywem — leitmotywy — był żal po stracie Roosevelta i psioczenie na Anglię, laburzystów i na Bevina. Ciekawy był fakt zachłystywania się wyzwoleniem Polski, narzekania — poza rzędem — na niewdzięczność historyczną Polaków. Gdy zająknąłem się, że nasze ofiary w proporcji do naszych cyfr są największe — ofuknięto mnie i zakrzyczano, że przecież Rosja zostawia nam olbrzymie bogactwa. Wyjaśniając to twierdzenie przytoczyli jako argument, że Rosja na całej przestrzeni rządów w Polsce — zbudowała drogi żelazne, szosy, gmachy, fabryki, uniwersytety itp. Kiedy usiłowałem protestować, że przecież to się działo za nasze pieniądze podatkowe, a w dodatku budowano nie to, co nam potrzebne i nie tam gdzie tego wymagał nasz interes państwowy — zakrzyczano mnie, że tak właśnie rozumieją w większości Polacy. A to jest niewdzięczność wobec Rosji i Słowiańszczyzny. A jeden o wyglądzie *homo alienus* wprost zawołał „*blagam matom*”, że jeżeli nie pójdziecie nam na rękę — to my pójdziemy z Niemcami. Tutaj zaczęli go inni wyręczać i osłabiać jego tezę, a w miarę tego jak zacząłem dowodzić, że nie sądzę by Rosja ciągle posiłkowała się Niemcami jak np. w roku 1939 — wtedy cały przedział ryknął, że to właśnie Polacy w roku 1939 ruszyli z Niemcami na Rosję — udając po drodze że niby się z nimi biją. Przyznaję, że to mnie położyło — uległem, widząc, że mam do czynienia z nową fazą propagandy, w której w owym czasie Anglia stanowiła wroga nr 1 a Polska... Ameryka jeszcze korzystała podówczas z moratorium Rooseveltowskiego. Nasza dyskusja, którą zobrazowałem w głównych zarzutach, toczyła się z przerwami, które następowały na każdej niemal stacji, a to ze względu na zakupy żywności u sprzedawców, przynoszących towar do pociągu. Przyjmowano złote i ruble, ale najchętniej i stosunkowo taniej kupowano za marki niemieckie: sądzić należy, że tutaj były już zainstalowane pompy wysysające marki dla jakichś celów spekulacyjnych — na terenach okupacji alianckiej. Kupujący oficerowie początkowo zrymali się na proceder handlujących nierobów, uogólniając charakter Polaków tymże mianem i zarzekając się, że nie kupią nic, ale głód zrobił swoje i kupowali, wszystko im smakowało, stopniowo: chleb, zwłaszcza kiełbasa, papierosy, wreszcie wódka w coraz większych ilościach, których niby na miejscu (ze zrozumiałych względów) nie było, a za *dieŋgi* „*jib jewo mat*” *lowko* przynosili każdą ilość. W końcu odkryto, że kupcy nie wysoko cenią. Gdzieś już poza Siedlcami nasza rozmowa się skończyła. Minęliśmy Mińsk Mazowiecki, gdy nagle do mojego przedziału weszło trzech osobników, jeden grubawy z pochodzenia Żyd wszedł do przedziału a dwaj pozostali we drzwiach. Grubawy z uśmiechem zwrócił się do mnie czy p. Pużak. — Tak! — Proszę Pana, Pana oczekuje p. Min. Modzelewski. — Dobrze, odrzekłem. — Dziękuję, powiedział, ja tu jeszcze do Pana przyjdę — i wyszedł. Oczywiście — że ta krótka rozmówka nie uszła uwadze moich rozmówców. Jedni niewątpliwie domyślali się — o czym świadczyły ich sarkastyczne uśmieszki.

Rzeczywiście, zgodnie z zapowiedzią, przyszedł ten grubas ze swoimi i przeprowadził mnie do Zwierzyńskiego i Bagińskiego, z którymi z humorem zaczęliśmy nicować ten nowy objaw gościnności Lublina. Kpiliśmy też z tych panów na funty. Zaraz za Mińskiem kazano nam wyjść z pociągu i w szeregu pod konwojem cywilów z grubasem na czele, kroczyć przed siebie. W jakiejś chwili znaleźliśmy się pod lasem. Pora była już wieczorowa, jesienny wieczór — ciemno. Idący ze mną Zwierzyński, mający już doświadczenie z identycznym chwytem Śmigłego-Rydza w Wilnie, podczas zamachu stanu w roku 1926, kiedy to z więzienia wojskowego na Antokolu, gdzie Zwierzyńskiego przetrzymywano, wyprowadzono na rozstrzał i kiedy to po kluczeniu pod lasami i w wawozach (okolica do tego się nadawała) — z powrotem go odstawiono na Antokół — Zwierzyński szeptem mnie zapytał: — Czy to prowadzą nas na rozstrzał?

— odpowiedziałem: — Zdaje mi się, że coś w tym rodzaju. — Po przejściu jeszcze z pół kilometra doszliśmy do szosy, na której stały dwa oświetlone samochody. Kazano nam do nich wsiąść i jechać jeden za drugim. Mimo nieprzenikliwej ciemności zorientowaliśmy się, że wzięliśmy kierunek na Warszawę. Po pewnym kluczeniu (poznałem okolicę) doszedłem do wniosku, że bocznymi drogami wjeżdżamy na szosę Siedlecką i Grochowską, wreszcie na Pragę na ul. Środkową do UB, czyli do tego samego gmachu, w którym już byłem w gościnie u Rosjan. Wprowadzono nas na I-sze piętro do biura, w którym siedziała przy biurku i maszynie do pisania młoda panienka. Asystował jej od czasu do czasu (ulatniając się) podoficer UB. W tym towarzystwie przesiedliśmy do godz. 21-ej — kiedy nastąpiło „przesłuchanie”. Wezwano mnie pierwszego przed oblicze niewiasty, leciwej, mówiącej akcentem lwowskim (powiedziała), że jestem jedynie „zatrzymany” do wyjaśnienia kilku kwestii, a mianowicie, co zamierzam robić i jaki mój stosunek do obecnej sytuacji kraju i jego rządu. Zauważyłem z miejsca, że rozumiem zatrzymanie jako areszt, a jej oświadczenie jako żądanie złożenia przeze mnie deklaracji; sądzę, że wzorując się na obecnie panującym na ziemiach polskich stylu — deklaracja ta ma być pisemna. Otóż oświadczam, że żadnej deklaracji tego typu składać nie zamierzam. Zareagowała na to dłuższą filipiką na temat nieporozumienia i mojego uniesienia, jej zdaniem niesławnego. Zaczęła więc kluczyć, żeby wykazać, że w prawdzie chodzi tu o moje stanowisko, ale nie charakteru deklaracyjnego, zwłaszcza mojego nastawienia antypaństwowego itd. Taka pogaduszka, w której zachowałem ton raczej drwiący, trwała około godziny — bez protokołowania, po czym audyencja się skończyła.

W ten sposób odbyło się przesłuchanie Bagińskiego i Zwierzyńskiego. Gdy znaleźliśmy się w pokoju biurowym przyniesiono nam po kubku czarnej kawy (*ersatzu*) i po dwie kromki chleba z marmoladą. Po tej „kolacji” zjawił się urzędnik UB z propozycją udania się na nocleg; zaprowadził nas do jakiejś kuchenki poprzedzonej pokojem, w którym stało biurko. W tej kuchence stało żelazne łóżko z ohydą pościelą. Wprowadzający nas zaznaczył, że innym lokalem nie rozporządza i proponuje nam zajęcie w trzech tego łóża. Nie było innego wyjścia w tej przymusowej sytuacji. Zasiadliśmy więc w poprzek łóżka, posiłkując się dwoma krzeselkami pod nogi. Dodam jeszcze, że urzędnik zainterpelowany jak będzie z ubikacją, wyjaśnił, że wprawdzie nas nie strzegą, jednak wydalanie się poza kuchnię i pokój jest właściwie nie wskazane, chyba do ubikacji, możliwie rzadko — tzn. tylko *de grubis*. Na małe należy posługiwać się zlewem znajdującym się w naszej kuchence. W takich warunkach przenocowaliśmy.

Rano przyniesiono nam śniadanie, składające się z czarnej kawy i chleba z marmoladą. Około godz. 10.30 wezwano na badania Zwierzyńskiego. Powrócił po jakiejś godzinie z wiadomością, że zdaje się wyjdzie na wolność. Istotnie wkrótce go wezwano, a dopiero później zabrano jego rzeczy — bez niego. Następnie wezwano Bagińskiego, który już nie wrócił, jedynie jego rzeczy również zabrano. Mnie nie wzywano. Otrzymałem obiad składający się z talerza zupki i jakiejś siekaniny oraz kilku jabłuszek. Wieczorem otrzymałem również jakąś konserwę mięsną z kawałeczkiem chleba oraz herbatę (*ersatz*). Nie wiedziałem, co myśleć o tym mym sieroctwie. Nie wglębiając się usiadłem na moim łóżu i zasnąłem nie zważając na gęstą strzelaninę, miejscami przerywaną odgłosami detonacyjnymi. Podobnie poprzedniej nocy strzały nam towarzyszyły.

Następnego dnia, tj. 8 listopada podano mi zwykle śniadanie, a w porze obiadowej zwykły obiad, ale już bez jabłuszek. Dopiero po obiedzie wezwano mnie przed oblicze tej samej niewiasty, która tym razem miała już protokołować. Jasne jest, że przebieg badania był identyczny z wczorajszym. Po czym po

dłuższej *wolokicie* oświadczyłem twardo, że szkoda czasu, gdyż swojego stanowiska nie zmienię. Okazuje się, że *punctum saliens* — było pytanie „stosunek do obecnego Rządu Jedności Narodowej”. Odpowiedziałem do protokołu — że „negatywny”. Długo mnie przekonywała, przerywała i telefonowała. W końcu zanotowała, zaznaczając, że w takim razie nie ma innego wyjścia jak nadzór. Zapytałem jedynie — ku jej oburzeniu — czy tutaj w piwnicy? (tam mieściło się więzienie UB). Na tym skończyły się moje perypetie indagacyjne. Wróciłem do kuchenki oczekując dalszych wyników. Wkrótce zjawił się ten sam urzędnik UB z papierem (roneo), formułującym nadzór policyjny. Wśród wielu mądrości szpiclowsko-policyjnych figurowało takie epitafium: Wobec tego, że zatrzymany jest recydywistą, że nie ma środków utrzymania i że stanowi niebezpieczeństwo społeczne... więc nadzór. Oświadczyłem krótko, że tego dokumentu nie podpiszę, albowiem 1) nie jestem recydywistą — chyba w jednym wypadku, że współczesne bezpieczeństwo uważa się za spadkobiercę bezpieczeństwa carskiego, z łaski którego zostałem ongiś zasądzony (8 maja 1913 roku) na 8 lat ciężkich robót za przynależność do PPS, że tylko 7 odsiedziałem, więc pozostała reszta mogę odsiedzieć, więc nadzór jest tym samym zbyteczny. Mój rozmówca na takie *dictum* po prostu zeszytniał i niezwłocznie opuścił moją kuchenkę. Po dłuższej nieobecności, kiedy już zmierzchało — przyszedł ponownie z czystą karteczką i oznajmił, żeby sam napisał jak chcę — byle był tytuł do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie i oświadczenie, że o każdej zmianie mojego pobytu zawiadomię odnośną władzę bezpieczeństwa. To oświadczenie mogę napisać nawet ołówkiem. Tak się też stało. Karteczkę napisałem i podpisałem ołówkiem. Urzędnik wyszedł na krótko, polecając mi przystopować się do wyjścia. Za chwilę przybył z przepustką, z którą przez posterunek — wyszedłem na ulicę.

Kupiłem gazetę — *Robotnika*, a jednocześnie począłem rozważać na temat dokąd się udać. Czy do Piotrkowa, gdzie zostawiłem moją najbliższą rodzinę, o której losach nic nie wiedziałem, czy też na Grochów do mojego mieszkania, o którym wiedziałem, że jest okupowane przez obcych ludzi.

Najgorzej przedstawiała się sprawa wyjazdu do Piotrkowa, tzn. trzeba było w jakiś sposób przedostać się za Wisłę — do dworca z ryzykiem braku pociągu i koniecznością zanocowania — ale gdzie? Wszak Warszawy nie znalazłem a szukać wśród ruin i zupełnej obcości stosunków, w dodatku w egipskich ciemnościach, było nie lada problemem. Jednak Grochów był bliższy i mniej ryzykowny, choćby z uwagi na sąsiadów, którzy przecie w pewnej liczbie ocalali. Jakoś przenocuję a potem się rozejrzę. Tak też uczyniłem i ku mojej radości zastałem moich najbliższych w starym naszym locum, wprawdzie w jednej izbie, ale całych i zdrowych. Tak więc od dnia 12 marca 1945 roku do 8 listopada — naszej rozłąki, ponownie znalazłem się na łonie mojej rodziny.

Kazimierz PUŻAK

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
im. Gdańskiej Instrukcji Szkolnej
ul. K. Marksa 14
80-401 Gdańsk-Wrzeszcz
Tel. 41-70-87

2400 -

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

142095